

DENISE

MINA

martwa

godzina

Jak zwykle powinnam podziękować cudownej Selinie Walker, redaktorze cierpliwej, sympatycznej i godnej zaufania, a przy tym obdarzonej bezcenną umiejętnością wychwytywania wszelkich zakłóceń rytmu narracyjnego i dużym poczuciem humoru. Dziękuję też mojej „ekipie domowej”, czyli Rachel Calder, Henry'emu Dunowowi, Camilli Ferrier i wszystkim z The Marsh Agency, którzy zajmowali się zakupem moich domów.

Osobny akapit z pięknymi podziękowaniami muszę poświęcić także firmie Transworld Publishers i jej pracownikom, między innymi z działu wydawniczego i z działu marketingu, głównie za wsparcie i okazaną pomoc, za którą nie bardzo mogłam się odwdziaczyć. Wielu z nich znam osobiście, ale doceniam ogrom pracy wszystkich i wszystkich chciałabym zaprosić na drinka. Niestety, jestem skąpiradłem, więc pewnie tego nie zrobię.

Dziękuję też mojej Mamie, a także Louise, Amy i Sam za przewiezienie tej i innych książek do Bromley.

Pod pióro wpychają mi się także ci uprzykrzeni Considine'owie, chociaż jeden Bóg wie, jakim prawem, bo nawet w najmniejszym stopniu nie pomogli mi w pracy nad tą powieścią.

I wreszcie podziękowania autorki niech zechcą przyjąć również Fergus, Stevo i Ownie, którzy są światłem mojego życia.

Rozdział pierwszy

Nie tacy jak my

1984

1

Paddy Meehan rozparła się wygodnie na tylnym siedzeniu auta. Szum, dobiegający z radia nastawionego na policyjną częstotliwość, wypełniał bezsłowną pustkę dzielącą ją od Billy'ego - jej kierowcy. Dopiero co się rozgrzała, bo zdążyła się już dzisiaj wystać przez koszarne pół godziny w zacinającym deszczu na miejscu jakiegoś wypadku drogowego i wcale nie miała ochoty wychodzić znów z samochodu w tę zimną lutową noc, ale na progu luksusowej willi pojawił się właśnie przystojny mężczyzna w eleganckiej koszuli w paseczki, który na ostatnią wizytę u fryzjera musiał wydać co najmniej dziesięć funtów. Przymknął za sobą drzwi i przytrzymał je ręką. Nie było wątpliwości, że kryje się za nimi materiał na ciekawy tekst.

Znajdowali się w Bearsden, zamożnym miasteczku, a właściwie północnym przedmieściu Glasgow, pełnym zadrzewionych ulic i dużych domów jednorodzinnych, które otaczały trawiaste fosy, stanowiące zaporę przed sąsiadami. Po pięciu miesiącach pracy na nocnym dyżurze był to zaledwie drugi incydent w tej okolicy, do którego Paddy została wezwana - w pierwszym uczestniczył

nocny autobus, który zdemolował rondo i w którym pękła opona.

Adres, jaki im podano, zaprowadził ich w jakąś boczną uliczkę, gdzie za wysokimi żywopłotami kryły się stare wille. Billy wjechał pomiędzy dwa granitowe słupki i ruszył pod górę stromym, żwirowym podjazdem. Przed domem stał źle zaparkowany policyjny radiowóz, który blokował im drogę, więc Billy musiał ostro zahamować i wjechał przednim kołem w ściek odpływowy, dzielący trawnik i podjazd.

Oboje spojrzeli w stronę drzwi. Policjant stał tyłem do nich, ale Paddy i tak go rozpoznała - gliniarze pełniący służbę głuchą nocą stanowili bardzo nieliczną grupę zawodową. Ten na kamiennym ganku to był Dan McGregor; przesłuchiwał gospodarza i robił notatki. Tamten obcy facet wyglądał na urzędnika, rękawy koszuli miał starannie podwinięte aż do łokci. Na pewno było mu zimno. Dłoń oparł za plecami na klamce, przytrzymując drzwi, uśmiechając się cierpliwie ze wzrokiem wbitym w ziemię i usiłując przekonać policjanta, że nic tu po nim.

Przeklinając zimno, noc i nieudolnego policyjnego kierowcę, Paddy otworzyła drzwi i wysiadła na wysypany żwirem podjazd. Zdawała sobie sprawę, że cudowne ciepło w samochodzie zaraz się ulotni, więc szybko zamknęła drzwi i dla ochrony przed deszczem postawiła kołnierz swojego zielonego skórzanego płaszcza.

Tymczasem Billy, który pozostał w aucie, sięgnął po papierosy leżące na desce rozdzielczej. Paddy spędzała z nim po pięć godzin noc w noc, toteż umiała przewidzieć każdy jego ruch. Za chwilę Billy pstryknie palcem w grzbiet wsuniętej w celofanową koszulkę jednorazowej zapalniczki, wyciągnie ją, a potem jednym ruchem otworzy pudełko, wyjmie z niego papierosa i zapali go. Stała nieruchomo na tyle długo, żeby za szybą od strony kierowcy zobaczyć taniec ciepłego, pomarańczowego płomyka zapalniczki,

i skręcając w stronę domu, pomyślała, że wolałaby siedzieć znów w samochodzie.

Wiktoriańska willa, wznosząca się za śliskim, zroszonym deszczem trawnikiem, odznaczała się przyjemną symetrią. Duże wykuszowe okna po obu stronach drzwi wejściowych zdobiły staroświeckie, plisowane firanki i ciężkie, niezaciągnięte pomimo późnej pory, drukowane zasłony. Prawe okno spowijała ciemność, po lewej stronie paliło się jednak zalewające podjazd jasne światło, równie paskudne, jak światła dyskoteki na pół godziny przed zamknięciem.

Paddy uśmiechnęła się na widok Tama Gourlaya, drugiego z interweniujących policjantów, kręcącego się przy radiowozie - chuchał w dłonie i przytupywał, żeby się rozgrzać. Kiedy wzywano policję do jakiejś szemranej dzielnicy na peryferiach, jeden z funkcjonariuszy zawsze zostawał przy aucie, żeby go strzec przed wzburzonymi mieszkańcami, ale w tej okolicy nie było to chyba ko-, nieczne. Paddy wyobraziła sobie bandę rozjuszonych \ lekarzy, którzy wpadają na podjazd, wrywają boczne lusterka i rozbijają przednią szybę radiowozu. Zachichotała głośno, ale po chwili się zreflektowała. Znów zaczynała się dziwnie zachowywać. To skutki pracy na tych nocnych dyżurach.

Czyli między innymi długotrwały brak snu. Działał na nią jak gorączka, wywoływał zaburzenia wzroku i sprawiał, że wszystkie przedmioty w jej polu widzenia przesuwają się jakby nieco w bok. Lubiła niezwykle sprawy, z jakimi miewała do czynienia nocą, ale redaktorzy nie chcieli zaskakujących, surrealistycznych tytułów, tylko bezbarwnych, prozaicznych informacji. Interesowało ich „co”, „kto” i „kiedy”, bardzo rzadko „dlaczego” albo „zgodnijcie, jak do tego doszło”. A zmęczenie Paddy miało daleko idące skutki. Nic, potrafiła na przykład spojrzeć nikomu w oczy, bo jej spojrzenie nieznacznie chybiało celu,

a samotne serce dziewczyny, która nie miała zupełnie nikogo na świecie, biło swym własnym rytmem, zawsze o jedno uderzenie szybciej niż serca innych ludzi.

Podchodząc do wozu patrolowego, kątem oka złowiła spojrzenie Tama.

- Cześć, Meehan - powiedział Tam.

- Co u ciebie? Wróciłeś już z wakacji?

- Owszem.

- Fajnie było?

- Spędziłem dwa tygodnie z żoną i sześciomiesięcznym berbeciem, więc sama sobie odpowiedz na to pytanie - odparł sarkastycznie Tam.

Był w jej wieku, czyli miał dwadzieścia parę lat, ale małpował autentyczną melancholię starszych funkcjonariuszy.

- Co cię tu sprowadza? - zapytał, kiedy Paddy wyciągnęła z kieszeni notes.

Usłyszała wezwanie na policyjnej częstotliwości w swoim samochodzie reporterskim - sąsiedzi zgłosili zakłócenie spokoju. W tej dzielnicy mieszkańcy nie tolerują raczej nocnych imprez.

Tam przewrócił oczami.

- Skarżyli się na hałasy: pisk opon samochodowych, trzaskanie drzwiami i krzyki.

Paddy uniosła brwi. Takie skargi załatwia się w pięć minut: gospodarz otwiera, obiecuje, że odtąd już będzie cicho, po czym wszyscy rozchodzą się do domów.

Tam spojrzął w stronę drzwi.

- W domu jest jeszcze jakaś kobieta. Ma ślady krwi na twarzy.

- Czy to ten facet ją pobił?

- Tak sądzę. No, chyba że sama nakładła sobie po mordzie. - Gourlay zachichotał, ale Paddy miała wrażenie, że nie rzuca tego dowcipu po raz pierwszy albo że od kogoś go usłyszał. Nie odpowiedziała mu uśmiechem.

- Ta okolica to faktycznie nie najlepsze miejsce na głośną balangę w poniedziałkową noc.

Policjant parsknął z irytacją.

- Widziałaś te bryki? - Wskazał dwa błyszczące bmw, stojące w ciemności na tyłach wysokiej willi. Pierwszy sa mochód był imponujących rozmiarów, a drugi sportowy, ale w pewnym sensie pasowały do siebie jak obrączki ślubne. Paddy nie znała się zbyt dobrze na samochodach, wiedziała jednak, że za każdy z nich jej rodzina mogłaby opłacić czynsz za trzy lata z góry.

Przyglądali się nieznajomemu.

- Czy Dan go zgarnie?

- Nie - odpowiedział Tam. - Ta babka prosiła, żebyśmy dali mu spokój. Nazywa się Vhari Burnett. Jest prawniczką. W dodatku z naszej bajki.

Paddy zdumiała się.

- Pani prokurator?

- Owszem. - Tam wskazał swojego kolegę stojącego przy drzwiach. - Dan zna ją z sądu. Podobno ma czyste ręce. Tylko dlaczego w takim razie nie chce wnieść oskarżenia?

Paddy pomyślała, że jest chyba dość jasne, dlaczego kobieta nie chce oskarżyć o przestępstwo kryminalne mężczyzny swobodnie dysponującego kluczem do jej mieszkania. Najstarsza siostra Paddy, Caroline, regularnie wracała do domu z wielkimi sińcami na rękach i dostawała szału, kiedy ktokolwiek o nich wspominał. Pochodziła z katolickiej rodziny, więc porzucenie męża nie wchodziło w grę. Paddy mogła powiedzieć to wszystko Tamowi, ale dochodziła druga nad ranem, a takie leniwe, prostoduszne uwagi od funkcjonariuszy interweniujących w sprawie rodzinnych awantur słyszała każdej nocy. Była zależna od tych policjantów, bo sprzedawali jej niusy, więc nie chciała rzucać im rękawicy. Choć jednak przypochlebiała się gliniarzom i nigdy nie prowokowała sprzeczek z nimi,

chłopcy z nocnej zmiany wyczuwali, że trzyma ich na dystans, więc najciekawsze informacje przekazywali innym dziennikarzom - facetom, z którymi oglądali mecze albo pili. Odpędzając myśli o swojej gasnącej karierze zawodowej, Paddy odwróciła się w stronę domu.

Przyjrząwszy się ciemnowłosemu mężczyźnie, stwierdziła najpierw, że jest ładnie zbudowany: wysoki, długonogi i szczupły. Opierał ciężar ciała na jednej nodze, stał przechylony na bok i cierpliwie słuchał gadaniny Dana. Miał długie, ciemne rzęsy i lekko zmrużone oczy, a ciężkie powieki nadawały jego spojrzeniu wyraz rozmarzenia. Konserwatywną biel koszuli eleganta ożywiały cienkie paseczki w kolorze łososiowym. Poza tym miał czarne szelki ze lśniącymi stalowymi sprzączkami, markowe czarne buty i spodnie od garnituru. Wyglądało na to, że jest to jego strój roboczy. Na twarzy nieznanego malował się spokój i uśmiech, ale jego palce tańczyły nerwowo na klawiszach za plecami. Był po prostu piękny.

Paddy powolnym krokiem podeszła do drzwi, kryjąc się w mroku zalegającym pod domem. Wpatrzony w swój notes Dan kiwał właśnie głową, słuchając wyjaśnień mężczyzny.

- ...To się już więcej nie powtórzy, Dan.

Nieznanomy chyba czuł się swobodnie i Paddy odgadła, że McGregor nie zamierza go przymknąć nawet na dwie godzinki, żeby nauczyć gościa w celi, że nie powinien się zachowywać jak ostatnie bydło. Widziała Dana i Tama w akcji podczas wielu nocnych interwencji i wiedziała - jak wszyscy - że nie należą do policjantów znanych z pobłażliwości. Dan był sprawny fizycznie, chociaż chudy i starszy od Gourlaya, i już kilka razy na oczach Paddy rozpląszczył na drzwiach radiowozu gęby paru wkurzającym go zuchwalcom, których obezwładniał swoimi pająkowatymi ramionami.

Znowu coś notował kikutem ołówka. Sądząc, że nikt go nie obserwuje, mężczyzna stracił czujność, a kiedy mocno

zaciśnął dłoń na klamce, Paddy dostrzegła na jego twarzy grymas emocji.

-W porządku - powiedział Dan. - Ale od tej chwili musicie zachować ciszę, bo jeśli otrzymamy kolejne wezwanie, będziemy musieli podjąć jakieś kroki.

- Jasne. Nic się nie martw.

Dan zamknął notes i cofnął się ze stopnia.

- Może powinieneś wezwać do niej lekarza...

- Oczywiście.

Nieznajomy rozluźnił się na moment i wtedy Paddy wkroczyła w krąg żółtego światła przed drzwiami willi.

- Dobry wieczór. Nazywam się Paddy Meehan. Pracuję w gazecie „Scottish Daily News”. Czy mogłabym zamienić z panem kilka słów na temat policyjnej interwencji w tym domu?

Mężczyzna rzucił gniewne spojrzenie Danowi, który wzruszył ramionami i odszedł do radiowozu. Z bliska okazało się, że nieznajomy ma oczy niebieskie jak Paul Newman i mięsiste, różowe usta, których Paddy miała ochotę dotknąć delikatnie opuszkami palców. Z kolei wzrok mężczyzny prześlizgnął się po jej używanym, kupionym z drugiej ręki zielonym skórzanym płaszczu, nastroszonych ciemnych włosach, zamszowych beżowych botkach i dużych złotych kolczykach. Zorientowała się, że zauważył też czerwoną, zdobioną niebieskimi oczkami emalii obrączkę na kciuku jej prawej dłoni. Kupiona od hipisów, obrączka była więc tandetna, a jej oczka kruszyły się i wypadały.

- Fajnie się pani ubiera. - Uśmiechnął się, ale Paddy wiedziała, że nie mówi serio.

- Dzięki. A pan ubiera się jak biznesmen, nie? Facet obciągnął koszulę i wsunął kciuk pod szelkę.

- A co, podobam się pani?

Przestąpił z nogi na nogę, demonstracyjnie poruszając biodrami. Był to gest zbyt wulgarny i ostentacyjny, by

mogła go uznać za niewinną kokieterię, i nie spodobał się jej.

- Czy bije pan swoją żonę?

- Bardzo przepraszam... - Mężczyzna uniósł lewą rękę w obronnym geście, prostując serdeczny palec, na którym nie było obrączki. Nie miał żony.

- Zna pan Dana?

Spojrzał jej prosto w twarz zamglonym wzrokiem.

- Dana? Nie.

Popatrzyła na niego z dezaprobatą i uniosła brew. „Dana?”. Wiedział, jak McGregor ma na imię, a to mówiło więcej o ich zażyłości niż zachowanie tego mężczyzny wobec niego.

Facet wrzucił ramionami, jakby nie dbał o to, czy Paddy mu wierzy, czy nie, a kiedy przeczesał palcami swoje czarne włosy, wykrochmalony rękaw jego koszuli zachrząścił soczyście.

Stopę za jego plecami uchyliły się przymknięte drzwi i oczom Paddy ukazał się imponujący wiktoriański wieszak z ciemnego dębu, ze specjalnymi kołkami na kapelusze oraz stojakiem na parasole i laski. W ciemnej drewnianej ramie wisiało duże lustro, w którym odbijała się twarz przerażonej kobiety.

W drzwiach prowadzących do salonu stała ładna blondynka i przysłuchiwała się rozmowie. Miała szczupłą szyję i szlachetne rysy. Opadający jej na czoło kosmyk włosów był różowy od krwi. Obserwując Paddy w lustrze, blondynka zamasyście odgarnęła go za ucho smukłymi palcami, odsłaniając zakrwawiony policzek. Od kącika jej ust poprzez podbródek i szyję, aż do obojczyka, ciągnęła się cienka, szkarłatna strużka, spływająca na szeroką koronkową krezę białej bluzki w stylu lady Di.

Oczy kobiet spotkały się na ułamek sekundy i Paddy zobaczyła błędne spojrzenie nieznajomej, które już tyle razy widywała u ludzi uczestniczących w wypadkach samo-

chodowych albo bójkach - było to spojrzenie, w którym malował się zarówno strach, jak i ból. Uniosła brwi, jakby pytając zakrwawioną dziewczynę, czy potrzebuje pomocy, ale blondynka odpowiedziała jej ledwo dostrzegalnym, przeczącym ruchem głowy i odwróciła wzrok, wycofując się w stronę wejścia do salonu i znikając z lustra.

Mężczyzna zauważył wzrok Paddy i zamknął drzwi.

- Wszystko jest już w porządku, naprawdę.

Uśmiechnął się serdecznie i skinął głową, jakby dziękował Paddy, że skorzystała z zaproszenia na przyjęcie. Światło na ganku było słabe i żółte, ale nagle pośród króciutkich czarnych włosów zarostu dziewczyna zauważyła krew również na szyi tego faceta - maleńkie plamki rozbryźniętej krwi. Uśmiechnął się do niej, ale dostrzegła w jego oczach twardy błysk.

- Bił ją pan już wcześniej?

Zaczynał się irytować, ale tylko trochę. Zerknął na Tama i Dana stojących przy radiowozie, a Paddy powiodła oczami za jego spojrzeniem. Dan potrząsnął głową, jakby odpowiadając mężczyźnie czy może dając mu znak, którego Paddy jednak nie zrozumiała. Nieznajomy westchnął ze znużeniem.

- Proszę chwileczkę zaczekać, dobrze?

Nieznacznie uchylił drzwi i wślizgnął się do środka. Przez moment, kiedy drzwi zatrzaśkiwały się automatycznie, Paddy myślała, że nieznajomy zachował się rozsądnie i uciekł przed nią do domu, ale mężczyzna powrócił z uśmiechem na ustach ułamek sekundy później. Pochylił się nad Paddy i wsunął jej coś do ręki.

- Nie potrafię powiedzieć, jak bardzo mi zależy, żeby wiadomość o tym incydencie nie trafiła do prasy.

Był to pięćdziesięciofuntowy banknot, wilgotny i różowy od krwi.

Paddy rozejrzała się. Obaj funkcjonariusze stali przy radiowozie, odwróćni tyłem do nich. Okna w sąsiednim

domu, za żywopłotem, były czarne, ślepe i puste. Zziębnięte palce dziewczyny zamknęły się na banknocie.

- Dobranoc.

Mężczyzna wszedł do domu i zamknął za sobą drzwi stanowczo, ale cicho.

Paddy przyglądała się ich dębowych słojom. Drzwi były już wysłużone i pokryte żółtymi plamami w miejscach, gdzie przez lata czyjeś ręce poszukiwały po omacku klamki albo wsuwały klucz do zamka, teraz jednak wielka mosiężna klamka była umazana krwią, a Paddy trzymała w dłoni pięćdziesiąt funtów. Ścisnęła banknot mocniej, żeby się upewnić, że to nie sen, i kiedy poczuła pod palcami wilgoć krwi, przebiegł ją zimny dreszcz. Nieco rozgrzawkowana, wcisnęła pięść w kieszeń płaszcza, odwróciła się na sztywnych nogach i ruszyła z powrotem do wozu po równiutkim podjeździe. Pod jej stopami chrząścił żwir, a włosy targał wiatr. Gdzieś w oddali przejechał z głośnym warkotem silnika jakiś samochód, którego kierowca zwolnił, żeby zmienić bieg.

Stojący przy radiowozie Tam wzruszył ramionami.

-To dla nich ważna sprawa. Ta babka jest prawnikiem - powiedział, mimo woli dając Paddy do zrozumienia, że im też zapłacono za milczenie.

Dan trzepnął go otwartą dłonią w tył głowy i cmoknął zniecierpliwiony. Przechodząc obok, usłyszała, jak Tam broni się półgłosem: „Przecież to tylko mała Meehan...”. Potem wsiedli do samochodu. Dan uruchomił silnik i ostrożnie wyjechał tyłem spod domu, okrążając Paddy, stojącą już przy wozie reporterskim.

Otwierając jego tylne drzwi, zerknęła za siebie na jasno oświetlone okna wielkiej willi i zauważyła jakiś ruch za firanką - jakby wir światła i gestów. Zamrugała powiekami, a kiedy znów spojrzała w tamtą stronę, w pokoju panował kompletny spokój i cisza.

Billy obserwował w lusterku, jak Paddy opada na tylne siedzenie, i sztachnął się głęboko. Była pewna, że widział, jak bierze pieniądze. Mogła zaproponować, że się z nim podzieli, ale nie wiedziała, jakie w takich sytuacjach obowiązują zwyczaje, bo nigdy wcześniej nie dostała łapówki. A co więcej, tak pokaźna suma jak pięćdziesiąt funtów mogła jej pomóc rozwiązać wiele domowych problemów.

Billy zaczął już cofać, Paddy jednak wciąż przyglądała się willi. Przez kilka najbliższych tygodni i miesięcy miała wielokrotnie przypominać sobie ten kłęb światła, który zobaczyła przed chwilą w oknie, zadowolenie, jakie ją ogarnęło, gdy wsiadła z powrotem do ciepłego auta, a także dreszczyk radości, jaki ją przebiegł na myśl o banknocie tkwiącym już w jej kieszeni. Ale na myśl, że była wtedy do głębi przeświadczona, że nie jest nic winna tej zakrwawionej młodej kobiecie, którą widziała w lustrze, płonęła w duchu ze wstydu.

2

Billy prowadził w milczeniu. Jechali czarną, lśniącą szosą w stronę miasta, słuchając trzasków i szumów dobiegających z policyjnego radia, a Paddy nie śmiała spojrzeć swojemu kierowcy w twarz w lusterku.

Wiedziała, że nawet jeśli widział, jak bierze pieniądze, nie będzie jej o to pytał. Starali się zachować niejaką ostrożność, zadając sobie takie czy inne pytania, bo prawda nigdy nie jest łatwa, ale to jednak niedelikatne pytania pozwoliły jej się dowiedzieć, że Billy nieustannie kłóci się z żoną i nie przepada za swoim synem, odkąd ten wkroczył w okres dojrzewania. Paddy z kolei przyznała, że czuje się wstrętną grubaską i że jej bezrobotna rodzina ma już dość zarówno życia z jej pensji, jak i pewnej sprzecznej

z naturą i tradycją władzy, którą zyskała w domu, utrzymując wszystkich ze swoich zarobków.

Billy i Paddy nie zawarli więc nigdy cichego partnerskiego porozumienia, opartego na krzepiących kłamstwach, a włączone przez cały czas policyjne radio generowało barierę szumów, niepozwalających im rozmawiać inaczej niż tylko krótkimi, urywanymi zdaniem - dlatego nie zdarzyło im się dotąd rozmawiać na tyle długo, aby Billy zdążył zasugerować, że jego syn w zasadzie jest geniuszem, tylko nie wie, co chce robić w życiu, a Paddy nie miała sposobności dać mu do zrozumienia, że jej nadwaga wynika po trosze z problemów hormonalnych. Dzielił ich zatem jakby szeroki strumień surowej, nieobrobionej prawdy, ale przynajmniej byli dla siebie mili. Inaczej po prostu nie mogliby współpracować.

- Posłuchaj, uśmiejesz się. - Billy ściszył na chwilę radio. - Wiesz, co to jest drobne zakłócenie miru domowego?

- Nie, nie wiem. A co to jest?

- W ten sposób określili właśnie awanturę w tym domu w Bearsden. - Z powrotem zwiększył głośność i posłał jej w lusterku uśmiech, dając do zrozumienia, że wszystko jest w porządku.

Spojrzała ze smutkiem na swoją wspartą na kolanie dłoń i otworzyła palce. Na ręce miała krew.

- Masz rację, Billy. To rzeczywiście zabawne określenie.

Potrzebowała tych pieniędzy. Jej ojciec dwa lata temu stracił pracę. W domu było czworo dzieci, ale tylko Paddy regularnie przynosiła wypłatę. Chociaż była najmłodsza z rodzeństwa, stała się głównym żywicielem rodziny, co dawało jej teraz prawo cichego weta we wszystkich sprawach rodzinnych. Matka przypominała jej ciągle, co ile kosztuje, i zarzucała córce, że za dużo wydaje na jedzenie. Z kolei Paddy nie pozostawał właściwie złamany grosz na osobiste potrzeby. Poza tym nie miała pojęcia, jak przywrócić

w domu naturalne zależności i stosunki. Mimo wszystko Meehanom i tak powodziło się stosunkowo nieźle, bo w wielu dzielnicach Glasgow bez pracy była jedna dorosła osoba na trzy. Matka nie zauważy krwi na tym banknocie, jeżeli tylko Paddy go podsuszy, bo wtedy papier trochę zbrązowieje.

- Są małżeństwem?

Billy opuścił szybę o cal, żeby wyrzucić niedopałek, który odbił się w locie od karoserii, rozbłysnął snopem czerwonych iskier i zniknął w mroku.

- Kobieta była zakrwawiona. Nie wiem, czy należało zostawiać ją bez pomocy.

- Nie przejmuj się tym tak bardzo. Bogacze nie są tacy jak my.

- Fakt.

-Ta babka mogłaby rzucić tego gościa, gdyby tylko chciała.

- Ja też tak sądzę.

Do awantur rodzinnych, których zwykle byli świadkami, dochodziło zazwyczaj w małych mieszkankach i w ubogich dzielnicach. Tam konflikty stawały się publiczne, bo małżonkowie musieli wyjść na ulicę, żeby porządnie się na siebie zamachnąć. Byli to na ogół ludzie tkwiący całymi latami na liście urzędu gminy w oczekiwaniu na dwa osobne mieszkania, tymczasem zaś gnijący w ciasnych norach. W takich warunkach nieporozumienia rodzinne były nieuniknione.

Billy znów złowił jej wzrok.

- No to co, dzwonimy z tą informacją do redakcji czy dajemy sobie spokój?

Gdyby nie sądziła, że Billy widział, jak bierze te pieniądze, kazałaby mu jechać do następnego wezwania albo wypadku, nie chciała jednak, aby źle o niej myślał.

- Dobra - odpowiedziała. - Musimy znaleźć budkę telefoniczną.

- Możemy spróbować zadzwonić z Easterhouse - za proponował Billy, co oznaczało, że wątpi, by informacja o awanturze w Bearsden została zakwalifikowana do druku. - Ale w Barrowfield też doszło dzisiaj do niezłej bijatyki.

Jak miasto długie i szerokie różni wariaci i gangsterzy walczyli ze sobą na maczety, szable oraz obosieczne szkockie miecze. Do walk na białą broń dochodziło w Glasgow od wielu lat, a media już do cna wyeksploatowały moralny niepokój, jaki te incydenty początkowo wzbudzały wśród mieszkańców. Bójka w Barrowfield była więc wprawdzie mało ekscytującą, ale jednak jakąś informacją.

- No tak. Pewnie nawet w tej chwili jakiś łajdak kogoś gdzieś morduje... - odpowiedziała Paddy, myśląc, że nie cierpi swojej pracy i tych wszystkich miejsc, które musi odwiedzać, wykonując swe obowiązki.

Rozdział drugi

Żyjąc na kolanach

1

Gdy wychodziła z redakcji, do wschodu słońca pozostały jeszcze trzy godziny, ale ulicą śpieszyło już do pracy kilku porannych przechodniów. Szli z opuszczonymi na piersi głowami, żeby nie tracić ciepła, prąc przed siebie uparcie niczym mechaniczne myszy. Paddy była jedyną osobą, która zdążała przez lodowate centrum miasta leniwym krokiem, z podniesioną głową i rozglądając się wokół. Zauważyła, że rankiem, szczególnie kiedy było jeszcze ciemno, prawie żaden przechodzień nie podnosił wzroku. Wszyscy biegli przed siebie, błędząc gdzieś myślami, rozpamiętując wczorajsze bijatyki albo kłótnie, powtarzając w duchu plan zajęć rozpoczynającego się dnia, a czasami nawet mówiąc do siebie. W tej chwili tylko Paddy była naprawdę obecna na ulicy: sama w obliczu przemijającej chwili.

Szła powoli. Nie chciała znaleźć się zbyt wcześnie u Seana, bo wtedy musiałaby siedzieć przy stole i przyglądać się jego matce, która najpierw szwendała się po kuchni w halce i spódnicy, a potem opowiadała przy śniadaniu rozmaite głupstwa, będące w większości złośliwymi plotkami o znajomych paniach z jej parafii.

Wybierając długą i krętą drogą na stację, Paddy zawróciła na Albion Street, a potem przeszła na drugą stronę George Square, przypominającego o tej porze syberyjską głuszę. Zielony skórzany płaszcz zapewniał jej ciepło. Pochodził z lat pięćdziesiątych, sięgał do kolan, miał zaokrąglony kołnierz i trzy duże zielone guziki. Kupiła go za funta na jakiejś ulicznej wyprzedazy. Był z połyskliwej jak masło cielejącej skórki, ale najbardziej podobało się jej w nim to, że wisiał na niej luźno niczym worek i nie miał wcięcia w taliu, dzięki czemu choć trochę maskował tyłek. Poza tym okazał się na tyle obszerny, że pod spodem mogła nosić sweter. Zatrzymała się na chwilę, żeby ściągnąć z szyi czerwoną chustę i okryć nią głowę i uszy, które zaczynały ją boleć od lodowatego wiatru.

Drogę pośpiesznie przeciął jej jakiś mężczyzna w kombinezonie i ciężkich roboczych buciorach. Przyglądając mu się, jak zmierza w kierunku gmachu Urzędu Miasta, zrozumiała, dlaczego tak bardzo lubi zielony kolor: ze względu na wspomnienie dnia, kiedy Berty Carson przyjechała po opuszczającego wreszcie więzienie Paddy'ego Meehana. Wcześniej ta myśl nie przyszła jej do głowy, ale to chyba dlatego tak bardzo ciągnęło ją w okresie wyprzedazy do wszystkich zielonych ciuchów na sklepowych wieszakach.

Historia Patricka Meehana tkwiła w niej niczym wąż w osnowie. Różne istotne szczegóły tamtej sprawy przychodziły jej do głowy w najbardziej nieoczekiwanych chwilach, wypływając na powierzchnię z głębin podświadomości, kiedy się tego zupełnie nie spodziewała.

Paddy Connelly Meehan był zawodowym przestępcą, drobnym kasiarzem, który więcej lat życia spędził w więzieniu niż na wolności. Kiedy nie smażył nitrogliceryny na patelni w jakiejś opuszczonej ruderze, przechwalał się swoimi wyczynami w Tapp Inn. Uznano go winnym morderstwa z premedytacją, gdy była jeszcze dzieckiem,

a ze względu na zbieżność ich nazwisk śledziła tę historię przez całe swoje dzieciństwo i dosyć wcześnie odkryła, że Paddy najprawdopodobniej jest niewinny, bo prawdziwy morderca próbował sprzedać swoje wyznania niedzielnym gazetom, a pewien sławny dziennikarz nawet zaczął pisać książkę o sprawie Meehana. Niewierząca Paddy, wychowana w fanatycznie katolickiej rodzinie, musiała szukać wzorów do naśladowania gdzie indziej i w końcu doszło do tego, że Paddy Meehan zastąpił jej Nowy Testament. Dopiero później zdała sobie sprawę, że nie było to wcale aż takie dziwne - wielu nieudanych katolików zostawało marksistami, jako że infrastruktura intelektualna obu tych systemów myślowych była do siebie uderzająco podobna. Zarówno katolicyzm, jak i marksizm miały bowiem swoje święte księgi, świętych i upadłych bohaterów. Obie te filozofie wymagały czasu, pieniędzy i ewangelizacji, i obie kazały swoim wyznawcom czekać na przyszłość, w której zatriumfuje wreszcie sprawiedliwość, a ziemię obejmą we władanie ludzie ubodzy, cisi i pokorni.

Paddy nabawiła się obsesji na punkcie historii Meehana, bo dostrzegła w niej odwagę, godność, szlachetność, wytrwałość, prawość i wierność. Jedynym szczegółem psującym jej obecnie to wspomnienie był sam Paddy Meehan, który po ulaskawieniu został w Glasgow, przesiadywał w tutejszych pubach i opowiadał swoją historię wszystkim, którzy chcieli go słuchać, klóćąc się z dziennikarzami, barmanami i w ogóle ze wszystkimi. Dzień jego chwały już minął, więc w pracowitej monotonii dnia codziennego Meehan nie mógł dłużej pozostać bohaterem.

To za jego sprawą Paddy została dziennikarką, postanowiła zajmować się sprawami kryminalnymi i nauczyła się dostrzegać wzniosłość i godność w pracy, której podjęcie większość z jej znajomych uznałaby za życiowy kompromis.

Zielony płaszcz.

We wspomnieniach Paddy płomiennorude włosy Betty Carson odcinały się wyraźnie od kremowej ściany, a jej twarz połyskiwała bladością pszennego pieczywa. Betty i Patrick Meehan mieli po osiemnaście lat, kiedy schronili się przed deszczem w jakiejś ciemnej bramie. Rozmawiali przez chwilę, a potem on odprowadził ją na przystanek, czekał z nią na tramwaj, patrzył, jak dziewczyna macha mu na pożegnanie z oddalającego się wagonu, i serce podchodziło mu do gardła...

Betty pochodziła z dobrej rodziny. Jej rodzice, wierzący protestanci, nie posiadali się ze zdumienia, kiedy wróciła do domu kilka miesięcy później i oświadczyła, że wyszła za mąż, wykazali się jednak tolerancyjnością, chociaż mieszkali w sfanatyzowanym religijnie mieście, i zaakceptowali młodego katolika. Wielokrotnie dawali Meehanowi szanse na podjęcie uczciwego życia. Ilekroć wychodził z więzienia, witali go z otwartymi ramionami i nadzieją, że odtąd wszystko będzie już inaczej, bo przecież składał im takie obietnice.

Dzień jego wyjścia z więzienia... Jak opowiadała Betty, z końcem każdego kolejnego wyroku czekała na Paddy'ego pod więzienną bramą. Stała w deszczu, na wietrze albo w ciemnościach długiej szkockiej zimy, i zawsze wkładała wtedy nowy zielony płaszcz, sukienkę albo garsonkę, żeby podkreślić, że teraz wszystko zacznie się od nowa (a także żeby podkreślić płomienny kolor swoich włosów).

Paddy wyobrażała sobie, że Meehan i Betty wymienili pocałunki i zatopili się w łagodnym uścisku, uradowani, że są znowu razem, a potem, trzymając się za ręce, ruszyli przed siebie, spokojnie, jak teraz ona o tej wczesnej godzinie, wśród ludzi śpieszących do pracy z opuszczonymi na piersi głowami, mówiących do siebie i biegnących ulicą o szarym poranku. Ale w dniu wyjścia Meehana z więzienia Betty dosłownie unosiła się nad ziemią w drodze

przez miasto w towarzystwie męża, na którego czekało w domu sute śniadanie.

Betty, radosna plamka wesołej zieleni i czerwieni w wielkim, szarym mieście.

2

Wysiadając z kolejki na wietrznym peronie dworca Rutherglen, Paddy potoczyła wokół mętnym wzrokiem. Zęby wciąż miała oblepione resztkami sypkiego, pieczonego ziemniaka. Była zbyt nieprzytomna, by ciągle pamiętać o swojej diecie warzywno-owocowej, ale na ogół próbowała się do niej stosować, więc zawsze nosiła w torebce zimne pieczone ziemniaki. Przez ostatnie lata przybrała na wadze, zwłaszcza w okolicach bioder i piersi, opuściła ją już jednak wszelka nadzieja, że kiedyś podoła dietetycznej dyscyplinie, przestrzegała więc tylko niektórych jej zasad, i to niejako na pół gwizdka, uzupełniając posiłki pieczonymi ziemniakami albo fasolą na zimno, którą zjadała wprost z puszki. Ciągłe czuła się zmęczona, nie opuszczało jej poczucie winy i ze wstydem kryła się po kątach, by puszczać śmierdzące wiatry.

Kiedy wspinała się na długie schody, prowadzące z peronu na ulicę, ze zmęczenia ugięły się pod nią nogi i musiała się wesprzeć obiema rękami na stopniach. Potrzebowała mocnego, energetycznego kopa węglowodanów i cukru, a wiedziała, że u Ogilvych dostanie owsiankę i miód. Kiedy ruszyła już jednak przed siebie po Rutherglen Main Street, mijając zdążających do pracy przechodniów, którzy na przystanku wysypali się na ulicę z autobusu, zaczęła się wahać co do tej owsianki. Paddy była gruba i dlatego trzymała się „Scottish Daily News”. Nie miała dość pewności siebie, żeby zebrać się na odwagę, ruszyć tyłek i poszukać sobie jakiejś lepszej posady

w Londynie. Mogłaby to zrobić, gdyby była szczuplejsza - od życia, jakie powinna była prowadzić, dzieliło ją zaledwie dwadzieścia funtów żywej wagi.

Z drugiej strony tego ranka była już po robocie, czuła się zmęczona i użalała się nad sobą, dlatego postanowiła jednak machnąć ręką na wszystko, najeść się ciepłej owsianki i popić ją kilkoma kubkami herbaty z mlekiem.

Rutherglen Main Street trwała w spokojnym uśpieniu między poranną godziną szczytu i zaczynającą się o dziesiątej mszą w St Columkille's, w której uczestniczyły tłumy starszków oraz młodych matek. Wierni gromadzili się powoli, wędrując przez centrum handlowe pod arkadami i schodząc z góry, z małych osiedli mieszkaniowych, rozsianych wokół Main Street. Do kościoła ściągną na pewno wszyscy starsi krewni Paddy. Jej siostra, Mary Ann, przyjdzie prosto z Eastfield, praktycznie z naprzeciwka. Paddy spuściła oczy i teraz już szybko ruszyła bocznymi uliczkami do domu Seana na Gallowflat Street. Ukryje się u niego i poczeka, aż msza dobiegnie końca i wszyscy się rozejdą, bo inaczej w drodze do ciepłego łóżka, zanim pograży się w długim, smacznym śnie, będzie musiała wysłuchiwać niezliczonych pytań o swoją matkę, ojca, braci i siostry.

Okno kuchenne u Ogilvych było zaparowane, a w salonie panowała ciemność. Gdyby Sean był już na nogach, paliłoby się światło, bo przy śniadaniu lubił oglądać w telewizji programy edukacyjne dla dzieci. Skręcając na podwórko, Paddy niemal zderzyła się z młodą kobietą pchającą staroświecki wózek marki Silver Cross, w którym leżał rozwrzeszczany dzieciak.

- Fiona O'Conner... Jak się masz? - zapytała Paddy, chociaż w szkole nigdy jej nie lubiła i pamiętała nawet jak przez mgłę, że Fiona jej dokuczała. - To twoje maleństwo?

Dziewczyna podniosła na nią zaczerwienione, rozpalone oczy.

- Ach tak, cześć. Pomóż nam z tym wózkiem.

Paddy chwyciła pojazd za przednią oś i pomogła koleżance znieść go o dwa stopnie niżej, na ulicę, a mimo to Fiona sprawiała wrażenie poirytowanej.

- Myślałam, że Sean chodzi teraz z Elaine McCarron.

Paddy skrzywiła się nieco na wspomnienie Elaine i sama spróbowała odpowiedzieć sobie na pytanie dlaczego.

- Tak, są ze sobą od roku. I chyba jest im dobrze.

- No jasne - odparła chytrze Fiona. - A ty mimo to ciągle tu przychodzisz, co?

Uśmiechając się sztucznie, Paddy precyzyjnie się obok na podwórkę.

Mogła być dziś żoną Seana - mogli mieć dzieci i mieszkać na swoim, Paddy wolała jednak pracować dalej w gazecie, poświęcić się karierze zawodowej i marzyć o własnym domu, w którym nie unosiłby się ciągle zapach zupy i gotowanych ziemniaków. Była to trudna decyzja - zwłaszcza że Paddy mieszkała przecież wciąż z rodzicami i utrzymywała ze swojej pensji pięcioosobową rodzinę. Kupowała w What Every's tanie ciuchy, które po dwóch praniach nadawały się tylko do wyrzucenia, a wizja własnego domu stawała się coraz bardziej odległa.

Z Seanem zaczęła chodzić jeszcze w szkole. Byli sobie bliscy, a że oboje pochodzili z wielodzietnych rodzin, żadne z nich nie szukało wcześniej innych przyjaciół, na których dzisiaj było już za późno - trwające po grób przyjaźnie, podtrzymywane po ukończeniu szkoły, które zwykle dostarczają ludziom drużbów, druhen i towarzystwa na wakacje, teraz były już poza ich zasięgiem. Paddy i Sean zostali więc w pewnym sensie skazani na siebie, chociaż nie byli zaręczeni ani nawet nie chodzili ze sobą - spędzali czas razem tylko w ciągu dnia i oglądali w telewizji serial *County Court*, trzy ziarniste, pirackie kasety wideo brata Seana: *Czy leci z nami pilot*, *Martwe zło* i *Egzorcystę*, albo chodzili na nudne spacerunki na wzgórze Brae.

Mimi Ogilvy, która otworzyła drzwi, wkładała właśnie płaszcz.

- Wejdz, Paddy, laleczko moja. Fajnie, że przyszedłaś.

Paddy weszła do przedpokoju, gdzie otoczyło ją ciepło oraz domowy zapach grzanek i mocnej herbaty. Kropielnica z wodą święconą przy drzwiach była tak wielka, że nie powstydziliby się jej niejeden kościół. Wymalowana nad nią nieco w disneyowskim stylu Najświętsza Maria Panna spoglądała miłośnie na pulchnego Jezuska, trzymającego w rączkach różową muszlę pełną święconej wody. Przekraczając próg, Paddy zamoczyła w kropielnicy dwa palce prawej ręki i przeżegnała się, dotykając czoła, piersi i ramion. Nie mogła się uwolnić od tego starego przyzwyczajenia. Nie była wierząca, ale wiedziała, że ten gest uspokaja wiecznie zamartwiającą się o nią matkę. Robiąc znak krzyża, za każdym razem czuła się jak hipokrytka, ale przynajmniej zapewniała matce spokój ducha.

Zauważyła stertę nowych ulotek, wciśniętych na półeczkę pod stolikiem, na którym stał telefon. Tym razem tekst był czarny na czerwonym papierze, jak zawsze jednak głosił niewinność Calluma Ogilvy'ego. Druk bardzo drogo kosztował i Paddy była ciekawa, skąd, do cholery, Sean bierze na to pieniądze. W tym momencie z kuchni bez pośpiechu wyszła Mimi, wyciągnęła z torebki dwa jednofuntowe banknoty i położyła je na stoliku, odpowiadając w ten sposób na jej pytanie.

- To dla Seana na fajki i popołudniowe piwo. A to na później, na jego ostatnią lekcję na kursie nauki jazdy - do dała, wyjmując piątaka i trzy kolejne jednofuntowe banknoty.

To, że odkładała pieniądze na oczach Paddy, miało być komplementem dla dziewczyny i oznaczało, że Mimi ją akceptuje, ale Paddy odwróciła wzrok. Matka opłacała mu już tyle jazd, że Sean za kilka dni będzie zdawał egzamin, chociaż właściwie nie potrzebuje prawa jazdy, bo nie za-

robi nigdy na samochód. A ona na swój kurs prawa jazdy musiała zarobić sama.

Mimi zerknęła na zegar, wiszący na przeciwległej ścianie długiej kuchennej galerii, i precyzyjnie się obok Paddy do drzwi.

- Owsiankę masz w garnku. Miód stoi w szafce koło lodówki.

Wyszła, zostawiając Paddy w przedpokoju. Dziewczyna słuchała, jak jej były narzeczony chrapie, i usiłowała oprzeć się pokusie, którą stanowiła dla niej ciepła owsianka po długim, nocnym dyżurze. Sean nie jadał rano płatków owsianych, więc biedna Mimi zadała sobie trud przygotowania zupy tylko dla niej. Paddy wyrządziłaby jej przykrość, gdyby nie zjadła śniadania.

3

Obudził się. Oddychał już lżej, ale ciągle' leżał twarzą do ściany, z zamkniętymi oczami, zwinięty w kłębek, by ukryć poranny wzwód.

Ponownie zabębniła w otwarte drzwi sypialni.

- Wstawaj.

Sean rozprostował pod kołdrą ręce i nogi, rokoszując się zalegającą jeszcze w jego kościach mglistą ospałością. Był w brązowej piżamie, ozdobionej na kieszonce żółtą bordiurą. Wyglądał jak dziesięcioletek wzrostu dorosłego koszykarza.

- Hej tam, śmierdziuchu, wstawaj. No już, ruszaj się. Pora znów się odhaczyć w urzędzie pracy.

- Tak, tak. - Sean splótł ręce przed sobą i przeciągnął się z przyjemnością, posyłając uśmiech stojącej w progu dziewczynie. Oczy miał zapuchnięte od snu, a na jego powiekach odcisnęły się załamania poduszki.

W Paddy wezbrał słuszny gniew. Zarówno ona, jak i jego matka harowały niczym woły na marnych posadach,

gotowały mu i dbały o niego. Wiedziała też, że bracia Seana od czasu do czasu dają mu drobne prezenty - tutaj dwa funty, tam znowu paczkę fajek... Jeden kupił mu nawet roczny karnet wstępu na stadion Celtic Park, żeby wszyscy we trójkę mogli chodzić na mecze, a Paddy co dwa tygodnie przyjeżdżała do Seana prosto po pracy, dopilnować, by wstał, i potem szła z nim po zasilek, bo nawet tego nie umiał zrobić sam.

- Jesteś naprawdę leniwym skurwysynem. Powinieneś zaraz wsiąść na rower i poszukać sobie jakiejś roboty.

Zderzyli się nieco zbyt powłóczystymi spojrzeniami i uśmiechnęli się do siebie szeroko w łagodnym mroku sypialni. Zaskoczyła ich ta nieoczekiwana chwila czułości, więc uśmiechy ustępowały powoli zakłopotaniu, aż wreszcie Sean rozprostował ręce nad głową i przerwał milczenie.

- W każdym razie poproszę herbatę z mlekiem i pięć kostek cukru, kochanie.

- Spierdalaj.

Była to trochę zbyt agresywna odpowiedź jak na taką żartobliwą sprzeczkę i Sean zdumiał się na tyle, że znowu obrzucił Paddy uważnym spojrzeniem. Nie była zła na niego, tylko na siebie - za to, że najpierw zjadła owsiankę, potem wróciła do kuchni po dokładkę i wzięła jeszcze więcej miodu, a później przyglądała się staruszkom przechodzącym pod kuchennym oknem z siatkami na zakupy, zeszkrobywała łyżką wyglądającą jak papier obwódkę na ściankach garnka, jadła i zastanawiała się, dlaczego mimo wszystko je. Owsianka była bez smaku i nie miała odpowiedniej konsystencji, ale dopóki Paddy była zajęta jedzeniem, mogła myśleć wyłącznie o tym, co robi i nie martwić się o swoją pracę, rodzinę ani nadwagę, bo smakowały jej nawet niesmaczne dania - z wyjątkiem serka twarogowego z ananasem. Nie mogła na niego patrzeć, ponieważ kiedyś przez cały obłąkany tydzień usiłowała żywić się tylko nim.

Sean wytrzymał jej spojrzenie, a potem przekręcił się na bok, tyłem do niej, i puścił wymierzonego w nią cichego bąka. Paddy usiłowała powstrzymać uśmiech.

- Znalazłam to w przedpokoju - podniosła ulotkę z tekstem o Callumie Ogilwym.

- No. Jakaś facetka wzięła wczoraj jedną w salonie Elaine. - Sean wsparł się na łokciu. - Podobno reporterka z „Reformera”. Powiedziała, że ją to interesuje. Może wreszcie zacznie się coś dziać.

Paddy chrząknęła. „The Rutherglen Reformer” był pismem reklamowym, które zamieszczało informacje o miejscowych zawodach pływackich i jakichś bzdurnych konfliktach na lokalną skalę. Nie zainteresowałoby się taką historią jak sprawa Calluma, ale Sean chciał ją podbechtać, żeby napisała o jego kampanii do „Daily News”, zanim ten temat podejmie inna gazeta.

Callum miał jedenaście lat, kiedy on i jeszcze jeden chłopak zostali oskarżeni o zamordowanie trzyletniego dzieciaka, którego rzekomo porwali spod jego własnego domu. Patrząc na sprawę z perspektywy czasu, może wydawać się dziwne, że tylko Paddy była wówczas przekonana, że w tym zabójstwie musiał maczać palce także ktoś dorosły, bo reszta mieszkańców miasta radośnie i zgodnie uznała, że winni są tylko chłopcy.

Paddy znalazła człowieka, który stał za tym morderstwem. Wciąż mogła się pochwalić bliznami po ranach, zadanych wtedy jej sercu, lecz nawet ona wiedziała, że małego zabił jednak Callum. Ktoś wprowadził go na miejsce zbrodni i zmusił do jej popełnienia, ale mimo to Callum Ogilvy był winny zarzucanego mu czynu. Na ubraniu chłopca znaleziono plamy krwi ofiary, a na miejscu zbrodni jego włosy. Poza tym Callum w gruncie rzeczy przyznał się do winy.

Tylko Sean nie mógł się z tym wszystkim pogodzić. Udo-
wodnienie niewinności Calluma stało się dla niego jakby

aktem wiary i Paddy sądziła, że częściowo udało mu się przekonać do swoich zapatrywań nawet chłopca. Rodzina Ogilwych pozostawiła go już kiedyś swojemu losowi, na łasce nie zrównoważonej psychicznie matki, i Sean postanowił, że więcej go nie zdradzi. Jego niezłomność, a także szczerść i otwartość, z jaką pisał kolejne listy do parlamentarzystów, dziennikarzy i wszystkich, którzy mogli mu pomóc, zaczęła wreszcie przynosić skutek.

- Nie ma żadnych nowych dowodów w tej sprawie, Sean - zaczęła Paddy z wymuszoną cierpliwością.

- Stare dowody mogły zostać spreparowane.

- A pani premier Thatcher może nie być człowiekiem, tylko morderczym robotem... Ale nie jest. Nie wszystko, co da się pomyśleć, jest możliwe.

Znowu spojrzeli po sobie. Pomyślała, że wystarczyłoby, żeby choć jedna z hien pracujących nad tą sprawą zwęszyła w niej awans, a Sean nie mógłby się opędzić od dziennikarzy.

- Naprawdę powinieneś dać sobie z tym spokój. Nikt poza tobą nie chce już tego drażnić.

- Pad - Sean użył pieszczotliwego zdrobnienia od „Paddy”, ale jego głos zabrzmiał całkiem poważnie. - Dla mnie to coś więcej niż tylko nius prasowy. Nie będę stał wraz z całym światem przeciwko temu chłopczkowi. Tylko ja mu zostałem.

- Być może tak, ale czy nie mógłbyś jednocześnie uznać, że Callum popełnił morderstwo? Czy musi być niewinny, bo inaczej nie będziesz go lubił? Kiedy to się stało, Callum miał dziesięć lat. W tym wieku nie ma się jeszcze o niczym pojęcia.

- Nie zaczynaj znowu. Zrezygnowana Paddy skinęła głową.

- Mniejsza o to. Wstawaj. Sean znów się przeciągnął.

- Wstawiłabyś może wodę na **herbatę, co? I zrób mi** dwie grzanki.

- Za minutę zaczyna się *Playschool*.

Wyszła z pokoju, ale zatrzymała się na progu między kuchnią i salonem. Przyjechała tu prosto z nocnego dyżuru, jednak przygotowywanie śniadań dla Seana było granicą, której nie chciała przekraczać. Ostatecznie wybrała więc salon - opadła na kanapkę i rozejrzała się.

Ogilvy'owie byli dobrymi żołnierzami Kościoła, podobnie jak jej rodzina. Ich meble wyglądały przyzwoicie i solidnie, ale nie były ładne ani nowoczesne. Wszystkie obrazki i fotografie na ścianach przedstawiały sceny religijne albo związane z religią w ten czy inny sposób sukcesy różnych członków ich rodziny: oto rodzice Seana bawią się na swoim srebrnym weselu, tu daleki kuzyn Ogilvych otrzymuje święcenia kapłańskie, tam jeden z braci wyprawia skromne wesele po ślubie z ładną dziewczyną z Hamilton, i wreszcie na kolejnych zdjęciach ksiądz chrzci ich czworo dzieci, za każdym razem przed tym samym brzydkim kościołem, lecz w innej porze roku. Paddy i Sean wciąż byli narzeczonymi podczas dwóch z tych uroczystości, dziewczyna została więc uwzględniona na rodzinnych zdjęciach, chociaż w jedynym jak dotąd niechętnym wobec niej gościu Mimi oprawiła jedną z fotografii tak, że Paddy niemal całkowicie zasłaniała ramka - bo to Meehan zerwała zaręczyny.

Wyciągnęła ze swojego jasnego, skórzanego plecaczka egzemplarz „Daily News”, marszcząc mocno czoło, żeby nie uśmiechnąć się na widok drugiej strony, gdzie zamieszczono jej informację z wczoraj: „W Bearsden, na 17 Drymen Road podczas rodzinnego przyjęcia interweniowała policja, wezwana przez sąsiadów, skarżących się na hałasy. Na miejscu okazało się, że jedna z obecnych w domu kobiet została ranna, nikogo jednak nie areszto-

wano". Była to jej pierwsza publikacja po czterech kolejnych dniach pracy na nocnym dyżurze.

Odłożyła gazetę, nasłuchując odgłosów z korytarza. Cisza.

- Sean! - krzyknęła z irytacją. - Urząd Zatrudnienia nie będzie więcej tolerował twoich spóźnień.

- Jem pod prysznicem.

Po jego głosie poznała, że Sean wciąż leży w łóżku. Jeżeli znów się spóźni, nie zrealizują jego czeku wcześniej niż po południu, co oznaczało, że pieniądze przyjdą dopiero za trzy, a nie za dwa dni. Urząd postępował w ten sposób, żeby ukarać spóźnialskich, a Mimi potrzebowała przecież kasy.

-Twoja mama zalega ze wszystkimi płatnościami. W końcu przyjdzie pan McKay i zajmie ci za długi wszystkie gacie, zobaczysz.

Usłyszała stukot wysokich obcasów na podwórku i zgrzyt klucza w zamku. Miała nadzieję, że to Mimi, chociaż wiedziała, że nie. Ogarnęło ją poczucie winy, jakby została przyłapana na wagarach, więc wcisnęła dłoń między kolana i usiadła prosto.

Do przedpokoju weszła Elaine McCarron w płaszczu przeciwdeszczowym narzuconym na „służbowy” fartuszek. Uśmiechała się do siebie. Elaine chodziła z nimi do szkoły o dwie klasy niżej. Była szczupłą, filigranowej budowy ciałą i ładną. Nie cierpiała Paddy, ale jako osoba delikatna nie miała śmiałości powiedzieć Seanowi, żeby przestał się wreszcie spotykać ze swoją byłą dziewczyną. Pracowała jako młodsza fryzjerka i całymi dniami tyrała na stojąco, kiedy Paddy i Sean oglądali sobie telewizję albo włóczyli się po Woolworcie, podjadając różne smakołyki i bawiąc się zabawkami.

Paddy zdradziła swoją obecność teatralnym kasznięciem, a kiedy rozwścieczona Elaine odwróciła się na pięcie, spróbowała się uśmiechnąć.

- Nie przyszląbym do niego - szepnęła. - Ale prosiła mnie Mimi.

Elaine zacisnęła usta tak mocno, że aż zbieleły, a potem spojrzała w stronę sypialni Seana. Obciągnęła fartuszek, przybrała opanowany wyraz twarzy, po czym delikatnie zapukała do drzwi.

Paddy siedziała na kanapce z duszą na ramieniu. Nie mogła tak od razu sobie pójść, bo wyglądałoby na to, że ma coś na sumieniu. Znów ogarnęło ją znajome, niejako bezprzedmiotowe poczucie winy, jak gdyby zjadła posypkę z lodów Elaine, o czym wiedziały tylko one dwie. Mogła zaślaniać się Mimi, ile tylko chciała, mogła zaprzeczać do woli, ale w duchu doskonale wiedziała, że trzyma się Seana, dlatego że jest on jedyną osobą, przy której czuje się całkowicie swobodnie. A teraz potrzebowała go jeszcze bardziej, bo strasznie tęskniła za Mary Ann, swoją siostrą.

Słyszała, jak Elaine nieco zbyt głośno i seksownie chichocze po drugiej stronie korytarza - bez wątpienia po to, żeby słyszała ją Paddy. Wstała gwałtownie i włączyła telewizor na wiadomości. Bezrobotny był już co dziesiąty Brytyjczyk. Stoczni Scott Lithgow groziło zamknięcie, gdyż trzeba było zwolnić sześć i pół tysiąca pracowników. Boy George wylądował na paryskim lotnisku imienia Charles'a de Gaulle'a ze swoją japońską dziewczyną - a potem przyszła pora na wiadomości lokalne.

Nad trawnikiem unosiła się mgła. W oddali było widać wiktoriańską willę i kręcących się przed nią policjantów z poważnymi minami. Mgiełki zmrożonych oddechów funkcjonariuszy srebrzyły się w rześkim powietrzu poranka. Był to ten sam dom, który Paddy odwiedziła ostatniej w nocy. Właścicielkę, niejaką Vhari Burnett, znalazł dziś rano kolega z pracy, który przyjechał, by podwieźć ją do biura. Na ekranie pojawiła się ziarnista fotografia kobiety, którą Paddy widziała wczoraj w lustrze. Na zdjęciu nieznajoma miała jednak krótsze, potargane wiatrem

włosy, i stała gdzieś w plenerze. W jej nieco skośnych oczach czaił się uśmiech.

Paddy zeszywniała: więc ten przystojniak ją zabił. Przypomniła sobie tamten świetlisty wir w oknie domu w Bearsden i pomyślała, że musiało to być uderzenie pięścią albo maczetą - śmiertelny cios. Przypomniła sobie nocny chłód na policzkach i wiatr odgarniający jej włosy z czoła, a potem raz jeszcze ujrzała zaciśnięte na klamce palce mężczyzny, przytrzymującego drzwi, żeby nie pozwolił tej kobiecie wyjść.

Pani Burnett była wysoką urzędniczką skarbową i działaczką polityczną, stanu wolnego. Na ujęciu w planie ogólnym Paddy zauważyła, że spod domu zniknęły oba bmw.

Przerażona i oszołomiona, bezwiednie zarejestrowała dobiegające z przedpokoju głosy, poruszyła się i poczuła, że pięćdziesięcioluntowy banknot marszczy się w jej kieszeni. Powinna zatelefonować na policję i wszystko opowiedzieć. To mógł być ważny szczegół - mało kto trzyma w domu pod ręką banknoty o tak wysokich nominałach. Ale policja nagłośniłaby sprawę i wszyscy dowiedzieliby się o jej pierwszej i jedynej dotąd w życiu łapówce.

Usłyszała trzask zamykanych drzwi wejściowych i głos Seana. Wszyscy dowiedzieliby się, że Paddy bierze łapówki, a ta forsą i tak wylądowałaby w kieszeni jakiegoś gliniarza. Na policji dowody rzeczowe ginęły bardzo często, zwłaszcza pieniądze i kosztowności, w przeciwieństwie do zapleśniałych kanapek z dżemem albo dziurawych kapełuszy.

- Nie zaparzyłaś herbaty? - powtórzył Sean, który stał w drzwiach salonu.

Paddy wskazała telewizor.

- Zabił ją.

-Kto?

- Byłam wczoraj w nocy przed tą willą, a w telewizji przed chwilą powiedzieli, że kiedy odjechaliśmy, zamor-

dowano tam kobietę. **Rozmawiałam z facetem, który to zrobił.**

Sean zerknął na ekran.

- Niesamowita historia.

Paddy odetchnęła głęboko, mając na końcu języka te pięćdziesiąt funtów, nie była jednak pewna, czy naprawdę chce zachować się uczciwie. Podjęła decyzję, spojrzawszy Seanowi w twarz.

- Ten facet nawet wcisnął mi forszę, pięćdziesiąt funtów, żebym mu dała spokój.

- O kurwa!

Paddy aż skuliła się ze strachu.

- No... Z taką kasą mama miałaby niezłe używanie na zakupach przez cały boży dzień.

Sean szeroko otworzył oczy, myśląc o tym, co mógłby zrobić, gdyby tylko miał pięćdziesiąt funtów. Ta suma równała się jego pięcioletniemu zasiłkowi. Mógłby wysłać matkę do Rzymu na pielgrzymkę. Kupić wygodne buty. Albo nowy dywan do przedpokoju, bo stary był już dziurawy.

- Mimo wszystko powinnaś oddać te pieniądze na policji, Pad.

- Tak - zgodziła się szybko, jakby od początku miała taki zamiar. - Tak, wiem o tym.

- Na pewno ci je zwrócą.

- Och, oczywiście. - Paddy zwróciła znowu wzrok na ekran i nieco zbyt energicznie pokiwała głową. - Na pewno.

Rozdział trzeci

Dom

1

Kate nie spała prawie od dwóch dni. Siedziała za kierownicą swojego nowego, eleganckiego samochodu i była zdeenerwowana, chociaż zarazem czuła się upojnie i prawie miała ochotę się śmiać, bo знаła wartość paczki, którą *wiozła w bagażniku, ale też ogarniała ją strach na myśl* o konsekwencjach tego, co zrobiła. Za zakrętem zobaczyła przed sobą ciężarówkę, wlokącą się prostą, pustą drogą, i delikatnie nadepnęła hamulec, zaciskając jednocześnie palce gołej stopy w niebieskim pantoflu z miękką, skórzaną wkładką. Czuły wóz zwolnił natychmiast pomimo mokrej nawierzchni. Prowadziło się go wspaniale i Kate w zadumie pogłaskała kciukiem logo bmw pośrodku kierownicy. Błękit pasował do jej wełnianego kostiumiku Chanel, kolczyków i zegarka. Cudownie jest mieć tyle cudownych rzeczy.

Na Loch Lomond Road panował niewielki ruch. Było już za zimno na turystów i nawet Niemcy nie przyjeżdżali tutaj o tej porze roku. Tłumy zagranicznych przybyszów, od których roило się latem w okolicy, stały się obecnie tylko nieostrym wspomnieniem. Mijając maleńkie osiedla domków jednorodzinnych, rozsiane wzdłuż pustej drogi, Kate zauważyła, że we wszystkich pensjonatach wiszą tab-

liczki z napisem „Wolne pokoje”. Jako młoda dziewczyna przyjeżdżała tu co roku podczas wakacji i dobrze знаła odwiedzających Loch Lomond turystów, począwszy od mieszcuchów o ziemistej cerze, przyjeżdżających autobusami na jeden spędzany w herbaciarni dzień zawsze deszczowego i pełnego komarów lata, po dobrze zadomowione tu rodziny, jak jej własna, mające w okolicy własne domki, odwiedzane regularnie w święta Bożego Narodzenia i sylwestra, między innymi po to, by złożyć życzenia sąsiadom i poczęstować ich wyborną whisky.

On zapewne przypuszcza, że pojedzie do domku w Balmaha, i będzie jej tam szukał. Wprawdzie Kate nie ma kluczy, ale z łatwością włamie się od tyłu. Wyobraziła sobie, jak w staniku, pończochach i pasku siedzi na krześle, uwodzicielsko paląc papierosa, gdy on otwiera drzwi. Uśmiechnęła się do siebie, myśląc, jak strasznie mu się to spodoba i że oszaleje na ten widok. Wyobraziła sobie wszystko jeszcze raz: oto przyciemnia światła, zaczesuje do tyłu swoje kręcone blond włosy, pozwalając jednak pojedynczym lokom opaść na ramiona, a następnie wkłada okulary. Seksowna sekretarka. Uwielbiał, kiedy tak właśnie się stylizowała. Niestety, nie miała ze sobą odpowiedniej bielizny.

Wyprzedzała właśnie ciężarówkę. Pokonała już jedną trzecią jej długości i włączyła wycieraczki, żeby oczyścić szyby z tryskającego spod wielkich opon błocka, kiedy zauważyła, że z przeciwka nadjeżdża czerwony samochód. Był w odległości zaledwie dwudziestu stóp od niej i zbliżał się z każdą chwilą.

- Kurwa mać!

Otworzyła szeroko oczy, wyrwana nagle z zadumy, zdjęła nogę z gazu, wcisnęła z całej siły hamulec i udało jej się schować za ciężarówkę tak zgrabnie, że czerwone auto tylko śmignęło o włos od prawego błotnika jej wozu.

- Ja pierdołę!

Nie powinna była siadać za kółkiem. Nagle zwątpiła w swój refleks, zdolność do oceny odległości i zachowania zasad bezpieczeństwa. Ciężarówka wysforowała się do przodu, a Kate zwolniła i zatrzymała się na poboczu, nie czekając nawet, aż znajdzie jakiś parking. Po prostu pozwoliła, żeby samochód toczył się coraz wolniej, i zjechała z chrzęstem kół na biegnący wzdłuż szosy pas żwiru, wpadając przednimi kołami w rów odpływowy.

Przed sobą widziała teraz tylko czarne jak smoła, poszarpane, mokre skały, okryte siatką ochronną, mającą zapobiegać spadaniu kruszących się odłamków na szosę, która była niebezpieczna i bez leżących z góry kamieni.

Spędziła za kierownicą niemal całe dwa ostatnie dni i teraz zrozumiała, że tylko cudem jeszcze nie zginęła. Musiała się trochę przespać. Od dawna też nic nie jadła, chociaż pomyślała o tym dopiero teraz. Kiedy przyjedzie do domku, od razu weźmie kąpiel. W kredensie zawsze jest szynka konserwowa. I mleko w proszku - zaparzy sobie cały dzbanek herbaty i wypije ją z mlekiem. Zaczęła głęboko oddychać - dobrze wiedziała, jak uspokoić zbyt szybko bijące serce. Poza tym drżała na całym ciele. Palce dosłownie dygotały jej ze strachu.

Sięgnęła do schowka od strony pasażera, wyciągnęła z niego błękitną torebkę, postawiła ją na fotelu i po omacku zaczęła szukać papierosów. Zapaliła jednego. Nie tego naprawdę chciała, ale musiała zwolnić tempo, uspokoić się i wrzucić na luz. Zebrać się w sobie i dotrzeć cało do tego domku na wsi. Wykąpać się. Zjeść trochę szynki. Napić się mleka w proszku, które znajdzie w kredensie. Co będzie, jeżeli zauważy ją patrol, a policjanci zechcą z nią zamienić parę słów, bo źle zaparkowała? Mogliby ją rozpoznać, sprawdzić samochód i zajrzeć do bagażnika.

Zaciągnęła się papierosem i powtórzyła sobie, że przecież nic się nie stało, że wszystko jest jedynie wytworem jej wyobraźni. Nic się nie stało. Nagle zdała sobie sprawę,

że nie wie, czy stoi już na poboczu sekundy, czy godzinę, włączyła zatem radio, żeby się zorientować, ile czasu minęło. Duran Duran. Lubi ten zespół. Mają ekstra garniaki. I są fajnie opaleni. Księżna Diana też ich lubi. Znowu zaciągnęła się papierosem i wyobraziła sobie, że znajduje się na jakimś wytwornym przyjęciu w Chelsea, w otoczeniu Sloane Rangers* z przepaskami we włosach i gości w garniturach, pracujących w City. Wszystko to są bogaci, bardzo bogaci ludzie. Dookoła kłębi się kupa forsy i bąbelki, ale nikt nic nie je, bo wszyscy są nawaleni koką, jak ona. Pod ścianami stoją piękne meble z obiciami w paski i w ogóle pełno tu różnych fajnych rzeczy wysokiej jakości. Włoskich.

Zrobiło się jej ciepło i wygodnie. Znowu się zaciągnęła i uśmiechnęła się do okna po stronie pasażera jak do jednego z gości na przyjęciu. Skinęła głową kobiecie po drugiej stronie pokoju. Arystokratce. Komuś, kto wydaje huczne przyjęcia w swojej wiejskiej posiadłości, a ci, którzy mają na to ochotę, zostają tam na cały weekend, bo rezydencja jest tak ogromna, że goście nawet nie muszą się z sobą spotykać - i dlatego nigdy się sobą nie nudzą. No więc ta kobieta zaprosiła Kate do siebie na weekend. Zaprosiła połowę gości obecnych w tym domu, ale tylko połowę, i Kate się w niej znalazła. Dlatego uśmiechnęła się do niej jeszcze raz. Hej.

Duran Duran przestał grać i w radiu odezwał się głos spikera. Vhari Burnett. Kiedy Kate usłyszała to nazwisko, przez ułamek sekundy pomyślała, że Vhari przydarzyło się coś cudownego. Że na przykład oświadczył się jej członek rodziny królewskiej, została odznaczona albo wygrała jakąś ważną sprawę. Ale okazało się, że Vhari Burnett

Sloane Rangers (także Sloanes lub Sloanies) - potoczne określenie młodych, zamożnych ludzi z klasy wyższej bądź wyższej klasy średniej (przyp. tłum.).

została zamordowana we własnym domu, a zwłoki znalazł jej znajomy, który przyjechał, by podwieźć ją do pracy. Zwłoki. Została zamordowana. Kate sztachnęła się głęboko papierosem trzy razy z rzędu, aż poczuła, że nawet najdalsze zakamarki jej płuc są pełne dymu. Znów spróbowała sobie wyobrazić tamtą arystokratkę z przyjęcia, ale bez powodzenia.

Uderzyła w odpowiedni klawisz i wyłączyła radio. Nie mogła uwierzyć, że Vhari nie żyje. Gdyby się dowiedziała, że Vhari Burnett bawi na wakacjach, uwierzyłaby, nie mogła jednak uwierzyć, że nie żyje. Została zamordowana.

Kate opuściła szybę. Poczowała podmuch zimnego wiatru na policzku, gdy wyrzucała niedopałek na drogę, ale zaraz potem zamknęła okno i znów włączyła silnik.

Weźmie gorącą kąpiel, zje trochę szynki i wszystko sobie przemyśli. Zawracając, odwróciła się, by sprawdzić, czy z tyłu nie nadjeżdża żaden pojazd, a wtedy jej prawa ręka zsunęła się po pikowanym, skórzanym oparciu kremowego fotela kierowcy. Cudowny jest ten samochód. Cudowne są takie rzeczy.

2

Paddy ostrożnie przekręciła klucz w zamku i weszła do domu. Na schodach oprócz niej nie było nikogo. Drzwi do łazienki ktoś zostawił uchylone, ale zgasił światło. Z salonu - po jej prawej ręce - niewyraźnie dobiegał dźwięk radia, grającego w położonej jeszcze dalej kuchni. Dwa talerze zderzyły się nieco głośniej niżby należało, a potem o spodeczek stuknęła filiżanka.

Trisha tłukła się po kuchni - zmywała, wycierała i chowała naczynia, przygotowując jednocześnie śniadanie dla reszty rodziny, która nie miała co ze sobą zrobić ani

czym się zająć. Nie wiadomo, czy to dlatego, że jej życie uległo takiej zmianie, czy dlatego, że zmieniała się pozycja społeczna ich rodziny, w każdym razie Trisha równie dobrze mogła w każdej chwili zacząć wrzeszczeć na nich bez powodu, jak i wybuchnąć płaczem. Paddy martwiła się o nią. W wiadomościach ciągle mówiło się o różnych tragediach rodzinnych, spowodowanych długotrwałą i głęboką recesją gospodarczą. Na przykład matki popełniały samobójstwa w swoich własnych domach, w sypialniach gościnnych (obok ich ciał znajdowano zwykle puste fiołki po środkach nasennych), ojcowie natomiast wyjeżdżali do Londynu, gdzie przepadali na zawsze. Jednak nikt poza nią chyba o tym nie myślał. Con był już tylko cieniem samego siebie, a poza tym wszyscy mieli swoje prywatne zmartwienia.

Paddy zdjęła płaszcz i powiesiła go na wieszaku pod schodami. Wydało się jej, że czuje, jak suchy papier marszczy się w kieszeni, i zaczerwieniła się na myśl, że skrwacony banknot znajduje się już tak blisko, pod samym nosem matki. Musiała przejść przez cały salon, żeby zajrzeć do kuchni, gdzie oparła się w progu o framugę, chcąc dać ten sposób Trishy do zrozumienia, że nie zamierza wchodzić.

Stół był nakryty do śniadania dla dwóch osób: dla Paddy i Trishy. Martin i Gerard ciągle leżeli w łóżkach, chociaż było już wpół do jedenastej i Mary Ann na pewno poszła na mszę. Jej ojciec, Con, siedział przy stole. Twarz miał zaróżowioną od chłodu, bo właśnie wrócił z dwugodzinnego spaceru.

- Już wychodziłeś, tatku?

Con skinął głową, gładząc swoje wąsiki *a la* David Niven. Farbował je - wiedziała o tym. Używał jakiegoś gęstego mazidła, które Trisha przynosiła mu z apteki w papierowej torbie, ale ostatnio przestał. Teraz pojawiła się na nich siwizna, niemal niewidoczna na tle jego

bladoszarej twarzy, w której wyraźnie rysowała się tylko cienka, krzywa kreska czerwieni, z daleka przypominająca smużkę keczupu. Con został zwolniony z pracy przed dwoma laty i stracił już nadzieję, że kiedykolwiek będzie jeszcze pracował. Z przyzwyczajenia codziennie wstawał jednak o siódmej rano i jadł śniadanie, które nieodmiennie stawiała przed nim Trisha, a potem nagle musiał spojrzeć w oczy całej reszcie jak gdyby pustego dnia. Dlatego właśnie chodził na długie spacery po pofabrycznej pustyni, rozpościerającej się między Eastfield i Shettleston. Ciągnęły się tam całymi milami pola Armageddonu, otoczone wątlym płotem, upstrzone tu i ówdzie pogiętą blachą i opuszczonymi budynkami. Milczący jak zawsze Con krążył wśród nich w poszukiwaniu złomu.

- Znalazłeś coś fajnego?

Potrząsnął przecząco głową i wrócił do swojej herbaty.

-Nic.

Ostre, niskie światło dnia przecięło czubki źdźbeł zarośniętego trawnika i przebiło się do kuchni. Choć poranek był ładny, Trisha stała przy pustym zlewku z zawziętą miną i pucowała blachę, aż zaczęła lśnić. Dopiero potem podniosła wzrok na Paddy.

- Wyjęłam twoje płatki. - Wskazała pudełko prasowych otrębów, które przypominały w smaku papier za moczony w słodzie.

Paddy marzyła, żeby się już położyć.

- Zjadłam u Seana, mamó.

Trisha rzuciła jej spojrzenie z trudem maskujące grymas wściekłości.

- Dobrze. Ale napijesz się herbaty. - Odwróciła się w stronę blatu i zdjęła kapturek ze stalowego czajnika, z którego nalała dwa kubki mocnej herbaty. - A co tam w pracy?

- Och, spokojnie - odpowiedziała Paddy, patrząc, jak Trisha nalewa herbatę. Dziewczyna mocno trzymała się

framugi, jak gdyby potrzeba towarzystwa, emanująca od matki, była dość silna, by wessać ją do kuchni. - Znow nie trafiło mi się nic ważnego.

- Słyszałaś o tej dziewczynie, co ją zabili w Bearsden? Prawniczka, ale fajna. Protestantka, ale sympatyczna. Mówili o tym przez radio.

Paddy uśmiechnęła się do matki, która w ten sposób usiłowała pokazać, że nie jest fanatyczką religijną.

- Skąd wiesz, że ta kobieta była protestantką, mamó? O tym chyba nie mówili, co?

Trisha dołała mleka do obu kubków.

- Nie, mądralo. Ale gdyby chodziło o katolika, to by powiedzieli, jak zawsze. W każdym razie ta dziewczyna mieszkała w Bearsden. Nazywała się Burnett. - Trisha podała córce kubek, trzymając go poza zasięgiem jej palców tak, że aby go wziąć, Paddy musiała jednak wejść do kuchni. - Za chwilę będą najnowsze wiadomości.

Paddy dobrze wiedziała, że dała się zrobić w konia, a Trisha nieznacznie uniosła kubek z mocną herbatą, wydając westchnienie rozkoszy. Dziewczyna poczuła zapach gorącego płynu i wyciągnęła rękę, a kiedy tylko jej palce zacisnęły się na uchu kubka, matka podsunęła jej krzesło.

- Caroline dzisiaj nie przyjdzie?

Paddy zapytała o nią wyłącznie po to, by zdenerwować Trishę. Obie doskonale o tym wiedziały.

Kiedy Paddy wracała do domu po nocy, Caroline była zazwyczaj na posterunku, więc jej nieobecność w kuchni nie wróżyła nic dobrego. Mały Con zaczął już szkołę i Caroline na ogół odwiedzała rodziców. Jeżeli nie udawało jej się zdażyć na autobus z przesiadką do Eastfield, to tylko, z powodu męża - bo John albo ją bił, albo robił awantury, że o niego nie dba, i wtedy musiała zostawać u siebie w domu i szorować podłogi.

- Dzwoniła z budki. Ma za dużo roboty. - Trisha podniosła kubek do ust. - Siadaj. Pogadajże dzisiaj z nami chociaż przez chwilę.

Paddy usiadła, spokorniała i zawstydzona.

- No, więc najpierw pojechaliśmy do jakiegoś wypadku drogowego, ale nie było rannych, a potem na komisariat w Anderston.

Ciągnęła swój monolog, bo wiedziała, że matka chce go wysłuchać, i opowiedziała jej o wszystkich atrakcjach ostatniej nocy, wyjąwszy wizytę w Bearsden.

Podobnie jak wszystkie jej przyjaciółki, Trisha żyła cudzym życiem. Paddy nie raz słyszała ich rozmowy w Cross Cafe i przed kościołem: opowiadały sobie różne zasłyszane historie o kolegach i koleżankach swoich dzieci, oburzały się kłótniami i konfliktami, w jakich uczestniczyli ich mężowie w swoim miejscu pracy, i chwaliły się najróżniejszymi osiągnięciami członków swojej rodziny, choć same tkwiły przy garach. Mąż Trishy był bezrobotny, a troje z jej dzieci siedziało w domu, wyczekując końca kryzysu gospodarczego, matka nie miała więc zbyt wiele do opowiadania koleżankom. O rodzinnym życiu Caroline nie mogła mówić szczerze, a Mary Ann spędzała czas głównie w kościele. Z kolei Marty i Gerard porozumiewali się ze światem w najlepszym razie monosylabami, więc gdyby Paddy nie poświęciła teraz matce trochę czasu, Trisha nie miałaby nic do zaoferowania znajomym.

Paddy plotła właśnie coś o nagrodach dziennikarskich z zeszłego tygodnia i o tym, że jedną z nich otrzymał JT, kiedy zaczęły się kolejne wiadomości, w których informacja o morderstwie w Bearsden znalazła się na pierwszym miejscu. Ponieważ późnym wieczorem w domu, w którym doszło do tragedii, interweniowała policja, wszczęto postępowanie mające wyjaśnić, dlaczego funkcjonariusze nie podjęli żadnych działań w sprawie Vhari Burnett. Trisha się nie myliła: pani Burnett pochodziła

z arystokratycznej rodziny, willę niedawno przekazał jej w spadku dziadek, a ona dopiero co się tam wprowadziła. Ponadto zamordowana była aktywną członkinią dwóch organizacji pozarządowych: Amnesty International i Campaign for Nuclear Disarmament.

- Widzisz? - powiedziała Trisha. - Powinnaś do nich pojechać i popytać o nią. Może zdobyłabyś jakiś ciekawy materiał i wtedy nie mogliby cię dłużej lekceważyć.

Kiedyś, pewnego schizofrenicznego poranka, ogarnięta egzaltowaną rozpaczą Paddy zwierzyła się matce, że myśli, że wszyscy redaktorzy jej nie cierpią i po prostu nie chcą publikować jej tekstów, bez względu na to, z jaką informacją mogłaby do nich zatelefonować, więc to wszystko i tak nie ma sensu. Właściwie wtedy przemawiało przez nią tylko zmęczenie, ale Trisha potraktowała jej słowa zupełnie poważnie. Paddy podejrzewała, że matka opowiedziała o tym niektórym swoim koleżankom, bo ciągle pytała ją potem o „ten redakcyjny spisek” i sugerowała, żeby Paddy poskarżyła się na pracodawcę w związkach zawodowych. Tymczasem Paddy nie wiedziała, jak cofnąć swoje fałszywe oskarżenie, nie wychodząc przy tym na idiotkę.

- To sprawa polityczna. - Trisha wskazała radio. - Zobaczysz. Przekonasz się. Ta dziewczyna na pewno odkryła jakąś tajemnicę i dlatego została zamordowana. Powinnaś pogadać z jej kumplami z CND.

- Członkowie CND nie spotykają się zbyt często. Członkowie Amnesty, owszem, ale na ten pomysł natychmiast wpadną wszyscy dziennikarze. I pojedą do nich, nie zwlekając, od razu z samego rana.

- Więc musisz ich uprzedzić. Jedź dzisiaj. Jedź natychmiast.

- Muszę się najpierw trochę przespać, mamó.

- Jak uważasz.

Trisha wstała i zaczęła zmywać swój kubek, nie wlewając z niego resztki herbaty.

Con uśmiechnął się, w milczeniu zaglądając do własnego kubka, a Paddy wiedziała, że sprawiła przykrość matce, która znów przez nią nie będzie mogła się pochwalić żadnym rodzinnym sukcesem. Szybko dopiła herbatę i powlokła się na górę, do łóżka.

Rozdział czwarty

Napisy końcowe

1

Było to trochę tak, jak oglądanie napisów końcowych w jakimś filmie akcji. Ilekroć Paddy przychodziła na nocny dyżur, zawsze miała wrażenie, że wszyscy fascynujący i ciekawi dziennikarze właśnie gremialnie wychodzą. Krzątali się już wokół swoich biur, zabierali okrycia, chowali papierosy i gasili lampy z minami świadczącymi o uldze i radości, ogarniającej ich na myśl, że mogą wracać do domu.

Tymczasem wokół pracowników redakcji nocnej unosiła się atmosfera ohydnej, lepkiej frustracji. Była ona tak wszechogarniająca, że dziennikarze nie mieli nawet ochoty ze sobą rozmawiać.

Idąc w stronę drzwi zaciemnionego news roomu, Paddy nie zdejmowała płaszcza, w którym było jej tak bardzo do twarzy. Długa ława, na której siedzieli gońcy, wydała jej się nagle bardzo niska. Kiedy zaczynała tu pracować, zajmowała swoje miejsce i przesuwiała paznokciem kciuka wzdłuż słojów, żłobiąc kanaliki w miękkim drewnie, po czym wyobrażała sobie, że ogląda je znowu wiele lat później, z wyżyn stanowiska młodszego reportera, i wspomina dawne czasy. Przyglądając się tym znakom teraz, musiała przyznać, że nie zelektryzowały jej tak, jak sądziła,

poczuła więc gorzkie rozczarowanie i pogardę dla swojej niegdysiejszej naiwności.

W oszklonym boksie stojącym dalej, za ławą, okna i drzwi zasłaniały czarne żaluzje. Plastik zmatowiał nieco, od dziesięciu lat myty żrącymi środkami, a co więcej, wyglądało na to, że na krawędziach zaczyna go atakować szara pleśń.

Naczelny, Farquarson, miał bujne, gęste włosy. Często łapał się za głowę, wycierając z nich w ten sposób pomadę, więc teraz jego włosy podniosły się i urosły niczym ciepłe, białe, surowe ciasto. Oczy Farquarsona podbite były niemal granatowymi sińcami. Był już w płaszczu i właśnie zamykał drzwi, kiedy dopadła go Paddy.

- Możemy chwilę porozmawiać, szefie?
- Ty znowu swoje, Meehan?
- To ważna sprawa. W dodatku osobista.

Z wyrazu twarzy Paddy odgadł, że dziewczyna nie zamknie się i nie odpieprzy od niego, otworzył więc z powrotem drzwi gabinetu, włączył światło, rzucił teczkę na podłogę i gestem zaprosił gościa do środka.

Panujący w środku bałagan świadczył o tym, że naczelny ma za sobą długi, pracowity dzień, czego dowodziły zarówno papierowe kubki, pozostawione w gabinecie podczas porannego i popołudniowego kolegium, jak i makietki kolejnych stron „Daily News”. Dolna szuflada szafki stojącej koło drzwi była wysunięta i Paddy dostrzegła w środku batony i herbatniki. Murray Farquarson przypominał muchę: żywił się wyłącznie słodyczami i alkoholem, a mimo to był ciągle chudy jak patyk. Jedyne włosy posiadał mu ostatnimi laty.

Wszedł za nią do gabinetu i zamknął drzwi, nie okrążył jednak długiego stołu, który służył mu jako biurko, tylko oparł się ciężko o szklaną ścianę boks, przesłoniętą żaluzjami, trzeszczącymi jak naelektryzowane, po czym wbił zmęczony wzrok w jej buty.

- Mów szybko.
 - Muszę przejść na inne stanowisko.
- Farquarson przewrócił oczami.
- Kurwa mać.
 - Szefie, dostaję tu szalu...

Naczelnny przygarbił się i wtulił znów w żaluzje. Chrzęst nieszczęsnego plastiku podkreślał każdy jego kolejny ruch.

- To nie jest sprawa ani ważna, ani osobista.
- Co proszę?

Westchnął, patrząc w podłogę, a głowa opadła mu ciężko na jakby bezwładnej szyi. Paddy wiedziała, że teraz nie powinna przerywać mu zadumy, i Farquarson w końcu sam się odezwał.

- Więcej pokory, Meehan.

Podniósł na nią zmęczone spojrzenie i Paddy myślała przez chwilę, że zaraz wyjawii jej jakąś straszną, intymną tajemnicę. Wzdrygnęła się, zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, naczelnny spoglądał poprzez nią na drzwi, jakby była ze szkła.

- Popracuj jeszcze troszeczkę na nockę, co, mała?

Po chwili znów stało się coś niezwykłego i przerażającego: otóż Farquarson ujął ją pod łokieć i lekko ścisnął za ramię.

- Wszystko będzie dobrze.

Wyprostował się wśród trzasków i chrzęstów żaluzji, zwracając się w stronę drzwi, a skamieniała ze strachu Paddy starała się ani drgnąć. Następnie otworzył drzwi, których skrzydło uderzyło ją boleśnie w piętę - musiała się przesunąć, żeby go przepuścić.

- Nie chodzi mi o awans... - powiedziała.

- Jasne. - Farquarson przetarł oczy. - Mniejsza z tym. Dostaliśmy dzisiaj telefon z komisariatu policji w Partick Marine. Czytali twoją informację o tej historii w Bearsden wczorajszej nocy i chcą, żebyś się do nich zgłosiła i opo-

wiedziała, co tam widziałaś. Podobno ta zamordowana to ładna dziewczyna. Może w związku z tym przysłoby ci do głowy coś, o czym mogłabyś napisać? Może znajdziesz jakiś punkt zaczepienia, od którego moglibyśmy przejść później do nieco dłuższego tekstu? - W przekrwionych oczach Farquarsona pojawiło się współczucie, ale zaraz zniknęło. - Podobno jesteś ostatnią osobą, która widziała ofiarę żywą, więc napisz mi informację, jak wyglądało to miejsce. Nie więcej niż na sto słów: napisz, jak wyglądał ten dom i jaka panowała w nim atmosfera, ale obuduj suchy opis faktami. Muszę to dostać, zanim wyjedziesz na patrol reporterski. Jeżeli wyrobisz się do wpół do dziesiątej, to każę redakcji nocnej pchnąć twoją notkę jako raster do głównego tekstu. Coś jeszcze?

Potrząsnęła przecząco głową. Gdyby była mężczyzną - dziennikarzem, który nie przywiózłby nic ciekawego z miejsca takiego zdarzenia - Farquarson powiedziałby, że się do niczego nie nadaje i że zamieszczanie takich informacji to tylko strata pierdolonego miejsca w gazecie, kurwa jego mać.

- Jeżeli nie, to spieprzaj i bierz się do roboty.

Paddy odwróciła się i już wychodząc, wpadła na Kecka z działu sportu. Keck otarł się o nią lekceważąco i prychnął na widok jej nieszczęśliwej miny.

- Hej - krzyknął Farquarson, który zawsze szukał byle pretekstu, żeby mu dokuczyć. - Lepiej uważaj, kurwa, jak traktujesz koleżanki z redakcji!

Keck zrobił odpowiednią minę, żeby dać naczelnemu do zrozumienia, że on, Keck, jest owszem, źle wychowany, ale zarazem chciał zamanifestować swą wyższość wobec Paddy, więc jego twarz wykrzywiły dwa grymasy na raz.

Dochodziła dwudziesta trzydzieści, miała więc godzinę, żeby napisać te sto słów. Podeszła do bufetu, zaparzyła kawę, sprawdziła, jak wygląda sytuacja na odcinku herbatników i chrupek, po czym wybrała dwa paluchy pszenne,

które postanowiła zjeść przy biurku, pisząc. Znalazła maszyny do pisania na drugim końcu stołu, po czym wkręciła pod wałek coś w rodzaju kanapki, złożonej z trzech kartek papieru i dwóch arkuszy kalki.

Wciąż siedząc w płaszczu, wpatrywała się gniewnie w czystą kartkę, zajadając paluchy o maślanym smaku, popijając kawę i przesiewając w pamięci wszystkie wydarzenia wczorajszej nocy, żeby zdecydować, które z nich pominąć, a które uwzględnić w tekście. Gdyby wspomniała o tych pięćdziesięciu funtach, musiałaby je oddać policjantom. Mordercę i tak dopadną, bo Tam i Dan go widzieli, więc chyba nie ma sensu oddawać im tej forsy, która przepadłaby na komisariacie, a przecież równie dobrze mogła przepaść w kieszeni jej matki i choć na chwilę ulżyć jej w kłopotach. Z drugiej strony nie będzie miała o czym pisać, jeśli nie wspomni, dlaczego zarówno ona, jak i policja opuścili dom Vhari. Można by sądzić, że i ona, i gliniarze uważali, że zakrwawionej kobiecie nic nie grozi - ale im dłużej Paddy myślała o tej sprawie, tym lepiej rozumiała, że pani Burnett znajdowała się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Na myśl o Vhari Burnett, która wycofała się do salonu i zniknęła z lustra, zamiast odepchnąć tego faceta w drzwiach i wyrwać się na wolność, poczuła ukłucie złości. Taką samą złość odczuwała na myśl o Caroline, gdy jej siostra zostawała z mężem - przesywał ją wtedy dreszcz pełnej zdumienia wściekłości, jak gdyby Vhari i Caroline, nie korzystając ze sposobności, by uciec, wyrządały krzywdę całej swojej płci - bo to właśnie przez takie kobiety mężczyźni myślą, że mogą bezkarnie bić swoje żony czy partnerki.

Pociągnęła kolejny łyk kawy, a potem wystukała na maszynie jednoakapitową informację i przeczytała ją raz jeszcze, żeby zobaczyć, czy wszystkie fakty brzmią równie wstrząsająco, jak jej się wydawało. Kobieta była cała

zalana krwią, a policja i dziennikarze spokojnie odjechali: przygnębiający tekst, choć w gruncie rzeczy czytało się go doskonale.

2

Shug Grant przyglądał się Paddy zza stołu, wkładając skórzaną kurtkę. Po jego lewej ręce stał Tweedle-Dum, a po prawej Tweedle-Dee, dwóch „kibiców”, którzy kręcili się zawsze wokół newsroomowych waźniaków i śmiali się z ich dowcipów. Wszyscy trzej byli już w marynarkach, gotowi do wyjścia, i wybierali się na drinka, czego Paddy domyślała się, widząc iskierki ożywienia w ich oczach i słysząc, jak pobrzękują monetami w kieszeniach.

- A ty, Meehan, do czego się, kurwa, nadajesz? - wyce dził Shug. - Jedna informacja w druku po czterech nocach z rzędu w wozie reporterskim? Co wy tam robicie? Jeźdźcie w kółko po George Square z zamkniętymi oczami?

Paddy z udaną dobroduszością wzruszyła ramionami, puszczając jego słowa mimo uszu.

- Czasami po prostu nic się w tym mieście nie dzieje.

- Zróbże wreszcie coś pożytecznego, babo. - Shug obliział usta i dopiero po chwili przeszedł do swojej ulubionej, zabójczej puenty. - Na przykład schyl się, żebyśmy mieli gdzie wetknąć długopisy.

Wszyscy trzej zarżeli, szyderczo obnażając zęby i dusząc się z wymuszonego śmiechu.

Paddy dźwignęła się na nogi. Zapiekła ją skóra na szyi. Przygryzła wargi.

- Wymęczony dowcip, Shug. Pewnie obmyślałeś go przez całą noc?

Dum i Dee cofnęli się, widząc tężejącą coraz bardziej twarz Shuga, który dobrze wiedział, że Paddy jest

wściekła, odchodzi niemal od zmysłów ze zmęczenia i może odpowiedzieć nieproporcjonalnie silniejszym ciosem.

- Pewnie nie mogłeś wczoraj zasnąć, Shug. Gapiłeś się w ciemności na tę swoją grubą, brzydką żonę i za stanawiałeś się, dlaczego nienawidzą cię własne dzieci. - Przesadzała, biła poniżej pasa, ale rozpalala ją wściekłość. - Brak ci odwagi, żeby ją rzucić albo zamordować, więc pomyślałeś sobie, że jak pójdziesz do pracy, to się na kimś wyżyjesz i od razu ci ulży. - Powinna się uspokoić, bo ci trzej faceci po drugiej stronie stołu byli już więcej niż zakłopotani: Tweedle-Dee odsunął się trochę na bok, a Tweedle-Dum próbował się schować za plecami Shuga, Paddy nie potrafiła się jednak powstrzymać. - Leżysz tak w ciemności co noc i marzysz, żeby doświadczyć chociaż krztyny uznania ze strony kolegów. Ale spójrz na nich, Shug. To tylko Dum i Dee. To jest twoja publiczność.

U boku Paddy wyrósł George McVie, który pojawił się nie wiadomo skąd.

- Już wystarczy - zamruczał.

Ale Paddy mówiła dalej.

- Jesteś ucieleśnieniem banału andropauzy. A Margaret Mary twierdzi, że także impotentem.

Zza biurka w dziale sportu dobiegło ją westchnienie. Margaret Mary była nie pierwszej już młodości rudowłosą kobietą, która od lat kręciła się w Barze Prasowym i spała niemal z każdym facetem w redakcji. Słyszeła z niedyskrecji, ale większości jej plotek nie rozpowszechniano, bo każda redakcyjna frakcja miała w swoich szeregach jakiegoś faceta, którego musiała osłaniać.

McVie wziął Paddy pod rękę i odciągnął ją zza krzesła w kąt.

- Zamknij się wreszcie, głupia krowo. Nie musisz być taka małostkowa i złośliwa jak oni.

Dum i Dee powlekli się do news roomu. Shug Grant miał więcej jaj i ociągał się z wyjściem, skarżąc się po drodze jednemu z fotografików, jak został potraktowany.

Choć był to koniec dyżuru, ubranie George'a wciąż wyglądało na świeżo wyprasowane, łącznie z elegancjami, połyskliwymi spodniami. McVie ostatnio chodził w czystych ciuchach, kontrastujących z jego jakby wymiętą, przygnębiającą twarzą. Niektóre z elementów jego garderoby były prawie modne: nosił na przykład szarą skórzaną kurtkę lotniczą, do której wkładał czasami szare mokasyny z frędzlami, a kilka tygodni temu ktoś widział go w mieście z bukietem kwiatów w ręku.

Przechodził coś w rodzaju osobistego odrodzenia. Marnując się przez długie lata na dyżurach samochodowych, które objęła po nim Paddy, napisał w końcu tekst, po którym poszedł w górę. Śmierć dziesięcioletniego chłopaka, który przedawkował heroinę, wstrząsnęła całym miastem, a właśnie McVie pierwszy przeprowadził wywiad z jego matką. Tak ją omotał, że pozwoliła fotoreporterom „Daily News” zrobić w szpitalu zdjęcia umierającego syna, by stanowiły przestrożę dla innych młodych ludzi. Obecnie McVie zajmował się aferami narkotykowymi, co zapewniało mu ważną pozycję w gazecie, bo ostatnio Glasgow zalewały tanie i doskonałej jakości środki odurzające, na które stać było dawniej tylko gwiazdy muzyki pop i Amerykanów.

- Trochę przesadziłaś.

- Przepraszam, jestem zmęczona. Poza tym przed chwilą poprosiłam Farquarsona o przeniesienie, a on mnie złapał pod łokieć. Nie wiem, co o tym myśleć.

McVie zrobił zdziwioną minę.

- Powiedział coś?

- „Popracuj jeszcze trochę na nockę, mała” czy coś w tym rodzaju.

- Wiesz... - George z powagą skinął głową. - Sprzedaż znowu spadła, zarząd szuka ludzi do zwolnienia, a ty mało piszesz. Farquarson niewiele może zrobić.

Wszyscy byli zaniepokojeni. Składacze i drukarze nie robili już ciągle przerw na herbatę i nie wzywali do strajku na pierwsze oznaki konfliktu. Zarząd i nowy prezes usiłowali szukać oszczędności, zwiększyć systematycznie spadający nakład dzięki darmowym wkładkom promocyjnym, prezentom, konkursom i ciągłym żądaniom pod adresem Farquarsona, żeby zrezygnował z dotychczasowego snobistycznego i intelektualnego oblicza gazety i pisał możliwie najczęściej o skandalach erotycznych. Prezes, przezywany przez nich „królem kurczaków”, zbił majątek na hodowli drobiu, zanim zajął się prasą. Na początku został właścicielem kilku czasopism i od razu odkrył w sobie zapędy do ingerencji w treść i linię tych pism. Odkąd kupił „Scottish Daily News”, trzymał ją twardą ręką i zerkał już nawet dalej, na południe Anglii, bo nabrawszy doświadczenia w prasie szkockiej, zamyslał kupić jakiś tytuł ogólnokrajowy.

- Nie odpowiedziałś na moje zaproszenie - powie dział McVie. - Myślałem, że wpadniesz do mnie obejrzeć nowe mieszkanie.

Paddy zastanawiała się przez chwilę nad taką odpowiedzią, która nie zabrzmiałaby niegrzecznie.

- Synek Billy'ego jedzie w przyszłym tygodniu na testy do piłkarskiej drużyny juniorów Jags\

McVie i Billy pracowali razem przez trzy lata. Po kilku pierwszych miesiącach znajomości przestali ze sobą rozmawiać, ale z biegiem czasu ich wzajemna autentyczna niechęć złagodniała i przerodziła się w coś w rodzaju gry. Paddy wiedziała, że tęsknią za sobą, bo często zupełnie

" Przydomek drużyny Partick Thistle FC z Glasgow, założonej w roku 1876 (przyp. tłum.).

nieproszeni wymieniali się za jej pośrednictwem różnymi informacjami na swój temat.

Sądząc po wyrazie twarzy McViego, postawa synka Billy'ego mu zaimponowała.

- Jags są chujowi.

- Być może. - Paddy nie chciała dać się wpuścić w rozmowę o futbolu. - Słyszałam, że widziano cię na mieście z kwiatami.

- I co z tego? - McVie zmierzył ją podejrzliwym spojrzeniem, przechylając głowę i spoglądając na nią z góry. - Kto ci to powiedział?

Paddy zrewanżowała mu się podobnym spojrzeniem.

- Masz jakąś dziewczynę?

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem: Paddy usiłowała odczytać odpowiedź z jego twarzy, a on starał się nie dać nic po sobie poznać i tylko sapał przez nos na myśl o jej podstępie. Po chwili dziewczyna skrzywiła się w niepewnym uśmiechu, a George rzucił jej prosto w twarz: „Ha!” Jego oddech wionął luksusowym odświeżaczem o lekko kwiatowym zapachu.

Nagle i bez ostrzeżenia rozdzielił ich JT, który wślizgnął się pomiędzy Paddy i George'a. Wbił wzrok w dziewczynę, chociaż stali teraz niemal nos w nos. Jego błyszczące oczy płonęły jasnym światłem.

- Co słyhać, Paddy? W porządku?

JT został szefem działu miejskiego nie dlatego, że był uprzejmy czy dobrze wychowany. Umiał wyłapywać ciekawe informacje i miał do nich prawdziwego nosa. Nie dalej jak przed tygodniem otrzymał tytuł i nagrodę Prasowego Dziennikarza Roku na corocznej imprezie branżowej, na którą Paddy nawet nie zaproszono. JT starał się nigdy nie dla nikogo nie robić. Widziała go kiedyś, jak siedząc przy pełnym ludzi stoliku, zjadł całą paczkę miętusów Polo i ani razu nikogo nie poczęstował.

- O co ci chodzi, JT?

Wsunęła nagle dłonie do kieszeni płaszcza i wyciągnęła je stamtąd niemal natychmiast. W prawej kieszeni nadal spoczywał pięćdziesięciofuntowy banknot, nieniekoszony od wczorajszej nocy i zmięty pośród okruszków herbatników oraz szarych płaszczykowych farfocli. Czekwała na bolesny krzyk sumienia, które podpowie jej, co powinna zrobić, bo miała nadzieję, że po pewnym czasie policja schwyta mordercę, a wtedy ona nie będzie musiała oddawać tych pieniędzy.

- Widziałem rano twoją informację - powiedział JT. - Czy ty i Billy byliście na miejscu zdarzenia?

- Owszem, tak. Przez parę minut.

- To prawda, że policjanci odjechali, pozostawiając tę kobietę i jej mordercę w spokoju?

Paddy wzruszyła ramionami.

- A czemu odjechali? Śpieszyli się? Dostali nowe wezwanie?

- Nie wiem.

JT przysunął się do niej jeszcze bliżej.

- Widziałaś coś więcej?

- Nie. To była zwyczajna awantura domowa.

- Ale kiedy przyjechała policja, ta kobieta miała krew na twarzy?

- Tak. - Paddy dotknęła swoich ust. - Pewnie rozcięła sobie wargę albo coś w tym rodzaju.

- No więc nie masz racji, bo morderca najpierw wyrwał jej połowę zębów, a potem roztrzaskał głowę młotkiem. Sądził, że ją zabił, ale ofiara jeszcze żyła. Zdołała doczołgać się do drzwi wejściowych, choć pokonanie tych dwudziestu stóp zajęło jej cztery godziny. W domu są ślady krwi. Zwiniętą w kłębek panią Burnett znaleziono za drzwiami, jakby na coś czekała.

Paddy wzdrygnęła się.

- Morderca wyrwał jej zęby?

- Nic nie zauważyłaś?

-Nie.

McVie i JT spojrzeli na nią jednocześnie: jeden wesoło, a drugi ze smutkiem, wywołanym niekompetencją koleżanki.

JT wysunął się spomiędzy nich, unosząc rękę, jak gdyby sygnalizował w ten sposób z żalem, że musi ich już opuścić, że odchodzi i że zabraknie go wśród nich aż do rana, kiedy to jego gwiazda rozbłyśnie ponownie.

Paddy zaczęła, aż JT sobie pójdzie.

- Oczywiście, że widziałam, że ta babka krwawi. Po prostu nie chciałam nic powiedzieć JT.

Ale McVie nawet na nią nie spojrział.

- Straszny z niego chujek - mruknął pod nosem.

Rozdział piąty

Boże, kurwa jego w dupę pierdolona mać

1

Kate wyrzała na zewnątrz przez szparę między dwiema zbutwiałyymi deskami. Widziała domek, chociaż zbcze opadało na brzeg jeziora tak stromo, że jej nie można było stamtąd zobaczyć. Ktoś, kto nie znał tego miejsca, nie domyśliłby się, że szopa na przystani należy do posiadłości. Zaczęła gryźć się w język, chociaż wiedziała, że jeśli nie przestanie, porani go znów do krwi. Opanowała się jednak, odeszła od przegniłej ściany i szeroko otworzyła usta, zataczając nienaturalnie różowym językiem szerokie kręgi.

Pod sufitem, wysoko ponad lustrem falującej wody, wisiała mała, żółta łódka, a na ścianie wiosła - wszystko było wciąż na swoim miejscu. Nic się tu nie zmieniło od dwudziestu lat, odkąd przyjechała nad jezioro po raz pierwszy. Powinna sprzedać ten domek. Dać ogłoszenie do „Timesa” i opchnąć posiadłość jakiemuś nadzianemu londyńczykowi jako górską samotnię. Wprawdzie została jej właścicielką przed zaledwie trzema miesiącami, ale dozorca już zrezygnował z pracy, więc działka wyglądała na zanedbaną. Ogród był zarośnięty, a pieniąca się na

jego tyłach mięta zdążyła przykryć wszystkie inne rośliny i pełzła w stronę domu.

Kate popiła jeszcze trochę wodnistego mleka w proszku z kubka z miarką i znów wyjrzała przez szparę między deskami.

Zabrała puszkę szynki, ale zapomniała o otwieraczu do konserw. Jest głupia. Powinna była się wykąpać, nie zdążyła jednak nawet włączyć bojlera, bo żołądek podszedł jej do gardła w panicznym strachu, chwyciła więc, co tylko było pod ręką, wybiegła z domku i ukryła się w szopie na przystani. Zabrała między innymi ten kubek z mlekiem w proszku. Smakowało paskudnie, ale piła je duszkiem, jak lekarstwo na pragnienie. Ugasiwszy je, zateśkniła jednak za czymś zupełnie innym. Na samą myśl o tym, że za chwilę zaspokoi głód, mięśnie ramion Kate rozluźniały się, twarz łagodniała, a oczy patrzyły spokojnie.

Ostrożnie postawiła kubek na podłodze i wyjęła z torebki płaskie srebrne puzderko, wyposażone z boku w sekretną przegródkę. Przez chwilę gładziła je kciukiem, wspominając wszystkie miłe chwile, jakie przeżyła dotąd dzięki niemu. Rozejrzawszy się, gdzie by tu usiąść, wybrała dużą pomarańczową, plastikową skrzynię, w której leżały kamizelki ratunkowe. Usiadła na niej, wsuwając się na wieko najpierw jednym, a potem drugim pośladkiem, i wyobrażając sobie, jak ponętnie wygląda w trakcie tej czynności, po czym z uśmiechem na ustach otworzyła tabakierkę.

- Boże, kurwa jego w dupę pierdolona mać!

Zniknęło wszystko, co do ostatniej okruszynki. Nawet w kącikach, do których nie mogłaby się dobrać łyżeczką, nie było zupełnie nic. Widocznie wciągnęła cały proszek do nosa przez zwinięty w rulonik banknot. Nie lubiła tego robić. Damy posługują się łyżeczką, a banknotów używają tylko żalosne ćpuny. Spróbowała sobie przypomnieć, kto jej wtedy towarzyszył, żeby mieć na kogo zrzucić winę, ale od dawna była sama jak palec.

Wzburzona i zła na siebie za ten niestosowny wybryk, ześlizgnęła się z pomarańczowej skrzynki, głośno postukując obcasami szpilek o drewniany pomost. Teraz, kiedy obiecała sobie przyjemność i nie zaznała jej, poczucie zagrożenia gdzieś wyparowało. Szybko podeszła do drzwi i otworzyła je szeroko, nawet nie nasłuchując, czy na zewnątrz nie słychać samochodów albo ludzkich głosów, ale kiedy zdała sobie sprawę, co zrobiła, serce zamarło jej na chwilę w piersi. Znieruchomiała, nic jednak nie było słychać - tylko fale jeziora obmywały brzeg, a w koronach drzew szeleścił wiatr. Jest głupia.

Bez tchu, w pośpiechu i z mocno bijącym sercem Kate zbiegła na dół, w poprzek stromego wzniesienia, do swojego samochodu, stojącego niemal nad samą wodą. Wsunęła klucz do zamka bagażnika i otworzyła go jednym, płynnym, pełnym wdzięku ruchem.

Paczka z kokainą prezentowała się naprawdę okazale - była pękata i kusząca jak świeżo wypchana poduszka.

Ostrożnie, a zarazem pewnie niczym chirurg, bo dłonie nagle przestały jej drżeć, Kate odkleiła taśmę na samej górze i zanurzyła tabakierkę w paczce, starając się nabrać jak najwięcej proszku, osypującego się po bokach pudełka. Kierowała nią niecierpliwość i zachłanność - cechy naprawdę już żalosego ćpuna. Jedną trzecią zagarniętej kokainy wsypała z powrotem do paczki, zamknęła tabakierkę, a potem opatrzyła otwartą ranę taśmą i wygładziła jej brzegi. Bała się nawet myśleć, że paczka mogłaby pęknąć podczas jazdy, bo zanim by się zorientowała, co się święci, pęd powietrza wywiałyby cały proszek z bagażnika.

Zostawił w bagażniku mnóstwo narzędzi. Ciężkich narzędzi do ciężkiej pracy. Zastanawiała się, po co mu one i dlaczego uznał za stosowne ukryć je w jej wozie, ale potem w głowie otworzyła się jej znajoma klapka, bo przecież on często robił różne dziwne rzeczy. „Faceci trzepiący

taką kasę jak on nie mogą ci się ciągle ze wszystkiego tłumaczyć, ty durna dziewczyno. To nie twoja sprawa".

Zamknęła bagażnik i mocno ściskając w dłoni tabakierkę, podreptała błotnistym zboczem z powrotem na górę, do szopy na przystani. Położyła puzderko na pomarańczowej skrzynce, otworzyła je, z małej, bocznej przegródki tabakierki wyciągnęła łyżeczkę, nabrała na nią porcję narkotyku i wciągnęła go do nosa jak sproszkowany tlen.

Jej smukła szyja wygięła się do tyłu, a głowa osunęła się bezwładnie na kark. Poczowała, że pieką ją oczy. Po pierwszej łyżeczce świat jakby przestawał istnieć - jej serce zaczynało bić na nowo dopiero po krótkiej przerwie i Kate nie słyszała wtedy nic oprócz jego dudnienia. Dopiero druga porcja koki dawała jej kopa, przywracając światu barwy i odgłosy, przez chwilę dziewczyna tkwiła jednak jakby w zawieszeniu pomiędzy zimnem wodnej topieli i palącym skwarem suchego brzegu, nie myśląc i nie pamiętając o niczym. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby znajdować się gdzie indziej - istniało dla niej tylko to jedno miejsce i ten jeden moment, i było jej dobrze.

Nie musiała nawet otwierać oczu, by nabrać znowu koki na łyżeczkę i trafić nią do drugiej dziurki w nosie. Narkotyk rozpałił ją i niebezpiecznie rozgrzał jej krew, która rozrzedziła się do tego stopnia, że mózg Kate zerwał cumy, przechylił się i wyrznął o ścianki czaszki. Osunęła się na bok, jej włosy rozsypały się po podłodze, a zgięte w kolanach nogi spoczęły równiuteńko jedna na drugiej - widok tej idealnej symetrii niewątpliwie sprawiłby jej przyjemność. Po chwili z lewego nozdrza Kate wypłynęła strużka krwi, która pociekła dalej, na błądy policzek, i zniknęła między jasnymi włosami.

2

Słońce zaszło już dawno i zapadła zimna jak lód noc. Nikt bez potrzeby nie kręcił się po ulicach, a wszyscy przechodnie szczerze osłaniali przed wiatrem i chłodem całe twarze, z wyjątkiem oczu, bo inaczej nie mogliby się poruszać. Taksówki z pomarańczowymi kogutami na dachach poszukiwały klientów w centrum, zwalniając w pobliżu przystanków, by skusić nielicznych pasażerów oczekujących na autobus. Wieczór był jeszcze wczesny, ale większość mieszkańców Glasgow postanowiła pozostać tego dnia w domach.

Komenda w Partick Marinę i tak była jednym z miejsc, które Paddy i Billy rutynowo odwiedzali w trakcie nocnego dyżuru, bo zaglądali na wszystkie posterunki policji w poszukiwaniu najnowszych informacji, więc Paddy kazała Billy'emu w pierwszej kolejności pojechać właśnie tam. Nie zamierzała tracić swojego prywatnego wolnego czasu na wizyty na policji, a poza tym była to przecież właściwie sprawa służbowa.

Przyszło jej do głowy, że policjanci mogą chcieć rozmawiać także z Billym, który ostatecznie też tam był. Jeśli ktośkolwiek widział, jak ten mężczyzna wręcza jej pieniądze, to chyba tylko on.

- Wiesz co? Wspomniałam McViemu o małym Williem i jego testach w Partick Thistle - powiedziała, usiłując okazać mu życzliwość w nadziei, że Billy odwdzięczy się jej tym samym, jeśli policja zechce go przesłuchać.

- Ach, oczywiście, tak. I co on na to?

- Że Jags są chujowi.

Billy uśmiechnął się czule do ciągnącej się przed nim drogi i spojrzał na Paddy w lusterku.

- Fajna odpowiedź.

- McVie chyba się za tobą stęsknił.

- Tak. No to może wreszcie się zaręczymy.

Jechali na zachód, obok gotyckich gmachów uniwersytetu, ciągnących się wysoko na wzgórzu. Byli na Dumbarton Road, szerokiej arterii komunikacyjnej, przecinającej zachodnią część miasta, która to trasa szybkiego ruchu przechodziła dalej w główną ulicę Partick. Billy nazywał ją „strzelnicą”, bo przechodnie przebiegali na drugą stronę ulicy na oślep, ryzykując wpadnięcie pod autobusy i samochody. Dziś jednak było tu pusto, a jedyne jasne światło biło z okna budy ze smażonymi rybami i frytkami.

Billy skręcił w boczną uliczkę i stanął pod komendą Partick Marine. Budynek wyglądał nieco śmiesznie, niczym zbudowany w czasach georgiańskich blok mieszkalny. Jego jasnoniebieskie drzwi były szerokie i zaokrąglone u góry, a po ich lewej stronie ciągnął się szereg okien o podobnym kształcie. Ślepą ścianę po prawej wieńczyła kamienna balustrada, poprzerastana rosnącymi dziko krzewami i kępami włóknistej trawy. Dalej, z tyłu, w maleńkich, zakratowanych okienkach widać było zmęczone, żółte światło, widoczne tylko dlatego, że na ulicy panowały egipskie ciemności.

Marinę była kiedyś najbardziej zapracowaną komendą w Glasgow. Stąd wyruszały wszystkie patrole rzeczne, gdy Partick i pobliskie Anderston stanowiły przystanki dla rybaków z północy i marynarzy z całego świata. Tu osiedlali się przybysze z gór i szkockich wysp. Starsi policjanci rekrutowali się właśnie spośród nich, bo jeszcze w niezbyt odległej przeszłości każdy miejscowy funkcjonariusz musiał znać gaelicki, żeby skutecznie interweniować w bójkach między mówiącymi jedynie w tym języku marynarzami i imigrantami.

Obecnie ruch na rzece zamarł, a komendę Marinę dzieliła od niej autostrada. Stocznia stała pusta i popadała w ruinę - zabierała ją rzeka, z której niegdyś wyrosła, a Partick Marinę stała się lądową anomalią i pijalnią piwa dla studentów uniwersytetu Glasgow.

Dziś jednak było tu cicho. Na mokrej **ulicy lśniło światło**, padające z wysokich łukowatych okien. Paddy otworzyła drzwi samochodu.

- Przyjdź po mnie, jeżeli usłyszysz coś **ciekawego przez radio**, dobrze?

- Jasne.

Dla ochrony przed deszczem owinęła się dokładnie płaszczem i przebiegła na drugą stronę opustoszałej ulicy, do wejścia do komendy. Pchnęła drzwi i nagle znalazła się w hałaśliwym, bachicznym tłumie podpitych mężczyzn w błyszczących garniturach i kobiet w eleganckich wieczorowych sukniach. Rozejrzała się, zaskoczona widokiem tego tabunu ludzi, których personalia spisywało trzech umundurowanych policjantów, siedzących za biurkiem. Dopiero potem w butonierkach zatrzymanych dostrzegła goździki.

Przesunęła się na początek kolejki i wtedy zauważyła ją Murdo McCloud, schludnie wyglądający siwy mężczyzna, mówiący z miękkim akcentem szkockiego górala. Ambona, na której siedział noc w noc, składała się z długiego, drewnianego biurka, ustawionego na podwyższeniu wysokości trzech stóp, żeby dyżurni widzieli, co się dzieje w poczekalni. Za podwyższeniem - i biurkiem - widać było szereg ślepych okien, a dalej korytarz, po którym ganiały pracowite duchy podczas swoich conocnych upiornych wypraw. Gdy panowała tu cisza, Paddy słyszała ich kroki i skrzypienie drewnianej podłogi w poczekalni.

- Dobry wieczór.

- Jak się pani miewa tego uroczego wieczora, panno Meehan? - Słyszac, jak dźwięcznie Murdo wymawia „r”, Paddy poczuła świerzbienie w koniuszku języka.

- Co to jest, jakieś wesele?

Policjant uroczyście skinął głową.

- Ci ludzie padli ofiarą darmowych drinków. Stojący obok niej, ostrzyżony na jeża pijany facet w szarych spodniach z mankietami i cienkim skórkowym kra-

wacie, kiwał się na wszystkie strony w ramionach drobnej, starszej kobieciny, zapewne swojej matki. W każdym razie Paddy miała taką nadzieję.

- Ktoś z tej komendy zadzwonił do redakcji i poprosił, żebym do was wpadła. W sprawie tej afery w Bearsden.

Murdo rzucił jej takie spojrzenie, jakby drużyna gospodarzy, w której grał, musiała odeprzeć atak gości, po czym wstał, żeby otworzyć drzwi na korytarz za biurkiem. Wysunął głowę na zewnątrz, nie wychodząc z poczekalni, i krzyknął do kogoś, że przyszła Paddy w sprawie tej „laski z Bearsden”. Zabrzmiało to tak, jakby chodziło o postać z jakiegoś młodzieżowego programu telewizyjnego. Paddy dawno już zauważyła, że między infantylnymi kryptonimami i brutalnością prowadzonych przez policję spraw zachodzi niejaka inwersja. Na przykład mianem „bitew na kosy” określano walki na noże w pubach, wszczynane przez pijaczków, które kończyły się zwykle najwyżej ranami ciętymi rąk i palców, natomiast sadystycznego gwałciciela, działającego na Bunhouse Lane i w jej odludnych okolicach, który kasał swoje ofiary do krwi, nazwano „kolesiem z Bunhouse”.

Murdo wrócił do biurka i uśmiechnął się do niej, wskazując kciukiem za siebie.

- Zapraszam. Sullivan już czeka.

Paddy wspięła się na strome schodki przy biurku, jakby wchodziła na scenę. Podeszła do drzwi za plecami McClouda.

Za ścianką działową, równoległą do biurka ciągnął się korytarzyk o zdezelowanych drewnianych ścianach, pomalowanych na biało i przypominających marynarską kajutę. Czarna farba na podłodze łuszczyła się i odpadała, odsłaniając drzazgi surowego drewna. W ścianie naprzeciwko widniało troje przeszklonych drzwi. Paddy domyśliła się, w które z nich zajrzał Murdo, nie wychodząc z poczekalni, otworzyła je i stanęła na progu niewielkiego pokoju.

Szary gabinecik, leżący na poziomie niższym o trzy stopnie w stosunku do korytarza, wyposażony był w duże okno wychodzące na mokry ceglany mur. Pod oknem siedziało za biurkiem dwóch facetów w koszulach i poluzowanych krawatach. Palili papierosy i wpatrywali się w osłupieniu w jakiś formularz, ale podnieśli na nią wzrok, gdy weszła.

- Nazywam się Paddy Meehan.

- Ach, tak.

Młodszy z mężczyzn wstał, przeczesując ręką krótkie kasztanowate włosy. Miał obsypaną krostami kwadratową twarz, kwadratowe ręce i kwadratowe ciało. Jego partner okazał się wysoki, siwy, i opalony na brąz. Kiedyś, nim wkroczył w wiek średni, był szczupły. Udało mu się zachować dość smukłą sylwetkę, ale tu i ówdzie na jego podbródku, brzuchu i udach dało się już zauważyć fałdy tłuszczu. Poruszał się jednak wciąż z młodzieńczym wdziękiem i zakołysał się w biodrach, wstając i wyciągając do Paddy rękę na powitanie.

- Proszę usiąść.

Młodszy mężczyzna wskazał jej miejsce naprzeciwko biurka, a starszy przechylił się do tyłu na krześle, sygnalizując w ten sposób, że się wyłącza i pozwala koledze samodzielnie prowadzić przesłuchanie.

Paddy usiadła, po czym starannie przewiesiła płaszcz przez oparcie krzesła.

- Nazywam się Paddy Meehan - powtórzyła.

Pochyliła się nad blatem, żeby ucisnąć ręce policjantom i skłonić ich, by się przedstawili i spojrzeli jej w oczy. Nauczona długoletnim doświadczeniem wiedziała, że nikt z własnej woli nie spojrzy jej w oczy, jeśli ona go jakoś do tego nie zmusi: była niskiego wzrostu i wcale nie wyglądała na swoje dwadzieścia jeden lat, tylko młodziej. W pierwszej kolejności podała rękę starszemu funkcjonariuszowi, który przestał bujać się na krześle i znowu usiadł prosto.

- Gordon Sullivan - powiedział, co prędzej odwracając wzrok.

Młodszy, „geometryczny” policjant wytrzymał jej spojrzenie nieco dłużej.

- Andy Reid.

- Miło mi panów poznać. Pracuję w „Daily News”. Gordon Sullivan nie pozwolił jej jednak uzyskać prze wagę w rozmowie.

- Wiemy, gdzie pani pracuje. - Musiał się powstrzymać, żeby się nie uśmiechnąć. - Przecież kazaliśmy pani do nas przyjechać.

Paddy również powstrzymała uśmiech.

- Ja się po prostu przedstawiam. Chciałam być uprzejma. I dobrze wychowana. Pamięta pan może jeszcze, co to jest dobre wychowanie?

Sullivan przechylił głowę na bok.

- To coś, co było modne w latach sześćdziesiątych, nie?

- I wtedy ostatnio był pan grzeczny dla ludzi?

Reid przyglądał się z boku temu pojedynkowi między Sullivanem a Paddy. Miał skromne doświadczenie zawodowe, więc owszem, wyczuwał, co się dzieje, choć nie do końca rozumiał, o co chodzi.

- No dobrze, panno Meehan - rozpoczął przesłuchanie Sullivan, a Paddy pomyślała, że niewątpliwie sprawi mu ono przyjemność. - Jest pani panną, prawda?

- Nie - odpowiedziała. Gordon zerknął na jej serdeczny palec. - Proszę zwracać się do mnie per „pani Meehan”.

Sullivan roześmiał się jej w twarz.

- Pani Meehan?

- Tak. A czy pan jest żonaty, panie Sullivan?

Gordon miał już brzusek i otłuszczony podbródek, ale jego gęste, siwe włosy układały się w fale, a czesał się do tyłu, jak świętej pamięci Elvis. Za młodu uchodził zapewne za przystojniaka i Paddy domyśliła się, że ko-

biety wciąż interesują go na tyle, **by chciał ukrywać swój** wiek.

Skrzywił się i wydał wargi.

- No tak. Słyszeliśmy tu już o pani to i owo - powiedział.

- Wiemy, co pani zrobiła w sprawie „chłopców Briana”.

Paddy westchnęła i zabębniła palcami po blacie, co miało oznaczać, że nie da się wyprowadzić z równowagi.

Sullivan pokiwał ciężko głową.

- Wiem, wiem, chciałem tylko powiedzieć, że nie jest pani taka głupia, na jaką... Hmm... - Zmieszany i nieco zdezorientowany, wycelował w nią palec. - No, wie pani. Mniejsza z tym. A więc uczestniczyła pani w tej interwencji w Bearsden... I co pani widziała?

Zawahala się, wiedząc, że powinna im powiedzieć o pięćdziesięciofuntowym banknocie.

- Rozmawiałam pod drzwiami z tym facetem. Czy Tam i Dan podali panu jego dokładny rysopis?

- Tak, o to niech panią głowa nie boli. A czy widziała pani panią Burnett?

- W lustrze. Całą szyję miała we krwi, która spływała jej dalej, aż na ramię. Podobno rano znalazł ją ktoś, kto przyjechał, żeby ją podwieźć do pracy. Czy drzwi były otwarte?

Sullivan puścił to pytanie mimo uszu.

- Coś jeszcze?

Paddy wróciła pamięcią na tonący w mroku podjazd przed willą w Bearsden. Przypomniała sobie deszcz na twarzy i straszny nocny ziąb.

- W korytarzu paliło się światło. W pokoju po mojej lewej ręce też. Stałam przodem do drzwi. W pokoju po prawej stronie było ciemno. Ten facet miał szelki i dobrą, markową koszulę. Rozmawiał z Danem w drzwiach. Tam Gourlay pilnował radiowozu, co wydało mi się dosyć dziwne, bo to przecież spokojna okolica. - Spojrzała na policjantów, którzy nie okazali najmniejszego zdziwienia.

- Ten gość ciągle trzymał rękę za plecami, na klamce, jakby nie chciał nikomu pozwolić zajrzeć do środka. Zauważyłam wzrok Vhari Burnett w lustrze i zrobiłam taką minę... - Tu Paddy uniosła brwi. - Wie pan, jakbym ją pytała, czy potrzebuje pomocy. Ale ona potrząsnęła głową... I zrobiła coś takiego... - Teraz Paddy spuściła głowę na piersi i odchyliła się do tyłu, demonstrując, jak Vhari wycofała się z jej pola widzenia, ale żaden z policjantów nie wydawał się zainteresowany tymi szczegółami. - Widziałam też dwie beemki.

Teraz obaj funkcjonariusze jednocześnie pochylili się do przodu, a Sullivan uderzył dłonią o blat.

- Gdzie?

- Na tyłach domu. Podjechałam od frontu, minęłam radiowóz i zajrzałam na podwórze z tyłu. Te auta stały za domem. W ciemnościach.

- Jest pani pewna, że były dwa samochody?

- Absolutnie.

Sullivan wyciągnął z szuflady kartkę i podsunął ją Paddy wraz z ołówkiem.

- Mogłaby je nam pani narysować?

Naszkcowała je z grubsza, a Sullivan zaczął ją wypytywać o szczegóły. Jak wysokie zawieszenie miał ten wóz, a jakie tamten? Czy widziała ich numery rejestracyjne? I dlaczego zwróciła na nie uwagę, skoro stały za domem?

- Dlatego że wspomniał mi o nich Tam. Pokazał mi je i powiedział, że to szpanerskie bryki. Zresztą z tego powodu przyszło mi do głowy, że Burnett i ten facet w drzwiach są małżeństwem. Bo te samochody pasowały do siebie.

Policjanci spojrzeli po sobie, a Andy Reid, który nie umiał jeszcze ukrywać swoich emocji, uniosł brew.

- Czy jeden z nich nie należał do ofiary? - spytała Paddy.

Reid potrząsnął głową.

- Chyba nikt by po nią nie przyjeżdżał, żeby ją podwieźć do pracy, gdyby trzymała za domem własne bmw, nie?

Sullivan chrząknął, a kiedy znów się odezwał, wpastrywał się w swoje ręce, składające kartkę ze szkicami beemek.

- Zostanie wszczęte śledztwo, żeby wyjaśnić zachowanie naszych funkcjonariuszy podczas tej interwencji i odpowiedzieć na pytanie, dlaczego odjechali. Dostanie pani od nas wezwanie w tej sprawie, więc jest chyba jasne, że nie powinna pani nigdzie wyjeżdżać.

- W porzo. - Paddy odetchnęła, wbijając wzrok w blat biurka.

Nadeszła chyba odpowiednia chwila, ale gdyby powiedziała im teraz o tych pięćdziesięciu funtach, byłoby to coś więcej niż przyznanie się do winy, bo Reid i Sullivan domyśliliby się, że pieniądze dostali też Dan i Tam. A policjanci trzymali się zawsze razem niczym rozgotowane spaghetti. Grożąc jednemu gliniarzowi, groziło się im wszystkim, a ci dwaj i tak już patrzyli na nią podejrzliwie ze względu na tak zwaną sprawę „chłopców Briana”.

Paddy rozejrzała się po biurku: dwie paczki papierosów, zapalniczka, formularz, dwa arkusze kalki i mały, błady krąg na blacie, po prawej stronie formularza, gdzie jakiś poprzedni lokator gabinetu postawił gorący kubek, który odbarwił politurę. Może po prostu powinna to z siebie wyrzucić?

- Jest pani wolna.

Czekali, aż wstanie, ale Paddy siedziała wciąż w bezruchu, zastanawiając się, jak ma im powiedzieć o tej łapówce.

- Powiedziałem, że jest pani wolna. Paddy znów odetchnęła i tym razem wstała.

- Dobrze - powiedziała w końcu. - Do zobaczenia.

Gordon Sullivan zaczął, aż dziewczyna podeszła do drzwi, i dopiero wtedy odpowiedział: „Do widzenia”.

Z podwyższenia, na którym stało biurko dyżurnego, Paddy Meehan zstąpiła w młyn poczekalni, zdając sobie sprawę, że zachowała się jak tchórz.

Jak być odważnym

1

Mark Thillingly stał w mrocznym cieniu pod mostem, przyglądając się szarym, gęstym wodom płynącej dalej rzeki. Nigdy w niej nie pływał, ale oglądał ją z tego miejsca tyle razy, że teraz, siedząc na trawie i czując zapach wilgotnej ziemi, pomyślał, że wszystkie chwile spędzone z dala od tego miejsca były tylko głupimi, bezsensownymi interludiami. Ojciec przywoził go tu, kiedy był małym chłopcem. Ich rodzinna spółka adwokacka miała biura w stojącym w pobliżu gmachu, a latem w porze lunchu wszyscy przychodzili tutaj na pikniki. Mark przywiózł tu Dianę tuż przed ślubem, ale ona właściwie nic z tego nie rozumiała, a on powinien był domyślić się już wtedy, że małżeństwo z tą kobietą to pomyłka. Biedna Diana. Myślała, że wychodzi za mąż za następnego przywódcę Partii Pracy, a trafił się jej tylko gruby Mark, który zabija przyjaciół.

Był zbyt zmęczony, by znowu się rozplakać, i tak już znudzony swoją nieporadnością, niedołą i rozpaczą, że uważał, że wszystko jest nieważne i nic nie da się naprawić. Nie był takim człowiekiem, jakim chciał być. Nie był odważny, bezinteresowny ani silny. I koniec końców nie pomógł Vhari.

Po moście śmignął samochód, którego kierowca chciał zdążyć w ostatniej chwili, zanim zapali się czerwone światło - nie udało mu się, ale mimo to przejechał skrzyżowanie. Przypomniało to Markowi o tym, co się stało na parkingu przed budynkiem, w którym pracował. Kiedy się zorientował, że zamierzają go pobić i że bez żadnych wątpliwości zastosują przemoc, w szalonej panice rzucił się do ucieczki - ale pobiegł jak idiota do swojego samochodu, a więc w stronę bandziorów, którzy go przyszli nastraszyć.

Wzdrygnął się na to wspomnienie. Nigdy nie należał do ludzi odważnych, a już na pewno nie był odważny fizycznie. W szkole kolegował się z potężnymi osiłkami, żeby mu nie dokuczali, i gardził sobą za to. Nie uprawiał sportów, bo obawiał się fizycznego bólu, a nawet poszedł w ślady ojca, uległ jego namowom i studiował prawo, chociaż chciał zostać nauczycielem, bo słyszał, że niektórzy uczniowie lubią te rzeczy. Chciał się wyzbyć swojej słabości, wstydził się jej, a teraz Vhari straciła przez nią życie.

To wyznanie winy przeraziło go na nowo, zakrył więc usta ręką i zaczął płakać. Vhari nie żyła. Przez niego. Wiedział, co jej zrobili, bo miał swojego informatora w policji i zadzwonił do niego. Fotel był z boku cały zalany krwią, bo tamten facet obezwładnił ją i wrywał jej zęby obcęgami. Potem uderzyli ją w rękę młotkiem, łamiąc jej dwa palce, które spuchły tak, że zrobiły się dwa razy grubsze niż normalnie. Nie powiedziała im tego, co chcieli usłyszeć, więc w końcu rozłupali jej czaszkę młotkiem. Przechodziła się z salonu do przedpokoju, a jej jasne włosy zostawiały na podłodze szkarłatny ślad. Długa, krwawa, czerwona smuga ciągnęła się przez cały znany mu pokój, pod drewniany łuk drzwiowy, aż do wiktoriańskiego przedpokoju i telefonu. W mózgu Vhari znaleziono kawałki kości czaszki. Nawet gdyby udało się jej wykręcić 999, lekarze nie zdołaliby jej uratować. Dopiero wtedy detektyw przypomniał sobie, że Thillingly ją znał. „Ty chyba kiedyś pracowałeś

z panią Burnett, prawda?" „Dawno temu" - odpowiedział Thillingly, siłąc się na zdawkowy ton.

Niezdarnie próbował wyciągnąć z paczki papierosa zimnymi, nieporadnymi i trzęsącymi się rękami. Zapalił i odrzucił zapalniczkę w trawę. Już jej nie potrzebuje. Nie będzie więcej papierosów, sutych obiadów, meczów piłkarskich w telewizji, kłótni z Dianą, uśmiechów maskujących chodzącą porażkę, za jaką się uważał - i na tę myśl odczuwał niewysłowioną ulgę.

Z papierosem w zębach wstał i poszedł na brzeg. Na nabrzeże prowadziło niewielkie, błotniste wzniesienie. Wyobraził sobie, że najpierw ostrożnie zanurzy w przypominającej wielkiego ślimaka rzecze tylko palce nóg, niczym nimfa rozpoczynająca nocną kąpiel. Ale gdyby spróbował zrobić to w ten sposób, wycofałby się - wymachując rękami i chlapiąc wodą na wszystkie strony, wróciłby na brzeg albo zacząłby wzywać pomocy. Był pierdolonym tchórzem. Dlatego przyszedł tutaj w środku nocy.

Zamykając oczy, żeby wycisnąć spod powiek ostatnią łzę, wycofał się i poszedł na most, starając się nie patrzeć w dół. Ciągle był jednak za blisko: jego ciało może obrócić się w locie, a wtedy wylądowałby na brzegu. Postąpił pięć kroków w bok, wspiął się na barierkę, przywołał w pamięci Vhari w letniej sukience i miękkość jej włosów, a potem skoczył.

Nie bał się, spadając. Wiedział, że woda będzie przeźrażliwie zimna i że spada z tak wysoka, że w momencie zderzenia z rzeką może połamać sobie wszystkie kości, ale pomyślał, że za chwilę wyląduje na miękkiej poduszce, i jego ciało rozluźniło się w jej oczekiwaniu. Spadał wręcz z radością.

Dopiero na sekundę przed uderzeniem o strugę żarłoczej, czarnej wody, Mark Thillingly zrozumiał, że wreszcie nauczył się, jak być odważnym.

Rozdział siódmy

Smutny los umarłych i zaginionych

1

Kate obudziła się przestraszona. Śniła, że siedzi na niej jakiś olbrzymi owad, wbija swoją pustą trąbkę w delikatną skórę na jej czole i wysysa węgier, który okazuje się istnym zbiornikiem ropy. Przebudziła się, gdy zaczęła się bić rękami po twarzy, donośnie bębniąc łokciami o drewnianą podłogę szopy na przystani, przerażona i oszołomiona do tego stopnia, że nie wiedziała, kim jest i skąd się tu wzięła. Usiadła, opierając się o pomarańczową skrzynkę, a potem rozejrzała się wokół i zdała sobie sprawę, że w szopie jest bardzo zimno i wilgotno. Miała szczęście, że nie wychłodziła się na śmierć. Widziała w powietrzu mgielkę swojego oddechu, a miała na sobie tylko lniany kostium i bluzkę. Zgubiła też jeden but.

Kiedy oczy przywykły jej do światła, zrozumiała, że jest w szopie, w posiadłości dziadka. Nad Loch Lomond, na litość boską. Wyciągnęła rękę nad głowę i po omacku sięgnęła na wieko skrzyni. Uśmiechnęła się, czując na palcach chłodny pocałunek tabakierki, ale potem usłyszała warkot silników i zamarła w bezruchu.

Dwa cicho, równo pracujące, dobre auta. Jechały powoli drogą, a kierowcy chyba czegoś szukali... Tak, bez wątpienia. Jeden z nich zjechał już z gładkiego, czarnego

asfaltu na wysypany żwirem podjazd przed domkiem. Ale tylko jeden. Gdyby to byli oni, szukaliby jej i obaj zjechałoby z drogi, żeby ich nie zauważyli przypadkowi kierowcy albo przechodnie. Po chwili jednak Kate usłyszała chrzęst żwiru - to skręcał drugi samochód. Wstała chwiejnie, zdjęła but z drugiej nogi i znów wyrzała z szopy przez szparę między deskami.

Obok siebie stały dwie beemki. Zapadał już zmrok, ale Kate poznała jednego z mężczyzn po charakterystycznym kształcie głowy. Rozpoznałaby go, widząc choćby fragment jego ucha, ramienia albo palca u nogi, bo od tyłu długich lat widziała, jak śpi, je i kocha się z nią. Pamiętała każdy skrawek jego ciała. Z drugiego samochodu wysiadło dwóch młodych osiłków. Jeden z nich był w kozuchu, ale obaj wyglądali na drobnych gangsterów. Psuje swój wizerunek, zadając się z takimi facetami. Nie musiał zatrudniać takich tandetnych zbirów. Na pewno mógłby sobie znaleźć lepiej ubranych chłopców na posyłki.

Uśmiełby się, gdyby ją usłyszał. Kiedyś na pewno tak, ale chyba teraz już nie.

Nie zamknęła drzwi domku, a oni nie zapukali, tylko otworzyli je i weszli. Widziała, jak w przedpokoju zapaliło się jasnożółte światło, promieniujące w mrok chłodnego wieczora. Powinna była siedzieć w domku w bieliźnie i czekać na niego.

Pomyślała o tych dwóch facetach wchodzących do środka, i zachichotała, wyobraziwszy sobie ich zakłopotanie na jej nieodparcie seksowny widok. A on powiedziałby tylko: „Boże, wyglądasz olśniewająco”, i spojrzalby na nią błyszczącymi oczami z tak pożądlivym podziwem, jak pewnego razu w Wenecji...

Spojrziała czule w stronę domku, myśląc, że on tam jest i że jej szuka. Niewiele brakowało, żeby pobiegła do niego, ale w jej otumanionej kokainą główce otworzyła się klapka instynktu samozachowawczego i Kate przy-

pomniała sobie, że Vhari nie żyje - została zamordowana.

Obserwowała domek przez okienko szopy, zastanawiając się, gdzie popełniła błąd. Na chwiejnych nogach po-deszła bezszelestnie do pomarańczowej skrzynki i znowu otworzyła tabakierkę. W środku znalazła oblepioną białym proszkiem łyżeczkę, której przecież nie powinno tam być. Wciągnęła pół porcji, żeby podtrzymać stan lekkiego odurzenia, i pocierając nos, zaczęła płakać, bo nozdrza strasznie piekły ją od wewnątrz i teraz nie mogła już zebrać myśli ani podjąć żadnej decyzji.

2

Los zaczął jej sprzyjać. Paddy wiedziała, że tak - czuła wibracje miasta, odbijające się od szarego betonu i mokrego asfaltu. Siedziała w samochodzie na tylnym siedzeniu, a oczy rozbłyskiwały jej na każde dramatyczne wezwanie przez radio: najpierw odebrali zawiadomienie o bójce sąsiedzkiej, podczas której ktoś został pchnięty nożem, potem o karambolu na autostradzie i dwóch ofiarach śmiertelnych, a teraz o jakimś topielcu. Żadna z tych spraw nie była jednak na tyle spektakularna albo istotna, żeby ją jej odebrać i przekazać jakiemuś lepszemu dziennikarzowi - a zatem jutro w gazecie będzie pełno jej tekstów.

Krażyli po pustych drogach na południowym brzegu rzeki Clyde, w której wartkich nurtach znaleziono zwłoki. Nad spowitym mrokiem nocy miastem osiadała zimna mgła, przypominająca ciężki oddech, który oblepiał dachy przejeżdżających w pobliżu samochodów. Żółte światła latarni ulicznych walczyły z wciąż gęstniejącymi ciemnościami.

Billy zatrzymał się pod stalowym wiaduktem kolejowym, zaciągnął hamulec ręczny i wyłączył silnik, spo-

dziewając się, że będą długo czekać. Paddy pochyliła się naprzód i oboje spojrzeli na drugą stronę ulicy, rozciągającej się za marmurową barierką Glasgow Bridge, gdzie zauważyli czubki czarnych hełmów policyjnych. Wszyscy funkcjonariusze byli zwrócenii twarzami w stronę rzeki.

- Znaczy się, trup - stwierdził Billy, nie widząc na miejscu wypadku karetki pogotowia.

- Tak. Kolejny nieszczęśnik... - odpowiedziała Paddy z nadzieją, że zdobędzie wreszcie ciekawy materiał. - Niech Bóg ma nas wszystkich w opiece.

Billy obserwował ją w lusterku wstecznym; nie bardzo wierzył w jej rzekome zaangażowanie uczuciowe, choć widział, jak bardzo emocjonuje się wydarzeniami dzisiejszej nocy. Paddy spuściła wzrok, otworzyła drzwi i wysiadła.

Kiedy przechodziła na drugą stronę ulicy, na jej ciepłej twarzy i czarnych, wełnianych rajstopach zaczęły osiadać kropelki zimnej mgły, tworzące również czarne plamy na noskach jej botków. Przechodząc przez pusty most i idąc w stronę wysokiego płotu, poczuła zapach zgnilizny, bijący znad skłębionych wód rzeki.

Jej brzeg oddzielało od ulicy wysokie, wiktoriańskie ogrodzenie, pomalowane na czarno i lśniące od wody. Za siatką Paddy ujrziała kilku policjantów w czarnych mundurach. Stali w trawie i spoglądali w dół łagodnego, trawiastego zbocza, przyglądając się komuś pracującemu na wodzie.

Wysokie ogrodzenie było niezbędne, bo pozornie łagodne zbocze, porośnięte zieloną trawą, przechodziło dalej w czarny klif. Oparta o siatkę stała mała, drewniana drabina, ułatwiająca pokonanie przeszkody, a po drugiej stronie podstawiono dla schodzących drewnianą skrzynkę. Nawet bardzo sprawnemu fizycznie policjantowi nie byłoby łatwo przejść przez ten płot bez pomocy, a że nie wszyscy gliniarze byli w dobrej formie, trzymali gdzieś tu w pobliżu ukrytą drabinę - Paddy jednak nigdy nie dowie-

działa się, gdzie. Weszła na górę po jej pięciu szczeblach, przełożyła nogi nad kolcami, którymi najeżone było ogrodzenie, i zsunęła się niezgrabnie na drewnianą skrzynkę po drugiej stronie. Schodząc z niej na ziemię, poślizgnęła się i omal nie skręciła nogi, ale szybko odzyskała równowagę, tak że nikt nie zauważył, co się stało.

Ociekająca wilgocią gęsta mgła opadała nad rzekę i wisiała już tak blisko bulgoczącej wody, że zasłaniała przeciwny brzeg, oświetlony jednak z drugiej strony połyskliwym, żółtym światłem. U stóp klifu jakiś mężczyzna w drewnianej łodzi wiosłowej przyciągał na płyciznę długim bosakiem coś, co unosiło się na powierzchni, wyglądało jak częściowo zanurzony czarny balon, podskakujący w wartkiej, szarej rzece, i usiłowało zerwać się z bosakowego haka.

Mężczyzna na łodzi na przemian popychał i ciągnął zwłoki, przesuwając je coraz bliżej brzegu. Łodziarza wynajmowało Glasgow Benevolent Society, by szukał w rzece topielców, więc co dzień rano patrolował Clyde w poszukiwaniu pechowych pijaków albo samobójców, którzy targnęli się w nocy na własne życie. O tej porze rzadko wzywano go na miejsce pracy.

Paddy podeszła bliżej i stanęła za policjantami przyglądającymi się spektaklowi na rzece. Funkcjonariusze odwrócili się jak jeden mąż i natychmiast zarejestrowali jej obecność, byli jednak już tak przyzwyczajeni, że Paddy nieustannie depcze im po piętach, że kolega, którego opowieści słuchali, nawet nie zadał sobie trudu, by zwolnić tempo narracji.

- Więc zarzuciła sobie koszulę na głowę, a on ją posuwał na stojaka, aż furczało - powiedział, a słuchacze zarzeli w odpowiedzi.

Paddy знаła tego policjanta. Ilekroć się spotykali, odgrywał różne spektakularne scenki dla kolegów, opowiadając przy tym długie historie, w których występowała

zazwyczaj jakaś obnażona do pasa kobieta. Był autentycznie zabawny. Paddy już kilka razy sama śmiała się z jego opowieści, a nawet zamierzała mu powiedzieć o Dubie i klubie kabaretowym.

Tymczasem doszła jednak do wniosku, że powinna zaanonsować swoje przybycie.

- Co tu się stało?

- Jakiś gość się utopił - odpowiedział żartowniś. Paddy rozejrzała się wokoło. Ulica była pusta, a mgła

gęsta.

- Jak to możliwe, że ktoś go zauważył w takim mleku?

- Jakaś parka, wracając z klubu nocnego, chciała gdzieś zadzwonić z budki telefonicznej. Wtedy zobaczyli, jak miota się w wodzie. - Policjant wskazał brodą kierunek. - Znaczy z mostu.

- „Chodź na most” - zaintonował drugi policjant, próbując parodiować Jamesa Browna, ale bez powodzenia. Nastąpiła krótka, ponura pauza.

- No tak, zupełnie jak w tej piosence - odpowiedział dowcipny gliniarz, uśmiechając się, ale nie śmiejąc się głośno.

Lodziarz przyholował wreszcie ciało na brzeg i zawołał policjantów, żeby zeszli na dół i wyciągnęli je z wody.

- Och, Chryste Panie - odezwał się znów żartowniś. - Będziemy potem przez cały dzień śmierdzieć tą jebaną rzeką.

Woda wezbrała po ulewnych deszczach, więc stromy klif wystawał teraz zaledwie o trzy stopy ponad jej powierzchnię. Kiedy policjanci schodzili ostrożnie na brzeg, Paddy przesunęła się na bok, by dobrze przyjrzeć się zwłokom. Nigdy dotąd nie widziała topielca. Trupy w rzece znajdowano zwykle za dnia, już po jej dyżurze. Clyde jako miejsce samobójstwa upodobała sobie szczególnie młodzież i wariaci - skok z mostu do wody był aktem impulsywnym - ale ten nieboszczyk był zbyt duży jak na

nastolatka. Czarny balon z jednej strony objął się o burzę łodzi, a z drugiej o brzeg.

Żartowniś i drugi gliniarz chwycili trupa za przemoczone ubranie, po czym wyciągnęli go z wody na „trzy”. Wyprostowali się, cofnęli pod ciężarem martwego ciała i po kolejnym szarpnięciu topielec wylądował na błotnistym brzegu.

Trup przekreślił się na plecy i wszyscy odsunęli się od niego z obrzydzeniem. Był to trzydziestokilkuletni, gładko ogolony mężczyzna. Miał otwarte oczy, grzbiet nosa zmiażdżony od uderzenia o jakiś twardy przedmiot i rozdarty policzek, który wyglądał, jak rozwijający się mięsisty kwiat. Rana była tak głęboka, że Paddy dostrzegła błyski białej kości policzkowej. Jedno ucho topielca zwisało nienaturalnie nisko i nieco z tyłu głowy. Żołądek podszedł Paddy do gardła i ogarnął ją wstręt, ale trup przyciągał wzrok, zerkając więc na jego krwawe rany i próbowała ułożyć w myślach kawałki układanki - usiłowała zrozumieć, co się stało.

- No i jak uważacie? - Żartowniś cofnął się i spojrzał na topielca. - Wrzucono go do rzeki czy popełnił samo bójstwo?

Policjanci otoczyli ciało ciasnym kręgiem.

Zażywny funkcjonariusz, który nie odezwał się dotąd ani słowem, pochylił się nad ciałem i grubszym końcem długopisu zakrył makabryczną ranę płatem obwisłej skóry. Ucho wróciło wtedy na swoje miejsce niczym klamka u drzwi, którą ktoś nacisnął i zaraz puścił.

- Tak... Twarz rozerwała mu jakaś gałąź albo podwodna skała. A rana na nosie powstała chyba wskutek zderzenia z jakimś twardym przedmiotem. Moim zdaniem to było samobójstwo.

Paddy nie chciała dać po sobie poznać, że się boi, skupiła się więc na oczach topielca, otwartych, bez wyrazu i otoczonych drobnymi czarnymi cętkami błota, które

zachlapało mu twarz, gdy policjanci wyciągali go z rzeki. Twarz mężczyzny była przeraźliwie blada, a kiedy oczy Paddy zabląkały się znów na jego policzek, rysy nieznanego wyostrzyły się jakby i znowu wyraźnie ujrzała krwawą ranę, przypominającą teraz nabrzmiałą czarną łądę. Grzbiet nosa mocno spuchł, a jego pomarszczoną skórę przecinała cienka rana. Samobójca zgubił gdzieś jeden mokasyn i pod przemoczoną jedwabną skarpetką wyraźnie rysował się kształt jego stopy: ostry paznokieć wielkiego palca u nogi wrzynał się w tkaninę.

- No, dość tego - powiedział zażywny policjant i zrobił krok w tył. - Na wszelki wypadek zgłoszę to jako podejrzenie morderstwa.

Odszedł na bok, do radiowozu i radiotelefonu.

Paddy ciągle przyglądała się zwłokom, próbując zapamiętać szczegóły, by następnie wykorzystać je w tekście. Mężczyzna mógł mieć trzydzieści parę lat, był mocno otyły i wstydził się swojej nadwagi: wiedziała coś o tym. Pod długim, luźnym płaszczem nosił koszulę w podłużne paski. Ludzi, którzy nie cierpieli swojego wyglądu, Paddy potrafiła wyczuć przez ścianę. Płaszcz topielca miał prosty krój, podwinięte rękawy, wąskie klapy i skośne kieszenie, a nogawki jego jasnoszarych obszernych spodni, z zakładkami w pasie, zwężyły się ku dołowi i kończyły wąskimi mankietami.

Żartowniś przeszukał topielcowi kieszenie, wyciągając z jednej kilka kłębków chusteczek higienicznych. W wewnętrznej kieszeni płaszcza znalazł portfel i otworzył go jednym szybkim ruchem.

- Pieniądzy nie ukradziono. Jest tu dwadzieścia funtów. Gość mieszkał w Mount Florida. Miał trzydzieści dwa lata. - Policjant wyciągał z portfela karty kredytowe, legitymacje i inne przemoczone papiery, oglądał je i niedbale odrzucał na ziemię. - Karta kredytowa Visa. Legitymacja członkowska Law Society. Legitymacja prezesa miejsco-

wego oddziału Amnesty International i Child Poverty Action Group. Wygląda na to, że był święty jak matka Teresa. Nazywał się Mark Thillingly.

- Może ktoś go zabił za takie chujowe nazwisko' - powiedział nieśmieszny gliniarz, ale wszyscy mimo to się roześmiali, żeby rozładować atmosferę.

Nie śmiał się tylko łodziarz. Wciąż siedział w łodzi u stóp klifu i pomimo potężnych wirów utrzymywał ją w bezruchu, posługując się w tym celu jednym wiosłem. Paddy zauważyła jego spojrzenie nad głowami policjantów i pomyślała, że łodziarz nie utracił współczucia dla ludzi, których wyciągał z wody. Pracował na rzece od ponad dziesięciu lat, a dziewczyna wiedziała, że ten zawód wykonywał przedtem jego ojciec, jeśli więc ktoś z obecnych naprawdę potrzebował się roześmiać, by dodać sobie otuchy w obliczu smutnego losu umarłych i zaginionych, był to mężczyzna na łodzi.

-Thillingly - powtórzył ten nieśmieszny i znowu zachichotał, zadowolony ze swego dowcipu. - W dodatku był prawnikiem.

- Nic tu po mnie. - Łodziarz podniósł rękę, a jego drewniana łódź zanurzyła się z powrotem w zaspę mgły.

Policjanci wpatrywali się w bezwładne ciało, spoczywające na zmarzniętej ziemi. Czekali, aż łodziarz odpłynie poza zasięg ich głosów; nie byli pewni, kiedy to nastąpi, ale w końcu żartowniś powiedział to, co myśleli wszyscy z wyjątkiem Paddy:

- To jakiś dupek.

Nazwisko topielca pochodzi od słowa „thill”, oznaczającego m.in. „wał”, „drzewce” albo „dyszel” (przyp. tłum.).

3

Kate obserwowała domek przez szparę w ciemnych deskach przez ponad godzinę, nasłuchując odgłosów tłuczenia szkła i łamania mebli. Wiele z nich zrobiono na zamówienie pod koniec dziewiętnastego wieku, gdy jej prapradziadkowie zbudowali ten dom. Na przykład kredens w kuchni to prawdziwy zabytek. Jeżeli rozwałą wszystko, Kate nie dostanie za dom nawet pół ceny.

Nie powinien był tego robić. Nie musiał. Przecież nie wyjechałaby, ukrywszy paczkę w domku. To niedobrze, że on tego nie wie.

Od wpatrywania się w odległy domek poprzez bezlistne drzewa zaczynały ją już boleć oczy. Kilka razy widziała, jak mężczyźni wracali do samochodów po różne narzędzia, więc kiedy żółte światło w przedpokoju przesłoniła na chwilę potężna sylwetka osiłka w kożuchu, Kate uznała, że facet wychodzi znów przynieść coś z bagażnika. Mężczyzna minął jednak samochód, nie zainteresował się jego bagażnikiem ani drzwiami, i poszedł dalej, przystając tylko na chwilę na poboczu, żeby się rozejrzeć. Powoli odwrócił głowę, wypatrując ruchu wśród drzew, i Kate wstrzymała oddech.

Facet w kożuchu przerwał obserwację terenu, kiedy zauważył szopę na przystani. Wyciągnął szyję i przyjrzał się jej ponownie, a potem lekkim jak na tak potężnego mężczyznę krokiem przeszedł na drugą stronę drogi. Szedł niemal na palcach, z wyciągniętymi rękami, żeby utrzymać równowagę na błotnistym zboczu, a kiedy pod jego nogami trzaskały łamane gałązki, wahał się przez chwilę przed kolejnym krokiem. Mimo to było widać, że kieruje się do szopy. Kate odsunęła się od zbutwiałych desek w ścianie, szukając po omacku pomarańczowej skrzynki i tabakierki. Musiała się gdzieś ukryć. Spojrzała na zwisającą spod sufitu łódkę. Była drobną, szczupłą dziewczyną, ale nie

sądziła, żeby te sznury mogły utrzymać jej ciężar. Potem spróbowała podnieść wieko pomarańczowej skrzyni, chociaż wiedziała, że jest zamknięta na klucz, bo zawsze się ją zamyka, a klucz wisi w domku, w spiżarni, nad półką z filiżankami.

Podniosła wzrok na umocowane na ścianie wiosła, które wydały się jej zbyt nieporęczne. Zanim się dobrze zamachnie, mężczyzna zdąży złapać ją za ramię, więc Kate chwyciła swój but, tuląc go do piersi razem z tabakerką i przywierając plecami do ściany za drzwiami.

Słyszała, jak facet się zbliża, idąc po lepkiem, gęstym błocie i mokrych, gnijących liściach. Był już pod drzwiami szopy, ale przystanął znowu, żeby się rozejrzeć. Nie zobaczy stąd jej samochodu, wystarczy jednak, że przesunie się dziesięć kroków dalej na północ, a od razu zauważy jego maskę, domyśli się, że Kate jest w posiadłości, i zaalarmuje swoich towarzyszy.

Mężczyzna postąpił krok naprzód - Kate była pewna, że w stronę szopy - a potem jeszcze jeden; tak, na pewno tu idzie. Obłą klamka obróciła się cicho i powoli, drzwi się uchyliły. Facet zawahał się, zanim wkroczył w mrok.

Drewniana podłoga jęknęła pod jego ciężarem - i nic dziwnego, bo osiłek był naprawdę potężnie zbudowany. Mierzył sześć stóp wzrostu, a ona zaledwie pięć stóp i pięć cali, i miał szerokie, nieco spadziste bary, jak byk. Stał w szerokim rozkroku, odwróciwszy głowę w prawo, i przyglądał się zwisającej spod sufitu łodzi, wiosłom oraz deskom pomostu, zastępującym podłogę. Postąpił krok naprzód, by wyjrzeć przez szparę w ścianie, i wtedy Kate zrozumiała, że to jest jej jedyna szansa.

Rzuciła się na niego jak szalona z butem w rękę, trzymając pantofel za nosek, by zadać cios obcasem, nieco z boku. Niewiele brakowało, a uderzyłaby go w ramię, ale w chwili, gdy zaatakowała, mężczyzna zrzędzeniem losu odwrócił głowę w lewo. Twardy trzycalowy obcas szpilki

wbił mu się w oko, sięgając aż cienkiej kości czaszki, a Kate odniosła takie wrażenie, jak gdyby przebiła ołówkiem papierową membranę.

Mężczyzna osunął się na kolana z wdziękiem ogłuszonego buhaja, po czym zachwiał się i upadł na bok, przekręcając tkwiący w jego oczodole obcas i zatraskując za sobą drzwi wejściowe. Bark osiłka przebiegł dreszcz, jakby wzruszał ramionami.

Kate otworzyła tabakierkę i dygocząc na całym ciele, wciągnęła do nosa porcję kokainy zupełnie fristajlowo, stojąc w wilgotnej ciemności na przystani w posiadłości swojego dziadka, w szopie, nad martwym ciałem obcego mężczyzny. Po chwili, opanowawszy znowu drżenie rąk, wyciągnęła szpilkę z oka nieznajomego, włożyła but na nogę, odciągnęła trupa od drzwi, otworzyła je i weszła między drzewa.

Zbiegła na dół do swojego samochodu i znalazła przy nim drugi pantofel, tkwiący w błocie pod takim kątem, że z daleka można by pomyśleć, że nad jeziorem stoi niewidzialna, jednonoga kobieta. Szok nieoczekiwanie nappełnił Kate nieznanym jej wcześniej stoickim spokojem. Włożyła drugi but, wsiadła do wozu i płynnie wyjechała tyłem na drogę z maleńkiej, ale głębokiej i ciemnej dolinki.

Włączyła światła dopiero, kiedy bezpiecznie minęła domek, a potem niezauważona przez nikogo ruszyła wzdłuż jeziora z powrotem do Glasgow.

Rozdział ósmy

Ojczyzna włóczęgów i dziwek

1

Dochodziła druga trzydzieści nad ranem i na ulicach było tak pusto, że nie musieli siedzieć policjantom na ogonie, żeby nie stracić z oczu radiowozu. Paddy siedziała z tyłu, słuchając radia tylko jednym uchem. Nie mogła uwierzyć, że zaproszono ją, by wzięła udział w rozpoczynającym się śledztwie w sprawie o morderstwo. Zwykle policja starała się trzymać dziennikarzy z dala od rodzin ofiar, gdy trzeba było zawiadomić ich bliskich o nieszczęściu, jednak kiedy odjeżdżali z miejsca wypadku nad rzeką, nieśmieszny policjant najpierw połączył się z kimś przez radio, a potem zaproponował, żeby Paddy pojechała z nimi. Jeśli ma ochotę.

W roli zwiastuna złych wieści miała występować po raz pierwszy. Wizyta u pogrążonej w rozpacz rodziny i próba wyłudzenia albo wręcz wykradzenia fotografii zmarłego należała do najbardziej hańbiących i niewdzięcznych zadań, jakie zlecano młodszym dziennikarzom. Pewnie dlatego opierzonych, doświadczonych żurnalistów zawsze przebiegał dreszcz na wspomnienie wizyt w domach tragicznie zmarłych.

- Nie będziesz się za bardzo naprzykrzać jego żonie, co? - zapytał Billy zza kierownicy.

- Nie. Zresztą to nie był mój pomysł. Policja mnie zaprosiła.

- To była ich propozycja?

- Owszem. To oni wyszli z taką inicjatywą.

Billy skinął głową, uniósł brwi i znów zamilkł. Paddy miała wrażenie, że w szumie i trzaskach radiowych słyszy jego wyrzuty: zdaniem Billy'ego nie powinna była się zgodzić na odwiedzinę w domu tego topielca. Gdyby to polecenie wydał jej jakiś skurwysyn z redakcji, to byłaby inna sprawa, wtedy nie miałyby wyjścia, ale i tak powinna była dać rodzinie zmarłego chociaż kilka godzin, żeby zdążyli ochłonąć po otrzymaniu tragicznej wiadomości. Teraz Paddy zrozumiała, dlaczego McVle szybko stracił cierpliwość do Billy'ego i uważał, że jest irytujący.

Wciąż jadąc za radiowozem, dotarli do Mount Florida i skręcili w lewo, w szeroką, krętą ulicę, przy której stały głównie duże domy, tak zwane bliźniaki, z ogrodami od frontu i żywopłotami, zasłaniającymi widok od strony chodnika. Samochód, za którym jechali, zatrzymał się za innym wozem policyjnym, który zaparkował już przy krawężniku.

Billy stanął za drugim radiowozem i odwrócił się do niej.

- Nie będę męczyć rodziny tego faceta, Billy - powiedziała nieco asekurancko Paddy. - Ale muszę z nimi porozmawiać... Bo po prostu muszę. Na tym polega moja praca. Nie mogę się wycofać tylko dlatego, że można to uznać za trochę niedelikatne.

- To jest niedelikatne, ale więcej niż trochę.

W tym momencie otworzyły się drzwi pasażera pierwszego radiowozu i dopiero teraz Paddy zrozumiała, dlaczego policjanci ją tu zaprosili - bo z auta wysiadł Tam Gourlay. Widocznie usłyszał przez radio, że Paddy jest nad rzeką, i poprosił kolegów, żeby ją tu przywieźli. Od razu podszedł do wozu reporterskiego. Był w rozpiętym mundurze i szarpiąc pasek, podciągał do góry za luźne

spodnie. Nie zajął nawet do środka, tylko trzy razy gwałtownie zastukał w szybę, nakazując w ten sposób, by Paddy wyszła.

Otworzyła drzwi i wysiadła, ale po chwili wsunęła jeszcze głowę do auta:

- No to w porządku - powiedziała, chcąc stworzyć wrażenie, że kontynuuje rozmowę ze swoim kierowcą. - Zawołaj mnie, jeżeli usłyszysz coś ciekawego przez radio, dobrze, Billy?

Billy kiwnął głową i zrobił zdziwioną minę. I tak by ją zawołał, ale Paddy widocznie chciała podkreślić, że nie jest sama. Potem zamknęła drzwi.

Tam zajął do środka przez szybę i zobaczył, jak Billy pochyła się naprzód, sięgając po papierosy leżące na desce rozdzielczej.

- Czy wczoraj w nocy był z tobą ten sam kierowca?

Paddy wzięła Tama pod rękę i odciągnęła go od samochodu w czarny cień pod mokrym, ociekającym wodą żywopłotem.

- On nie ma nic wspólnego z takimi jak ty, więc zostaw go w spokoju.

- Kto to jest?

- Billy jeździ w „News” od początku świata. Nie wciągaj go w tę sprawę.

Tam zmierzył Billy'ego wzrokiem, mrużąc oczy i usiłując przybrać groźną minę.

Z drugiego radiowozu wysiadło dwóch funkcjonariuszy: nieśmieszny i jeszcze ktoś, ale nie tamten żartowniś, który zapewne pełnił już służbę gdzie indziej.

Na końcu długiego ogrodu stał niewielki domek z lat trzydziestych. Paddy obserwowała zza żywopłotu dwóch umundurowanych policjantów idących szarą zwirowaną ścieżką, biegnącą na skos przez zarośnięty krzakami trawnik. Szli z głowami zwieszonymi pod straszliwym ciężarem obowiązku, który musieli spełnić.

- Ładny dom - zauważyła w nadziei, że Tam znalazł się tu przypadkowo, a ona znów trafi na jakiś ciekawy materiał.

- Ten topielec to prawnik z bogatej rodziny. Bezdzienny.
- W głosie Tama pobrzmiwała gorycz. - Na pewno spał na forsie.

- Więc nie utopił się dlatego, że miał długi?

Tam nagle zmienił temat.

- Byłaś na komendzie w Marinę u Sullivana i Reida. Podobno rozmawialiście o tamtych furach.

Znowu zaczynał odgrywać rolę twardziela.

- O „furach”? O co ci chodzi? Fura to znaczy samo chód, tak?

Tam nieco bojaźliwie skinął głową.

- A ty dlaczego im o tym nie powiedziałeś? Czy nie powinniśmy powiedzieć im wszystkiego, co wiemy, żeby jak najszybciej złapali tego potwora, który zamordował Vhari Burnett? Co, jeszcze go nie znaleźli?

Tam uśmiechnął się szyderczo, patrząc na nią z góry.

- A ty na pewno powiedziałaś im wszystko?

Za żywopłotem, na końcu trawnika, rozległ się w nocnej ciszy rozpaczliwy kobiecy głos:

- Nie!

Gourlay zmierzył Paddy uważnym spojrzeniem. Za jego głową połyskiwały mięsiste listki żywopłotu i na ramię policjanta spadło kilka kropli lepkiej rosy, wyglądającej teraz jak plwocina.

- Tam, dlaczego kazałeś im mnie tu przywieźć?

Obejrzał się przez ramię.

- Trzymaj głowę na kłódkę - mruknął. - Bo my wiemy o tobie co najmniej tyle, ile ty o nas.

Widział, jak brała pieniądze, i sugerował, że to niejedyny grzech obciążający jej sumienie - ale poza przyjęciem tej łapówki dziewczyna nigdy nie zrobiła nic złego. Gourlay nie mógł mieć zielonego pojęcia, jak banalne

i nudne życie Paddy prowadzi. Uśmiechnęła się do siebie, bo groźba zdemaskowania wydała jej się nieodparcie śmieszna, i po chwili wybuchnęła śmiechem. Aż cała się trzęsła, zakrywając ręką nos i usta.

- Co ty tam o mnie wiesz... - Przecisnęła się obok niego.
- Jesteś pierdolonym idiotą, Gourlay.

Wsiadła z powrotem do swojego wozu, zadowolona, że uwolniła się od Tama. Chwyliła już klamkę, żeby zatrzaskać drzwi, kiedy na tle radiowych szumów wyraźnie usłyszała jego głos:

- Dopadniemy cię.

2

Paddy stała nad elektrycznym czajnikiem, przyglądając się kropelkom wody osiadającym wokół dzióbka, z którego po chwili buchnął strumień pary. Podstawka zaczęła drżeć i niewiele brakowało, by woda wylała się na lodówkę, na której stał rozdygotany czajnik - jednak wyłączył się na czas i znieruchomiał.

Policja powinna była już aresztować tego przystojniaka z willi pani Burnett. Przecież Tam i Dan umieliby dokładnie go opisać, a poza tym Paddy była pewna, że Dan go znał.

Wciąż miała przy sobie te pięćdziesiąt funtów. Mogła je oddać na przechowanie Sullivanowi, ale bała się, że policjant nie zachowa sprawy w tajemnicy. Co prawda, może zmusiłaby go do milczenia, gdyby się uparła, by potem zwrócono jej banknot. W końcu najlepiej uniemożliwić gliniarzom doprowadzenie dowodu rzeczowego, nie rozpowiadając wszystkim dookoła, że znajduje się on na komendzie - bo policjanci słynęli z lepkich palców. Czytała w jakiejś gazecie, nad którą ślęczała pewnego razu w środku nocy, że najwięcej książek na wyższych uczelniach kradną studenci prawa i teologii. Miała to być infor-

macja budząca zdziwienie, ale jej wydała się logiczna, bo ostatecznie to chyba studenci właśnie tych kierunków zadają sobie najczęściej pytanie: „Ach, a dlaczego by nie?”

Zalała wrzątkiem kawę i mleczko w bardzo dużym, mieszczącym ponad pintę płynu dzbanku. Przywiozła go kiedyś z domu do redakcji i trzymała w szafce z przyborami do pisania. Potem usiadła przy biurku, wyciągnęła z szuflady już nieco wymięte przedwczorajsze gazety, a później pootwierała je wszystkie na stronach, na których pojawiały się informacje o „lasce z Bearsden” - przyrzekając sobie, że je dokładnie przeczyta, gdy tylko wykona swoje bieżące zadanie i napisze informację o Thillinglym.

Nie zamieściła w notce żadnych sensacyjnych szczegółów: nie wspomniała o jego rozerwanym policzku, modnym płaszczu ani schludnym domku z ogrodem, w którym zapewne spędzał wszystkie weekendy. Mogła napisać o zmarłym tylko cztery suche linijki, pozbawione wszelkich uczłowiczających go akcentów. Nikt by jej nie zabronił spróbować napisać tego tekstu inaczej, ale w gazecie obowiązywał właśnie suchy styl i żaden redaktor prowadzący nie puściłby do druku nic innego. Mimo to napisanie tych czterech nudnych linijek zajęło jej niemal pół godziny.

Z tekstem w ręku poczłapała do Larry'ego Szarej Wargi, który czytał jakąś książkę o czarnym grzebicie, z serii Penguin Classics, i nie podniósł na nią wzroku, gdy Paddy szła w jego stronę przez cały szeroki news room. Przez chwilę czekała, stojąc nad jego biurkiem, a potem krzyknęła: „Co jest, do kurwy nędzy!” tak głośno, że facet drzeмиący na sąsiednim biurku natychmiast drgnął, podniósł ciężką głowę i rozkleił opuchnięte powieki, by sprawdzić, co się dzieje. Wtedy, nie podnosząc wzroku znad książki, Larry wskazał stojący przed nim szpikulec. Paddy cmoknęła, nadziała swój tekst na ostrze i poszła zaparzyć sobie jeszcze jeden dzbanek mocnej kawy.

News room był sercem gazety. Mieścił się w wielkiej sali, w której biurka stały zsunięte w wielkie podkowy w trzech działach: informacyjnym, sportowym i reportażowym. Na każdą biurkową nogę przypadała jedna duża stalowa maszyna do pisania. Paddy знаła stenografię, ale wciąż bała się szybko pisać na maszynie na oczach kolegów: i tak wszyscy brali ją za sekretarkę. Poza tym chodziły słuchy, że pisanie na maszynie w trzech kopiach przez dwie kalki to już ginąca sztuka. W Londynie powstała właśnie nowa gazeta codzienna, pisana i składana wyłącznie na komputerach. Następnie teksty wysyłano pocztą elektroniczną, za pomocą łączy telefonicznych, do mieszczącej się w innym budynku drukarni, poważnie obniżając w ten sposób koszty produkcji.

Redaktorzy działów siedzieli na łuku podkowy, w którą były ustawione stoły, wydając dziennikarzom polecenia, szatkując ich teksty albo odsyłając je do poprawek. Z lewej strony, za murem potężnej, dębowej ławy dla gości, mieścił się gabinet Farquarsona.

W news roomie panowała cisza. Dziennikarze przy biurkach oddychali równo i miarowo, jak stado śpiących wilków. Najgorszy okres na nocnym dyżurze przypadał pomiędzy czwartą a szóstą rano, kiedy czas i przestrzeń zaczynają płatać figle. Krótkie chwile potrafią wtedy ciągnąć się w nieskończoność, a potem, zupełnie nieoczekiwanie, zwykle odwrócenie głowy może zająć człowiekowi nawet czterdzieści pięć minut. O tej porze dziennikarze rzadko mieli coś do roboty, ale musieli tkwić na swoich stanowiskach na wypadek, gdyby umarła nagle królowa matka albo gdyby wybuchła jakaś wojna.

Członkowie zespołu kręcili się po pogrążonym w półmroku news roomie. Mieli przekrwione oczy, a w rękach trzymali z reguły gazety albo książki. Niektórzy gasili światła i rozsądnie próbowali zażyć choć jednej godziny snu, wspierając głowy na biurkach, więc sala zamieniała

się chwilami w zaimprovizowane dormitorium. Chrapanie i przygaszone światło utrudniało jednak czuwanie pozostałym, więc śpiochy po przebudzeniu często stwierdzały, że ktoś zeżarł ich kanapki albo wysmarował im włosy korektorem. Od czasu do czasu wybuchały także awantury, gdy jakiś podpity dziennikarz zaczynał rzucać po pokoju, czym popadło, i składać pompatyczne oświadczenia w rodzaju: „Ochodzę, i niech szlag trafi tych wszystkich skurwysynów”. Koledzy na nocnym dyżurze dobrze rozumieli jednak paranoiczną potrzebę takiego wybuchu, po przyjacielsku trzymali więc całą sprawę w tajemnicy, kazali sprzątaczkom usuwać ślady wszelkich zniszczeń i połamane przedmioty, a co za tym idzie, nie wspominali także ani słowem o awanturze następnej nocy, kiedy wracali wszyscy do swoich biur, by znowu zaznać rozkoszy deprywacji sensorycznej, wywołanej brakiem snu.

Paddy zamruwała powiekami, by złagodzić ból piekących oczu, i pociągnęła potężny łyk kawy z mlekiem, zabierając się do lektury tekstów o „lasce z Bearsden”.

Vhari Burnett pochodziła z zamożnej rodziny, która przed laty zbiła fortunę w przemyśle włókienniczym - następne pokolenia powoli roztrwaniały jednak rodzinny majątek. Oczekiwano, że po śmierci dziadka Vhari, który zmarł przed trzema miesiącami, Burnnettom przybędzie nagle sporo gotówki, okazało się jednak, że w ich budżecie rodzinnym ziele ogromna dziura.

Tekstowi towarzyszyła archiwalna fotografia z pogrzebu dziadka zamordowanej. Zdjęcie przedstawiało grupkę ludzi w odświętnych czarnych żałobnych strojach, którzy witali się z pastorem o jakby gotyckim obliczu na schodkach przed małym, ponurym kościółkiem. Vhari stała obok jakiegoś młodego mężczyzny o kwadratowej twarzy. Na fotografii miała o wiele dłuższe włosy, niż kiedy widziała ją Paddy, wyglądała jednak fatalnie, jak pudel, bo skłębione kędziory sterczały jej na boki, z tej strony upięte spinką,

a z tamtej zwinięte w koczek. Jej twarz pod całym tym fryzjerskim bałaganem była ledwo widoczna - Paddy rozpoznała jedynie ostry podbródek i smukłą szyję dziewczyny. Po pogrzebie Vhari na pewno ostrzygła się na krótko, ale kiedy się spotkały, miała już proste włosy, a żeby pozbyć się takiej ondulacji, trzeba było więcej niż trzech miesięcy. Czyżby kazała sobie wyprostować włosy? Ciekawe, bo taka trwała musiała kosztować ponad pięćdziesiąt funtów, podobnie jak późniejsze prostowanie.

Początkowo Paddy sądziła, że Vhari była pozbawioną społecznej wrażliwości mężatką, rozkaprysoną i rozpieszczoną księżniczką, która nigdy nie musiała oszczędzać, żeby opłacić sobie kurs nauki jazdy. Okazało się jednak, że pani Burnett po ukończeniu studiów prawniczych podjęła pracę w Easterhouse Law Centre, a później w izbie skarbowej jako prokurator. Zaangażowanie polityczne i wybór zawodu nie pasowały do wielkiego domu ani do fryzury zamordowanej.

Paddy skserowała zdjęcie z pogrzebu, złożyła je na pół, gdy tylko toner wysechł, i wsunęła do kieszeni. Stała w pokoju technicznym i raptem zakreśliło się jej w głowie od lepkiego smrodu farby, który zawsze wisiał tam w powietrzu, kiedy równie nagle, z szybkością błyskawicy, olśniła ją pewna myśl: zarówno Vhari Burnett, jak i Mark Thillingly byli prawnikami i oboje należeli do Amnesty International. Musieli się więc znać. A przecież zginęli w odstępie jednego dnia.

3

W Brigade panował spory ruch i wszyscy zajmowali się własnymi sprawami, nie zwracając uwagi na siedzącą w kącie zmęczoną kobietę. We włosach miała zeschnięte liście, a na czole i nosie zakrzepłą krew. Była ubrana w drogą, mar-

kową garsonkę, ale kiedyś chyba lepiej się jej powodziło. Bil od niej niezwykły zapach, jakby brudu i curry, więc można by pomyśleć, że co najmniej od tygodnia nie zdejmowała z siebie przeпоconego ubrania, nawet na noc.

Do stolika podeszła gruba kelnerka o opuchniętych, czerwonych jak konserwowa wołowina nogach, i przyjęła zamówienie Kate, nie patrząc na nią i nie zwracając uwagi na jej wygląd. Lekko odchyliła głowę do tyłu, zapisała w notesie „lx herbata, 1 x naleśnik”, po czym wycofała się z kręgu nieprzyjemnego zapachu. Nie zdarzało jej się to po raz pierwszy. Brigade leżała w tej części miasta, gdzie mieszkali ludzie, którym nie wiodło się w życiu. Tutaj, w tej knajpie, leżącej pomiędzy pchlim targiem, kostnicą i tanimi barami, gdzie sprzedawano bulion rybny i nóżki wieprzowe, spotykali się głównie włóczędzy, dziwki i różnego rodzaju wykolejeńcy. Dzielnica ta należała do nich od średniowiecza - tu, w swojej ojczyźnie straceńców, mogli chodzić z podniesioną głową i nikt się im nie przyglądał podejrzliwie. Kate nigdy tu wcześniej nie była. Przejżdżała tylko tędy samochodem, często przypatrując się zza szyby miejscowemu safari z fascynacją, ale bez wzruszenia.

Brzydka kelnerka przyniosła jej herbatę w niedomytym kubku i niemal rzuciła talerz, który zagrzechotał na stoliku, wirując przez chwilę wokół własnej osi, zanim zastygł w bezruchu.

Kate nie mogła się zmusić do jedzenia. Wiedziała, że to nie jest dla niej odpowiednie miejsce, więc doprowadzi się tylko trochę do porządku w kiblu i trochę tu jeszcze posiedzi - poczyta gazetę, żeby zabić czas. Potem pojedzie do Archiego. Archie jej pomoże.

4

Paddy skryła głowę w dłoniach i przetarła oczy.

- Czy mogę już iść? Nie spałam całą noc.

Siedziała znów w małym, szarym pokoiku w Partick Marine, w towarzystwie Sullivana i Reida. Obaj mieli zaróżowione, wypoczęte twarze ludzi, którzy się dobrze wyspali i byli już po śniadaniu. Dalej, z korytarza, dobiegały głosy policjantów dużej, ruchliwej komendy, szykujących się do rozpoczęcia kolejnego dnia pracy. Drewniany podest trzeszczał pod nogami kręcących się po nim funkcjonariuszy, a przy innych biurkach w gabinecie zasiadali kolejni policjanci, wracający właśnie z porannej odprawy.

Reid i Sullivan trzymali w dłoniach kubki z herbatą i przyglądali się leżącej na biurku przezroczystej plastikowej torbie z dowodem rzeczowym. Zakrzepla krew na wciśniętym do środka pięćdziesięciofuntowym banknocie pozostawiła rdzawy osad na szwie torebki, uwagę Paddy przyciągała jednak raczej leżąca obok paczuszka z pełnoziarnistymi herbatnikami, niedbale rozdarta z boku. Na dokumentach leżało pełno okruchów. Z czerwonego opakowania kusząco wystawał brązowy koniuszek herbatnika, obiecując Paddy upojną ucztę, pełną węglowodanów. Chciała zostać sam na sam z tymi ciastkami.

- Dlaczego nie powiedziała nam pani o tym wczoraj wieczorem?

- Nie wiedziałam jak. Ale zamierzałam to zrobić. Nie pamięta pan, że zawahałam się w drzwiach?

Sullivan zerknął w ich stronę, jak gdyby Paddy ciągle stała w progu, i skinął łagodnie głową. Reid spróbował przejąć inicjatywę.

- Skąd możemy wiedzieć, że nie dostała pani tej forszy od kogoś innego?

Była to sugestia absurdalna, ale Paddy nie chciała się z nimi kłócić, tylko wrócić do domu. Odetchnęła głęboko.

- Bałam się wam o tym powiedzieć, bo nie chciałam, żeby sprawa się wydała.

Podniosła na nich wzrok, ale obaj unikali jej spojrzenia. Sullivan nagle zaczął poprawiać swój zupełnie prosto związany krawat, a Reid przyglądał mu się, obserwując starszego partnera w poszukiwaniu wskazówek, jak się powinien zachować.

- Niech pani posłucha: ta historia i tak wyjdzie na jaw - odpowiedział Sullivan. - Wszczynamy śledztwo w sprawie interwencji w domu „laski z Bearsden”. Będzie pani przesłuchana. W policji niczego nie da się utrzymać w tajemnicy, więc lepiej niech pani powie o wszystkim swojemu szefowi, bo inaczej dowie się o tym z innego źródła.

Żołądek podszedł Paddy do gardła na myśl, że będzie musiała opowiedzieć Farquarsonowi, co zrobiła.

- Powtórzmy więc jeszcze raz - zaproponował Reid. - Przyjęła pani łapówkę, ale mimo to opublikowała informację?

- Właściwie to nie była łapówka. Ten facet po prostu wcisnął mi banknot w dłoń i zatrzasnął drzwi. To spora sumka. - Spojrzała tęsknie na swoje pięćdziesiąt funtów, a potem znów na Reida, zagniewana, jak gdyby usiłował je jej ukraść. - Nawiasem mówiąc, chciałabym je odzyskać, zwłaszcza jeżeli do niczego się wam nie przydadzą. Jeżeli nie, to chcę je dostać z powrotem jak najszybciej.

-Zwrócimy pani pieniądze - odpowiedział Sullivan, z wolna opuszczając powieki.

Paddy uniosła palec, by zwrócić jego uwagę.

- Tylko niech pan nie sądzi, że nie mówię poważnie. Będę do was telefonowała codziennie, dopóki nie dostanę tej forsy z powrotem do ręki. Gdzie przechowuje się dowody rzeczowe?

- Zajmuje się tym jeden konstabl na górze - odparł Sullivan. - Jego zadaniem jest strzec dowodów rzeczowych.

Będzie miał oko na ten banknot przed i po badaniach laboratoryjnych, a później zamknie go w sejfie.

- Konstabl? Co to ma znaczyć? Więc to jakiś dziewięć nastolatek?

Sullivan zrobił urażoną minę.

- McDaid liczy sobie pięćdziesiąt pięć lat. Wielu starszych konstabli nigdy nie awansowało.

- Czy mogę go zapytać, kiedy odzyskam banknot?

Reid wydał wargę.

- Domaga się pani, żebyśmy jej zwrócili pięćdziesiąt funtów, splamionych krwią zamordowanej kobiety. I na co pani wyda te pieniądze? Na kosmetyki?

Paddy poczuła gorący dreszcz na karku.

- Muszę zapłacić czynsz, bo mieszkam w wielopokojowym domu, należącym do mojej matki, która nigdy wcześniej nie miała żadnych długów. Więc raczej nie, nie sądzę, żebym wydała te pieniądze na kosmetyki.

Sullivan wyprostował się.

- Ja mam trzech braci w Scott Lithgow. Pracują tam, odkąd osiągnęli pełnoletność.

Stocznia Scott Lithgow miała zostać zamknięta, a jej pracownicy wiedzieli doskonale, że gdy zostaną zwolnieni, nie znajdą pracy gdzie indziej. Zasilek był tak niewielki, że w praktyce oznaczał nędzną wegetację do końca życia. Pani Thatcher publicznie znieważyla tamtejszych robotników, a kiedy ich żony przyjechały do Londynu, żeby złożyć petycję, odmówiła spotkania z delegacją, podobnie jak wicepremier i minister skarbu. Wtedy bezradne kobiety pojechały prosto na Downing Street.

Sullivan zaczerwienił się i wpadł w złość.

- Portier nawet nie przyjął od nich petycji przez drzwi. Korona chyba by mu z głowy nie spadła, co?

Policjanci rzadko wypowiadają się przeciwko władzy. Sullivan przygładził włosy, a Paddy zaczęła podejrzewać, że żałuje, że powiedział to wszystko w obecności Reida.

- Ale mniejsza z tym - Sullivan zmienił ton. - Podam pani numer ewidencyjny tego dowodu. Znając go, będzie pani mogła zadzwonić do laboratorium, a także do przechowalni. Rządzi tam nasz mały staruszek, McDaid, najbardziej godny zaufania gliniarz w służbie czynnej. Odzyska pani swoje pieniądze, proszę się nie martwić.

Reid zerknął na niego nerwowo i przejął pałeczkę.

- Co panią skłoniło, żeby do nas wrócić?

- Spotkałam Tama Gourlaya i wtedy przypomniałam sobie o tej sprawie.

- Gdzie się spotkaliście?

- Byłam pod domem tego topielca-samobójcy w Mount Florida i tam przypadkiem się na niego natknęłam.

Paddy spojrzała na Sullivana w nadziei, że nie będą jej już dłużej naciskać.

Sullivan odchylił głowę do tyłu.

- Natknęła się pani przypadkiem na Tama Gourlaya na południowym brzegu rzeki, w środku nocy?

-Tak.

- Na Tama, który pracuje na północnym brzegu i nigdy nie zapuszcza się na południe?

- Słuchajcie, panowie... - Paddy przetrzała znów oczy. - Czy mogę już wracać do domu? Albo chociaż zjeść jeszcze jednego herbatnika? Jeżeli nie, zaraz zasnę...

Czuła, że Sullivan ją obserwuje, bo chce, żeby znów na niego spojrzała, Paddy jednak odwróciła wzrok.

- Moim zdaniem herbatniki nie działają pobudzająco na organizm - powiedział. - Ale jedz, maleńka. My mu simy jeszcze z kimś pogadać.

Zostawili ją na dziesięć minut przy biurku z tą paczką herbatników. Zjadła jednego, a potem drugiego. Cukier trochę ją ożywił, sięgnęła więc po trzecie ciastko, ale po pewnym czasie rytmiczne ruchy szczęk zaczęły na nią działać hipnotycznie i Paddy zapatrzyła się nieprzytomnie w biurko, żując i żując bez końca. Ciągle ktoś wchodził

i wychodził z gabinetu. Funkcjonariusz siedzący za biurkiem po drugiej stronie pokoju zarechotał oblesnie do słuchawki. Potem wszedł młody policjant w szarych spodniach sta-prest i na wszystkich biurkach położył jakieś papiery.

Gdy Paddy się ocknęła, okazało się, że zjadła prawie całą paczkę ciastek. Strzepnęła świadczące o przestępstwie okruchy z kolan na podłogę i wyprostowała boki opakowania, by zamaskować jego nadwątloną zawartość.

Sullivan i Reid wrócili. Nieśli swoje marynarki w rękach, a klucząc między biurkami, uśmiechali się do dziewczyny i kiwali głowami, jakby ktoś im przykazał traktować ją odtąd miło i życzliwie.

- No dobrze. - Spojrzenie Sullivana nie zatrzymało się na wzdętym opakowaniu dłużej niż przez sekundę i dziewczyna pomyślała, że nic nie zauważył. - Dziękujemy, że przyszła nam pani powiedzieć o tych pieniądzach. Odwieziemy panią do domu, ale najpierw musimy zanieść ten banknot na górę. Może pani iść z nami, jeśli pani chce, to od razu pozna pani McDaida.

Paddy zerwała się na równe nogi i wyszczerzyła zęby w szerokim uśmiechu. Kiedy Sullivan i Reid wrócą do swoich biur, pomyślą, że herbatniki zjadł im jakiś łakomczuch z komendy.

Rozdział dziewiąty

Colum McDaid

1

Na schodach było pełno ludzi. Przeciskając się przez tłum zbiegających na dół policjantów, Reid i Sullivan od czasu do czasu zerkali za siebie na Paddy, by się upewnić, że idzie za nimi.

- I co, macie już mordercę pani Burnett? - zapytała.

- Owszem. - Sullivan odwrócił się. - Owszem, tak.

Paddy odetchnęła z ulgą.

- To wspaniale. Tu siedzi?

Sullivan potrząsnął przecząco głową i gestem nakazał jej iść za sobą. Klatka schodowa była pomalowana podobnie jak korytarz: do wysokości ramienia błyszczącą olejną farbą na zielono, a wyżej na biało. Sądząc po licznych zadrapaniach i otarciach na zielonej części ściany, schody te widziały niejedną szarpaninę. Połamana na długości dwóch stóp poręcz z ciemnego drewna została naprawiona, ale łąta gryzła się z nią kolorystycznie. Paddy dotknęła jej w przelocie, wyczuwając pod palcem nierówność spojenia. Pomyślała o jednym z artykułów Terry'ego Pattersona, poświęconych torturom stosowanym przez wojsko argentyńskie. Nieprzytomnych więźniów politycznych Argentynicy wyrzucali podobno z helikopterów do morza. Ofiary ginęły wskutek utonięcia, nie było więc

żadnych dowodów, że za ich śmierć odpowiedzialne jest wojsko. Paddy słyszała też plotki, o których nie wolno było pisać w gazetach, że w Irlandii Północnej Brytyjczycy wyrzucają z helikopterów więźniów z zawiązanymi oczami. Śmigłowce unosiły się zaledwie pięć stóp nad ziemią, ale więźniowie o tym nie wiedzieli.

Sullivan zwolnił, żeby zrównać się z Paddy.

- Facet, który zamordował panią Burnett, nie żyje. Wczoraj wieczorem wyciągnęli go z rzeki.

- Z rzeki?

- Tak jest.

- Miał rozorany policzek?

Sullivan zatrzymał się i podejrzliwie spojrzał na nią z góry.

- A dlaczego pytasz?

- Bo tego topielca zidentyfikowano. Nazywał się Mark Thillingly. - Zniżyła głos do szeptu. - Panie Sullivan, ja widziałam tamtego gościa w drzwiach: to nie był Thillingly.

Sullivan zerknął na Reida i szturchnął Paddy, żeby się zatrzymała, bo nie chciał, aby jego partner słyszał, o czym mówią.

- Ale Mark Thillingly znał panią Burnett. I to bardzo dobrze. Chodzili ze sobą, mieszkali po sąsiedzku. Byli nawet kiedyś zaręczeni.

- Mogę panu powiedzieć tylko, co widziałam - szepnęła Paddy. - Co prawda topielec miał rozoraną twarz, ale i tak jestem zupełnie pewna, że to nie był ten facet, który otworzył drzwi. Tamten miał na szyi krew ofiary.

- Ale to chyba nie może być przypadek, że Thillingly zginął przed upływem dwudziestu czterech godzin od tamtego morderstwa.

Paddy przytaknęła.

- Może to nie przypadek, co nie zmienia faktu, że tamtej nocy w drzwiach willi pani Burnett stał ktoś inny, nie Mark Thillingly.

Sullivan sapnął przez nos.

- Czy gdyby udało mi się załatwić kolejną identyfikację Thillingly'ego, przyszedłaby pani obejrzeć go jeszcze raz?

-Tak.

Reid przystanął i obejrzał się na Sullivana i Paddy, którzy stali dziesięć stopni niżej, już na ostatnim półpiętrze.

- ...Jest spawaczem. Uczył się fachu praktycznie od małego - powiedział Sullivan, poganiając Paddy, żeby dołączyli do kolegi. - I nigdzie nie może znaleźć żadnej pracy. Na litość boską, jeżeli zamkną stocznię, pójdzie na bezrobocie.

Paddy domyśliła się od razu, że to tylko fortel.

- Wiem, znam ich, tych podłych skurwysynów. Prowokują górników do strajku latem, ale magazynują węgiel, żeby ich później przetrzymać. Jeżeli górnicy znów dadzą się na to nabrać, przegrają z kretešem.

- Ach, wy i ta wasza polityka... - skomentował pobłaźliwie Reid, po czym poprowadził ich dalej niskim korytarzem o wykuszowych oknach.

Przystanęli przy drzwiach i Reid zapukał szybko i rytmicznie, zerkając na Sullivana i uśmiechając się w oczekiwaniu na odpowiedź, która nadeszła w formie wesołego, dobiegającego z daleka okrzyku.

- Tak, proszę!

Był to dość wysoki głos mężczyzny, mówiącego z akcentem szkockiego górala, jak Murdo McCloud, który dźwięcznie wymawiał „r”, a samogłoski przeciągle i wyraźnie.

Reid otworzył drzwi prowadzące do niewielkiego pokoju na poddaszu. Z tyłu pokoiu ogrodzony był drucianą siatką z zamkniętą na kłódkę furtką, za którą stały dwie szare szafki z szufladami i zwyczajne półki. Za biurkiem siedział zażywny, siwy mężczyzna, a obok stał duży, niebieski, stalowy sejf. Oczy mężczyzny patrzyły ciepło

i sympatycznie. Wyglądał jak święty Mikołaj w mundurze policyjnym.

Było tu przyjemnie ciepło, cieplej niż w innych pomieszczeniach w komendzie, a wokół unosił się zapach wyczyszczonej skóry i herbaty. Na biurku stała na spodeczku niebieska filiżanka oraz niebieski talerzyk z ciastkami imbirowymi. Policjant podnosił właśnie jedno z nich do ust. Było widać, że wcześniej wygryzł już z niego półksiężycowaty kęs.

- Ojej - powiedział ze zmartwioną miną. - Mam przerwę na herbatę. Nie moglibyście wrócić trochę później?

Sullivan podniósł w górę plastikową torebkę z tkwiącym w środku pięćdziesięciofuntowym banknotem.

- To ważny dowód rzeczowy, trzeba go od razu skatolować. Jedna minutka i zaraz skończysz herbatę.

Przypominający świętego Mikołaja konstabl oparł rękę z ciastkiem na biurku, teatralnie przewracając oczami i udając, że się okropnie gniewa.

- Będę musiał zaparzyć sobie nową i zacząć wszystko od początku. A kim jest ta piękna młoda dama?

Jakby dopiero teraz przypominając sobie o Paddy, Reid i Sullivan rozsunęli się i spojrzeli na nią z na nowo rozbudzonym zainteresowaniem, chcąc się przekonać, czy jest piękna i czy faktycznie jest damą. Skrępowana ich spojrzeniami Paddy przeszła do kontrataku, podchodząc bliżej i wyciągając rękę.

- Miło mi poznać człowieka, który poważnie traktuje herbatę i ciastka. Nazywam się Paddy Meehan.

Konstabl wstał, żeby się z nią przywitać, i mocno uścisnął jej dłoń.

- Ach, Meehan. Z jakiego hrabstwa pochodzi pani rodzina?

Sugestię, że osoba nosząca irlandzkie nazwisko nie może być Szkotem, w innej sytuacji można by uznać za nie-

gościnną aluzję, ale szkoccy górale mieli fioła na punkcie swojego pochodzenia, podobnie jak Irlandczycy.

- Zdaje się, że z Donegal, z okolic Letterkenny.

- A nie z Derry?

Miał słuszność. Uśmiechnęła się do niego, zdumiona.

- Faktycznie, większość Meehanów pochodzi z tam tych stron, ale moja rodzina jest z Donegal.

- Nie wyjechała pani ze swoimi do Nowego Jorku?

Paddy opadła szczęką.

- Skąd pan może o tym wiedzieć?

Wspaniali kuzyni Cona mieszkali w Nowym Jorku, w dzielnicy Bronx, słynącej z ogrodu zoologicznego, a w rodzinie mówiono o nich jak o gwiazdach filmowych.

McDaid mrugnął okiem.

- Po prostu zgadłem. Nazywam się McDaid. - Raz jeszcze uściskał jej rękę. - Colum McDaid.

Dawał jej w ten sposób do zrozumienia, że on też jest katolikiem. Wielu wyspiarzy z zachodu było tego wyznania, którego nie zmienili ani podczas, ani po reformacji. Paddy zawstydziała się, że obchodzi ją, jaką religię wyznaje McDaid, i że jego katolicyzm natychmiast wzбудził jej większe zaufanie do niego - chociaż była właściwie niewierząca.

McDaid usiadł i przyjrzał się policjantom.

- No dobrze. Co to za taka ważna sprawa, że nie pozwolicie mi dokończyć herbaty, bezbożnicy?

Reid zarechotał i położył plastikową torebkę na stole, a wtedy Colum McDaid odsunął filiżankę, wysunął szufladę i wyciągnął z niej wielką, oprawną w czarną skórę księgę. Zapisane po jednej stronie kartki były nieco wymięte i szorstkie, a po drugiej gładkie i jak nowe. Z następnej, umieszczonej nieco wyżej płytkiej szuflady konstabl wyjął cienki zeszyt i otworzył go na stronie z naklejkami. Nad pustymi prostokątami, z których odklejono wcześniej

nalepki, widniały wypisane starannym, drobnym pismem siedmiocyfrowe numery.

Potem Colum McDaid otworzył skórzaną księgę na stronie z marginesem, podzielonej już czerwonym długopisem przy linijce na kilka kolumn. Kartka była w jednej trzeciej zapisana tym samym drobnym, równiuteńkim charakterem pisma. Paddy nie mogła odczytać tekstu do góry nogami, ale domyśliła się, o co mniej więcej w nim chodzi. W każdym rzędzie widniały nierówne szeregi drukowanych liter, oznaczających dany dowód rzeczowy, a obok wpisywano numer sprawy, miejsce zdarzenia, nazwisko oraz stopień policjanta, datę, i wreszcie siedmiocyfrowy numer ewidencyjny, ten sam, który widniał na nalepkach.

Sullivan pochylił się do przodu i położył na biurku kartkę. Był to wyrwany z notesu, poliniowany kawałek papieru, opatrzony siedmioma cyframi. McDaid spojrzął na nie i natychmiast zorientował się, o co chodzi.

- Bearsden? - zapytał.

Sullivan skinął głową.

- Panna Meehan bardzo się martwiła, że nie odzyska tych pięćdziesięciu funtów.

McDaid spojrzął na nią i dźgnął torebkę palcem.

- Więc to należy do pani?

-Tak.

- No cóż, oczywiście, że dostanie pani pieniądze z powrotem, choć może to trochę potrwać. Wszystko zależy od tego, jak ważna okaże się sprawa. Ale może pani być spokojna: osobiście odniosę dowód do laboratorium i przyniosę go stamtąd, a kiedy nie będą nad nim pracować technicy, będzie mu tutaj ciepło. - Konstabl wskazał stojący za biurkiem sejf. - Mam oko na każdego, kto wchodzi do tego pokoju.

- Nikt poza panem nie ma do niego dostępu?

- Nikt. Jesteśmy na najwyższym piętrze w komendzie policji, w pokoju strzeżonym przez dwadzieścia cztery

godziny na dobę. - McDaid poklepał drzwi sejfu. - Żeby to otworzyć, potrzeba by ciężarówki dynamitu.

- Czy będę mogła do pana dzwonić od czasu do czasu, żeby się dowiedzieć, gdzie aktualnie jest banknot?

- Będę oczekiwał pani telefonu z prawdziwą niecierpliwością, panno Meehan.

2

Paddy siedziała na tylnym siedzeniu policyjnego radiowozu i próbowała sobie wyobrazić, jak wścieknie się Farquarson, kiedy opowie mu o tych pięćdziesięciu funtach. Poinformuje go o tym, jak będzie zmęczony - gdy ona wróci dziś wieczorem do redakcji, naczelny będzie akurat kończył dyżur. Widziała już parę razy poranne ataki furii Farquarsona, kiedy czuł się rzeško, miał brzuch pełen słodkiej kawy i nie wyżył się jeszcze na dziennikarzach na porannym kolegium. Nie chciała więcej oglądać tych napadów złości, a co dopiero stać się ich obiektem.

- To tutaj? - Sullivan wjechał na Cambuslang Road, zerkając kątem oka na malejące numery domów, aż w końcu wpadł w czarną dziurę na drodze.

- Nie, jeszcze trochę dalej. Niech pan tu skręci w prawo - powiedziała Paddy. Za skrzyżowaniem z sygnalizacją świetlną ruszyli pod górę. - A tutaj w pierwszą w lewo.

Dawniej czuła się dumna, kiedy koledzy z pracy podwozili ją do domu, ale teraz już nie.

Eastfield Star było małym osiedlem na skraju miasta. Jego centrum wyznaczało szerokie rondo, a domki przy promieniście rozchodzących się od niego ulicach przypominały wiejskie chaty, gdzieniegdzie zbite po cztery, choć tu i ówdzie widziało się również wolno stojące domy dla liczniejszych rodzin, jak Meehanowie. Osiedle to zbudowano przed laty dla górników, ale złoża w Cambuslang

okazały się płytkie i kopalnie dawno już zamknięto, a domy przekształcono w lokale komunalne, obecnie zajęte w większości przez robotników pracujących w przemyśle ciężkim, w czasie ostatniej recesji dotkniętym największym kryzysem.

Małe osiedle sprawiało przygnębiające wrażenie. Płoty wisiały jak pijane na zardzewiałych drutach, a w trawie i krzakach na rondzie zalegały śmieci i odchody. Dzieci, mieszkające nieco dalej przy tej samej ulicy, szpeciły narożniki domów i garaży niechlujnie wymalowanymi hasłami, popierającymi różne drobne frakcje kłopotliwych dla władz irlandzkich organizacji niepodległościowych. Przypominający zaschniętą owsiankę tynk, którym rada miejska kazała pokryć domy, miał już niedługo zostać wymieniony, bo wskutek działania wiatru, słońca i deszczu odpadał już tu i ówdzie ze ścian wielkimi płatami, odsłaniając cienką warstwę cegieł.

Pan Anderston, ogrodnik opiekujący się zielenią na rondzie, zmarł na atak serca we własnej kuchni. Jego obowiązki przejęło małżeństwo pijaków, którzy kłócili się głośno na ulicy i rzucali się z pięściami na każdego, kto prosił ich o ciszę. Po raz pierwszy w życiu rodzice Paddy bali się swoich sąsiadów.

Tego ranka jedyną osobą na ulicy była jednak tylko stara Ida Breslin. Stała wpatrzona w wysoką, bujną trawę przed domem pani Mahoń, ubrana w dziecięcą, zieloną kurtkę z kapturem, który naciągnęła na głowę. Nie było widać jej twarzy, ale Paddy modliła się w duchu, żeby się tylko nie okazało, że sąsiadka zgubiła swoją sztuczną szczękę. Usłyszawszy nadjeżdżający samochód, starowina odwróciła się, znieruchomiała niczym oszołomiona gazela i przesunęła językiem po swoich obwisłych wargach.

-To tutaj. - Paddy pozwoliła Sullivanowi przejechać przez Quarry Road. - Tu może się pan zatrzymać.

Policjant obrzucił wzrokiem Idę i różowe nylonowe zasłony w oknach pani Mahoń.

- To pani dom?

- Ach, nie, właściwie nie.

Nie chciała, żeby przejechali także obok jej domu, bo ogród porastały od frontu chwasty i wysoka trawa, a furtkę trzeba było zamykać na kawałek starego, zardzewiałego już wieszaka na koszule.

- No więc gdzie to jest?

Zrozumiała, że Sullivan nie odwozi jej do domu z uprzejmości, tylko dlatego, żeby sprawdzić, gdzie Paddy mieszka, bo chce mieć na nią oko. Policjant odwrócił się do niej.

- Tutaj?

-Tak.

Wyrzała przez szybę na górujące nad osiedlem wzgórze. Złodzieje porzucili na nim skradziony samochód i podpalili go. Z rozbitych okien snuł się leniwie dym, a pod maską tliły się płomienie.

- Na litość boską! - Paddy cmoknęła z niezadowoleniem, jakby chodziło o leżącą w niewłaściwym miejscu matę stołową. - Skąd się to tutaj wzięło?

3

Zegar wskazywał czwartą. Na dworze było ciemno. Paddy usiadła przestraszona, sądząc przez chwilę, że jest czwarta rano i że zasnęła w pracy. Przesunęła się na skraj łóżka, wstała, jeszcze zanim rozbudziły się jej nogi, zatoczyła się i usłyszała chichot dobiegający z łóżka siostry. Mary Ann siedziała w ciemności, trzymając w rękach plastikowy różaniec. Patrzyła, jak Paddy wraca na chwiejnych nogach do łóżka i przykłęka na nim, po czym powróciła do swojej modlitwy.

- Ciemno, co nie?

Mary Ann uśmiechnęła się, a jej palce automatycznie przesunęły kolejny paciorek.

Nie wiedzieć czemu rozżłoszczona na ten widok Paddy wgramoliła się na łóżko, chwyciła siostrę za nogi, po czym zaczęła je podnosić i opuszczać, pogwizdując przy tym *Strangers in the Night*, bo babcia mówiła im, że kiedy grzeczne dziewczynki gwizdzą, Matka Boska płacze. Mary Ann uśmiechnęła się nieznacznie, spuściła wzrok na różaniec i modliła się dalej.

Paddy podskoczyła na łóżku, znieruchomiła i przyglądała się, jak siostra mamrocze stare modlitwy, które zna na pamięć.

- Tylko nie zamykaj oczu, Mary Ann. Patrz w niebo.

Mary Ann puściła te słowa mimo uszu.

Odkąd sięgała pamięcią, Trisha modliła się co noc, by chociaż jedno z jej dzieci poczuło powołanie i wstąpiło do klasztoru. Bardzo chciała, żeby jej najstarszy syn, Marty, został księdzem, Marty nie był jednak zbyt grzeczny ani religijny, a Gerald za słabo się uczył.

Na ścianie w sypialni nad łóżkiem Mary Ann nie wisiły już plakaty z sercami przebitymi strzałą, a na jej komódce nie stały kosmetyki, tylko święte księgi i modlitewniki. Zmieniła się, odkąd papież Jan Paweł II odprawił mszę w Bellahouston Park. Przepych i widowiskowość tego wydarzenia zrobiły wrażenie nawet na Paddy. Meehanowie należeli do mniejszości wśród miejscowych imigrantów i całe pokolenie młodych ludzi, uczestniczących w tej mszy pod gołym niebem, dorastało, wstydząc się swojego prymitywnego katolicyzmu. Ale Jan Paweł II nadał godność buntowi religijnemu. Pozostał katolikiem pod rządami brutalnego komunistycznego reżimu, otwarcie przyznając się do swojej wiary i spiesząc z posługą kapłańską każdemu, kto tylko miał dość odwagi, by skryć się pod jego skrzydła. Młoda katolicka Szkocja znalazła nagle nowy sens ziem-

skiej egzystencji, a ludzie poczuli się dumni, że wytrwali w swej wierze, mimo że trudno było im znaleźć pracę i mieszkania, a Orange Order regularnie organizował marsze przeciwko wyznawcom Kościoła Rzymskiego.

Gdy papież wszedł na scenę, dwieście tysięcy katolików powstało ramię przy ramieniu i wszyscy, czując na plecach gorące czerwcowe słońce, zaczęli klaskać, aż rozboleły ich ręce - bo bili brawo zarówno swojemu najwyższemu kapłanowi, jak i sobie samym.

Paddy też wsiadła wtedy do parafialnego autobusu, chcąc zrobić przyjemność mamie, ale odłączyła się od tłumu i stanęła z tyłu, w luźnej grupce sceptyków. Wyczuła coś w letnim powietrzu, jak gdyby moc czy siłę przekonywania, i nawet ona, osoba niewierząca, poczuła, że wzruszenie ściska ją za gardło. Paddy też była dumną córką swojego ludu, chociaż nie dzieliła z nim jego wiary. Przestała chodzić do kościoła, ale z litości udawała przed rodzicami, że chodzi - bo w sobotę wieczorem, w czasie popołudniowej mszy, nigdy nie było jej w domu, toteż Con i Trisha mogli sądzić, że swój niedzielny obowiązek spełnia właśnie wtedy.

W każdym razie Mary Ann wróciła tamtego dnia z parku Bellahouston zupełnie odmieniona. Stała się fanatyczną katoliczką, codziennie przyjmowała komunię i całymi dniami modliła się w domu, uczestnicząc biernie w życiu Kościoła. Próbowwała wstąpić do tak zwanej Odnowy Charyzmatycznej, nad wyraz egzaltowanej organizacji katolickiej, której członkowie poszukiwali objawienia Ducha Świętego, zachowując się cokolwiek idiotycznie, czyli na przykład przewracając się na ziemię, bełkocząc różne bzdury albo publicznie płacząc, ale Mary Ann była na takie rzeczy zarówno zbyt nieśmiała, jak i dziecinna.

* Orange Order - ultraprotestancka partia i organizacja, założona w Irlandii Północnej, w Belfaście, w 1795 roku (przyp. tłum.).

Potem pewien cierpiący na tik nerwowy ksiądz z kościoła St Columkille's zaproponował, by wysłać Mary Ann do Taize, na obóz dla młodych chrześcijan, gdzie mogłaby zacząć prowadzić religijne życie i przekonałaby się, czy jej to odpowiada.

Paddy stała w półmroku na łóżku, patrząc, jak wargi Mary Ann poruszają się w ciemności, kiedy jej palce odnajdują kolejny paciorek różańca. Spojrzawszy na siostrę, odniosła wrażenie, że z pokoju uciekły resztki światła. Kochała Mary Ann bardziej niż ktokolwiek na świecie i nie chciała, żeby dziewczyna spędziła resztę życia na modlitwach w ponurych korytarzach albo na usługiwaniu biedakom - nie chciała, by wiodła straszne, pokorne półżycie. Wolała, żeby siostra przeżywała różne wielkie i niebezpieczne przygody na jakimś słonecznym odludziu, żeby wyjechała do Ameryki albo żeby się wdała w jakiś namiętny romans, kończący się we łzach na jakimś moście w Paryżu.

Mary Ann pokłoniła się szarym paciorkom różańca, po czym jej ręce spełniły swój katolicki obowiązek. Rozległ się odgłos spuszczonej wody w toalecie na piętrze, a potem ciche kroki matki, wracającej na dół, do kuchni.

- Nie chciałąbym, żebyś wyjechała - odezwała się Paddy.

- Daj mi spokój - odpowiedziała cicho Mary Ann. - Ja się nie wtrącam w twoje sprawy.

Paddy zeszła na podłogę, zapaliła światło, ściągnęła przez głowę koszulę nocną i już z obnażonymi piersiami zbliżyła się do krzesła. Stojąc tyłem do wejścia, włożyła sweter i spodnie. Mary Ann nie zwracała na nią najmniejszej uwagi. Paddy przecisnęła się pomiędzy ich blisko stojącymi łóżkami, przesunęła się boczkiem obok szafy zasłaniającej drzwi, wyszła na korytarz i zbiegła na dół po schodach.

Rozdział dziesiąty

Kostnica w Brigate

1

Wszyscy byli w domu: Trisha ze złością czyściła w kuchni piec, spocona i zarumieniona, chociaż udawała, że wcale nie jest zmęczona, a chłopcy leżeli w salonie i oglądali telewizję.

Paddy zrobiła tosty, nalała sobie kubek herbaty z zawsze pełnego dzbanka i sięgnęła po „Daily News”, które przyniosła ze sobą. Na korytarzu postawiła talerz i kubek na stopniu schodów, po czym włożyła wyjściowe buty, rękawiczki i płaszcz. Otworzyła drzwi i wyszła na ścieżkę, ale zatrzymała się na widok samotnego samochodu, zaparkowanego na końcu ulicy.

Był to czerwony ford capri, nowiutki i czyściutki. Jego dach lśnił nałożoną niedawno warstwą pasty. Paddy nie umiałaby powiedzieć, dlaczego zwróciła na niego uwagę, poza tym, że nigdy wcześniej go tu nie widziała. Ulica Eastfield Star była ślepa i kierowcy raczej nie wjeżdżali na nią przez pomyłkę. Dziewczyna zadrżała lekko i znieruchomiała. Gdy pracowała nad sprawą Calluma Ogilvy'ego, śledziła ją furgonetka, więc samochody wciąż napędzały jeszcze Paddy trochę stracha, zwłaszcza kiedy zdawało się jej, że już je gdzieś widziała - albo kiedy sądziła, że ich kierowcy ją obserwują. Ta mała, prywatna przestrzeń, tych

pięć stóp kwadratowych, na których żaden przechodzień nie przeszkodziłby mężczyźnie zatłuc kobietę na śmierć, napawała Paddy przerażeniem.

Ciągle przyglądała się fordowi, w którym nagle mignął jakiś cień. Silnik samochodu zaczął nieoczekiwanie pracować, a kierowca włączył światła, wrzucił wsteczny bieg, zawrócił gwałtownie, skręcił w lewo i wystrzelił do przodu, wjeżdżając na rondo pod prąd.

Paddy stała na ścieżce i patrzyła, jak odjeżdża. Odjechał, bo go zauważyła - wiedziała, że się nie myli. Na pewno nie był to złodziej, albowiem w tej dzielnicy nie miałby co ukraść. Mógł to być na przykład Sullivan w swoim prywatnym wozie: w końcu uparł się, że ją odwiezie do domu, i widział, gdzie wysiadła.

Zaniepokojona tym incydentem, niepewna, czy dobrze robi, ruszyła mimo wszystko na drugą stronę ogrodu, wyjęła klucz spod cegły i otworzyła boczne drzwi do garażu, z którego buchnął piżmowy zapach gnijącego papieru. W powietrzu wisiał tu zaduch.

Jeszcze zanim włączyła światło, domyśliła się, że sąsiedzi wciąż nie powynosili swoich rzeczy. Na widok przegniłych tekturowych pudeł przy drzwiach przeszył ją leniwy dreszcz irytacji.

Zdjęła z kubka talerzyk z tostem posmarowanym masłem, odstawiła go między długopisy i ołówki, leżące na drewnianej skrzyni koło zbutwiałego fotela, po czym opadła na siedzenie, przyciągając do piersi drewnianą półeczkę, umocowaną na poręczy. Postawiła na niej talerzyk wraz z kubkiem i zaczęła jeść, rozglądając się wokoło.

Urządziła sobie w garażu gabinet, by zabrać się wreszcie do pisania książki o niesłusznym wyroku skazującym dla Patricka Meehana. Pamiętała każdą scenę z jego opowieści, poczynając od nocy, kiedy to w Ayr pobito na śmierć starszą panią, aż po ułaskawienie Patricka przez królową. Znała nawet jego młode życie w komunistycznej

Niemieckiej Republice Demokratycznej, historię podróży do Moskwy, sprawy osobiste i korzenie rodzinne.

Taką książkę powinno się łatwo napisać, ale długo nie mogła zacząć pracy, bo w garażu było za zimno.

Podczas jednego ze swoich spacerów po starej pofabrycznej pustyni ojciec natrafił na używany piecyk. Umocował go na betonowej płycie, a wężową aluminiową rurę, służącą jako komin, wyprowadził przez okno.

Potem było jej niewygodnie na drewnianym krześle. Wtedy znów Con znalazł gdzieś stary fotel i zamontował na poręczy drewnianą półeczkę, z której Paddy mogła korzystać jak ze stolika do pisania.

Przewyciężywszy te największe przeszkody, niepozwalające jej przystąpić do pisania, przychodziła do garażu każdego popołudnia, kiedy za małym okienkiem gasło zimowe słońce, i siedziała w otoczeniu zebranych materiałów oraz czystych kartek papieru, które podkładała z pracy, nieruchomo jak trup, oko w oko ze wszystkimi swoimi ułomnościami. Spędziła tu mnóstwo czasu, pragnąc napisać książkę o Meehanie, ale jej ukochany projekcik zamienił się w potwora i Paddy czuła się tak, jakby jednym kłapnięciem szczęk chciała połknąć słońca.

Zaczęła jeść. Wiedziała, że dzisiaj będzie równie bezproduktywna jak zawsze. Próbowwała rozbudzić swoje zainteresowanie projektem, wyobrażając sobie Meehana w jakiejś interesującej scenie z jego biografii: na przykład podczas spotkania z agentami MI 5 w Berlinie Zachodnim, którym zdradził, na czym polega jego genialna metoda umożliwiająca ucieczkę szpiegów z brytyjskich więzień, podczas zamieszek przed gmachem sądu w Ayr, gdzie przewieziono go pod zarzutem morderstwa, albo w ponurej celi więzienia Peterhead owego popołudnia, kiedy złamał pieczęć na welinowej kopercie zawierającej jego ułaskawienie. Wszystkie te obrazy wydały się jej jednak

nieciekawe. Postaci, które sobie wyobrażała, przybierały teatralne pozy, a przy tym żadna z nich nie poruszała się i nic nie mówiła. Jeśli nie napisze tej książki, to nie napisze niczego.

Jej przygnębiony wzrok zablakał się przypadkiem na egzemplarz „Daily News”, który rzuciła na podłogę koło fotela. Wzięła gazetę i położyła ją na stoliku. Na pierwszej stronie znów opublikowano tekst o sprawie „laski z Bearsden”. Tym razem rozpisywano się o historii jej rodziny i opublikowano zdjęcie szkoły, do której chodziła Burnett. Była kiedyś narzeczoną Marka Thillingly'ego, ale ostatnio nie miała żadnego partnera.

Paddy zastanawiała się, jak można było wyrwać zęby ofierze, która była przytomna i broniła się. Musiało to zrobić dwóch ludzi: jeden ją przytrzymał, a drugi torturował. To tłumaczyło, dlaczego za domem stały dwa samochody. Morderca zapewne wyrwał jej już co najmniej jeden ząb, kiedy Paddy rozmawiała z nim w drzwiach. Vhari bez wątplenia straszliwie wtedy cierpiała.

Oczami wyobraźni raz jeszcze ujrzała jej twarz w lustrze i zobaczyła, jak pani Burnett cofa się do salonu. Mogła przecież uciec. Mogła przecisnąć się przez drzwi obok tego mężczyzny i wsiąść do radiowozu, gdzie byłaby bezpieczna. Paddy wiedziała, że niektóre kobiety trwają przy swoich partnerach, nawet jeśli ci je biją. Zgoda, porzucenie męża to coś o wiele bardziej skomplikowanego niż włożenie płaszcza i wyjście z domu. Ale ten mężczyzna nie był mężem Vhari. Jego nazwisko nie pojawiło się dotąd w śledztwie, więc zapewne nie był nawet jej facetem. Najwyraźniej pani Burnett miała jakiś ważny powód, by zostać tamtego dnia w domu.

Na policję nie można było liczyć. Ani Dan, ani Tam nie powiedzieli śledczym, że Mark Thillingly nie był tym człowiekiem, który stał wtedy w drzwiach, i nie wspomnieli ani słowem o zaparkowanych na tyłach domu au-

tach. Wzięli łapówkę i znali tego gościa - Paddy była tego prawie pewna.

Siedziała wygodnie rozparta w fotelu i rozmyślała, kiedy jej wzrok padł na tekst na drugiej stronie gazety. Uzupełniało go zdjęcie przedstawiające Patricka Meehana w swoim saloniku, trzymającego w ręku jakiś list. Skóra na jego dłoniach palacza była zabarwiona na żółto, jak gdyby gniła od spodu. Okazało się, że komisja do spraw pomyłek wymiaru sprawiedliwości wypłaciła mu okrągłą sumkę tytułem zadośćuczynienia za niesłuszny wyrok skazujący. Meehan oświadczył, że przyjmuje te pieniądze, ponieważ ma długi wobec wielu ludzi i chce im je zwrócić, ale że pięćdziesiąt tysięcy funtów to za mało.

Tu nie wyglądał wcale jak tamten jednowymiarowy Meehan, którego widziała w swej wątlej wyobraźni. Patrząc w jego załzawione oczy, ujrzała w nich ślad goryczy i bezsilnej wściekłości, a nawet cień obrzydzenia do samego siebie. Słyszała, że proces i wyrok odbiły się negatywnie na jego dzieciach. Ścisnął list nieco za mocno i było widać, że zbielały mu paznokcie. Widocznie trzymał go w ręku od dłuższego czasu, bo pewnie fotograf miał problemy z ustawieniem światła.

Patrick Meehan zawsze był częścią jej życia, ale nigdy jeszcze nie wydał jej się postacią tak realną, jak w tej chwili.

2

Paddy zawahała się przed wejściem w ciemną, brukowaną uliczkę. W Brigate mogło zdarzyć się właściwie wszystko, więc obawa, żeby nikt na nią nie napadł i nie ukradł jej karty debetowej, której ważność przedłużała co miesiąc, była dla niej najmniejszym zmartwieniem: Paddy nie miała przy sobie nic bardziej wartościowego. Tu i ówdzie

w zaułkach leżały materace, pozostawione przez zapobiegliwe prostytutki, mające dość zdrowego rozsądku, by dbać o własną wygodę.

Paddy postąpiła krok naprzód i pochłonęła ją ciemność. Czują zapach mokrego materaca na bruku, który wydał się jej podobny do mdlącej woni formaldehydu. Na kamieniach powoli gniło tekturowe pudło - pachniało tak, jak kartony sąsiadów w jej garażu.

Pokonała już dziesięć jardów ciemności, kiedy zobaczyła jakiś cień - Sullivan czekał na nią przy bocznych drzwiach do kostnicy, tak jak zapowiedział. Poprosił, żeby przyszła około szóstej trzydzieści albo za kwadrans siódma. Nie mogła się do tego przyznać, ale wiedziała, dlaczego: O tej porze personel zmienia się z dziennego na nocny, więc większość policjantów siedzi na odprawach i mało kto odwiedza w tym czasie kostnicę w sprawach służbowych.

Sullivan skinął jej głową na powitanie i piętą otworzył zazwyczaj zamknięte drzwi, prowadzące do jasno oświetlonego, wyłożonego białą glazurą korytarza. Paddy weszła do środka i zamknęła je za sobą.

Policjant bez słowa poprowadził ją dalej korytarzem. Ściany i podłogi pokryto szklistymi, wiktoriańskimi kafelkami, w których światło zamocowanych pod sufitem jarzeńówek odbijało się na żółto. Dziewczyna poczuła zapach środków dezynfekcyjnych.

- Dziękuję, że pani przyszła - powiedział Sullivan. - I byłbym wdzięczny, gdyby zechciała pani nikomu nie mówić o naszym małym spotkanku.

- Nadstawia pan karku, co?

Sullivan wzruszył ramionami, nie chcąc werbalizować swoich podejrzeń. Paddy dotknęła jego pleców, dając mu znak, żeby prowadził, bo jest gotowa pójść za nim. Był odważnym człowiekiem.

Przeszli przez hol, gdzie stało puste biurko, a za nim krzesło, na którego oparciu wisiał szary, jakby szkolny

blezerek. Dalej stał stos dębowych szufladek z kartami rejestracyjnymi, na których z przodu widniały wypisane gotykiem kolejne litery alfabetu. Sullivan zatrzymał się przed podwójnymi dębowymi drzwiami i zwrócił się do Paddy.

- Była tu pani już kiedyś?

-Nie.

Nie zaproponował jej pociechy ani ostrzeżenia i Paddy była mu za to wdzięczna. Zaczerpnął głęboko tchu, podnosząc palec, jakby jej nakazywał, żeby zrobiła to samo. Potem otworzył drzwi.

Chłód łągodził nieco ostry zapach zgnilizny, ale nie całkowicie. Na przeciwległej ścianie sali o wykafelkowanej podłodze ciągnęły się szeregi wielkich szuflad, na których załamywało się padające z góry światło. Przed nimi, twarzą do wejścia, stał mężczyzna w białym kitlu. Miał taką minę, jakby spodziewał się gości. Był młody, ale brodaty, a końce jego wąsów połyskiwały wilgocią. Uśmiechał się nieśmiało, jakby na powitanie, odsłaniając wyszczerbione, pokryte ciemnymi plamami zęby. Sullivan odwrócił wzrok i Paddy dostrzegła w jego oczach smutek.

- Jak się masz, Keano? To właśnie jest ta damulka, o której ci mówiłem.

Onieśmielony Keano zacisnął wargi i skinął Paddy głową.

- Rzadko goszczę tu laski. - Zastukał paznokciem w metalową szufladę za swoimi plecami. - I nie chodzi mi o zawartość tej lodówki, bo laski umierają tak samo jak my, prawda? - Spojrzał na Sullivana, jakby spodziewał się od niego potwierdzenia, że kobiety też nie mogą oszukać śmierci.

- No pewnie. Kobiety umierają tak samo jak my. Keano skulił się, zdając sobie sprawę, że jego słowa za brzmią idiotycznie.

- Właśnie. Dokładnie tak samo.

Spojrzeni obaj na Paddy, czekając na jej reakcję, a ona obdarzyła Keano niewinnym uśmiechem.

- Nie inaczej - powiedziała, chcąc rozwiać jego obawy.

Sullivan nachylił się do niego konfidencjonalnie.

- To co, możemy obejrzeć tego faceta?

Keano postąpił dwa kroki w stronę stalowej ściany, chwycił metalową rączkę i wysunął wąską szufladę długości siedmiu stóp. Ciało Marka Thillingly'ego leżało owinięte w wykrochmalone białe prześcieradło, na którym widniały przezroczyste plamy wody. Wokół rozszedł się delikatny jak mgła zapach wilgotnej ziemi.

Lekarz rozgarnął prześcieradło na boki. Thillingly był nagi - skórę miał jakby woskową i połyskliwą. Paddy usiłowała nie patrzeć dalej niż na jego piersi, Keano jednak znowu wyciągnął rękę, odsłaniając genitalia trupa.

Na piersi nieboszczyka widniał wykonany grubą nicią rzadki szew po szerokim cięciu w kształcie litery „T”. Rozzerwany policzek zaszyto nieco staranniej, ale i tu ciało marszczyło się wokół szwu, bo Thillingly był otyły. Przyglądając się jego obwisłemu brzuchowi i piersiom, Paddy pomyślała ze współczuciem, ile razy wstydził się zdjąć koszulkę przy obcych. I ile razy, podobnie jak ona, przeklinał ładną pogodę i nie chciał iść popływać.

Co do jednego miała niezbitą pewność: Thillingly nie był człowiekiem, który stał tamtej nocy w drzwiach domu Vhari Burnett. Podniosła głowę i chciała się odezwać, ale Sullivan nieznacznie potrząsnął głową.

- Keano, mój stary - powiedział wesoło, cofając się o krok. - Dzięki, przyjacielu.

- Wisisz mi drinka, co? - Keano zapomniał się i jeszcze raz wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Ma się rozumieć. - Sullivan ruszył do wyjścia z sali, zagarniając po drodze Paddy. - Ma się rozumieć, staryszku.

- W porządku. - Keano odprowadził ich wzrokiem. - A tak w ogóle to chodziło mi o to, że kobiety rzadko tu przychodzą.

- No i miałam rację - zawołała Paddy, kiedy zamknęły się za nimi drzwi. - To nie był ten człowiek, panie Sullivan.

- Rozumiem. - Policjant wolałby usłyszeć od niej zupełnie co innego.

Starła się ukryć rozgorączkowanie.

- To będzie ważny tekst. Narobi sporo szumu.

- Rozumiem. - Poprowadził ją dalej korytarzem, a kiedy się odwrócił, spostrzegła na jego twarzy wyraz konsternacji, bo żaden policjant nie lubi występować przeciwko swoim kolegom. - Komisja śledcza w sprawie interwencji u pani Burnett zbiera się w przyszłym tygodniu. Będzie wzywać świadków. Dostanie pani od niej zaproszenie, ale zapisano panią dopiero na wtorek po południu. Wtedy będzie musiała pani powiedzieć członkom komisji o tych pięćdziesięciu funtach. W tej sytuacji nie mogę zagwarantować, że sprawa nie wyjdzie na jaw.

- W porządku, ale napiszę mój tekst zaraz po przesłuchaniu. Zaczekam tak długo, jak trzeba, bylebym tylko mogła napisać o tej sprawie.

Sullivan skinął głową.

- Domyślam się, co tu jest grane, kotku, i jeśli się nie mylę, będziesz mi jeszcze potrzebna. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Spojrzeli po sobie: oboje nie byli zbyt lubiani w pracy i oboje potrzebowali jakiegoś sukcesu i wsparcia.

- Doskonale.

2

Za oknami samochodu wciąż było ciemno, ale Kate nie spała już od dziesięciu minut. Na śniadanie wypaliła papie-

rosa, a potem wyjrzała na parking. Spała na fotelu, za kierownicą, ze skrzyżowanymi ramionami i opuszczonym na piersi podbródkiem, czując się całkiem bezpiecznie w tej niebezpiecznej dzielnicy, zablokowała bowiem drzwi od wewnątrz. Wciągnęła też do nosa kreseczkę koki, żeby poranny papieros miał jeszcze bardziej orzeźwiający smak.

Rozdrażniona, znowu potrząsnęła prawą ręką, uderzając końcami palców o brzeg kierownicy. Ostro zatemperowany ołówek przebił membranę z papieru. Najpierw napotkała lekki opór, a potem rozległ się jakby cichy trzask i przeszkoda ustąpiła. Na wspomnienie nieznanego mężczyzny, leżącego na podłodze z obcasem wbitym w oko, zaczęła odruchowo mrugać powiekami. Jej rozszerzone kokainą oczy zamykały się i otwierały, być może w nadziei, że wypalony na siatkówce oka obraz nagle się odmieni. Kate nie widziała go jednak zbyt wyraźnie, były to bowiem właściwie dwa nakładające się na siebie obrazy. Swój but i tego mężczyznę widziała osobno: nie pamiętała buta tkwiącego obcasem w oku mężczyzny, tylko oddzielnie but i oddzielnie trupa. Nawet przez mgłę narkotyków i zmęczenia czuła, że nigdy nie zrozumie tego świata. Zabiła człowieka.

Wiedziała, że nie powinna stać przed tą restauracją. Nie jest przecież kompletną idiotką. Pojechała trzy ulice dalej i zaparkowała w odległym, ciemnym kącie parkingu przed jakimś biurowcem. Wyłączyła silnik, po czym zaczęła bębnić palcami po obciążonej skórzany pokrowcem kierownicy. Gdyby zostawiła wóz w tej dzielnicy, w ciemności i bez opieki, z pewnością zwróciłby w końcu czyjąś uwagę. Na litość boską, przecież to nowiuteńkie bmw! A większość tutejszych mieszkańców nigdy nie widziała na oczy nawet nowej pary butów. Wprawdzie Kate mimo wszystko nie przejęłaby się specjalnie, gdyby ukradziono jej samochód, ale ta paczka w bagażniku to całkiem inna sprawa...

Zrozumiała nagle, że jeżeli chce ocalić życie, musi wyciągnąć pakunek z bagażnika i ukryć go w jakimś bezpiecznym miejscu. Dzięki temu kiedy ją znajdą (wiedziała, że prędzej czy później to nastąpi), będzie miała w rękę mocną kartę przetargową. Poczula się jak kobieta usiłująca dobić targu z byłym mężem, która jeździ po mieście samochodem wypchanym aneksami do umowy o podziale majątku, hakami na eksmałżonka, obligacjami, akcjami na okaziciela albo czymś w tym rodzaju. Uśmiechnęła się nawet na tę myśl, chociaż siedziała samotnie w aucie na ciemnym parkingu, bo nie miała przecież gdzie się podziać, a obcas jej buta wciąż oblepiała zaschnięta tkanka mózgowia zabitego mężczyzny.

Tylko gdzie mogłaby ukryć paczkę? Rozważała różne możliwości: na przykład skrytkę depozytową. Byłoby ją jednak łatwo namierzyć, bo musiałaby często do niej zaglądać, żeby napełnić tabakierkę. Czy знаła kogoś, komu mogłaby oddać paczkę na przechowanie, nie mówiąc, co w niej jest? Rodzice... Prawie natychmiast zrezygnowała z tego pomysłu. Nie widziała ich od ponad trzech lat i musiałaby się za bardzo tłumaczyć. Więc może Alison, jej najlepsza przyjaciółka ze szkoły? Alison miała już jednak dwoje dzieci i mogłaby nie okazać zrozumienia takiej ryzykownej dziewczynie jak ona. Kate pomyślała też o różnych znajomych Vhari z dawnych, dawnych lat, kiedy były ze sobą tak blisko, że w większości miały wspólnych przyjaciół. Może państwo Thillingly? Ale żona Marka to okropna baba, a on jest zbyt pryncypialny. No to może Bernie? Uwielbiała go, chociaż wcale nie był dla niej miły. Jego przypominający budę warsztat stał niedaleko autostrady i w nocy zapewne nikt się tam nie kręcił.

Rozejrzała się po parkingu, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że górują nad nim biurowce. Pomyślała, że będzie tu mogła całkiem bezpiecznie wciągnąć kreskę koki, ale strasznie zachciało się jej pić. Zdecydowanie, musiała się

najpierw napić. Albo później. Tak, napije się jednak później.

Poczuła się jak niegrzeczna dziewczynka, wyciągając z torebki tabakierkę i łyżeczkę, którą zanurzyła w białym proszku niemal w tej samej chwili, kiedy drugą ręką otworzyła wieczko.

Zabolało. Po raz pierwszy od dłuższego czasu nozdrza zapiekły Kate żywym ogniem. Była na tyle przytomna, żeby nie upuścić tabakierki, choć w bagażniku miała przecież całą paczkę towaru. Z zamkniętymi oczami zatrzęsnęła wieczko i schowała tabakierkę do torebki, drugą ręką trzymając się za nos i jednocześnie osuwając się na kolana.

Pocierała gwałtownie kość nosową, jak gdyby w ten sposób mogła złagodzić ból. Z oczu ciurkiem poleciały jej łzy, a z nosa smarki. Widocznie wciągnęła jakiś większy kryształek i teraz gdzieś w głębi jej nosa tkwił spory, twardy okruszek kokainy, który drażnił jej śluzówkę jak skurwysyn. Uśmiechnęła się, oddychając głęboko i wyciskając z oka kolejną łzę. Jak pieprzony skurwysyn.

Rozdział jedenasty

U Archiego

1

Kiedy tylko Paddy weszła do news roomu, domyśliła się, że w gazecie doszło do jakiegoś straszliwego kataklizmu na wręcz kosmiczną skalę. Ostatnie strony zostały już odesłane do drukarni, ale dziennikarze, zamiast wypływać z redakcji gęstym jak krew strumieniem, sprawiali wrażenie bez reszty pochłoniętych pracą.

Redaktor prowadzący siedział przy biurku, rozmawiając z poważną miną przez telefon, a za jego plecami stało paru facetów, rozglądających się nerwowo dookoła, jakby się chcieli zorientować, czy nikt ich nie obserwuje. Jeden dziennikarz pisał coś na maszynie, a trzech inni, siedzący obok niego, przeglądali konkurencyjne gazety, które zwykle czytało się wyłącznie z samego rana. Było jasne, że wszyscy ci faceci zabijają czas, czekając na wybuch bomby.

Fotoreporterzy siedzieli w swoim dziale na drugim końcu sali. Drzwi do ich boksu były szeroko otwarte i Paddy zauważyła Kevina Hatcherera, fotoedytora, który stał przy swoim fotelu, przypatrując się pełnemu ludzi news roomowi, jakby na coś czekał. Kevin pił najwięcej z całego zespołu, więc to, że o siódmej wieczorem wciąż trzymał się na nogach, graniczyło z cudem.

Paddy zrzuciła płaszcz, a wieszając go, zauważyła, że dwaj wyprostowani jak struny gońcy siedzą na swojej ławie, ale wcale nie interesują się tym, co dzieje się w news roomie, tylko nastawiają uszu, próbując podsłuchać rozmowę w gabinecie naczelnego.

Wbiła wzrok w Rega, dziennikarza sportowego, najwyraźniej pochłoniętego lekturą reportażu w „Daily Mail” o sklepach sieci Spud-U-Like. Poczul na sobie jej spojrzenie i podniósł wzrok. Oczy miał przekrwione i otwarte nieco za szeroko.

- Farąarson jest na wylocie - powiedział cicho. - Nawet go nie wezwali na zebranie zarządu, żeby mu o tym powiedzieć, tylko przyjechali do nas i zawiadomili go o wszystkim w jego gabinecie.

Paddy spojrzała w stronę zamkniętych drzwi gabinetu naczelnego i nagle zrozumiała, skąd ta atmosfera przerażenia i zaskoczenia w news roomie. Zarząd przeprowadzał zmiany, a Farąarson pracował jako naczelny od czterech długich lat, więc nie chodziło o to, że nie nadaje się do tej roboty: przeprowadzano zmiany, bo gazeta nie przynosiła dochodów. To zaś oznaczało, że za naczelnym w każdej chwili mogą polecieć inni.

- Kto przyjdzie na jego miejsce? - zapytała. - Czy już wiadomo?

- Jakiś skurwiel z Londynu.
- Skąd wiesz, że skurwiel?
- Bo jest z Londynu.

Na drugim końcu news roomu otworzyły się drzwi i Farąarson wyszedł ze swojego gabinetu. Za nim stała przygnębiona grupka jego przybocznych **redaktorów** i ich zastępców, najlepszy dziennikarz w zespole **i dwaj** asystenci o zaczerwienionych oczach.

Naczelny chrząknął.

- A więc tak... - Urwał, jakby chcąc dać dziennikarzom czas, żeby zwrócili na niego uwagę, choć przecież właśnie

na niego czekali. - Cóż, chyba nie muszę wam mówić, co się stało. A jeżeli muszę, to co z was, kurwa, za dziennikarze?

Po news roomie przetoczył się taktowny śmiech, który nieoczekiwanie zamarł. Farquarson wyciągnął ręce niczym wędkarz pokazujący, jak dużą rybę złowił, ale opuścił je zaraz i potrząsnął głową, wbijając wzrok w podłogę.

- Byliście... - Znowu urwał, przetykając ślinę i robiąc taką minę, jakby miał ochotę się rozplakać. Odetchnął głęboko i po chwili znowu odezwał się głośno. - Chodźmy się wszyscy zalać.

W news roomie rozległ się potężny ryk uznania - jak uważała Paddy, głównie dlatego, że naczelnemu udało się nie stracić zimnej krwi na oczach zebranych. Dziennikarze wstali i zaczęli klaskać, a Farquarson ruszył przez salę do wyjścia, ściskając po drodze dłonie swoim współpracownikom i przyjmując od nich wiernopoddańcze hołdy.

Paddy stanęła przy ścianie, kiedy ją mijał - nie chciała wchodzić mu w drogę. Był dla niej miły, ale ona nic dla niego nie znaczyła. Większość facetów w tej sali znał dziesięć lat albo i dłużej. Jeden z asystentów niósł za nim płaszcz i teczkę, rozdzielał uśmiechy między dziennikarzy wyrażających Farquarsonowi współczucie, i wdzięczzył się do nich jak żona polityka.

Sala szybko opustoszała, bo wszyscy wyszli przez podwójne drzwi w ślad za Farquarsonem. Paddy usłyszała głośny, gniewny pomruk na schodach i podeszła do okna w chwili, gdy Farquarson i jego świta wypadli na ulicę przez drzwi przeciwpożarowe, które kołysały się jeszcze, kiedy naczelny ruszył do baru dla dziennikarzy, ściskając dłonie zebranych przed budynkiem kierowcom i składaczom. Na jego ustach błąkał się wymuszony uśmiech.

Paddy odwróciła się, żeby spojrzeć na nieoczekiwanie opustoszały, zaniedbany, dawno nieodnawiany news room. Ściany były poobtlukiwane w miejscach, gdzie ude-

rzały o nie oparcia krzesel, stoły porysowane, a wielkie, szare maszyny do pisania wyglądały na stare i zmęczone. Pierwszą rzeczą, którą usłyszy o niej nowy naczelny, będzie to, że wzięła łąpówkę. W czasach kryzysu ekonomicznego w pierwszej kolejności z pracy zawsze wyrzucano kobiety - dlatego że zdaniem pracodawców nie miały w domu nikogo na utrzymaniu.

Paddy potrząsnęła głową, w której krążyła jej bez końca tylko jedna myśl: „O nie!”, ogarnęła ją bowiem granicząca z paniką pewność, że przed końcem lata zostanie wylana z gazety. Nie miała dokąd pójść. Brakowało jej dłuższego stażu, a stenografowała tak niewyraźnie, że nawet ona nie mogła odcyfrować połowy swoich notatek. Do stracenia miała nie tylko karierę zawodową i przyszłość, lecz przede wszystkim pieniądze. Pieniądze, których potrzebowała jej mama.

Podniosła wzrok i zobaczyła Rega, wciąż siedzącego przy biurku z głową ukrytą w dłoniach i gapiącego się przerażonym wzrokiem w blat. Taki sam strach widziała w oczach ojca.

Podeszła do niego i pociągnęła go za rękę, żeby wstał.

- Daj spokój, Reg - rzuciła energicznie. - Wstawaj.

Podniósł przekrwione oczy i dźwignął się na nogi, jakby oczekując od niej dalszych instrukcji.

- Wszyscy uważamy, że to kurewstwo, Reg. Nie jesteś żadnym wyjątkiem. - Paddy pokazała gestem, żeby poszedł za nią, szturchnęła go, wypchnęła na zewnątrz przez podwójne drzwi i poprowadziła dalej na dół, na ulicę.

Po chwili otworzyła drzwi baru, tętniącego z lekka obłąkaną wesołością. Farquarson pił na środku sali, otoczony przez koncentryczne kręgi rozbawionych kolegów, którzy wznosili szklanki i wydawali donośne okrzyki radości, chociaż ich oczy pozostawały smutne i przestraszone.

Paddy poczuła, że wzruszenie ściskają za gardło. Wielki człowiek znalazł się na kolanach i żaden radosny świergot,

kurwa jego mać, nie może odwrócić kolejnej groźnej katastrofy finansowej. Znowu popchnęła Rega, żeby wszedł pierwszy. Farquarson spojrział w ich stronę i zobaczył Paddy. Był lekko oszołomiony, jakby niepewny siebie.

Paddy uśmiechnęła się szeroko, ale nieszczerze, a on odwzajemnił tę uprzejmość. Potem dziewczyna precyzyjnie się do niego przez tłum.

- Szefie, czyżby wyrzucili cię dlatego, że chciałeś mnie awansować? - zapytała, klepiąc go po ramieniu najmocniej, jak potrafiła.

Skinął głową.

- Owszem. Dlatego powinnaś mi postawić drinka.

Paddy znowu poklepała go po plecach i skierowała się do baru, tak skupiona na torowaniu sobie drogi w ścisku, że nagle znalazła się pomiędzy Ojcem Richardsem i Williem Półdupkiem, redaktorem cieszącym się złą sławą pedanta. Richards truł mu dupę, perorując na temat wygłoszonego na wiecu przed gmachem Sądu Najwyższego wrzaskliwego przemówienia Tony'ego Benna, który zgłosił swoją kandydaturę na premiera, a Willie popijał piwo, coraz bardziej pragnąc pozbyć się towarzystwa zagorzałego agitatora, jakim był Richards. Prawdziwy socjalizm, oto wielka obietnica kandydatury Benna: powrót do własności państwowej i pełne zatrudnienie.

Paddy cofnęła się, by sprawdzić, czy zdoła ich jakoś ominąć, ale okazało się, że nie ma na to sposobu. Richards był przewodniczącym związku, chociaż rzadko pokazywał się ostatnio w biurze. Większość czasu spędzał na naradach związkowych, planując nową socjalistyczną republikę. Jego zdaniem ludzie cierpieli głód i mieli już dość brutalnych rządów wilczego kapitalizmu. Rewolucja była nieunikniona.

Willie Półdupek, na co dzień człowiek łagodny, nagle nie wytrzymał i tuż przed nosem Paddy wymierzył Richardsovi cios prosto w twarz. Dziewczyna odskoczyła, gdy

obaj mężczyźni spadli ze stołków barowych na lepiącą się od brudu podłogę, szamocząc się i wymachując bezładnie rękami i nogami. Dokoła natychmiast zebrał się tłumek zachwyconych bójką gapiów.

Gdy Richards przeturlał się po podłodze obok Farquarsona, ten lekko trącił go czubkiem buta w plecy. Dał w ten sposób znak do ogólnej zabawy, bo wkrótce już wszyscy obecni kopali Richardsa - niektórzy delikatnie i tylko dla żartu, inni natomiast mocno i złośliwie. Paddy zmierzyła Farquarsona spojrzeniem i zauważyła, że jest szczęśliwy, że impreza na jego cześć idzie tak dobrze i że panuje na niej ta sama, nieco brutalna z gruntu atmosfera, która dominowała w news roomie za jego rządów. Tak właśnie powinno być.

Ktoś klepnął ją w ramię - odwróciła się i spojrzała prosto w zmartwioną twarz McVie'go. Skinęli sobie głowami na powitanie. George miał na sobie czystą, wykrochmaloną koszulę.

- Kiedy odwiedzisz mnie wreszcie na nowym mieszkaniu? - zapytał.

Paddy nie była pewna, czy ma ochotę spotkać się sam na sam z McVie'm, który podał jej swój nowy adres już kilka tygodni temu i dość natarczywie nalegał na te odwiedziny.

Z zabawy w kopanie Richardsa, który został tymczasem porządnie poobijany, zniknęły wszelkie akcenty humorystyczne. Richards krzyknął, żeby przestali, i spróbował usiąść, chcąc się bronić, ale Półdupek, któremu bójka sprawiała widoczną przyjemność, powalił go ponownie na podłogę przy akompaniamencie radosnych okrzyków tłumu.

Farquarson spojrzał na Paddy z szerokim, wesołym uśmiechem, a potem pokazał jej gestem, żeby wyszła. Dziewczyna w odpowiedzi kciukiem wskazała bar, co miało oznaczać, że jeszcze nie kupiła mu drinka. Na to

Farquarson uniósł do góry dwie szklaneczki whisky, jedną w jednej, drugą w drugiej ręce, a potem jeszcze raz skinieniem głowy nakazał jej wyjść. Był nadal jej naczelnym i wiedział, że Billy czeka na nią przy samochodzie.

Tylko dlatego, że wiedziała, że pewnie już nigdy więcej go nie zobaczy, Paddy zrobiła coś zupełnie dla niej niezwykłego, a mianowicie przytknęła rękę do ust i posłała mu buziaka. Farquarson przyjął całusa z wdzięcznością, jak dobry znajomy, mrugając wolno powiekami i uśmiechając się szeroko.

Paddy ruszyła do wyjścia, oglądając się na zbity ciasno krąg gapiów, nad których głowami górował niesforny kosmyk włosów naczelnego, przypominający kłęb dymu z ogniska. Uśmiechnęła się smutno, otworzyła drzwi i wyszła na ulicę, na przejmujący ziąb.

2

Billy pracował dla Farquarsona od czterech lat, a swoje oburzenie z powodu jego zwolnienia wyrażał, prowadząc bardzo ryzykownie. Pośpiesznie okrążał ronda i usiłował przejeżdżać skrzyżowania na pomarańczowym świetle, dając w ten sposób światu do zrozumienia, że jest wkurzony. Pomiedzy nim a Paddy wisiał gęsty smog radiowego szumu, więc nie mogli się nawzajem pocieszać. Zresztą dziewczyna właściwie wcale nie chciała rozmawiać na ten temat ani na nowo wałkować niesprawiedliwej decyzji zarządu. Miała dość własnych zmartwień.

Sunęli przez mokre miasto opustoszałymi ulicami, z których deszcz splukiwał śmieci i kurz. Padało nieustannie już od dwóch tygodni. Paddy lubiła deszcz, bo wtedy wszyscy chodzili pogrążeni w swoich myślach, ze spuszczoneymi głowami, a w bocznych uliczkach i zaułkach wylądował wiatr.

To nie Thillingly'ego widziała w drzwiach domu pani Burnett, ale zastanawiała się, czy to nie on przyjechał wtedy do willi tym drugim bmw. Wyobraziła sobie, że siedzi przemoczony z bladą jak kreda twarzą w jasno oświetlonym salonie Vhari Burnett, wpatruje się w nią zło-wrogo i unosi bezwładne palce, z których ścieka śmier-dząca, rzeczna woda, by dotknąć otwartej rany na swoim rozerwanym policzku. Coś tu nie pasowało. Być może bezwiednie współczuła Thillingly'emu, bo był grubasem, ale prezes miejscowego oddziału Amnesty International nie torturowałby chyba tak okrutnie swojej byłej narzeczonej.

Billy zatrzymał się na światłach i szum z odbiornika ucichł, bo stali w dolince pośród wysokich biurowców, gdzie nie docierały fale radiowe.

-Jak poszło twojemu synowi na tych testach u Jagsów?

Billy ze smutkiem pokiwał głową.

- Miał świetne wyniki, sukinsyn. I w ogóle... Przyjęli go na treningi do młodzików.

- Nie cieszysz się?

Spojrzał na nią żałośnie.

- Ja kibicuję Rangersom. Widziałem, jak wzięłaś pie-niądże od tego faceta. - Dorzucił tę uwagę na końcu, uni-kając jej wzroku. - Brałaś już kiedyś łapówki?

- Właściwie niczego nie wzięłam. Ten gość wepchnął mi po prostu banknot w dłoń i zatrasnął drzwi.

Zapaliło się zielone światło i Billy ruszył, kręcąc głową, bo jakoś nie do końca wierzył Paddy. Musieli przejechać wzdłuż przez całą dolinkę, więc z niezupełnie sprawnego radia co chwila wydobywały się ostre trzaski i szумы. Paddy dotknęła ramienia Billy'ego, a ten drgnął, przestraszony.

- Dziś rano oddałam te pieniądze na policji. A przecież mogłabym je po prostu zatrzymać.

Billy skinął ciężko głową, unikając wzroku dziewczyny i zerkając w lusterko wsteczne. Postanowiła jak najczęściej przebywać dziś poza wozem.

Komenda Marinę wyglądała ciepło i zapraszająco, gdy parkowali przed nią na ulicy. Żółte światło padające z okien przebijało się przez ścianę deszczu, oświetlając jego krople, rozbryzgujące się w ulicznych kałużach. Paddy otworzyła drzwi, zanim Billy zaciągnął ręczny hamulec.

Jeszcze nie doszła do wejścia do komendy, a już w jej botkach chlupotała woda. Na zamoszonych noskach widniały białe ślady po zaschniętych plamach wilgoci, ponieważ ciągle chodziła w tych butach w deszcz. Strzeżąc ręką krople wody z włosów, zauważyła znów Murdo McClouda przy biurku. Poczekalnia była pusta. Nikt bez przerwy nie otwierał drzwi, a w środku było przytulnie, bo ciepło z grzejników nie uciekało na zewnątrz.

Z drzwi prowadzących do gabinetów na zapleczu wyszło dwóch funkcjonariuszy. Jeden z nich klepnął McClouda po ramieniu, przechodząc obok i wołając: „Goudy, ty stary fiucie”, a Murdo wybuchnął śmiechem. Wciąż chichocząc, McCloud dostrzegł Paddy i zawołał ją, otwierając jednocześnie księgę zdarzeń, po czym pokazał jej gestem, żeby podeszła bliżej i sama zajrzała do wpisów. Był to z jego strony wyraz szacunku dla niej, więc wbiegła rażno na schodki, dudniąc donośnie na drewnianych stopniach.

McCloud opowiadał jej właśnie o rozmaitych drobnych incydentach, które zdarzyły się w nocy, czyli o odpryskach życia obcych ludzi, kiedy z tyłu otworzyły się drzwi i stanął w nich Sullivan. Był jeszcze bez marynarki, co wskazywało na to, że nie spodziewa się szybko wrócić do domu. Zdziwił się na widok Paddy i znacząco wskazał na nią palcem.

- To ty... - powiedział, jakby właśnie o niej myślał.

McCloud i Paddy przez chwilę patrzyli na niego zdumionym, tęnym wzrokiem.

- A to ty - odparł za dziewczynę McCloud.

Drewniana podłoga nieoczekiwanie skrzypnęła głośno i wszyscy troje drgnęli, przestraszeni. Sullivan poczuł nowy przypływ energii i gestem wskazał Paddy wejście do białego, wyłożonego boazerią korytarza.

Słyszała przez ścianę, że w cichym pokoju, w którym przesłuchiwali ją Sullivan i Reid, jest gwarno i tłoczno, a policjanci śmieją się wesoło pomimo późnej pory.

- Długo siedzicie w pracy - powiedziała życzliwie, próbując podtrzymać taką komitywę, w jakiej była z McCloudem.

Ale Sullivan był zbyt rozgorączkowany na rozmowę w tym tonie.

- Dziękuję, że przyszedłeś... Znaczy wtedy, wcześniej, na spotkanie z Keano, wiesz. Czy tamtej nocy w Bearsden, stojąc przy drzwiach, widziałeś jeszcze kogoś w pokoju? Jakiś cień za firanką albo coś w tym rodzaju?

Wytężyła pamięć.

- Jaki cień?

- Na przykład potężnego, łysiego, szerokiego w barach faceta.

Potrząsnęła przecząco głową, próbując dopasować ten opis do Thillingly'ego, który miał bujną czuprynę. Przypomniała sobie teraz jego mokrą grzywkę, przykrywającą na wpół otwarte oko, i na to wspomnienie przebiegł ją zimny dreszcz. Sullivan obserwował bacznie Paddy, jakby chcąc ją zachęcić, żeby odpowiedziała twierdząco.

- Mówiłam wam już, że tamten facet nosił szelki.

- Wiem, ale nie możemy znaleźć nikogo, kto odpowiadałby podanemu przez Ciebie rysopisowi. - Sullivan nadal wydawał się podekscytowany.

- Znaleźliście coś na podstawie badań tego banknotu?

Rozemocjonowany i zadowolony z siebie policjant wysunął dolną szczękę, ale odwrócił wzrok.

- Grupę krwi? - zgadywała Paddy.

Potrząsnął przecząco głową.

- Kokainę. Cały banknot był nią oblepiony. A poza tym...

Chciał, żeby zgadywała dalej, więc próbowała. Nie mogło chyba chodzić o odciski palców? Ich badanie trwało zwykle tygodniami, bo akta osób notowanych trzeba było przeglądać ręcznie.

- Nie mogą to chyba być odciski palców... - zaczęła, ale Sullivan uniósł brwi i potrząsnął głową, opisując w powietrzu maleńką ósemkę.

- Znaleźliście odciski na banknocie? I wiecie, do kogo należą? Znacie jego nazwisko już po pierwszym dniu śledztwa? To chyba macie do dyspozycji komputer Deep Blue...

Sullivan wyszczerzył zęby w uśmiechu, mocno przygryzając dolną wargę.

- No, więc jak? - Paddy odwzajemniła jego uśmiech. - Czyje są te odciski? Tego faceta w szelkach?

- Nie. Na banknocie widnieją odciski dwóch osób. Jedne z pewnością należą do tego gościa, który dał ci pieniądze, ale on nie figuruje w naszej kartotece.

- Jednak kiedy go złapiecie, będzie można wykorzystać te pięćdziesiąt funtów jako dowód rzeczowy, prawda?

Sullivan znów się uśmiechnął, nie patrząc na Paddy.

Dziewczyna zadała mu inne pytanie, na które mógł odpowiedzieć.

- A odciski palców tej drugiej osoby? Czy znaleźliście je również w domu?

- Nie. W domu nie znaleźliśmy w ogóle żadnych odcisków. - Sullivan znowu wykrzywił twarz w uśmiechu. - Wszystko zostało starannie wytarte i wyczyszczone.

- Dlaczego ktoś miałby zadać sobie tyle trudu, żeby usunąć odciski palców z domu, a nie pomyślał o banknocie?

Sullivan uniósł brwi, a Paddy kiwnęła głową.

- Pewnie przypuszczali, że natychmiast wydam te pieniądze. Że rozmienię banknot.

- Drugie odciski należą do osoby znanej policji. Do zbira, z którym Mark Thillingly nigdy by się nie zadawał. Co potwierdzałoby tezę, że Thillingly nie popełnił jednak tego morderstwa. - Sullivan z satysfakcją klasnął w dłoń.
- Ale nie możesz o tym napisać. Jeszcze nie.

-Wiesz przecież, że o tym nie mogłabym napisać, nawet gdybym chciała - powiedziała Paddy. - Nasi prawnicy nie pozwalają nam publikować tekstów, które mogą mieć wpływ na przebieg procesu sądowego.

- To dobrze. Nie chcielibyśmy, żeby wypuszczono tych ludzi na wolność tylko dlatego, że ujawniłaś ich nazwiska w prasie.

- A jakich na przykład nazwisk nie powinnam ujawniać?

Sullivan nachylił się do niej, szepnął jej jedno słowo i natychmiast się cofnął.

- Lafferty.

3

Kate wydawało się, że siedzi w samochodzie już od kilku miesięcy, zgięta w pół, z mocno zamkniętymi powiekami, spod których całymi strumieniami spływały łzy, bo twardy kryształek narkotyku wciąż drażnił jej śluzówkę. Poprząsięła sobie, że odtąd zacznie rozcieńczać kokainę. Powinna była zabrać z domku mleko w proszku, ale skąd mogła wiedzieć, że będzie jej potrzebne?

Kiedy w końcu się wyprostowała, poczuła się rześko i wróciła jej jasność myśli. Poradziła sobie w niebez-

pieczonej sytuacji, wymagającej interwencji lekarza, spokojnie i bez pomocy. „Zuch dziewczyna” - pochwaliła w myślach samą siebie. Uruchomiła silnik, cofnęła wóz, przejechała przez pusty parking i wyjechała na ulicę.

Restauracja należała do Archiego, a chociaż Archie właściwie nie był jej przyjacielem, zawsze dawał Kate do zrozumienia, że mu się podoba. Kilka razy próbował ją obmacywać i gładzić po plecach swoimi tłustymi, amerykańskimi łapami, kiedy sądził, że są sami w korytarzu na zapleczu. Czasami wchodził za nią do damskiej toalety w trakcie ciągnących się długo w noc zamkniętych imprez, a Kate pozwoliła mu nawet kiedyś dotknąć swojej piersi i pocałować się w szyję, zanim go odepchnęła. Tak, podobała się Archie'emu, i to nawet bardzo.

Jechała wolniutko wzdłuż półkolistego szeregu sklepów, aż wreszcie zobaczyła szyld z napisem „Tusks” i jasno oświetlone okno, zasłonięte białymi żaluzjami. Właściwie była to winiarnia, ale można było tu dostać także coś na ząb - różne przekąski i serwowane w małych porcjach smakołyki. Jadła tu już kilka różnych dań i wszystkie były naprawdę bardzo smaczne. Na przykład frytki z jajkiem sadzonym. Pyszności.

Wjechała na pobliską ulicę, gdzie zwykle parkowali, kiedy wybierali się do Archiego. Znalazła wolne miejsce i już miała postawić na nim samochód, gdy przypomniała sobie, że przecież się ukrywa. Skoro ona wiedziała, gdzie go szukać, on też domyśliłby się, gdzie może przyjechać Kate. „Zuch dziewczyna”.

Ostro zatemperowany ołówek, przebijający papierową membranę. Znów potrząsnęła ręką, jakby usiłowała strzepnąć z palców drobinki błota. Paskudne uczucie. Pojechała za róg i zaparkowała w małej bocznej uliczce. Schowała się za wysoką furgonetką, więc nawet jeśli on będzie przejeżdżał koło restauracji, nie zauważy jej samochodu.

Wypije dużą lampkę zimnego, wytrawnego, białego wina i trochę pośmieje się z Archiem. Może nawet pozwoli mu się uwieść. Jest stary i brzydki, ale mimo to może mu na to pozwolić. Już od kilku dni nie miała nawet do kogo otworzyć ust, więc miło byłoby spędzić tę noc z jakimś sympatycznym znajomym.

Mimo wszystko lekko zażenowana tą myślą, przewiesiła torebkę przez ramię, wysiadła ze swojego wspaniałego auta, zamknęła je i z przyzwyczajenia dla pewności pociągnęła za klamkę. Niedbale przeczesła ręką jasne włosy, odgarnęła je za uszy, po czym zapięła wszystkie złote guziki granatowej garsonki. Po drodze do restauracji stopniowo dotarło do niej, że znajduje się w miejscu publicznym, zaczęła więc kołysać biodrami i ramionami, i lekko wydeła wargi. Napije się z Archiem, rozejrzy się po knajpie, sprawdzi, czy będzie mogła schować gdzieś w niej paczkę, a potem może pozwoli mu dobrać się do siebie.

Zza szyby w oknie restauracji promieniowało ciepło, Przypomniała sobie setki spędzonych tu wieczorów, prowadzących się w jej pamięci do usznię otwieranych przed nią drzwi, do stołu uginającego się pod ciężarem najdroższych win oraz do Archiego, który ciągle proponował gościom nowe dania, by jeszcze bardziej uprzyjemnić im biesiadę. Kate uśmiechała się do wszystkich otaczających ją facetów, którzy śmiali się z tego czy tamtego, na przykład z jakiegoś kawału albo gry słów, wykorzystującej nazwy różnych gatunków francuskiej musztardy. Otworzyła drzwi z afektowanym uśmiechem, mającym oznaczać samozadowolenie, po czym stukocząc obcasami, zeszła po wyłożonych terakotą schodach do okrągłego holu o wykafelkowanej podłodze, przez który wchodziło się na salę restauracyjną.

Zajęta była najwyżej połowa stolików, ale wszyscy goście jak na zawołanie opuścili sztucce i odwrócili się

w stronę drzwi. Zaskoczona Kate uśmiechnęła się słabo i zerknęła za siebie przez ramię. Nikogo za nią nie było. Odwróciła się z powrotem i wtedy zrozumiała, że wszyscy beczelnie, najbezczelniej na świecie, gapią się tylko na nią.

Prychnęła z irytacją i przesunęła pasek torebki wyżej na ramieniu, a potem zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu Philippe'a, kierownika restauracji Archiego. Nie musiała czekać długo, bo z biura na zapleczu wyszedł po chwili Archie we własnej osobie i natychmiast, niczym walec, potoczył się ku Kate przez całą szerokość sali.

Dziewczyna rozpostarła ramiona w geście zyczliwego, serdecznego, przyjaznego powitania.

- Witaj, kochanie.

Archie chwycił ją za przegub, boleśnie wykręcił rękę i niemal przemocą wyciągnął za drzwi, a potem dalej, po trzech półokrągłych schodkach, na ulicę. Torebka zsunęła się dziewczynie z ramienia, objając się ciężko o kafle podłogowe.

Spojrzał jej w twarz dopiero na ulicy, stając z nią niemal nos w nos.

- Wynoś się stąd. Nigdy więcej nie chcę cię tu widzieć.

Zwiesiła głowę, kokieteryjnie podnosząc na niego wzrok.

- Nie bądź świnia, Archie. Miałam ostatnio złe dni. - Przebiegła palcami po guzikach jego koszuli. - Bądź dla mnie miły.

- Nie wiesz, że on cię szuka?

- Wiem, wiem. Zaszło zwyczajne nieporozumienie. On myśli, że byłam niegrzeczna, ale ja umiem być przecież bardzo miła. - Uśmiechnęła się do niego w nadziei, że Archie zrozumie erotyczną aluzję, mimo wszystko zabierze ją do domu i zaopiekuje się nią. W tej chwili nie przeszkadzało jej, że był stary, miał kosmaty kark, a z nosa

wyrastały mu kępki niesfornych włosów. Nie przeszkadzało jej nawet to, że był tylko właścicielem restauracji. Chciała dotykać i być dotykana. Potrzebowała ludzkiego ciepła i dachu nad głową. - Archie. - Wsunęła mu rękę pod koszulę i pogładziła go po ramieniu. Tkanina była tandetna. Dziewczyna słyszała, jak nylonowe włókna szeleszczą pod jej palcami. - Ja ci się przecież bardzo podobam, prawda?

Archie nakrył jej rękę swoją włochatą łapą i oderwał dłoń Kate od swojej piersi.

- Wiesz co, Kate? Nie lubię cię. Moim zdaniem jesteś głupią cipą, chociaż kiedyś chętnie bym cię przeleciał. - Uniósł palec, żeby podkreślić, co ma do powiedzenia. - Rozumiesz chyba, to było co innego. Przeleciałbym cię, bo wtedy byłaś z nim. Ale teraz... - wymierzył w nią palec i przesunął nim w powietrzu w górę i w dół - ...nie pozwolilibym ci, żebyś mi obciągnęła, nawet gdybyś chciała za to zapłacić.

Nikt nigdy nie zachował się wobec niej tak po chamsku. Kate cofnęła się i wbiła w niego wzrok. Archie był gruby, stary, owłosiony na całym ciele jak niedźwiedź i nosił tandetne koszule, a ona była najładniejszą uczennicą ze swojego rocznika, najatrakcyjniejszą dziewczyną w Marina Club i najbardziej łakomym kąskiem na każdym balu, na jakim w życiu była. Ściągnęła usta w ciup, wiedząc, że z taką miną jest jej do twarzy, i zagrała swoją kartą atutową, wymierzając mu cios otwartą dłonią w ten jego wielki, tłusty pysk.

Archie z kamienną twarzą chwycił ją za przegub i przytrzymał jej dłoń wysoko nad głową.

- Spierdalaj stąd i nigdy tu nie wracaj.

Kate przygryzła wargę.

- Jesteś wulgarnym gburem - powiedziała, odwróciła się i ruszyła przed siebie wzdłuż szeregu pozamykanych już sklepów. Ich wystawy i drzwi zasłaniały żaluzje: sklep

z markowymi ciuchami, sklep z wyrobami tytoniowymi, agencja sprzedaży nieruchomości... Ładne sklepy i biura. Musi tu przyjechać, kiedy będą otwarte.

Czuła na plecach spojrzenie podpuchniętych oczu Archiego, dopóki nie doszła do skrzyżowania, ale nie odwróciła się. Postanowiła nie dać mu tej satysfakcji.

Zachowała spokój, dopóki nie wsiadła do wozu i nie zamknęła drzwi. Nikt nigdy tak się do niej nie odzywał. Nie mogła uwierzyć, że Archie zdobył się na taką bezczelność. Gruby cham. A ona pozwoliła mu kiedyś się obmacywać - przecież raz wsunął nawet tę swoją tłustą, włochatą łapę pod jej bluzkę i ścisnął ją za pierś.

Opuściła osłonę przeciwsłoneczną nad fotelem pasażera i odwróciła ją ku sobie bokiem, by przejrzeć się w lusterku i poprawić fryzurę oraz makijaż, siedziała jednak za kierownicą, a więc na tyle daleko, że mogła zobaczyć odbicie całej swojej twarzy.

Zaparło jej dech w piersi. Było zbyt ciemno, żeby dało się rozróżnić kolory, ale zauważyła jakby czarne czułki, wystające jej z nosa - ohydne, cienkie, czarne, gruzłowate macki, przypominające ramiona ośmiornicy - czarną smugę, biegnącą przez cały policzek i znikającą nad czołem, czarną krechę, sięgającą ust oraz czarną plamę na podbródku. Dostrzegła także coś czarnego we włosach i grudkę czerni nad uchem. Oczy miała podpuchnięte i podbite sińcami, jakby ktoś ją uderzył. Uśmiechnęła się do siebie z nadzieją, ale ten grymas był tylko kiepską, nerwową parodią wspaniałego uśmiechu, którym zazwyczaj obdarzała się w lustrze. Brakowało jej przedniego zęba. Nawet nie pamiętała, kiedy go sobie wybiła. Wyglądała jak bezdomna dziwka.

Nic dziwnego, że Archie kazał jej spieprzać. Wyglądała potwornie i była potworem, bo w przypiływie nagłego olśnienia zdała sobie sprawę, że przyczyniła się do śmierci Vhari. Nie mogąc dłużej znieść widoku swojej twarzy, od-

wróciła wzrok i zobaczyła samochód toczący się powoli pustą ulicą. Duża beemka. Jechało w niej dwóch facetów, którzy nie dostrzegli jednak auta Kate, starannie schowanego za furgonetką.

Rozdział dwunasty

Jak zupa od dupy

1

Paddy siedziała w milczeniu przy kuchennym stole w towarzystwie swojej najstarszej siostry. Caroline bez żenady paliła papierosa, przyglądając się opuchniętymi czarnymi oczami, jak ich brat Marty goni małego Cona w wysokiej trawie w ogrodzie.

Nikt w rodzinie Meehanów nie znał się ani w ząb na ogrodnictwie. Właściwie wszyscy trochę bali się wsi i przyrody, więc ogród wykorzystywali wyłącznie jako palarnię dla gości i składowisko starych, zepsutych mebli albo pralek. Wśród rozplenionych chwastów nie rosły żadne kolorowe kwiaty. Drugi brat Paddy i Caroline, Gerard, przestawił nawet dwie tyczki i rozciągnięty między nimi sznur do bielizny nieco bliżej domu, żeby Trisha nie musiała brnąć daleko przez niekoszoną trawę, gdy rozwieszała pranie.

U Meehanów na ogół nie paliło się w domu, ale teraz Caroline siedziała z papierosem na oczach matki, która stała przy piecu i gotowała zupę. Podbite czarnymi sińcami oczy Caroline były tak obrzmiałe i opuchnięte, że dziewczyna niemal nic nie widziała. Skórę na prawym policzku miała rozciętą.

Paddy przyglądała się mamie, wrzucającej do garnka ziemniaki i nędzne skrawki boczku na okrasę, i zastana-

wiała się, jak oni, do cholery, dadzą sobie radę, jeżeli teraz z jej skromnej pensji będą musieli wykarmić jeszcze dwie dodatkowe gęby - przynajmniej dopóki Caroline nie wróci do Johna i nie naprawi swojego małżeństwa.

2

Podenerwowana, ale ciekawa wieści o swoim nowym naczelnym, Paddy przyjechała na nocny dyżur dwie godziny przed czasem.

Na swojej półeczce przy drzwiach znalazła oficjalny, urzędowy list, napisany na maszynie na szarokremowym papierze opatrzonym znakiem wodnym. Zawierał informację, że policyjne śledztwo w sprawie interwencji na Drymen Road rozpocznie się następnego dnia, a zarazem wezwanie dla Paddy do stawienia się i złożenia zeznań w najbliższy wtorek o czternastej trzydzieści. A zatem we wtorek cały świat się dowie, że wzięła łapówkę. Złożyła starannie kartkę i przesunęła mocno paznokciem po zgięciu, po czym rozglądając się wokół, usiłowała zakleić kopertę z powrotem.

Wszyscy w news roomie udawali, że są bardzo zajęci: z potężnymi marsami na czołach zapamiętałe czytali albo krążyli po sali z kartkami w rękach, kiwając głowami w trakcie rozmów telefonicznych z przyjaciółmi lub rodziną. Drzwi do gabinetu Farquarsona były otwarte i Paddy zauważyła, że jego szafki opustoszały, na ścianach brakuje fotografii, a poza tym zniknęło wielkie, długie biurko, przy którym były naczelnym prowadził zwykle kolegia redakcyjne. Dziewczyna zapatrzyła się na pusty pokój, starając się zapamiętać wgniecenia na dywanie, pozostawione w miejscach, gdzie uciskały go nogi ciężkiego stołu przez te wszystkie lata, które spędziła w gazecie.

- Gdzie on się podział? - powiedziała właściwie sama do siebie.

Z ławki podniósł się chudy jak szczapa goniec, który często na nią zerkał i rumienił się, kiedy odwzajemniała jego spojrzenie.

- Nowy naczelny nazywa się Ramage.

Podobno Ramage wszedł do news roomu, przedstawił się i oświadczył, że w gazecie zajdą zmiany, bardzo poważne zmiany, których pierwszą porcję ogłosił z samego rana. Do „Daily News” z innych redakcji miało przyjść czterech nowych redaktorów i zastępca nowego naczelnego - to zaś oznaczało, że czterech starych redaktorów zostanie przesuniętych na niższe stanowiska. Jeden z nich przyjął tę propozycję, ale trzej pozostali postanowili odejść. Ramage zrezygnował też z zakupu nowych maszyn drukarskich, które obiecał zespołowi Farquarson, musieli więc jakoś sobie radzić, pracując dalej na starym sprzęcie. Ważne były zresztą nie tyle same maszyny, ile zapowiedź lepszej przyszłości, jaką symbolizowały. Dziennikarze z redakcji dziennej nadali już nowemu szefowi przezwisko - Ramcham.

Paddy dostrzegła George'a po drugiej stronie pokoju i podbiegła do niego.

- Znasz może gangstera nazwiskiem Lafferty?

- Nie - odpowiedział lakonicznie McVie. - Słyszałaś, co wyprawia ten nowy? Przeniósł swój gabinet piętro niżej. Będzie miał trzy pokoje tylko dla siebie.

- Nie będzie siedział w news roomie?

- Był tutaj wcześniej i palnął nam mówkę o tym, jak to chce z nas zrobić dochodową gazetę. Zamierza zmienić charakter „Daily News”, a jeżeli komuś się to nie podoba, to może wypierdalać. Ale nikt nie zrezygnował z pracy. Facet chce nas wkurwić, żebyśmy sami składali wymówienia, bo wtedy nie będzie musiał kolejno odstrzeliwać

zbędnych pracowników. - McVie **zniżył głos**. - **Pracował** przedtem w „News of the World”. Paddy opadła szczerką.

- O w mordę.

„News of the World” to była bulwarówka, żyjący wyłącznie skandalami brukowiec, który różnił się od pełnych faktów i suchych informacji „Daily News” tak, jak zupa od dupy.

- Później wpadnie też do was. Macie tu być wszyscy o wpół do dziesiątej. Ale tobie Ramage nic nie zrobi. Zajmiesz się przecież sprawami kryminalnymi.

Nic jej nie zrobi, jeżeli nie dowie się o tych pięćdziesięciu funtach. Nagle okazało się, że nocna robota w wozie reporterskim, której tak nie cierpiała, to teraz jedna z wielu pewnych posad w gazecie. Ale gdyby tę forszę przywłaszczył sobie jakiś gliniarz o lepkich rękach, wszyscy twierdziliby, że żadnego banknotu w ogóle nie było.

Paddy podeszła do biurka i sięgnęła po telefon, żeby zadzwonić do Partick Marinę. Poprosiła Columa McDaida.

- Dzień dobry, konstablu McDaid, mówi Paddy Meehan. Poznaliśmy się przedwczoraj.

- Było mi bardzo miło! - wpadł jej w słowo McDaid.

- Czy może coś już wiadomo w sprawie przyjaciela, którego zostawiłam pod pana opieką?

- I owszem, tak. - Niemal usłyszała, że McDaid się uśmiecha. - Nasz przyjaciel przyjechał właśnie z krótkich wakacji w laboratorium kryminalistycznym. Podróżował samochodem, pod moją osobistą eskortą, a teraz wrócił już bezpiecznie do domu, gdzie zajął należne mu miejsce.

- Czyli?...

- Pozostaje pod moją opieką w przytulnym sejfie i plastikowej torbie.

- Szcześciarz.

- Tak, jest mu tu przyjemnie i wygodnie, więc nie musi pani się o niego martwić. Nie trzeba też ciągle dzwonić,

żeby się o niego dopytywać, bo będzie tak sobie siedział, opatulony ciepło w torebeczce, dopóki nie zacznie się rozprawa sądowa.

- Dziękuję, konstablu McDaid - odpowiedziała smutnym głosem Paddy.

Odłożyła słuchawkę i rozejrzała się po redakcji. Przyszłość uciekała przed nią jak osuwający się do morza klif. McDaid był uczciwym człowiekiem. Miała przerąbane.

3

Jadący w kierunku zachodnim nocny pociąg przetoczył się z łoskotem po wysokim wiktoriańskim wiadukcie. Kate widziała z tyłu światła samochodów pędzących po ruchliwej autostradzie. Ciągająca się przed nią ulica była raczej pusta, tylko od czasu do czasu ktoś wychodził z klubu, mieszczącego się po drugiej stronie - niepokazni faceci, którzy wracali na chwiejnych nogach do domu. Przechodzili obok jej auta, ale nie zwracali na nią najmniejszej uwagi.

Teraz Kate bała się już nie na żarty. Każdy cień i wszyscy przechodnie, majaczący po drugiej stronie ulicy, byli dla niej zapowiedzią nieuchronnego ataku i zwiastowali napad ze strony wielkiego gangu, całej bandy takich ludzi jak Archie - mężczyzn, nad którymi nie miała żadnej władzy i na których nie działał jej urok.

Pozbawiona urody, nie mogąc więcej manipulować mężczyznami ani liczyć na ich względy, stała się tylko żalostną kokainistką, która najlepsze lata miała już za sobą. Po raz pierwszy w życiu będzie sama musiała o siebie zadbać.

Klub mieścił się w szarym, wyglądającym jak pudełko betonowym klocku. Przed wejściem wisiał czerwono-biały szyld z logo jakiegoś browaru, przypominającym nieco czerwony krzyż. Trzech starszych facetów w workowatych

spodniach i wyświechtanych marynarkach podtrzymywało się nawzajem w drodze powrotnej do swoich czynszowych ruder.

Kate zaczęła, aż ulica zupełnie opustoszeje. Dopiero wtedy otworzyła drzwi i wysiadła z auta, ostrożnie przewieszając torebkę przez ramię. Odslonięty metalowy czubek jej szpilki ślizgał się na mokrym od deszczu bruku, więc o mało nie straciła równowagi, chwyciła się jednak drzwi i zawisła na nich całym ciężarem. Jeszcze dwa dni temu sprawdziłaby, czy ich nie uszkodziła, szarpiąc je i ciągnąc, ale teraz nie obchodziło jej, co stanie się z tym głupim samochodem, który należał już do innej Kate. Wsunęła głowę do środka i wzięła z tylnego siedzenia przegubowe szczypce do cięcia prętów, które znalazła w bagażniku. Potem, najciszej jak umiała, zamknęła drzwi i stała chwilę w bezruchu, wyrażając słuch.

W ciemności za wiaduktem kolejowym ciągnęły się nieużytki. Szczerbate, błotniste wzgórza porastały tu i ówdzie kępy traw, a dalej było widać jakiś czerwony budynek o ciemnych oknach i jasne światło w prześwicie.

Gdzieś w oddali zawył z bólu pies, ale po chwili skowyt nagle ustał. Zaalarmowana tym odgłosem Kate zdjęła buty i zostawiła je przy samochodzie, a potem boszo ruszyła wzdłuż wiaduktu, trzymając się blisko ściany. Od szronu, który pokrywał kocie łby, zaczęły jej drętwieć podeszwy stóp, ale prawie nie czuła zimna. Po spotkaniu z Archiem spróbowała wciągnąć jeszcze jedną kreseczkę koki. Boże, strasznie tego potrzebowała, jednak nozdrza wciąż ją za bardzo piekły, ograniczyła się więc do wtarcia narkotyku w dziąsła. Nie było to tak przyjemne, jak wciąganie go do nosa, ale skuteczne: kokaina ocuciła ją, a zarazem nieco uspokoiła.

Nad warsztatem Berniego wisiał szyld. Był tandetny i krzywo zamocowany. Brakowało na nim zarówno firmowego logo, jak i nazwiska projektanta albo kierownika

działu marketingu firmy - wykonany ręcznie czarną farbą napis głosił po prostu: Bernie's Motors. Był prosty i zwyczajny, podobnie jak Bernie, i Kate się uśmiechnęła, zbliżając się w półmroku do warsztatu. Bardzo chciałaby teraz zobaczyć Berniego, siedzieć w ogródku w Mount Florida i popijać pimms albo coś pysznego, na przykład bucks fizz - jakiegoś letniego drinka. W innych okolicznościach taka myśl podniosłaby ją na duchu. Poczułaby smak koktajlu, ciepło słońca na całym ciele i bliskość Berniego, ale dzisiaj jej wyobraźnia nie działała - tej nocy Kate odróżniała fikcję od rzeczywistości. Wyraźnie czuła ciężar szczypiec wiszących jej u pasa, dotyk bosych stóp i ich zdrętwiałych palców na wygładzonych wskutek działania czasu kamieniach, a także zimne plwociny deszczu na swojej zdemolowanej twarzy.

Ściany warsztatu Berniego obłożone były płytami z kruszywa, połączonymi szarym cementem, który wyciekł tu i ówdzie ze szczelin niczym rozpuszczone lody z wafli. Na środku pod wysokim sklepieniem ceglanego łuku Kate ujrzała podwójne, czerwone, metalowe drzwi, spięte łańcuchem zabezpieczonym kłódką - ich skrzydła uchylały się więc nieznacznie w przód i w tył, ale nie można było ich otworzyć, nie zdjawszy najpierw kłódki. Kate sięgnęła po szczypcę, objęła nimi jedno z ogniów łańcucha, mocno dokręciła śrubę przegubową i ścisnęła uchwyt obiema rękami. Łańcuch stawiał opór, ale po chwili pękł z trzaskiem.

Szczerząc zęby w uśmiechu, Kate otworzyła drzwi na tyle szeroko, by wsunąć się do środka, a potem starannie zamknęła je za sobą.

W środku panowała absolutna ciemność. Nigdy tu wcześniej nie była, ale nawet gdyby ktoś wepchnął ją tutaj z zasłoniętymi oczami, od razu rozpoznałaby zapach Berniego, woń oleju silnikowego i bardzo mocnej herbaty. Mimo to w czarnej, gęstej ciemności ogarnął ją lekki strach, sięgnęła więc do torebki po zapalniczkę, a kiedy ją

wreszcie znalazła, odczuła tak wielką ulgę, że cała oblała się potem.

Wiszący nad jej głową sufit był wklęsły i przypominał mozaikę z czerwonych i żółtych cegieł, na których tańczyły cienie. Wyżej przejechał pociąg i cały wiadukt zatrzęsł się niczym brzuszysko jakiegoś siedzącego na jajach zwierzęcia. Kate podbiegła do ściany i zapaliła światło.

Spod sufitu na dwóch łańcuchach zwieszała się jarzeniówka, kołysząca się jeszcze na wspomnienie ostatniego pociągu. Dziewczyna zauważyła w kącie umywalkę, a nad nią lustro w plastikowych ramach. Podbiegła bliżej. Zatoryczki nie było. Kate odkręciła kran (nawet wodę było tu czuć olejem silnikowym) i umyła twarz, wycierając się skrawkiem pomarańczowego ręcznika. Potem spojrzała w lustro - i zaparło jej dech w piersi.

Grzbiet nosa miała spłaszczony, a na górnej wardze osad szkarłatno-białych płatków twardego, jakby złodowaciałego naskórka. Dotknęła go palcem - był zaskorupiały. Nic dziwnego, że nie mogła wciągać koki ani oddychać przez nos. Odwróciła głowę i przyjrzała się swojemu profilowi. Był płaski niczym ściana. Odetchnęła głęboko i rozprostowała ramiona. Kiedy sprawa przyschnie, zrobi sobie operację nosa. Chirurgia plastyczna działa dzisiaj cuda.

Długo pocierała ohydny skorupę mokrym ręcznikiem i wreszcie udało się jej oderwać z górnej wargi potężny strup, którego większą część pozostawiła jednak w spokoju w nosie, by nie narażać uszkodzonego naskórka na bezpośredni kontakt z powietrzem. Poczuła się odświeżona, więc przywołała na twarz swój charakterystyczny, pełen nadziei uśmiezek, ale odwróciła się od lustra z obrzydzeniem.

W przestronnej hali było jeszcze sporo wolnego miejsca. Zaparkowane starannie w szeregu obok siebie stały trzy samochody: stary zielony jaguar, MG i upstrzony plamkami

rdzy zielony mini cooper. Na podłodze wałały się szmaty, ubabrane smarami klucze narzędziowe i kawałki blachy. Ten skurwielek Bernie zawsze był brudasem. Obok, pod ścianą, w której zainstalowana była umywalka, ciągnął się stół, ozdobiony kręgami plam po kubkach, kleksami białej farby, pokwitowaniami, stosem brązowych kopert, w których właściciel wysyłał klientom rachunki, i okropnie, obrzydliwie brudną, płaską, przezroczystą butelką. Jej ścianki pokrywała okleina w szkocką kratę, a w środku było widać brunatny pierścień zaschniętej herbaty. Pod stołem Kate zauważyła równiutko ustawioną metalową skrzynkę narzędziową. Obeszła stół, by przyjrzeć się jej z przodu. Skrzynka wyposażona była w długie, wąskie szufladki na narzędzia i różne drobiazgi. Z drugiej strony stała nie wyższa od stołu metalowa szafka biurowa, zasłaniająca skrzynkę przed wścibskim wzrokiem każdego, kto akurat nie stał przy umywalce.

Zgasiła światło, po czym znowu otworzyła drzwi i chyłkiem przemknęła wzdłuż muru z powrotem do samochodu. Otworzyła bagażnik, wyjęła paczkę, starając się trzymać ją rozcięciem do góry, a potem przytuliła pakunek do piersi niczym śpiące niemowlę i przeniosła go do warsztatu.

Usiadła na podłodze, odkleiła taśmę zabezpieczającą rozcięcie, po czym napelniła narkotykiem dwie leżące na stole brązowe koperty. Zakleiła je i postawiła na stole tak, że przez przezroczyste celofanowe okienka, umożliwiające odczytanie adresu odbiorcy, widać było szczyty maleńkich wydm białego proszku. Wycisnęła z paczki powietrze, usiłując nie uronić ani odrobinki kokainy, i zakleiła znów rozcięcie, podwijając rogi, żeby pakunek był możliwie jak najmniejszy, a jego zawartość jak najściślej zbita. Następnie wcisnęła się między umywalkę a stół i wsunęła paczkę za skrzynkę narzędziową.

Wstała, obrzucając schówek z góry krytycznym spojrzeniem. Paczki właściwie nie można było dostrzec, nawet

jeśli stało się nad umywalką. Kate znów obeszła stół, by spojrzeć na kryjówkę z drugiej strony. Nic nie było widać.

Kochała tę paczuszkę. Mogła ją wykorzystywać w negocjacjach, żeby wybrnąć z kłopotów, ale nie zamierzała jej nikomu oddawać. Była cenna, oczywiście, warta kupę łorsy, ale on nie darzył jej takim uczuciem, jak ona. Dlatego potrzebowała jeszcze jednego atutu. I wtedy przyszedł jej do głowy pewien pomysł: Knox. Wiedziała o Knoksie i mogła grać również tą kartą. Własna pomysliwość aż jej zaparła dech w piersi - bo Knox był dla niego daleko ważniejszy niż paczka z kokainą. Musiała tylko obmyślić, jak najlepiej spożytkować to, co wie.

Podekscytowana i pokrzepiona myślą, że nie będzie musiała oddawać narkotyku, poczuła się całkiem piękna jak na dziewczynę do towarzystwa, która zamierza poddać się operacji plastycznej nosa. Wśród śmieci i drobiazgów leżących na stole znalazła kluczyki do mini coopera. Samochód zapalił już przy pierwszej próbie. Dobry, stary Bernie. Zostawiła silnik na jałowym biegu i na paluszkach podbiegła znów do stołu. Włożyła obie brązowe koperty do jednej większej, na wypadek, gdyby okazały się nieuszczelne, a potem sięgnęła po leżący obok ogryzek ołówka i na górnym marginesie pierwszej strony starego egzemplarza „Daily News” napisała dwa słowa: „Przepraszam, Bernie”.

Brzmiało to niepewnie. Niezdecydowanie. A przecież Kate chciała, żeby Bernie wiedział, że się zmieniła i że zdaje sobie sprawę z tego, co zrobiła, dodała zatem jeszcze: „Bardzo, bardzo przepraszam”. Ale to wyznanie wcale nie wydało się jej szersze, więc spróbowała ponownie: „Kocham cię”. Po chwili zastanowiło ją, że wszystko, co napisała, przypomina pożegnanie z życiem umierającego człowieka.

Zgasiła światło i otworzyła drzwi na oścież. Zabrała szczypcę, wsiadła do mini coopera, wsuwając bezcenną

kopertę pod fotel kierowcy, a potem zaczęła kręcić kierownicą, żeby wyjechać z warsztatu.

Zatrzymała się przed wejściem, nie wyłączyła jednak silnika w obawie, że później nie zapali, i powiesiwszy kłódkę z powrotem na swoim miejscu, zamknęła drzwi tak, że z daleka wyglądały na zabezpieczone. Podjechała mini cooperem do bmw, wysiadła, zabrała swoje buty, szeroko otworzyła drzwi beamki, włożyła kluczyki w stacyjkę, zapaliła światła i dopiero potem wróciła do autka, które wyprowadziła z warsztatu. Wiadukt znajdował się w cichym zakątku miasta, ale Kate wiedziała, że w końcu ktoś zauważy otwarte bmw. Zostanie skradzione najwyżej po kilku godzinach.

Mini cooper toczył się z turkotem po bruku, aż wreszcie wyjechał na asfaltową szosę. Niestety, w tym samochodziku czuło się każdy garb i każdą nierówność, nawet na takiej nawierzchni. Kate skierowała się na zachód. Ruszyła pustą drogą, prowadzącą nad Loch Lomond, do wiejskiego domku nad jeziorem.

Rozdział trzynasty

Ramage

1

Cały zespół redakcji nocnej zbił się w stadko w kącie news roomu. Stali nienaturalnie blisko siebie, czuli się nieswojo i poprawiali wymięte, poplamione krawaty. Palacze pochrząkiwali. Wszyscy usiłowali się kryć za plecami kolegów i unikali kontaktu wzrokowego z osobami stojącymi z przodu.

Andrew Ramage wygłaszał właśnie orędzie do swoich żołnierzy. Paddy od razu zorientowała się, że to ich człowiek. Pochodził z rodziny robotniczej, podobnie jak większość dziennikarzy i zastępców redaktorów. Miał podobnie marne szanse na sukces życiowy jak oni, ale gardził nimi za to, że nie powiodło im się tak jak jemu. Domyśliła się tego bez trudu po jego gładkim londyńskim akcencie i modnych drogich ciuchach, których dotykał co chwila, gładząc szwy swojej stalowoszarej marynarki oraz mankiety idealnie wyprasowanej, białej koszuli. Dziewczyna widziała jego potężny kark, świadczący o tym, że kiedyś pracował fizycznie. Farquarson kształcił się w prywatnych szkołach. Był chłopcem z klasy średniej, doskonale zdającym sobie sprawę, że wywodzi się z uprzywilejowanej warstwy społecznej w porównaniu ze swymi pracownikami, którym bardzo starał się nie okazywać wyższości.

Dlatego był dla nich łagodniejszy i grzeczniejszy niż Ramage.

Nowy naczelny krążył po news roomie, chodząc tam i z powrotem przed otwartymi drzwiami pustego gabinetu Farquarsona. Splótł dłonie na plecach w napoleońskim geście, rozkładając je tylko od czasu do czasu, żeby wykonać jakiś stanowczy gest albo machnąć ręką.

Mówił, że nocna redakcja w każdej gazecie to komandosi, którzy niejako walczą na tyłach wroga. Tutejszy nocny zespół tworzą, będący redakcyjnym zapleczem, niepozorni chłopcy - „i jedna dziewczyna”, co dodał z krzywym uśmiechem. Zdobywają oni jednak różne bardzo interesujące informacje i bez z nich gazeta byłaby zupełnie inna - czyli dużo gorsza. Paddy słuchała go piąte przez dziesiąte, bo ani ona, ani - jak sądziła - żaden inny dziennikarz nie mógł w słowach Ramage'a rozpoznać siebie i swojej roboty. Zatrudniano ich jedynie dlatego, że gdyby gazeta przegapiła jakąś informacyjną bombę, która wybuchła w środku nocy raz na dziesięć lat - jak na przykład trzęsienie ziemi w Armenii, w którym ginie kilkadziesiąt tysięcy ludzi, albo nieoczekiwana śmierć kolejnego sowieckiego przywódcy - straciłaby swoją reputację, a co za tym idzie, zyski od reklamodawców. Dlatego wszyscy członkowie zespołu redakcji nocnej wiedzieli, że są jedynie wentylem bezpieczeństwa, dającym gazecie względną pewność, że takie firmy jak Suits for Sirs albo Bejam's Freezer Stores nie zaczną zasilać konta „Glasgow Herald”.

Ramage głądził dalej, a oni z coraz większym zaangażowaniem słuchali jego kolejnych hiperboli, aż wreszcie zaczęli się wszyscy zastanawiać, czy nie powinni znaleźć sobie w nocy jakiegoś naprawdę uwznioślającego zajęcia, zamiast drzemać, drapać się po jajach czy kłócić się jak dzieci w poprawczaku. Nowy naczelny pragnął im także powiedzieć, że duch przedsiębiorczości, ogarniający

coraz szersze kręgi brytyjskiego społeczeństwa, zostanie powitany w „Daily News” z otwartymi ramionami. Każdy może do niego przyjść z propozycją tekstu. Wystarczy zapukać do drzwi jego gabinetu o dowolnej porze dnia i nocy. Chodzi bowiem o to, żeby gazeta sprzedawała się w jak najwyższym nakładzie, a wszystkie gazety sprzedają się dzięki tekstom. Nie wolno im o tym zapomnieć ani na chwilę.

Potem Ramage zadał śmiertelny cios: będzie musiał zwolnić prawie połowę zespołu. Zbici w stadko dziennikarze westchnęli głęboko chórem, ale nikt nie zaczął się uskarżać na swój los ani nic nie powiedział. Ktoś stojący z tyłu zachichotał szyderczo, a ktoś inny bezskutecznie usiłował odchrząknąć. W „Daily News” potrzebni są producenci, którzy będą wytwarzać określone towary. „Każdy, kto dostarczy mi odpowiedni towar, może czuć się bezpieczny” - powiedział Ramage. „A każdy, komu nie podobają się nowe porządki, może wypierdalać. Czy to jest jasne?” Wbił w nich swoje bazyliszkowe spojrzenie w nadziei, że któryś z dziennikarzy włoży płaszcz i wyjdzie, oszczędzając mu wypłaty wysokiej odprawy, nikt się jednak nie ruszył.

Nowy naczelny jeszcze raz przypomniał, że gazety sprzedają się dzięki zamieszczanym w nim tekstom, i wyszedł, przechodząc przez całą, pogrążoną w milczeniu salę, odprowadzany wzrokiem przez wszystkich dziennikarzy.

Stali chwilę jak wryci, wpatrzeni w drzwi. Potem ktoś z tyłu zamruczał niepewnie: „chuj”, a ponieważ Ramage nie wpadł natychmiast z powrotem do news roomu i nie zwolnił winowajcy z pracy, słowo to zostało powtórzone nieco głośniej, po chwili zaś podchwycił je kolejny anonimowy głos. Paddy rozejrzała się wokoło. Ludzie patrzyli po sobie szeroko otwartymi, przerażonymi oczami, próbując ocenić, który szczebel zajmują na drabinie redak-

cyjnej przydatności Ramage'a. Paddy w zasadzie nie miała bezpośrednich rywali. Powierzono jej zadanie, którego nie wykonywał nikt inny, więc chyba jest bezpieczna - o ile nowy naczelny nie zechce jej zastąpić kimś z redakcji dziennej albo nie znajdzie kogoś w pośredniaku.

Stadko nieszczęśników powoli rozchodziło się do swoich biur. Większość z tych dziennikarzy została „zesłana” do pracy w redakcji nocnej, bo była nielubiana i niesympatyczna. Richards na pewno nie będzie o nich walczył. Kto wie, być może nawet zgoda na zdziśiatkowanie redakcji nocnej to cena, jaką przywódca związkowy uznał za stosowne zapłacić za kompromis w kwestii zwolnień w zespole redakcji dziennej.

- Chyba powinniśmy coś w tej sprawie zrobić? Zaprotestować czy coś? - spytała Paddy kilku rozchodzących się już dziennikarzy.

Odwrócił się do niej jeden z zastępców redaktora.

- Jeśli nie będzie redukcji, gazeta padnie. Richards dobrze o tym wie, podobnie jak stowarzyszenie dziennikarzy. Nic nie możemy zrobić.

- A związki zawodowe drukarzy?

Facet zatrzymał się i obrzucił ją ponurym wzrokiem.

- Właśnie dlatego zarząd nie chce im kupić nowych maszyn, Meehan. Jeśli zwyciężą nowe technologie, za pięć lat związek drukarzy w ogóle przestanie istnieć, bo będziemy wszystko robić sami. A nowi szefowie lubią puścić redakcje ogień i mieczem i wbrew wszystkiemu zawsze stawiają na swoim. - Wskazał palcem drzwi. - Ramage układa właśnie listę osób, które nie mają żadnych pomysłów na teksty. To może być masakra.

Paddy była już w drodze na dół, w połowie schodów, gdy zdała sobie sprawę, że nie ma żadnego pomysłu na żaden tekst.

2

Gabinet Ramage'a mieścił się na tak zwanym poziomie redakcyjnym, piętro niżej niż news room. Ponieważ za panowania Farquarsona gościli tu właściwie tylko członkowie zarządu i pracownicy administracyjni, na korytarzu zawsze czuło się ostry zapach cytryny, jak gdyby sprzątaczkę dopiero co skończyły swoją robotę i jakby nikt poza nimi tędy nie przechodził. Teraz jednak drzwi prowadzące do niektórych gabinetów były otwarte, a pod ścianami pomieszczeń, które mieli zająć nowi lokatorzy, piętrzyły się stosy kartonowych pudeł. Można by pomyśleć, że oto pod rządami nowego naczelnego tworzy się jakaś nowa klasa społeczna, odcinająca się od swoich dawnych towarzyszy i wznosząca mur, oddzielający ją od reszty świata.

Tabliczka z nazwiskiem Ramage'a wisiała na drzwiach, które Paddy dobrze pamiętała za sprawą pewnego okropnego incydentu sprzed lat. Patrząc na nie teraz, poczuła jednocześnie przerażenie i mdłości. Zapukała, zaczekała, aż szef zaprosi ją do środka, a potem otworzyła drzwi do sali konferencyjnej - największego pomieszczenia na tym piętrze.

Ramage siedział o całą milę dalej, patrząc na drzwi zza potężnego biurka z ciemnego dębu. Przypominało niewielki warowny zamek: było solidne, kwadratowe i misternie zdobione kwiatonami oraz płaskorzeźbami przedstawiającymi jabłka i muszle. Środek blatu pokrywał płat wyprawionej skóry w kolorze soczystej zieleni. Biurko przyćmiewało swoją wspaniałością paskudny, tandetny dywan oraz ściany, wyłożone jutą w kolorze granatowym. Przed Ramage'em stał jedynie telefon, obok którego leżał oprawny w skórę notes i złote wieczne pióro. Naczelný siedział w dębowym fotelu o ruchomym oparciu, obitym czerwoną, skórzaną tapicerką. Był w świeżej niebieskiej koszuli, spodniach na szelkach i rozpierał się wygodnie

na siedzeniu, postukując o zęby złotym piórem i mierząc dziewczynę spojrzeniem od stóp do głów.

- Nazywam się Meehan. Pracuję w redakcji nocnej. Jeżdżę naszym wozem reporterskim.

Irytowało ją, że Ramage tak się na nią gapi. Chętnie powiedziała mu coś nieprzyjemnego, gdyby nie zwalniał dziennikarzy z pracy tak lekką ręką.

- Czego chcesz?

- Pracuję nad pewnym tekstem. Policja ze Strathclyde twierdzi, że Vhari Burnett została zamordowana przez pewnego faceta, który popełnił przedwczoraj samobójstwo. Widziałam mężczyznę, który bawił tamtej nocy w domu pani Burnett, i nie był to ten topielec. Interweniujący policjanci też go widzieli, ale ukrywają dowody w tej sprawie.

Zauważyła iskierkę emocji w jego oczach, Ramage jednak pochylił nieco głowę i zaczął mrugać powiekami, żeby ukryć swoje zainteresowanie tematem.

- Rzecz w tym, że mój tekst nie jest gotowy. Ja wiem swoje, a oni obstają przy swoim, więc muszę zdobyć jeszcze jakieś dowody, zanim wreszcie usiądę do pisania.

- Dobrze. Zapowiada się ciekawa historia. Ma to ręce i nogi. A pani Burnett była ładna, więc ludzie będą chętnie o niej czytać.

Paddy nie mogła się powstrzymać, żeby nie wydać wargi, co Ramage zauważył.

- Tylko nie wyjeżdżaj mi tu z tymi bzdurami spod znaku ruchu wyzwolenia kobiet - syknął. - Nie mam czasu na takie pierdoły.

- Tak jest, szefie.

Powiedziała to z półprzymkniętymi oczami i tak bezbarwnym głosem, że oboje usłyszeli zupełnie co innego: że go nienawidzi.

- W redakcji, w której pracowałem, zanim do was przyjechałem, też zatrudniałem jedną dziewczynę. Miała nawet

większe cycki od ciebie, ale ja w ogóle lubię dziewczyny w news roomie, bo dzięki nim panuje tam inny nastrój. Jestem zdeklarowanym wielbicielem płci pięknej.

Wyszczeryl zęby w uśmiechu, który nie sięgnął jednak kąćków jego oczu.

Paddy w odpowiedzi uśmiechnęła się równie ciepło. Zastanawiała się nawet, czy nie dźgnąć go w twarz nożem do papieru.

3

Obaj kierowcy, którzy uczestniczyli w wypadku, stali z obrażonymi minami na stromym trawiastym nasypie na poboczu autostrady. Dzielilo ich co najmniej dwadzieścia stóp i nie zwracali na siebie najmniejszej uwagi. Tymczasem policjanci, strażacy i sanitariusze, kręcący się wokół obu rozbitych wozów, prowadzili między sobą przyjacielską pogawędkę. Cała zachodnia nitka autostrady została wyłączona z ruchu - kordon policji zamknął drogę nieco poniżej miejsca zdarzenia, więc nieliczni nocni kierowcy musieli zaczekać, aż wszystkie szczątki zostaną bezpiecznie usunięte z jezdni.

Kierowca samochodu mini metro twierdził, że zaszła pechowa pomyłka, ale właściciel forda angli utrzymywał, że do wypadku doszło przez złośliwość i głupotę właśnie tego użytkownika drogi, który podróżował mini metrem. Do kolizji doszło o drugiej trzydzieści w nocy na środkowym pasie, kiedy kierowca mini metra, zdawszy sobie sprawę, że przegapił zjazd z autostrady, zjechał z lewego pasa na środkowy, nie sygnalizując tego manewru i nie sprawdzając, czy nikomu nie zajędzie drogi. Samochody szepiły się bokami i jakiś czas tańczyły razem przez wszystkie trzy pasy ruchu. Nie przewróciły się i nie dałchowały, ponieważ były złączone.

Gdy przyjechała policja, obaj mężczyźni siedzieli w swoich samochodach, tuż obok siebie, jako że nie mogli otworzyć zaklinowanych drzwi, i obrzucali się nawzajem wyzwiskami. Zamilkli dopiero wtedy, kiedy strażacy zagrozili, że jeśli się nie zamkną, oni pojadą sobie w cholere i pozostawią ich swojemu losowi. Kiedy rozcięto wreszcie drzwi i wyciągnięto kierowców, natychmiast zbadała ich załoga karetki, przy czym okazało się, że żaden uczestnik wypadku nie ma na ciele ani jednego siniaka czy zadrapania. Natomiast oba samochody nadawały się wyłącznie do kasacji.

Był to przyjemny temat dla dziennikarza. Nie trzeba było rozdzielać walczących, nikt nie zginął, a przedstawiciele służb ratowniczych gawędzili ze sobą leniwie na pustej autostradzie w nieoczekiwanym przypiływie koleżeństwa, jak gdyby uczestniczyli w festynie odbywającym się na skutej lodem rzece.

Pół godziny później Billy odjechał w poszukiwaniu budki telefonicznej, żeby zadzwonić do redakcji i poprosić o przysłanie fotografa. Przyjechał Frankie Miles, który przywiózł w torbie całą tonę sprzętu fotograficznego, ale już na miejscu zorientował się, że nie zabrał z „Daily News” specjalnego karnetu, umożliwiającego mu darmowy powrót do redakcji taksówką. Z ciężką torbą nie zaszedłby daleko, a o tak późnej porze raczej nie miał szans, by trafić na przypadkową taryfę na ulicy. Billy i Paddy zaproponowali, że go odwozają, więc teraz Frankie i Billy stali przy samochodzie, palili w milczeniu papierosy i opierali się tyłkami o ciepłą maskę auta, czekając na Paddy.

Dziewczyna już kończyła robić notatki. Sprawdzała właśnie numer bezkolizyjnego skrzyżowania na zawieszonym wysoko nad jezdnią drogowskazie, kiedy zauważyła policjanta żartownisia, którego poznała przy zwłokach Thillingly'ego. Przemawiał do grupki umundurowanych funkcjonariuszy. Wspomniawszy Duba, Paddy podeszła

bliżej i dołączyła do nich, na moment rozpraszając uwagę słuchaczy i sprawiając, że żartowniś pomylił się i podał im jakiś ważny szczegół w nieodpowiednim momencie, o mało nie kładąc w ten sposób całego dowcipu. Uniosła rękę w przeproszającym geście i zaczęła, aż policjant skończy swoją opowieść.

- No to ja mu na to: „Ta kobieta myli się częściej niż argentyński wymiar sprawiedliwości”.

Policjanci roześmiali się z szacunkiem i rozeszli się.

- Serdecznie ci dziękuję. Zepsułaś mi kawał.

- Nie wiedziałam, że już przechodzisz do puenty. Chciałam cię o coś zapytać. Pamiętasz tego topielca sprzed dwóch dni? Czy to na pewno było samobójstwo?

- Chyba tak. W każdym razie wszystko na to wskazuje.

- A co z tym rozerwanym policzkiem Thillingly'ego? Czy nie odniósł tej rany w jakiejś bójce?

- Nie. Mikroslady wskazują, że nadział się na patyk, tkwiący gdzieś przy brzegu. Jego żona twierdzi, że facet zachowywał się tego dnia zupełnie normalnie, ale zostawił w samochodzie list, w którym tłumaczy się, dlaczego to zrobił. Właściwie jednak plótł tylko coś bez sensu. Że już dłużej nie może i tak dalej.

- Jaki to był wóz?

- Goił GTi, z najwyższej półki. - Żartowniś skinał głową z uznaniem. - Fajna bryka.

- Jasne, jasne - Paddy spojrzała na drogę. - Słyszałeś może kiedyś o gangsterze nazwiskiem Lafferty?

- Bobby Lafferty?

Nie była pewna, jak facet miał na imię, ale opisała mu go słowami Sullivana.

- Taki potężny. Łysy, szeroki w barach...

- Owszem, znam. Aresztowałem go parę lat temu za jazdę po pijanemu. Był tak narąbany, że kiedy posadzi-
liśmy go na tylnym siedzeniu, zaczął się rozglądać za kierownicą.

Paddy roześmiała się głośno, co sprawiło żartowniowskią taką przyjemność, że od razu zaczął snuć kolejną historyjkę.

- Miałem szczęście, że był zbyt nawalony, żeby się ze mną bić. Kiedyś oślepił jakiegoś gościa, bo ugryzł go w oko. Lafferty jest gotów zabić każdego: zarówno członka własnej rodziny, jak i kumpla z ławy szkolnej. Jemu jest wszystko jedno.

Paddy przyglądała mu się spod oka z wazeliniarskim uśmiechem. Lafferty był znanym gangsterem, a Vhari Burnett panią prokurator. Musiało ich coś łączyć. Może oskarżała go kiedyś w jakiejś sprawie i dlatego ją zaatakował.

- Facet zabił kiedyś własnego psa. Wyobrażasz sobie mentalność człowieka, który zdolny jest zrobić coś takiego? Wyrzucił zwierzaka przez okno, z dwudziestego piętra. - Żartownisiowi rozbłyły oczy i gdyby Paddy nie słyszała, co mówi, mogłaby sądzić, że opowiada o jakimś wielkim sportowcu albo o bohaterze wojennym.

- A ostatnio? Czy przedstawiono mu może jakieś zarzuty?

- Nie słyszałem o tym, ale to nic nie znaczy. Tacy jak on zawsze coś kombinują. To bestie, zwyczajne bestie, i-tyle.

- Skinął głową, zachęcając Paddy, żeby mu przytaknęła, ale ona myślała o Laffertym, Thillinglym i Vhari Burnett, i zauważyła jego gest z niejakim opóźnieniem.

- Owszem - odpowiedziała. - Tak, masz słuszość.

Policjant zrobił wystraszoną minę.

- Ty chyba nie znasz Lafferty'ego, co?

- Chciałam powiedzieć, że podobnie jak ty, ja również uważam, że ludzie uciekający się do aktów przemocy to bestie. - Powiedziała to głosem zepsutego robota, a potem zachichotała, odwracając wzrok w stronę lśniącej, czarnej autostrady i złożonej z trzech radiowozów blokady policyjnej. - O jejku, co ja wygaduję. Pracowałeś kiedyś na noc przez kilka miesięcy z rzędu?

Żartowniś zmarszczył brwi.

- Służbę na nocnej zmianie pełnimy w policji w systemie rotacyjnym.

- No widzisz, a to jest już mój piąty kolejny miesiąc w redakcji nocnej. Więc jeśli wydają ci się chwilami nieco dziwna albo reaguję z pewnym poślizgiem, to nie dlatego, że... W każdym razie nie kryje się za tym nic tajemniczego.

- Rozumiem. - Widziała, że policjant zaczyna już układać w myślach historyjkę o pewnej dziennikarce, która ma trudności z wysławianiem się. - Mam wrażenie, że wiesz, że w naszym kraju mówi się po angielsku, ale nie władasz zbyt dobrze tym językiem. Czy to twoja pierwsza wizyta w naszym pięknym kraju?

Paddy roześmiała się tak serdecznie, że aż zakręciło jej się w głowie.

- Okej. - Opanowała się. - No dobrze, dajmy spokój tej nieobowiązującej pogawędce i skupmy się na tym, co na prawdę ważne. Czy ten Lafferty działa sam?

Jakiś policjant, stojący przy radiowozie dwadzieścia stóp dalej, zawołał coś w ich kierunku.

- Nie, to facet do wynajęcia. - Żartowniś obejrzał się przez ramię w stronę radiowozu i zauważył, że woła go kolega. - Muszę już iść.

Chciała go chwycić za ramię, żeby jeszcze nie pozwolić mu odejść, ale źle obliczyła odległość i złapała tylko dwa palce jego dłoni, które ścisnęła lekko, jakby chcąc się upewnić, że naprawdę trzyma go za rękę.

Stali ramię przy ramieniu, niczym tancerze flamenco. Policjant uśmiechnął się do niej, wcale nie niezadowolony z tej poufałości. Rozluźniając uścisk i puszczając jego palce, Paddy zastanawiała się, czy nie powinna udać, że zachowała się jak flirciara z pełną premedytacją. Był przystojny, zabawny, wysoki i nie był Seanem, miał zatem same zalety, ale wyobrażając sobie, że go dotyka, całuje i sama jest

przez niego całowana, nie czuła żadnych emocji - jedynie lekki głód. Niewątpliwie jednak był zabawny. Powinna mu powiedzieć o klubie kabaretowym i zaprosić go na spotkanie z Dubem McKenzie.

- Mój przyjaciel... - urwała, niepewna, czy to dobry pomysł, żeby zapraszać żartownisia na randkę, trzymając go za rękę, ale po chwili zdała sobie sprawę, że policjant gotów jest pomyśleć, że chciała zwrócić się do niego per „mój przyjacielu”, tylko zreflektowała się w porę i umilkła.

- Chciałam powiedzieć, że mam przyjaciela, który jest kabareciarzem. Jutro wieczorem organizuje występ „na stojaka” w klubie kabaretowym w Blackfriar's. Powinieneś tam wpaść i go poznać.

Zaskoczony policjant uniósł brwi, uśmiechając się, jakby przed chwilą pokazała mu cycki.

- Okej. Więc może do zobaczenia.

- Tak tylko mówię... Kabaret to fajna sprawa. Nie zapraszam cię na randkę ani nic takiego.

- Ma się rozumieć. - Jego wzrok ześlizgnął się na jej szyję i żartowniś oblizał dolną wargę, pozostawiając na niej lśniący ślad, który połyskiwał srebrzyście w ciemności.

- Oczywiście, że nie. Ale mimo to może do zobaczenia.

A więc się nie wywinie. Uśmiechnął się do niej i zmrużył oczy w szparki, tak że nie mogła zobaczyć, co się w nich kryje. Potem rozkołysanym krokiem wrócił do kolegów, którzy przyglądali mu się zaciekawieni, dlaczego mała Paddy Meehan chwyciła go za rękę.

Zimne, białe autostradowe światła zamigotały nagle na jego lewej ręce i dopiero po chwili Paddy zrozumiała, że odbijają się od jego obrączki. Żartowniś był żonaty.

George Burns

1

Kate dziwiła się, że jej mini cooper sprawuje się tak dobrze. Kiedy wyjeżdżała z warsztatu Berniego, bak był napelniony do połowy, ale wskazówka wciąż przesuwiała się w kierunku zera i w pewnej chwili dziewczyna pomyślała nawet, że zbiornik chyba przecieka. Jechała powoli, o wiele wolniej niż gdyby prowadziła bmw, i brakowało jej dobrego zawieszenia niemieckiego wozu.

Zbliżał się świt, a kiedy dojeżdżała do rozjazdu przed domkiem nad jeziorem, zerwał się lekki wiatr. Wstrzymała oddech, przejeżdżając obok posiadłości, bo spodziewała się zobaczyć przed domem obce samochody, nie zauważyła jednak żadnego auta. Rzuciła ukradkowe spojrzenie w stronę szopy na przystani, ale i tam nie było widać śladów obecności jakichkolwiek intruzów. Zwolniła i znowu odetchnęła głęboko, zjeżdżając na pobocze. Lepiej zaparkować przy drodze, bo może będzie musiała wiać stąd, ile sił.

Widok w środku przedstawiał martwą naturę na pobojowisku. Połamali wszystko, co nie było przytwierdzone do ścian - powyciągali nawet siedziska z kanap i roztrzaskali lustra oraz oprawione fotografie, które leżały teraz na podłodze obrazkami do dołu. W kuchni było jeszcze

gorzej. Wymietli wszystko z półek i powrzucaли ciężkie kamionkowe słoje do dużego ceramicznego zlewu, przez który biegła długa rysa pęknięcia. Wywrócili też stół. Od razu zrozumiała, co chcieli dać jej w ten sposób do zrozumienia: że ją też poturbują.

Kate podniosła z podłogi wiklinowy koszyk i wrzuciła do niego tyle konserw, ile tylko udało się jej znaleźć. Gdy biegła wtedy do szopy na przystani, zostawiła na bufecie pudełko z mlekiem w proszku - przewrócili je, ale później zostawili w spokoju. Owinęła pudełko w papier śniadaniowy i wsunęła je ostrożnie do koszyka. Mleko w proszku przyda się jej do rozcieńczania zawartości brązowych ko-pert. A skoro tak, to może tu siedzieć nawet przez kilka tygodni.

Popatrzyła przez okno na wzgórze, gdzie stał najbliższy sąsiedni dom. Wiedziała, że będzie pusty aż do maja, bo jego właściciele dopiero wtedy wrócą z Kenii na lato, ale na wszelki wypadek przyjrzała się bacznie kominowi, wy-patrując dymu. W domu jednak najwyraźniej nikogo nie było, a komin koloru ochry idealnie wtapiał się w zielen okolicznych iglaków - przypadkowy obserwator zapewne w ogóle by go nie zauważył.

Uśmiechnęła się do siebie, gdy zdała sobie sprawę, że w ogrodzie coś się jakby zmieniło, na tyłach domu wyrósł bowiem kopiec - spory kopiec świeżo skopanej ziemi.

Doskonale wiedziała, kto pod nią spoczywa. I Jak nie-wiele brakowało, żeby to ona leżała w tej mogile.

2

Paddy miała wolny dzień - a raczej noc - ale zastanawiała się, czy w tym tygodniu nie zrezygnować z wizyty w klubie kabaretowym w Blackfriars, bo bała się, że ten żonaty po-licjant mimo wszystko przyjdzie. Wyspała się porządnie

w ciągu dnia, a potem siedziała w salonie, oglądając *Junior Superstars*, kiedy dotarło do niej, że w nocy i tak nie zaśnie, bo będzie się zamartwiać, co powie Ramage, kiedy po policyjnych przesłuchaniach w przyszłym tygodniu pozna wszystkie szczegóły sprawy Vhari Burnett. W tej sytuacji postanowiła, że jednak pójdzie do klubu.

Pub Blackfriars stał na skraju dawnej dzielnicy hurtowni i magazynów, w większości wysokich i wyposażonych w niewielkie okienka. Kiedyś przechowywano tu głównie beły tytoniu i głowy cukru. Budynek ten był pomnikiem ostatnich lat potęgi imperium brytyjskiego, dziś jednak świeciły pustkami, a zamieszkiwały je wyłącznie szczury.

Wkrótce miało tu jednak powstać osiedle mieszkaniowe. Deweloperzy wybudowali już nawet lofy w nowojorskim stylu w zaszczerzonych magazynach zbożowych, nie doceniali jednak prawdziwych walorów tego miejsca. Wciskali małe, nowoczesne mieszkania w majestatyczne mury magazynów, dzieląc ich okna na pół i pozostawiając żeliwne słupy na środku kuchni albo na korytarzach.

Choć rewitalizacja dopiero się zaczęła, rada miejska postawiła już w okolicy sporo latarni, żeby nowi lokatorzy, w większości yuppies, nie martwili się o swoje volva i saaby, które parkowali na ulicach. Mimo to osiedle wciąż wyglądało jak jasno oświetlone miasto duchów. Paddy wiedziała, że gdzieś tu mieszka McVie. Była ciekawa, gdzie, ale bała się, że będzie się do niej dobierał albo coś w tym rodzaju. McVie był bardzo dziwny - czasami zachowywał się wobec niej jak dobrotliwy wujaszek, a czasem obrzucał ją pożądliwymi spojrzeniami i wysyłał seksualne sygnały na wszystkie strony świata.

W zadymionym pubie panowała wesoła atmosfera. Przy stoliku niedaleko baru siedziała grupka fanów muzyki psychobilly - byli w dzinsach i wyświechtanych skórzanych kurtkach, a wszystkie dziewczyny miały usta

pomalowane na szkarłatno, bez względu na cerę czy kolor włosów. Trzech wyglądających na twardzieli chłopaków o mohikańskich fryzurach grało w kulki. Wysokie szklanki z koktajlem zwanym „Ukąszenie węża”, a składającym się z piwa, mocnego cydru i kieliszka likieru z czarnej porzeczki, odstawiali ostrożnie na cienką półeczkę.

Paddy przeciskała się przez tłum. W wąskim korytarzu prowadzącym do tylnego wyjścia stały otworem małe, czarne drzwi w ścianie, oklejonej plakatami, anonującymi różne minione i przyszłe wydarzenia kulturalne. Drzwi strzegła jakaś dziewczyna siedząca przy małym stoliku. Miała drobną twarzyczkę i ładne, skręcone w korkociąg loki. Owijała je bez przerwy wokół palca, z nieszczęśliwą miną postukując o blat grubym, czarnym markerem.

Paddy zdjęła szalik i mitenki, które wcisnęła do kieszeni płaszcza, a potem zauważyła na tablicy napis, na którego widok zdjął ją strach, bo okazało się, że tego dnia wypada tak zwany „Wieczór otwartego mikrofonu”. Od dwóch lat, odkąd chodziła do klubów kabaretowych, ani razu nie była na żadnej udanej imprezie tego typu, bo na otwartym wieczorze każdy, nawet nerwowo chory idiota, mógł wejść swobodnie na scenę i choćby wyzionąć ducha na oczach widzów - w dodatku za ich pieniądze. Dub twierdził, że Paddy przynosi pecha występującym: widział już w życiu wielu amatorów, rzucających się na „otwarty” mikrofon, a czasem nawet zawodowych kabareciarzy, którzy korzystali z takich okazji, żeby wypróbować swoje nowe monologu przed publicznością, ale ilekroć w klubie pojawiała się Paddy, poziom występów zawsze był gówniany.

Lorraine zauważyła grymas na twarzy Paddy, wpatrzonyj w czarną tablicę.

- Jeden bilecik, nie?

- Cześć, Lorraine. Jak się masz? Jestem na liście gości. Zaprosił mnie Dub McKenzie.

Lorraine skinęła głową z zakłopotaniem, ściągnając skuwkę z markera ze stanowczym psykiem. Paddy wyciągnęła rękę, a Lorraine zapisała na niej jej inicjały.

- Fajna skóra. - Paddy wskazała brązowy płaszcz, który wcale się jej nie podobał, a poza tym nie był ze skóry, tylko ze sztywnego, połyskliwego poliwinylu i marszczył się na ramionach.

- Dzięki. - Lorraine przesunęła się na krzesło, szeleszcząc plastikowym płaszczem, a Paddy uśmiechnęła się i pogładziła swoje zielone okrycie, drepcząc na dół po schodach.

Piwniczne drzwi prowadziły do deprymująco niskiej sali. Od wejścia pod kątem dziewięćdziesięciu stopni ciągnął się bar, a po prawej stronie mieściła się niewielka scena, przed którą stało kilka rzędów rozkładanych krzeseł.

W skłębionym tłumie pijących drinki gości pochylał się nad barem chudy Dub McKenzie. Odkąd odszedł z „Daily News”, zaczął palić i udało mu się nawet stracić jeszcze parę kilo na wadze. Był w czerwonych, kraciastych spodniach, niebieskiej koszulce surferskiej i niebieskich zamiszowych butach na całowej gumowej podeszwie. Odwrócił się do drzwi, kiedy weszła Paddy, unosząc dłoń i prostując swoje długie palce w geście powitania.

- Nie przyszląbym, gdybym wiedziała, że robisz dziś siał otwarty mikrofon - powiedziała, wyciągając z kieszeni gruby szalik. - To będzie nieludzka męka.

Dub wyjął jej szalik z ręki, zwinął go w kulkę i rzucił w kąt za bar, gdzie leżały inne płaszcze. Barman zauważył jej spojrzenie i Paddy zamówiła pół pinty shandy dla Duba i coca-colę dla siebie.

- Nie byłem pewien, czy przyjdiesz - odpowiedział.

- A dokąd ja mogę pójść? Do Klubu Prasowego? Jesteś jedynym facetem, jakiego znam, który nie myśli o tym, żeby rzucić żonę.

- Z wyjątkiem Seana.

Dub zawsze uśmiechał się szyderczo, kiedy wymawiał imię jej byłego narzeczonego, ale Paddy właściwie nie wiedziała, dlaczego, bo Dub i Sean nawet się nie znali.

- Kto występuje pierwszy?

- Jakiś gość, który gra sepleniącego dyrektora banku.

- Jest śmieszny?

Dub wzruszył ramionami.

- Widzowie śmieją się i klaszczą. I to przez cały czas, nie tylko na koniec występu, jak po piosence.

Dub uważał, że piosenki kabaretowe nigdy nie są śmieszne, więc publiczność zawsze klaszcze z ulgą na koniec. Był istnym teologiem kabaretu, sformułował niezliczoną liczbę praw kabaretowych, posiadał encyklopedyczną wiedzę o historii komedii i kabaretu i znał setki różnych wcieleń jednego żartu. Zgromadził zdumiewająco wielką bibliotekę nagrań kabaretowych, poczynając od pierwszych występów Goons, po bootlegowe płyty Lenny'ego Bruce'a i wczesnego Ivora Cutlera. Paddy wielokrotnie słuchała tych nagrań w ciasnej sypialni Duba w bungalowu jego rodziców. Siedzieli oboje na łóżku, popijali herbatę, palili papierosy (co nie przeszkadzało jego mamie), słuchali płyt i śmiali się do czterech wyklejonych tapetami ścian. Od czasu do czasu Dub podnosił igłę gramofonu, żeby wyjaśnić, dlaczego uważa taki czy inny fragment za zabawny. Mogła policzyć na palcach jednej ręki, ile razy widziała Duba śmiejącego się na głos, ale nic nie interesowało go tak, jak kabaret. Czasami, kiedy oglądał jakiś dobry gościnny występ w klubie, wpadał po prostu w ekstazę.

Pub zaczął zapełniać się gośćmi, którzy przyszli na imprezę rozpoczynającą się o dziewiątej. Niektórzy podchodzili do Duba, chwalać go za ubiegłotygodniowy występ, prosząc o różne przysługi i przekazując mu pozdrowienia od innych kabareciarzy, których przypadkiem spotkali gdzieś na trasie. Paddy trzymała się w jego patykowatym

cieniu, zerkając nerwowo na drzwi za każdym razem, kiedy pojawiała się w nich postać przypominająca policjanta żartownisia. Właściwie była pewna, że nie przyjdzie, ale gdyby jednak przyszedł, zamierzała dać mu do zrozumienia, że Dub jest jej facetem. Nie odstąpi go na krok i będzie się śmiać z jego dowcipów albo coś w tym guście. Może nawet dotknie jego ramienia.

Publiczność tego wieczoru była taka jak zawsze: wielu krewnych i znajomych występujących artystów, kilku stałych bywalców i paru bladych jak kreda chłopaków, którzy przyszli, żeby dorwać się do ogólnie dziś dostępnego mikrofonu. Bywalczy wyglądali całkiem porządnie - chłopcy byli w koszulach albo swetrach z C&A, a ich dziewczyny w cytrynowożółtych sweterkach lub bluzkach z żabotami, kupionych w sieciowych domach towarowych. Widać usłyszeli gdzieś o tutejszej scenie kabaretowej i przyjechali z przedmieść, żeby wyczać następnego Bena Eltona. Sprawiali wrażenie sympatycznych, wrażliwych ludzi, szukających pretekstu, żeby się pośmiać, w przeciwieństwie do cieszącej się złą sławą publiczności z Glasgow Variety, która przez ostatnie pół wieku wygwizdywała większość wielkich artystów brytyjskich.

Chociaż nikt nie dał gościom żadnego sygnału, wszyscy nagle zaczęli zajmować miejsca na składanych krzesłach przed sceną, stawiając drinki na podłodze i kładąc płaszcze na kolanach. Dub odszedł, żeby sprawdzić nagłośnienie i kable, a Paddy ostatni raz rzuciła okiem na drzwi. Żartowniś nie przyjdzie - kamień spadł jej z serca. Usiadła z tyłu i z boku, gdzie Dub mógł widzieć jej twarz w świetle reflektorów, palących się na scenie. Już od dawna nie potrzebował żadnych uśmiechniętych znajomych na widowni, ale Paddy zajmowała to miejsce z przyzwyczajenia. Nie zawsze łatwo mu szło.

Światła przygasały i Paddy miała tylko chwilę czasu, żeby ocenić skalę zagrożenia pożarowego, jakie powstaje

w ciemnej, pełnej palaczy piwnicy, bo Dub niemal natchmiast ruszył na scenę, ocierając się po drodze o jej ramię. Zapaliły się punktówki, Dub podniósł swą chudą nogę, żeby pokonać prowadzący na scenę stopień wysokości dwóch stóp, zdjął mikrofon ze stojaka i wygłosił swój klasyczny monolog, zaczynający się od słów: „No to wyjedźcie z tego kraju i pomieszkajcie sobie trochę w Rosji”.

3

Przypominało to zmuszanie wegan do oglądania polowania na foki. Widzowie w większości przyjechali do klubu z daleka - byli miłymi, sympatycznymi ludźmi, którzy woleli pochichotać trochę w piątkowy wieczór zamiast pić albo kłócić się z rodziną czy sąsiadami. Mimo to siedzieli z ponurymi minami, wbijając wzrok we własne kolana i co chwila zerkając w stronę wyjścia awaryjnego, bo na scenie pewien młody człowiek właśnie przechodził na ich oczach mało interesujący atak nerwowy.

Muggo Wspaniały opisywał objawy swojej nerwicy w miarę, jak narastały: najpierw zaschło mu w gardle, a teraz drżał na całym ciele - spójrzcie na jego dłoń, spójrzcie, przebiega go dreszcz. Na przyjęciach, kiedy wstawał, by opowiadać dowcipy, nigdy nic takiego się z nim nie działo, naprawdę. „Nogi mam jak z ołowiu - mówił. - Nie mogę się ruszyć i cały jestem zlany potem. Chyba się zaraz rozpłaczę”. Właściwie należało zastrzelić go z litości.

Dub wybiegł z cienia, podniósł chłopaka w górę niczym rekwizyt i lawirując między krzesłami, zaciągnął go do baru, a Paddy pierwsza zaczęła klaskać.

Następny ochotnik, chcący wystąpić dziś przy mikrofonie, wszedł na scenę bez zapowiedzi Duba, który był zajęty na zapleczu, gdzie poił umierającego młodzieńca jakimś słodkim drinkiem. Kolejny artysta wystąpił

w brązowym garniturze i czapce trefnisia. Pocił się, był podekscytowany i lekko drżał, a poza tym za bardzo zbliżał usta do mikrofonu, co powodowało rozdzierające uszy trzaski.

- Dobrze - odezwał się. - Nastawcie uszu, dupki, bo będzie śmiesznie. - Zapewne znalazłoby się takie miejsce na świecie, gdzie ktoś roześmiałby się na te słowa, ale niestety, nie tu.

- Chryste - mruknęła do siebie Paddy i wstała, żeby wyjść do toalety i choć przez chwilę odpocząć od tej scenicznej żenady.

- Hej tam, ty, grubsza!... - Facet zauważył ją ze sceny. - Gdzie pracujesz?

Paddy odwróciła się, obrzucając go spojrzeniem, którego nauczyła się w news roomie. Facet skrzywił się, bo odgadł, że chociaż trzyma w ręce mikrofon i ma nad nią przewagę w postaci nagłośnienia, tego wieczora wybrał sobie na ofiarę niewłaściwą grubaskę. Był spięty, co publiczność od razu zauważyła. Niektórzy widzowie odwrócili się i spojrzeli na Paddy.

- Jak zarabiasz na życie? - powtórzył gość z mikrofonem.

- Jestem organizatorką występów kabaretowych - odparła głośno Paddy.

Publiczność gruchnęła śmiechem, zaskoczona jej refleksem, ale zaskoczenie szybko ustąpiło wdzięczności, bo dzięki Paddy widzowie mieli pretekst, żeby wypuścić z siebie trochę pary, za co ostatecznie przecież zapłacili. Tymczasem ona wykorzystała tę hałaśliwą przerwę, by wymknąć się do pustej damskiej toalety.

Przejrzała się w lustrze. Nawet w tak ciemnej sali ten marny komik zauważył, że ma nadwagę. Chwyliła się za zwisającą pod brodą fałdę tłuszczu i mocno ją ścisnęła. Powinna narzucić sobie większy reżim. Wszyscy, którzy stosowali dietę „F”, chudli, ale ona marzyła o słodkim

lukrze na lepiących się od cukru bułeczkach i o kipiącej kalorią czekoladzie. Już od miesiący nie wzięła do ust niczego bez poczucia winy. I nie rozumiała, dlaczego nie mogła od urodzenia być szczupłą, jak Mary Ann.

Przeczesawszy palcami włosy z boku, gdzie nieco przykłały, wyrównała palcem kreskę gęstej kredki pod okiem i wyszła z toalety w samą porę na przerwę.

Przy barze stał żartowniś. Nawet w cywilu wyglądał na policjanta, chociaż nie wymachiwał służbową pałką. Był w spodniach typu Sta-prest i we włożonym na koszulę eleganckim swetrze w serek. Barman zrobił mu jakiegoś białego drinka z lodem i cytryną, którego gliniarz popijał, od czasu do czasu śląc w kierunku sceny słabe uśmiechy.

Paddy zastanawiała się, czy nie czmychnąć z powrotem do toalety i nie schować się tam, dopóki żartowniś nie wyjdzie. Ale Dub przecież w końcu zacząłby jej szukać. Co gorsza zresztą, ten facet mógłby zacząć o nią rozpytywać, a wtedy wszyscy by się domyślili, że byli umówieni. Odechnęła głęboko i podeszła do niego.

- No, co tam?

- Cześć - odpowiedział, obnażając w uśmiechu zęby jak krokodyl. - Cześć, cześć. Ładnie wyglądasz.

Zauważyła z przerażeniem, że nie ma na palcu obrączki.

- Widziałeś już jakiś występ?

- Nie. - Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, a jego uśmiech przesunął się w kącik ust i już tam pozostał. - Nie, niestety.

- Nie było nic dobrego.

Wciąż trwała przerwa, dzieląca imprezę na dwie części, a wokół nich zbierali się widzowie, przepychający się do baru i głośno powtarzający opinię Paddy o niskim artystycznym poziomie występów. Podniosła wzrok i zauważyła Duba czającego się w drzwiach do magazynku, który żartobliwie nazywano tutaj „kulisami”.

Poniżej poziomu baru, w ciemności, na wysokości bioder, dłoń policjanta znalazła rękę Paddy. Żartowniś chwycił ją za palce i ścisnął je znacząco. Zaskoczona dziewczyna wyrwała mu się i mruknęła „nie!” głosem, w którym pobrzmiwało takie obrzydzenie, że w żaden sposób nie zdołałaby się z niego wycofać ani go złagodzić.

Jej zachowanie zirytowało gliniarza.

- Przecież mnie zaprosiłaś. - Spojrzał na nią z góry.

Paddy chwyciła go za rękaw, wyciągnęła z tłumu i doprowadziła do krzeseł na widowni. Kilka z nich wciąż było zajętych - ludzie zajmowali miejsca znajomym, pilnowali swojej własności albo po prostu wpatrywali się w pustą scenę, chłonąc widok dziurawej kurtyny i na wpół ukrytego za nią połamanego krzesła.

Zmusiła go, żeby usiadł.

- Zaprosiłam cię tu, bo masz poczucie humoru, a nie dlatego, że mi się podobasz. Wcale nie. Był środek nocy, nie wiedziałam, co się ze mną dzieje, i wzięłam cię wtedy za rękę przez pomyłkę. Masz duże poczucie humoru. Powinieneś wiedzieć, że w tym pubie mieści się klub kabaretowy. Właśnie dlatego, że masz poczucie humoru.

Brzmiało to wszystko trochę jak rekuza opakowana w komplement. Żartowniś spojrział na pustą scenę i na wpatrzonych w nią bywalców, a potem z powrotem na Paddy, która pomyślała, że ona przecież właściwie i tak mu się nie podoba. Tymczasem policjant postanowił puścić jej słowa mimo uszu, skinął więc tylko głową i odpowiedział:

- Owszem, mam poczucie humoru.

- Tak, masz.

- To czego ode mnie chcesz? Chcesz zostać moim menedżerem czy co?

- Nic od ciebie nie chcę. Nawet nie chcę się z tobą kolegować. Po prostu przychodzę do tego klubu co tydzień i średnio na sześciu nieśmiesznych kabareciarzy oglądam

tylko jednego zabawnego, więc pomyślałam sobie, że może chciałbyś o tym wiedzieć.

Dub stanął u boku Paddy, przyglądając się policjantowi, który wstał i wyciągnął do niego rękę na powitanie.

- Jak się masz, przyjacielu... Ty też tu występujesz?

- Tak. - Dub mocno uściskał mu dłoń, ale potrząsnął nią tylko raz i cofnął rękę. - Prowadzę konferansjerkę. Nazywam się Dub McKenzie.

- A ja jestem George Burns.

Dub zatoczył się, jak gdyby ktoś uderzył go otwartą dłonią w kark, po czym pokręcił głową, wpatrując się w żartownisia.

- Nie, kolego - odparł. - Jesteś pieprzoną legendą kabaretu*.

* Dub ma na myśli zbieżność nazwisk szkockiego policjanta i George'a Burnsa (1896-1996), sławnego amerykańskiego aktora, komika i kabareciarza pochodzenia żydowskiego, laureata Oscara (przyp. tłum.).

Rozdział piętnasty

Zły sezon dla grubych dziewczyn

1

Publiczność poszła do domu. Artyści i barmani siedzieli w pustej piwnicy przy stoliku w kącie, popijając swoje „służbowe” drinki. Było to jedyne honorarium, jakie otrzymywali próbujący swoich sił amatorzy za wysiłki przy mikrofonie: dostawali jednego zasranego drinka, czyli pintę najtańszego piwa albo kieliszek słodkiego wina. Ale Paddy uważała, że ich wynagrodzenie i tak jest wygórowane.

Jeszcze dwa wybuchy chichotliwego śmiechu, kolejny lok owinięty wokół palca, i Lorraine gotowa byłaby oddać się George’owi Burnsowi na oczach wszystkich. Paddy przyglądała mu się, zauważając, że wprawdzie cieszą go awanse dziewczyny, ale z drugiej strony jest jakby zdystansowany - bo obserwował Lorraine i jednocześnie zastanawiał się nad jej zachowaniem. Lorraine słuchała jego opowieści uważnie, podobnie jak reszta towarzystwa przy stoliku, śmiejąc się szczególnie głośno z puent, pochylając się do przodu, aby pozostać w zasięgu jego wzroku, przeczesując włosy i dotykając swoich ust i dekoltu, żeby tylko przyciągnąć jego wzrok.

Burns oczarował wszystkich. Nigdy nie występował publicznie na scenie, ale słuchał go niemal każdy komik siedzący przy stoliku. Paddy wiedziała z doświadczenia,

że zwykle kiedy jeden kabareciarz opowiada jakiś dowcip, drugi natychmiast popisuje się lepszym albo przerywa mu, aby zmodyfikować puentę - Burnsa wszyscy traktowali jednak z szacunkiem, śmiali się z jego anegdot i świetnie się bawili. Jego wiek nie grał tu roli - po prostu George był świetnym gawędziarzem, a służba w policji dostarczała mu doskonałego materiału do żartów. Nawet Dub wydawał się zasłuchany - uśmiechał się i od czasu do czasu kiwał głową, odnotowując w myślach rozmaite chwytły narracyjne, które Burns stosował instynktownie.

Paddy dopiła resztkę odgazowanej już coli, którą kupiła przed godziną, owinęła szyję szalikiem i wstała, oświadczając, że musi iść, żeby zdążyć na ostatnią kolejkę. Zazwyczaj Dub odprowadzał ją na stację, ale zanim sięgnęła po płaszcz, Burns zerwał się na nogi, potrącając przy tym przypadkiem Lorraine.

- Odwiozę cię.

- Nie trzeba - odpowiedziała. - Nie, a poza tym mam kartę komunikacyjną. Nie muszę płacić za przejazd.

- Chciałem pogadać z tobą o tym facecie, o którego mnie wczoraj wypytywałaś. - Burns rozejrzał się po adorujących go błaznach, siedzących wokół stołu, i postanowił zaryzykować niedyskrecję. - Muszę pogadać z tobą o Laffertym.

Dub opuścił rękę, oparł ją na kolanie i ustąpił. On mógł najwyżej zaproponować, że odprowadzi Paddy na stację. Nie miał samochodu.

- Aha - powiedziała. - No, skoro tak, to dobrze. Burns rozejrzał się po twarzach siedzących przy stołu kilku osób.

- Do zobaczenia za tydzień.

- Wybornie - odparł Muggo Wspaniały.

Burns i Paddy zabrali swoje rzeczy i pożegnali się. Była dumna, że opuszcza klub pod jego eskortą. George nie podobał się jej i wcale nie miała ochoty na jego

towarzystwo, ale była zachwycona myślą, że Lorraine i inni widzą, jak z nim wychodzi. Lorraine sprawiała wrażenie przygnębionej, że Burns nie ją odwozi. Nawet Dub, który został właśnie samozwańczym przywódcą stolikowców, podniósł rękę w pożegnalnym geście.

- Do zobaczenia, Paddy.

Paddy poprowadziła Burnsa na górę, zdając sobie sprawę, że ten wpatruje się w jej tłuste dupsko. Złapała się na tym, że stara się kołysać biodrami nieco mocniej niż zwykle i niemal się zatacza, nie wstydząc się swego ciała, jak zwykle kiedy wiedziała, że ktoś ją obserwuje.

Na górze obsługa już sprzątała pub, myjąc popielniczki i znosząc wszystkie brudne szklanki na bar, a jakiś facet ciągnął za sobą plastikowy worek, do którego wrzucał śmieci ze stołów. Nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na Paddy i Burnsa, którzy nie niepokojeni przez nikogo przemierzali całą salę, pchnęli masywne drzwi i wyszli na oszronioną ulicę.

Burns wyprostował się z dumą, kiedy dotarli do jego samochodu, czyli sportowego triumpfa TR7, beżowego, z czarnym, ozdobnym paskiem na karoserii i skośnie opadającym ku tyłowi dachem, wyglądającym trochę tak, jak gdyby został wgnieciony pod naporem powietrza wskutek niewiarygodnie wysokiej prędkości, którą bez trudu rozwijało to auto. Przez szybę Paddy zobaczyła zwieńczone soczyscie czarnymi zagłówkami, obite czarną skórą sportowe fotele, wymodelowane tak, że niemal otulały kierowcę i pasażera, i obciążoną skórzanym pokrowcem kierownicę. Wóz zrobił na niej wrażenie, ale postanowiła powstrzymać się od komentarzy.

- Mieszkam w Eastfield. Wiesz, gdzie to jest?

- Tak. - Burns wyglądał na nieco zaskoczonego. - Chociaż szczerze mówiąc, miałem cię za dziewczynę z Pollockshaws. To chyba trochę sympatyczniejsza dzielnica.

- W Eastfield jest sympatycznie, tylko dotknęła je bieda.

Burns otworzył dla niej drzwi i obrzucił ją uważnym spojrzeniem, zbyt powłóczystym, by mogło być niewinne. Okrążył auto i sięgnął do klamki u drzwi od strony kierowcy, a Paddy tymczasem mościła się w nisko zamontowanym fotelu. Samochód w środku był sterylnie czysty i dziewczyna wyobraziła sobie, jak Burns w dni wolne od pracy z lubością naciera skórę oliwą.

Otworzył swoje drzwi i opadł na siedzenie obok niej, uśmiechając się do siebie na myśl o powrocie do klubu kabaretowego w przyszłym tygodniu.

- Oglądasz dużo takich występów, więc powiedz mi, kogo ludzie lepiej przyjmują: artystów, którzy pokazują w krzywym zwierciadle świat, czy raczej tych, którzy wcielają się w określone postaci albo typy ludzkie?

Paddy zastanowiła się nad tym pytaniem.

-Wiesz, na początek postać zwykle wypada nieco lepiej, ale monologi o charakterze ogólnym żyją dłużej. Można je powtarzać całymi latami, chociaż z drugiej strony łatwiej zostać gwiazdą, stwarzając jakąś oryginalną postać.

Uśmiechnął się, patrząc na drogę i uruchamiając silnik.

- A na kogo bardziej lecą dziewczyny?

Zakłopotana Paddy zasłoniła swoje grube nogi brzemieniem wąskiej czarnej spódnicy.

- Od dawna jesteś żonaty?

Burns cmoknął ponuro i obrzucił ją spojrzeniem.

- Nie obcyndalas się, co?

Wzruszyła ramionami.

- Po prostu pytam.

Policjant włączył kierunkowskaz i zerknął na pustą ulicę, oglądając się przez ramię i unikając jednoznacznej odpowiedzi.

- A co? Ty jesteś mężatką?

- Gdybym była mężatką, Burns, to nosiłabym obrączkę na palcu przez cały czas i wszyscy by wiedzieli, że mam męża.

Przez kilka minut jechali w ciężkiej, dręczącej ciszy, klucząc, żeby wydostać się wreszcie z pustych, wąskich uliczek między budynkami. Wiszący na lusterku wstecznym odświeżacz powietrza o zapachu sosnowym kołysał się rytmicznie. Zwieszała się z niego celofanowa koszulka, przywodząca Paddy na myśl opuszczone do kolan spodnie. Powinna była wrócić do domu pociągiem.

Wjechali na główną arterię miasta i włączyli się w wieczorny piątkowy ruch. Zamykano już puby, więc po ulicach krążyli pijackowie, którzy na chwiejnych nogach wchodzili nagle na jezdnię albo rozrabiali na przystankach autobusowych. Jakaś przepasana złotym paskiem kobieta w jednoczęściowym kombinezonie i szpilkach z paseczkami, z rozbawieniem zamachnęła się torebką na swojego chłopaka. Paddy widziała wszędzie króciutkie spódniczki, obcisłe spodnie i obnażone brzuchy. To nie był dobry sezon dla grubych dziewczyn. Pomyślała nagle o Vhari Burnett i przypomniała sobie, że musi skłonić Burnsa do mówienia, jeżeli chce się dowiedzieć, kim jest Lafferty.

- W mieście jest spokojniej niż jeszcze przed miesiącem. - Zwróciła się do okna. - Albo tylko tak mi się wydaje.

- Nie, faktycznie jest spokojniej. A chcesz wiedzieć, dlaczego?

- No, powiedz mi. Dlaczego?

- Pokażę ci.

Burns ostro zawrócił i ruszył z powrotem przez Trongate, poważnie naruszając przepisy ruchu drogowego, tym bardziej że śmignął przez skrzyżowanie na czerwonym świetle. Potem pojechał do Gorbals przez Rutherglen Road i zjechał z głównej ulicy pod St Theresa's Chapel, w pobliżu dzielnicy wysokościorców. Paddy przyszło do głowy, że nie powinna zostawać sam na sam z tym facetem, którego zdawała się napędząć jakaś prze-

można energia. Jeżeli wyrządzi jej krzywdę, nie będzie mogła nawet pójść na policję - bo przecież Burns sam był policjantem.

2

Policjant zatrzymał samochód i **wyłączył silnik, osuwając się niżej na fotelu.**

- Patrz uważnie - powiedział.

Stali naprzeciwko centrum handlowego, po drugiej stronie szerokiej ulicy, nad którą rozsiadły się okraciem potężne słupy, podtrzymujące położony wyżej budynek mieszkalny. Przez całą jego fasadę biegły szerokie szare i czarne pasy. Podbrzusze gmachu stanowiła poplamiona betonowa płyta, a między słupami ciągnął się szereg niskich, przysadzistych sklepików o zasłoniętych teraz żaluzjami drzwiach i oknach.

Paddy знаła to miejsce, bo co noc odwiedzała razem z Billym położoną w sąsiednim budynku komendę policji. Zwykle był to dla nich ostatni przystanek przed wizytą w budce ze „śmierćburgerami”, głodniała bowiem na widok świecącego na niebiesko napisu „Policja” nad drzwiami, a na myśl o cheeseburgerze odczuwała nawet niejaki podniecenie. Większość interwencji policjantów z tutejszej komendy dotyczyła z reguły awantur domowych, wszczynanych pod wpływem alkoholu.

- Po jakie licho tu przyjechaliśmy?

- Po prostu patrz.

- Powiesz mi coś więcej o Laffertym?

- Mówię poważnie: patrz. - Burns wskazał grupę majaczących ponad nimi wieżowców. Zauważyła wiele otwartych okien, zaskakująco dużo jak na luty. Słyszała, że w niektórych starszych blokach komunalnych ogrzewanie było sterowane centralnie, więc mieszkania łatwo się prze-

grzewały, jeśli coś nawaliło. Ale nie wszystkie okna były otwarte.

Z początku myślała, że z okna na trzecim piętrze coś wypadło, ale po chwili okazało się, że jest to kawałek papieru, który ktoś opuszcza coraz niżej na sznurku. Gdy paperek znalazł się już pięć stóp nad ziemią, zza jednego ze słupów wyskoczyła z cienia jakaś niewysoka postać, zerwała zawiniątko i znów zniknęła w mroku. Sznurek powiewał delikatnie na wietrze, aż wreszcie pojawił się inny młody człowiek, który najpierw w miejsce papierka przywiązał banknot, a potem przyglądał się, jak wznosi się coraz wyżej nad jego głową. Nieco dalej z okna innego mieszkania na pierwszym piętrze ktoś spuścił na dół obciążony czymś sznurek, a wtedy z ciemności wyszedł kolejny młodzieniec, chwycił go i również przywiązał do niego kilka funtów.

- Co tu się dzieje? - szepnęła Paddy.

- Na górę wędrują pieniądze, na dół heroina. To dlatego w mieście jest tak spokojnie. W piątkowe wieczory ludzie zwykle wychodzili do knajp i bili się na noże, a teraz odwiedzają się nawzajem w domach, walą dragi i oglądają telewizję.

Przypomniała sobie ślady kokainy, które Sullivan znalazł na jej banknocie, spoczywającym w sejfie konstabla McDaida.

- A kokaina? Też ją tutaj sprzedają?

- Nie, kokaina to zupełnie inna para kaloszy. To towar dla bogaczy. Handlarzy koką właściwie nie można posadzić, bo są zbyt dobrze ustosunkowani. Wiesz, nie możemy przeszukać żadnego mieszkania bez nakazu, a lokatorzy nie chcą otwierać drzwi, jeśli nie wiedzą, kto dzwoni. W ten sposób mogą handlować, nie wychodząc za próg własnego domu. - Burns urwał. - A wracając do sprawy, rozpytywałem o tego Lafferty'ego. Siedzi w tym wszystkim po uszy.

- Naprawdę?

- Owszem. - Policjant wskazał cienie i sznurki. - Jest znaną postacią w półświatku, ale nikt nie wie, dla którego gangu pracuje. I nie ma przeciwko niemu żadnych poważnych zarzutów.

- Czy Vhari Burnett kiedykolwiek o coś go oskarżała?

- Znacząca laska z Bearsden?

Paddy nie chciała wsypać Sullivana i trochę żałowała, że poruszyła ten temat, ale łagodnie skinęła głową.

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Burns pogładził skórzany pokrowiec na kierownicy. - Chociaż niedawno ktoś już mnie o to pytał. Czyżbyś słyszała o czymś, o czym powinniśmy wiedzieć?

- Nie, po prostu jego nazwisko ciągle gdzieś wypływa.

Paddy spojrzała na Burnsa i zauważyła, że policjant napawa się widokiem jej obnażonej szyi i ust. Nie przestał się przyglądać, nawet kiedy zauważył zimny wyraz jej twarzy, tylko uśmiechnął się melancholijnie, jak gdyby wiedział, że nigdy jej nie dotknie i jakby tego żałował.

Przekręcił kluczyk w stacyjce, zapalił silnik i spłoszył kupujących, których czarnych sylwetek nie było widać na czarnym tle ulicy. Rozpierzchli się pod ciemnym bruchem budynku jak stado nietoperzy.

Rozdział szesnasty

Lepiej się męczyć

1

Sparaliżowana z przerażenia Kate siedziała przy stole w niewielkiej zielonej kuchni, powtarzała pod nosem nazwisko Knoksa jak mantrę i ze wszystkich sił starała się poczuć bezpiecznie. Nie była w stanie się zmusić, żeby spojrzeć przez ramię na mężczyznę, który ciekawie zaglądał przez okno do środka. Słyszała, jak ściera dłonią brud z małej szybki nad zlewem i jak pod jego stopami na ziemi pod oknem chrzęszczą zeschnięte rośliny, kiedy przestępuje z nogi na nogę. Zapewne było mu równie zimno jak jej.

Bo w domu było zimno. Znalazła drewno na opał w schowku na ganku pod tylnymi drzwiami i węgiel w piwnicy, ale nie ośmieliła się rozpalić ognia. Bała się, że ktoś jednak mógłby zobaczyć dym. Na szczęście w szafie w gościnnej sypialni natrafiła na całe mnóstwo wełnianych swetrów i spodni, i ubrała się na cebulkę, w trzy warstwy cudzych ciuchów, w których w ogóle nie było jej do twarzy. Nie przeszkadzało jej to jednak. Poodwracała wszystkie lustra w całym domu. Nie mogła na siebie patrzeć.

Światło padało na stół pod ostrym kątem i Kate widziała długie, przypominające jęzory ślady w kurzu na blacie. Liziała wczoraj ten stół, bo chciała być oszczędna

i starała się nie zmarnować ani jednej okruszyny narkotyku, a wydawało się jej, że koperty opróżniają się jak gdyby same. Zmieszała zawartość jednej z nich z mlekiem w proszku, ale musiała zażywać wciąż więcej i więcej białej substancji, żeby uzyskać znajomy, przyjemny efekt, co było coraz trudniejsze, bo miała obolały i podrażniony nos. Ścisnęła teraz jego czubek palcami, żeby móc dalej wciągać kokainę. Zawartość drugiej koperty nie była zmieszana z mlekiem, ale też wydawała się dosłownie ulatniać. Kate wydawało się niemożliwe, żeby zażywała aż tyle narkotyku. Wczoraj sądziła przez chwilę, że w domu jest z nią ktoś jeszcze - ponieważ jednak nikogo nie było, więc znaczy, że to ona sama konsumuje tak dużo kokainy.

Wyobraziła sobie, że rysy mężczyzny w oknie są niewyraźne, bo jego blada twarz jest uwalana ziemią, a zamiast oka w głowie ziejie głęboka, czarna dziura. Kiedy paznokieć nieznanego powoli drapał szybę, w domu rozległo się przeraźliwe zgrzytanie, powoli przebiegające dziewczynie wzdłuż kręgosłupa, z jednego kręgu na drugi.

Kate zasłoniła sobie oczy ręką i próbowała wyrównać oddech. Bez względu na to, do jakiego przechodziła pokój i gdzie siedziała w tym domu, mężczyzna z przystani u stóp wzgórza nad jeziorem podążał jej śladem. Czasami śpiewał niewyraźnie jakąś piosenkę niskim, chrapliwym głosem, usiłując zwrócić na siebie uwagę. Nie mogła się opędzić od myśli o nim - ilekroć zamykała oczy, przypominała sobie jego twarz, a na wspomnienie ołówka, jakby przebijającego papier, mrowiły ją palce.

Od wczorajszego wieczora ten mężczyzna mylił się jej z Vhari. Co więcej, widywała ich razem, jako szczęśliwą parę. Byli niedobrzy tylko dla niej, bo przez nią mieli kłopoty i przez nią oboje zginęli. Vhari nie miała faceta, odkąd porzucił ją ten grubas, Thillingly, ale teraz zainteresował ją jednooki mężczyzna, ponieważ oboje nienawidzili Kate. Kryli się w cieniu, a nocą nabierali jakby więcej odwagi,

chodzili na palcach po schodach, śmiali się za drzwiami i szeptali do siebie, płatając różne figle niemogącej zasnąć, brzydkiej Kate.

Brzydka. Stała się brzydka, choć kiedyś wydawało się jej to niemożliwe. Myślała, że może zbrzydnie w wieku sześćdziesięciu albo pięćdziesięciu lat, ale nie jako dwudziestodwulatka. Za dnia zauważała swoje odbicie w szybach okiennych i widziała jakby obcą kobietę, tak chudą, że można by ją wziąć za chłopca o spłaszczonym nosie, który poszerzał jej twarz i nadawał wygląd raczej monstrualny niż pospolity. A przecież dorastała w przekonaniu, że jest piękna. Uroda uprzywilejowywała Kate, więc zabierała ją ze sobą wszędzie. Rzuciła szkołę w wieku szesnastu lat i nigdy nie pracowała, nie chciała pracować, bo nigdy nikogo nie musiała nawet o nic prosić - ludzie po prostu wszystko jej dawali. Kiedyś wszyscy lubili jej towarzystwo. Ale teraz już nie.

Spojrzała na niemal pustą drugą kopertę. Za oknem nikogo nie było, chociaż wciąż mamił ją słuch. Wiedziała tylko tyle, że musi stąd spierdalać. Musi wrócić do miasta i odwiedzić znowu warsztat Berniego.

Jeżeli szybko nie wstanie z tego krzesła i nie ruszy się stąd, znajdą ją tu w maju, kołyszącą się na sznurze nad schodami.

2

Paddy była zła na Burnsa za to, że zaparkował niedaleko jej domu i wyłączył silnik. To nie on powinien decydować, czy jeszcze posiedzą w aucie, żeby trochę pogadać. Siedzieli oboje bez ruchu, chociaż zaległo między nimi wybuchowe milczenie. Oboje mieli wolny dzień, dzielący całą serię nocnych dyżurów, i żadne z nich nie czuło się jeszcze zmęczone.

Dom Meehanów przycupnął w zarośniętym ogrodzie niczym tłusta żaba. Światło paliło się jedynie w salonie. Marty i Gerard oglądają pewnie nocny program telewizyjny. Będą musieli dzisiaj dzielić pokój, jak dawniej, zanim Caroline wyszła za mąż i wyprowadziła się od rodziców. Prawdopodobnie spędzili wieczór pod opieką Cona, który kazał im przenieść łóżko Gerarda z powrotem do pokoju zajmowanego teraz przez Marty'ego i znieść po wąskiej drabinie ze strychu zakurzone, jednoosobowe łóżko Caroline. Na pewno rozpakowali też i rozstawili przy drzwiach łóżeczko polowe, śmiertelną pułapkę dla każdej istoty ludzkiej ważącej więcej niż pięćdziesiąt sześć funtów - ale mały Con mógł w nim spać koło mamy. Paddy pomyślała o jeździe autobusem z domu Caroline do Eastfield i o wstydzie, jaki odczuwała cała rodzina, widząc, co mąż zrobił jej siostrze. Trisha upierała się, że Caroline powinna wrócić do Johna. Będzie ją nakłaniać, żeby wracała do niego za każdym razem, zmuszać, żeby korzyła się, kajała i błagała męża o przebaczenie, aż scementuje wreszcie swoje małżeństwo. Bo małżeństwa Meehanów nie mogą się rozpadać. Rozwody są dobre dla innych - dla protestantów albo gwiazd filmowych.

Paddy spojrzała na swój dom. Ludzie mówili, że lepiej wyjść za mąż niż męczyć się w samotności, ale ona wolała się męczyć.

Łagodny wiatr poruszał gałęziami stojącego za samochodem drzewa, zmieniając słabe światła uliczne i w oknach domów w ruchomy pejzaż szaro-czarnych plam.

Burns odwrócił się do niej, aż zaskrzypiała pod nim skórzana tapicerka.

- A więc to tutaj mieszkasz?

Atmosfera między nimi stała się nerwowa i niesympatyczna.

- Tak - odpowiedziała sztywno, zastanawiając się, dla czego po prostu nie otworzyła drzwi i nie wysiadła. - A ty gdzie mieszkasz? Z żoną?

Spróbował się uśmiechnąć.

- Bardzo się interesujesz moją żoną.
- Interesuję się tym, że w pracy miałeś obrączkę, ale w pubie już nie.

Burns westchnął cierpliwie i zacisnął dłoń na gałce dźwigni zmiany biegów. Spojrzeli na nią oboje: gdyby rozwarł palce, ich czubki od jej uda dzieliłoby zaledwie kilka cali.

- Nie wiesz, jak jest w policji. W tej robocie człowiek musi się czuć lubiany. Nie mogę powiedzieć wszystkim chłopakom w kantynie, że moja żona jest umysłowo chora i boję się wracać do domu.

Zmierzył ją spojrzeniem, żeby się przekonać, czy kupił to kłamstwo, ale Paddy zareagowała sceptycznie.

- Więc twoja żona jest umysłowo chora?
- Czy twoim zdaniem normalna kobieta mogłaby zrobić coś takiego?

Burns podniósł ściągacz swetra i rozpiął dwa guziki koszuli, rozchylając ją i obnażając brzuch. Miał skórę gładką i lśniącą niczym toffi. Paddy widziała zarys jego mięśni, poniżej których widać się sugestywny szew czarnych włosów.

- Popatrz. - Dotknął swojej idealnie gładkiej skóry.
- Gdzie? - zapytała zadowolona, że ma pretekst, żeby na niego patrzeć.
- Tu. - Burns znowu dotknął swojego brzucha.
- Nic nie widzę.
- Tutaj. - Wziął ją za rękę i przycisnął jej palce do swojego ciepłego ciała, a dłoń Paddy prześlizgnęła się po jego brzuchu, wyczuwając małą bliznę.
- Tu?
- Właśnie. To blizna po korkociągu. Rzuciła się na mnie kiedyś z korkociągiem.

Uważał, że jest naiwna i używał najtandetniejszych chwytów, oczerniając swą nieobecną żonę, żeby Paddy

zdjęła dla niego majtki. Mimo to wciąż przesuwała palcami po jedwabistej skórze Burnsa, a nawet zaczęła się ślinić. Policjant nakrył jej dłoń ręką, głęboko wciskając palce dziewczyny w swoje podbrzusze.

- Myślę, że jesteś kłamczuchem - szepnęła.

Przesunął drugą ręką po jej udzie. Nie dbała o to, że wyczuje na nim tkankę tłuszczową. Nie zasługiwał na szczupłą dziewczynę.

- Mylisz się co do mnie - odpowiedział bez tchu. - Jestem dobrym człowiekiem.

Samochód spowijała mroczna noc, wyciemniająca okna, wciskająca się do wnętrza przez szpary i napełniająca maleńką kabinę wilgotnym, piżmowym zapachem nocy. Paddy instynktownie przesunęła dłoń wyżej i wyczuła pod palcami brodawkę piersiową w erekcji, kępkę włosów na mostku i bicie serca, tak mocne, że niemal słyszała jego echo w samochodzie.

Burns sięgnął pod płaszcz Paddy, gładząc miękki, okrągły brzusek dziewczyny i kciukiem muskając od spodu jej pierś. Zsunęła rękę z powrotem na jego podbrzusze, gładząc leciutko delikatną jak puch skórę, a on pod wpływem jej dotyku zaczął przewracać oczami. Osuwał się coraz niżej na fotelu, gdy Paddy cofnęła dłoń.

- Nie przed domem moich rodziców.

Burns wyprostował się.

- A gdzie możemy pojechać?

Paddy odchyliła głowę do tyłu.

- Wyjedź na główną drogę i skręć w prawo - po wiedziała.

Ruszyli starą szosą w kierunku stalowni, na teren opuszczonych zakładów metalurgicznych, zajmujących niegdyś aż dwie mile kwadratowe powierzchni. Dziś fabryka była zamknięta. Siarkowy odór diabła snuł się wciąż przy ziemi, ale wokoło rozciągał się krajobraz zniszczenia.

Burns znalazł pełen dziur zjazd z głównej drogi i zgasił światła, kiedy skręcili w bok.

Księżyc oświetlał przypominające topiel pole, usłane kawałkami lin i ostrymi odłamkami blachy. Kiedy odjechali na tyle daleko, by nikt nie widział ich z szosy, Burns zatrzymał auto, wyłączył silnik i popatrzył na Paddy.

Dziewczyna ochłonęła trochę, przestała dyszeć i już nie była pewna, czy tego chce, czy nie, ale palce Burnsa pogładziły jej ucho.

- Masz piękną szyję - szepnął, ściągnając jej szalik, który zsunął się z karku Paddy niczym splezający z gałęzi drzewa wąż.

Paddy czuła, że to wszystko nie jest dobrym pomysłem, ale nie mogła sobie uzmysłwić dlaczego. Burns wyciągnął z kieszeni spodni małą, kwadratową paczuszkę z kondomem i położył ją na desce rozdzielczej z taką pewnością siebie, że Paddy zaczęła nim gardzić. Zupełnie nieświadomy tego Burns objął ją w pasie i posadził sobie na kolanach, odsłaniając jej nogi. Jego rozpalone dłonie dotykały jej ud, pośladków i obnażonych piersi, a wargi okazały się wilgotne i namiętne.

W ostatniej chwili Paddy przyszło do głowy, że powinna uważać, ale była to myśl tak odległa, że wydawała się odnosić do dawno minionej przeszłości.

Sięgnęła za siebie i podała mu kondom, żeby sam go nałożył, bo ona w tym czasie mocowała się z rajstopami i majtkami, które ściągnęła niezdarnie i rozpaczliwie z jednej nogi i które zwisały jej teraz wokół lewej kostki. Usiadła na nim okrakiem, pocałowała go, podciągnęła jego koszulę do góry i naga przytuliła się do jego obnażonej piersi.

Gdy Burns w nią wszedł, wciąż trzymał w ustach kawałek opakowania od kondomu, a Paddy poczuła, jak jej niecierpliwa szpara rozchyła się na jego powitanie niczym ogromna, cielistą róża.

Nie była w stanie skupić na niczym wzroku i nie widziała nic poza włosami na karku Burnsa i labiryntem zmarszczek na skórzanym zagłówku za jego plecami. Nie panowała też nad swoim oddechem. Trzymała go mocno za ramię, być może sprawiając mu ból, nie była tego pewna, ale nic jej to nie obchodziło. Suwała się w przód i w tył, drugą ręką pieszcząc swoją lechtaczkę.

Była już tylko przemożnym pożądaniem i nie mogłaby przestać ujeżdżać Burnsa nawet, gdyby musiała. Nagle przeszył ją spazm rozkoszy i Paddy zacisnęła nogi, wtulając się w jego pierś. Całym jej ciałem wstrząsnął dreszcz, a potem zalała ją nagle fala chłodu.

Czuła, że po nagich udach sływa jej coś ciepłego. Nogi miała mokre, ale nie śliskie, więc była pewna, że się posikała. Ogarnął ją wstyd, dlatego siedziała bez ruchu. Czuła się jak idiotka, obnażona i bezbronna. Szeroka dłoń Burnsa na pośladku Paddy nieoczekiwanie wydała się jej sprośna. Przesunęła się na bok, próbując oswobodzić drżące nogi, ale Burns powstrzymał ją i osadził na miejscu, całując w szyję rozchylonymi wargami, dysząc ciężko i powtarzając szeptem jej imię.

Nie patrzyła na niego, gramoląc się z powrotem na fotel pasażera. Zaczęła wyglądać przez okno, udając urzeczoną płaskim, jałowym pejzażem i zastanawiając się, co się przed chwilą, do jasnej cholery, stało. Majtki i rajstopy miała wciąż zsunięte, ale skromnie obciągnęła spódnicę, zastanawiając się, jak włożyć bieliznę i ubrać się z godnością.

Siedzący obok Burns zsunął kondom z członka i związał go na supeł, uśmiechając się do siebie tak, że Paddy poczuła się samotna, głupia i wściekła. Szyby w samochodzie zaparowały i na zewnątrz nic już nie było widać. Policjant przesunął palcem po przedniej szybie, po czym raz jeszcze uśmiechnął się drwiąco. Uruchomił silnik, rozparł się wygodnie na fotelu, czekając, aż para ulotni się

z szyb, i cierpliwie klepał się po kolanie. Wyciągnął rękę, żeby włączyć radio, i Paddy wpadła w panikę, bo pomyślała, że znowu chce jej dotknąć.

- Powinniśmy już jechać - powiedziała zupełnie niepożebnie. - Jestem zmęczona.

Dochodziło wół do trzeciej w nocy, ale Paddy pełniła swoje nocne dyżury reporterskie przez pięć dni w tygodniu i oboje wiedzieli, że nie zaśnie do rana. Burns posłał jej półśmiejch i trafił na jakąś stację, która nadawała właśnie *Running with the Night* Lionela Ritchie. Na twarzy policjanta pojawił się wyraz dziecinnej rozkoszy, który zniknął dopiero, gdy Paddy zachichotała, a wtedy jego palce przekreśliły gałkę na inną stację, gdzie grali z kolei Echo and the Bunnymen.

- Lepiej?

- Nie lubię Lionela Ritchie. Ale jeżeli chcesz go posłuchać, to wróć do tamtej piosenki.

- Nie, ja też go nie lubię. - Burns spuścił głowę, było to bowiem oczywiste kłamstwo. - No dobrze, lubię go. Nie sądzisz, że jest cool?

Uśmiechnęła się.

- Lionel Ritchie?

- No... A twoim **zdaniem nie jest?** - Burns przygryzł wargę.

- Ile ty masz lat?

- Dwadzieścia trzy.

- Jesteś tylko o rok starszy ode mnie, więc dlaczego ubierasz się jak Val Doonican?

Odchylił głowę do tyłu i uśmiechnął się do niej, obciągając sweter z wycięciem w serek. Nie był to jednak jego zwykły, szeroki uśmiech młodzieżowego idola, tylko jakiś bojaźliwy, krzywy grymas.

- Jestem gliną, a takie ciuchy są modne wśród policjantów. Podoba ci się ta kapela? - Wskazał palcem radio.

- Lubię Echo and the Bunnymen, owszem.

Właściwie ich nie lubiła, ale chciała polubić.

- No widzisz. A moim zdaniem ten gość nie umie śpiewać.

Oboje niepewnie skinęli głowami, spoglądając po sobie z zaskoczeniem. Paddy przez chwilę wyobrażała sobie, że Burns jest przystojniejszy, ładniej ostrzyżony i nosi fajniejsze ciuchy. Miał ciemne oczy i duży, wydatny nos. Poodrapał się w szyję.

- Chciałbym się jeszcze kiedyś z tobą zobaczyć.
Paddy skwitowała ten eufemizm uśmiechem i roześmiała się.

- Czy właśnie nie to przed chwilą zrobiliśmy? Czy przed chwilą nie „patrzyliśmy” na siebie?

- Tak. - Burns westchnął z zadowoleniem. - Patrzyłem na ciebie, tak.

Poczula się niewiarygodnie rozluźniona i spokojna, kiedy wciągnęła rajstopy, skromnie osłaniając uda płaszczem, i opadła z powrotem na fotel, szczerząc zęby w uśmiechu.

- A teraz odwieź mnie do domu, Burns.

W drodze powrotnej słuchali radia. Gdy skończył się *Killing Moon*, didżej zapowiedział zmianę nastroju i odtworzył płytę grupy Madness. Oboje śpiewali razem z muzykami i okazało się, że jakimś cudem znają wszystkie słowa, chociaż fanami tego zespołu były głównie rozwrzeszczane nastolatki. Powrót do Eastfield nie potrwał jednak długo.

- No dobrze. - Paddy zaczęła zbierać swoje rzeczy. - Znam wielu policjantów. Jeżeli komuś powiesz, co tu się dzisiaj zdarzyło, zadzwonię do twojej żony.

Burns z udawaną pruderią chwycił się za pierś.

- Posłuchaj... Ja też się wstydzę.

Nie chciała się uśmiechać ani znów na niego patrzeć, bo bała się, że jeśli to zrobi, zostanie w aucie na dłużej. Otworzyła drzwi, wysiadła i patrzyła, jak Burns odjeżdża, pozostawiając ją samą na pogruchotanym chodniku.

Gdyby się okazało, że matka widziała wcześniej, jak podjeżdżają pod dom, a potem odjeżdżają, powie, że zapomniała czegoś w klubie. Na przykład szalika. Musieli po niego pojechać i zostali na kolejnego drinka.

Patrzyła, jak Burns rusza. Nie odwrócił się, ale widząc kął, pod jakim przechylał głowę, Paddy domyśliła się, że obserwuje ją w lusterku wstecznym. Dopiero wtedy zauważyła czerwonego forda capri, który stał pod domem pani Mahoń. Przyjrzała mu się uważnie, chociaż stał w cieniu latarni, ale nie zobaczyła w środku nikogo. Zachowuje się jak paranoiczka. Każdy może parkować na tej ulicy bez jej zezwolenia.

Dopiero kiedy już leżała w łóżku, wspominając wszystkie dotknięcia i pieszczoty tej nocy, przypomniała sobie, że kiedy podjechali pod dom po raz pierwszy, forda nie było na ulicy. A pani Mahoń ma przeszło siedemdziesiąt lat i raczej nie przyjmuje gości o wpół do drugiej w nocy z piątku na sobotę.

Usiadła na łóżku, włożyła szlafrok, zeszła cichutko po schodach i otworzyła drzwi wychodzące na pokrytą srebrzystym szronem ulicę.

Ford zniknął.

Rozdział siedemnasty

Podmioty, nie przedmioty

1

Popijając zimną herbatę z plastikowego kubka, Bernie spoglądał na zegarek. Było późno, ale on wpadł już w rytm pracy i całkiem się w nim zatracił. Lewarek był dobrze umocowany pod autem, a narzędzia rozłożone wokół deski na kółkach, na której wsuwał się pod auto, z łatwością więc mógł ich dosięgnąć, nie wstając. Czekala go skomplikowana robota, wymagająca skupienia, i docierały do niego tylko strzępy paplaniny słuchaczy, telefonujących do rozgłośni radiowej i wypowiadających się na żywo na antenie.

Herbata była gorzka, ale Bernie pił ją w nadziei, że oszuka głód. Nic nie jadł od sześciu godzin, nie chciał jednak wracać do domu, siedzieć z szeroko otwartymi oczami, myśleć o Kate i Vhari i wciąż wpatrywać się w ten liścik, napisany na marginesie gazety: „Przepraszam, bardzo przepraszam”. Vhari nie żyje, a Kate zniknęła bez śladu. Co więcej, policja nie pozostawiła mu żadnych złudzeń co do tego, jak zginęła Vhari. Nie oszczędzili mu żadnego szczegółu, bo przez pewien czas podejrzewali, że maczał palce w tej zbrodni.

Kiedy policjanci pokazali mu zdjęcia wiodącego przez cały dom krwawego szlaku, na którego końcu zobaczył

zwłoki Vhari, wybuchnął tak strasznym płaczem, że zrobiło mu się niedobrze i zwymiotował. Przesłuchujący go funkcjonariusz podał mu wtedy papierową torebkę, a Bernie wciąż czuł odór własnych wymiocin pod nosem i na brodzie.

Zmarszczył brwi, spoglądając znowu na zegarek. Dochodziło wpół do trzeciej. Gdyby popracował do trzeciej albo czwartej, byłby tak zmęczony, że po powrocie do domu może zmorzyłby go sen.

Właśnie wsuwał się z powrotem pod samochód, kiedy w radiu znów rozgorzała dyskusja o moralności prywatnego szkolnictwa. Bernie przypomniał sobie, jak w mokre zimowe poranki czekał na przystanku na autobus z Vhari i Kate i bił się z nimi na niby, żeby się rozgrzały, bo gołe nogi dziewczyn pokrywały z zimna różowe cętki. Pamiętał też drogę powrotną - stał na przystanku, modląc się w duchu, żeby żaden dzieciak z miejscowej podstawówki nie zauważył ich trójki, ubranej w niebieskie mundurki Akademii. Był jedynym chłopakiem na tym przystanku, dopóki do ich szkoły nie zaczął chodzić Paul. Dołączył do nich w piątej klasie i odtąd wszystko się zmieniło - na zawsze.

Paul Neilson został wydalony ze szkoły z internatem w Fettes za kradzież. Wszyscy o tym wiedzieli, jeszcze zanim trafił do nich, bo brat jednej z miejscowych uczennic chodził do Fettes i opowiedział im o tym. Wiele dziewcząt postanowiło w ogóle z nim nie rozmawiać. Właściwie wszystkie porządne dziewczyny. Vhari powiedziała, że to nieładnie źle traktować kolegów na podstawie plotek i że postara się być dla niego miła. Kate, jak zauważył Bernie, nie powiedziała nic.

Kiedy jednak Paul pojawił się w szkole, wszyscy zmienili zdanie. Był nie tylko przystojny, ale i cool. Zawsze chodził w sportowej koszulce z postawionym kołnierzykiem i roztaczał wokół aury jakby buntowniczego zagrożenia.

Oczarował najładniejszą dziewczynę w szkole, czyli Kate, od chwili ich pierwszej wspólnej podróży autobusem. Była świadkiem, jak chłopak przedstawia się jej znajomym, prosi o pytania, mówi, gdzie mieszka i że jego ojciec zajmuje się importem z RPA, a potem podaje wysokość rocznych obrotów jego firmy. Przyglądała mu się swoimi ładnymi, szarymi oczami, zakładając lok jasnych włosów za ucho. Kiedy wysiedli w Mount Florida, uśmiechnęła się do niego łaskawie. Paul odprowadził ich, choć mieszkał zupełnie gdzie indziej. Następnego ranka Kate i Paul oddzielili się już od reszty oczekujących na autobus uczniów - stali pod murem, prowadząc prywatną rozmowę, tylko we dwoje. Gdyby Bernie wiedział, jak to się wszystko skończy, odciągnąłby od niego Kate za włosy.

Leżącemu w ciemności pod reperowanym wozem Bernieemu łzy płynęły po skroniach we włosy, więc potrząsnął głową. Kurwa jej mać, ukradła mu samochód. To nikczemność, nawet jak na Kate. Mini cooper nie był wiele wart, ale Bernie nie należał do ludzi zamożnych. Dobrze, że nie było to auto jakiegoś klienta. Wszyscy znajomi Kate byli bogatsi od niego, właściwie jednak ucieszył się, że postanowiła okraść jego, nie ich. Ludzi, wśród których się teraz obracała, lepiej było nie wkurzać.

Dyskusja w radiu zaczęła krążyć teraz wokół yuppies i różnych sposobów unikania płacenia podatków, i Bernie - nie mogąc już dłużej ignorować uporczywie grających marsza kiszek - szybko podokreślał wszystkie śruby i wysunął się spod auta. Niestety, wcale nie czuł się zmęczony.

Próbując słuchać głupich jak but słuchaczy dzwoniących do redakcji, zachwyconych tym i zdołowanych tamtym, Bernie powoli opuścił przednie koła samochodu na podłogę, po czym wyciągnął lewarek spod podwozia. Pozbierał wszystkie klucze i zaczął wycierać z nich smar, gdy jakiś facet, sądząc po akcencie, z Birmingham,

gardłował w radiu przeciwko Angolom z południa, utrzymując, że przez nich reszta kraju będzie musiała cierpieć rządy Margaret Thatcher i jej ekipy przez kolejną kadencję. Reelekcja Thatcher to już nieswieża wiadomość.

Bernie podszedł do stołu i przykucnął, żeby otworzyć górną szufladę skrzynki narzędziowej. Wyciągnął ją, ułożył klucze na miejscu i wsunął z powrotem, ale nie chciała się do końca zamknąć. Wysunął szufladę raz jeszcze i sprawdził, czy nic z niej nie wystaje, nie zauważył jednak żadnej przeszkody. Ponownie spróbował ją zamknąć, wciąż wystawała jednak na pół cala - czyli na tyle, żeby mógł zajrzeć do środka. Coś blokowało ją z tyłu.

Siedzący w kucki koło stołu Bernie przesunął się niepewnie w bok i wtedy zauważył sterczący nad skrzynką pasek przezroczystej plastikowej folii. Uśmiechnął się, sądząc, że kryje coś do zjedzenia - coś, dzięki czemu po zeskrobaniu pleśni będzie mógł jeszcze pracować co najmniej przez godzinę. Chwycił folię w dwa palce i pociągnął. Okazało się, że jest mocniejsza niż zwyczajna torebka śniadaniowa, ciągnął więc dalej, powoli wysuwając paczkę zza skrzynki, aż wreszcie musiał chwycić ją obiema rękami. Dopiero wtedy udało mu się wydobyć pakunek spod stołu. Był wielkości niewielkiej poduszki, kwadratowy i ciężki.

Paczkę spowijało kilkanaście warstw przezroczystego plastiku, pokrytego jakimś białym nalotem, który utrudniał identyfikację zawartości, ale wielokrotnie odklejana srebrna taśma klejąca, zabezpieczająca nieduże rozcięcie z przodu, straciła już przylepność i sama się zsunęła, gdy Bernie podniósł pakunek. Od razu się domyślił, co jest w środku. Na podłogę wysypała się kupka białego proszku i Bernie wpadł w panikę. Zaparło mu dech w piersi, zaczął się dusić, jakby udławił się ością, i nie był w stanie wypuścić powietrza z płuc.

To dlatego Kate tak „bardzo” go przeproszała. Dlatego napisała, że go kocha. Bo w porównaniu z tą paczką, kra-

dzień samochodu i mimowolny współudział w zabójstwie Vhari należało uważać za drobne grzeszki.

2

Po George Square hulał ostry poranny wiatr, wirując wokół pomników, upamiętniających zapomnianych bohaterów zapomnianych wojen. Było to najzimniejsze miejsce w centrum miasta, bo na otwartej przestrzeni orzeźwiająca bryza przybierała na sile coraz bardziej, spychając w końcu przechodniów w boczne uliczki.

Paddy minęła olbrzymi gmach poczty, weszła na plac naprzeciwko zwieńczonego strzelistymi wieżyczkami gmachu urzędu miasta, okrążyła imponujący biały grobowiec i zobaczyła ich od razu po drugiej stronie placu: niewielką grupkę ubranych na biało osób, trzymających tablice z wypisanymi hasłami. Niektórzy manifestanci byli w białych swetrach albo w płaszczach, jeden w białej wiatrówce. Stali w ciasnym kręgu, zapalali zapalniczkami małe skwierczące świeczki i starannie osłaniali płomienie przed wiatrem własnymi dłońmi, ciałami i płaszczami.

Po drodze zjadła całą torebkę cytrynowych landrynek, które kupiła w sklepie ze słodyczami na stacji w prezencie dla mamy. Zjadła jedną, tylko żeby spróbować, potem drugą, potem jeszcze jedną, i tak dalej i dalej, aż w końcu opróżniła torebkę do połowy, więc powinna była ją wyrzucić albo zjeść wszystkie cukierki i kupić następną porcję. Oblepione cukrem zęby Paddy zgrzytały w zętknięciu z zawartym w soku kwaskiem.

Mdliło ją od glukozy i wskutek poczucia winy, gdy idąc już przez plac zauważyła majaczącą przed'białym szeregiem demonstrantów znajomą zieloną sportową kurtkę, łamiącą monochromatyczną monotonię ich strojów. Był to JT. Stał z notesem w rękę, przechylając głowę na bok,

co zwykle oznaczało, że zadaje docieklive pytania. Widocznie dowiedział się już o samobójstwie Thillingly'ego i uprzedził ją. Wiatr odgarnął Paddy włosy z ucha i nagle w jej szyję wtulił się Burns. Poczula na skórze jego wilgotny oddech i na to wspomnienie przebiegł ją dreszcz rozkoszy.

Seks zawsze był dla niej oszałamiającym chaosem wrażeń, dostarczających uciechy, ale nigdy się w nim nie zatracala. Podczas stosunku na ogół chociaż na chwilę pogrązała się w trywialnych rozmyślaniach: zastanawiała się, gdzie zostawiła klucze od domu, czy jej nowa dieta okaże się skuteczna albo czy nie powinna już pójść do fryzjera. Ale z Burnsem było inaczej. Zapewne dlatego, że nie miała dla niego szacunku. Uśmiechnęła się, otworzyła oczy i zarumieniła się, przypomniawszy sobie, gdzie jest i po co tu przyszła.

Zielona sportowa kurtka sunęła wzdłuż szeregu manifestantów. Klnąc pod nosem, Paddy podeszła do JT, stanęła obok i zaczęła przysłuchiwać się jego słowom, starając się jak najmniej rzucać w oczy. JT zadawał teraz pytania wysokiej kobiecie o arystokratycznym nosie i gęstych, bujnych siwych włosach, zaczesanych do tyłu i spiętych skórzaną spinką.

- Domagamy się uwolnienia Nelsona Mandeli. - Miała miękkie, angielski akcent, ale mówiła autorytatywnie, jak ktoś przyzwyczajony do przemawiania publicznie. - To prawnik, siedzący w więzieniu w RPA...

-Za wywołanie krwawych zamieszek - powiedział szybko JT, jak zawsze, gdy toczył z kimś spór. - Niektórzy czytelnicy powiedzieliby, że popieracie zwyrodniałych przestępców. Co by im pani na to odpowiedziała?

- No cóż... - Kobieta uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - Amnesty International nie domaga się uwolnienia Mandeli jako tak zwanego więźnia sumienia. Uważamy po prostu, że powinien mieć prawo do sprawiedliwego procesu.

Ołówek dziennikarza leniwie krążył nad kartką i JT podniósł wzrok, spodziewając się, że kobieta powie wreszcie coś skandalizującego.

- Powinien pan to zanotować - dodała. - To bardzo istotna kwestia.

- Proszę się nie martwić, będę o tym pamiętał. Są jednak osoby, twierdzące, że Nelson Mandela jest przywódcą południowoafrykańskiego odpowiednika IRA. Co pani na to?

Paddy cofnęła się o parę kroków, słuchając jego paplaniny. Wcale nie wypytywał kobiety o Thillingly'ego, zastanawiała się więc, co on tu w ogóle, do cholery, robi. Przedstawiciele Amnesty International organizowali takie „czuwania przy świecach” na George Square w każdą sobotę, co tydzień w intencji innego więźnia, ale Mandela był postacią niezwykle kontrowersyjną, bo po masakrze w Sharpsville opowiedział się za powstaniem zbrojnym.

- Nie masz o czym pisać? - zapytała.

JT odwrócił się i spojrzał na nią podejrzliwie.

- Co ty tu robisz?

- Ach, wiesz, słyszałam gdzieś, że w tym tygodniu demonstranci będą się domagać uwolnienia Mandeli, więc chciałam z nimi o tym porozmawiać.

- Szukasz tekstu, którym mogłabyś olśnić Ramage'a, co? No to tutaj już straciłaś szansę. - JT uśmiechnął się z zadowoleniem. - Bo właśnie przeprowadziłem z nimi rozmowę na ten temat i idę do redakcji ją przepisać.

Zamknął z trzaskiem notes i odszedł. Paddy, przyglądając się, jak JT powolnym krokiem przechodzi przez plac, zrobiła zawiedzioną minę i cały czas z wolna kręciła głową na wypadek, gdyby się odwrócił.

Zwolennicy Amnesty International utworzyli uroczyste półkole wokół dwóch plakatów: jednego z logo ich organizacji, a drugiego z maszynowym streszczeniem sprawy

Mandeli, przyklejonym pod nieco niewyraźną fotografią, przedstawiającą poważnego czarnoskórego młodzieńca z zaczesaną na bok fryzurą afro. Powyżej widniał napis wykonany purpurowym pisakiem: 20 LAT BEZ SĄDU.

Paddy zaczęła przytupywać na przejmującym zimnie, a demonstranci popatrywali na nią nieufnie, ponieważ znała JT, i odwracali głowy.

- Proszę państwa... Hmm... - Paddy znów cofnęła się o krok, żeby podkreślić, że nie ma nic wspólnego ze swoim nadętym kolegą. - Nie wiem, jak zacząć. Jestem początku jąca dziennikarką, nie takim ważnym reporterem jak on... - wskazała kciukiem JT - ...ale chciałam zadać wam kilka pytań o człowieka nazwiskiem Mark Thillingly.

Szpaler zaniepokojonych manifestantów złamał szyk. Facet na końcu szeregu zaczął szurać nogami, a ktoś inny zakaszłał. Jakaś wrażliwa dziewczyna w środku grupy zaczęła nagle płakać, zakrywając twarz rękami. Stojący obok kolega otoczył ją ramieniem i przygarnął do piersi, odchylając jej głowę do tyłu, bo dziewczyna szlochala konwulsyjnie w jego biały, ręcznie robiony sweter. Mężczyzna spojrzał oskarżycielsko na Paddy.

- Mark był naszym przyjacielem.

- Bardzo przepraszam - powiedziała Paddy. - Przepraszam, nie chciałam nikomu zrobić przykrości.

Dziewczyna znowu się rozszochala, z trudem chwytając powietrze, a Paddy zauważyła, że siwa kobieta zaczyna przewracać oczami, więc zwróciła się do niej.

- Wiem, że Mark był przyzwoitym człowiekiem.

Siwa kobieta chwyciła Paddy za łokieć i odciągnęła ją na bok.

- Ma pani rację, był przyzwoitym człowiekiem. Był bardzo oddany naszej organizacji. - Skinieniem głowy wskazała płaczącą dziewczynę. - Natasha słabo go znała, ale ona uwielbia dramatyzować.

- Bardzo mi przykro z powodu jego śmierci.

Kobieta upewniła się, że nikt poza Paddy jej nie słyszy, i konfidencko ściszyła głos.

-Jego samobójstwo było dla nas wszystkich prawdziwym szokiem.

- Dlaczego? - zapytała również szeptem Paddy.

Kobieta potrząsnęła głową.

- Przyszedł na czuwanie w zeszłym tygodniu. Wydało się, że wszystko jest w porządku. Był w dobrym na stroju. Ale widocznie potem stało się coś złego.

Paddy spuściła wzrok na biały grobowiec, zastanawiając się nad następnym pytaniem.

- Mark był prawnikiem, prawda? A gdzie pracował?

- W Easterhouse Law Centre.

Paddy skinęła głową, wpatrzona w czubki swoich butów.

- Jasne.

Kobieta przyglądała się jej ciekawie.

- Wiedziała pani o tym, prawda?

Było tak zimno, że nos siwej kobiety zrobił się cały czerwony. Zmrużyła oczy pod naporem wiatru, bo pomarszczona skóra jest mniej wrażliwa na chłód, i wtedy Paddy zauważyła, że nieznajoma ma smagłą cerę, jak gdyby często przebywała na powietrzu. Wyobraziła ją sobie, jak spaceruje zwawym krokiem po swojej wspaniałej posiadłości, a za nią krok w krok biegną z ujadaniem małe psiki.

- Czy śmierć Marka może mieć coś wspólnego z mordem Vhari Burnett?

Kobieta ze smutkiem przytaknęła głową.

- Ach tak, biedna Vhari. Ona też należała do Amnesty. Mark przyprowadził ją na pierwsze spotkanie. Byli wtedy parą.

- Czyli kiedy?

- Kilka lat temu. - Zastanowiła się. - Pięć? Chyba tak. Mniej więcej w tamtym czasie zaczęliśmy organizować

te nasze czuwania. - Odwróciła się i spojrzała na swoich współtowarzyszy, obrzucając spojrzeniem tandetny plakat i zapłakaną Nataszę, ocierającą oczy, po czym uniosła z oburzeniem brew i coś mruknęła pod nosem.

- Czy Mark był już żonaty?

- Ale skąd. Zaczął chodzić z Vhari dawno temu, jak już powiedziałam. Poznali się jeszcze na studiach, na wydziale prawa. Z Dianą ożenił się dopiero później. Wydaje mi się, że rodzice Vhari i Marka mieszkali po sąsiedzku.

Paddy skinęła głową.

- A czemu się rozstali? To ona go rzuciła?

Kobieta skwitowała tupet Paddy uśmiechem.

- Wręcz przeciwnie. To Mark rzucił swoją narzeczoną dla kobiety, która została później jego żoną. Vhari przestała przychodzić na nasze spotkania, ale nadal pracowała w organizacji. Pisała listy, wspierała nas finansowo i tak dalej.

- Czy Mark ją bił?

- Mark?

- Tak. Czy Mark bił Vhari?

- Policja przypuszcza, że to on ją zamordował, prawda?

- Tak słyszałam.

Kobieta zadumała się na chwilę.

- Prawdę mówiąc, moim zdaniem Mark nie był nawet na tyle sprawny fizycznie, żeby móc kogoś pobić. Dostawał zadyszki, idąc pod byle górkę. Palił jak wariat i był trochę...

- Zerknęła na Paddy, ale udało się jej nie zawiesić na niej wzroku. - I był trochę przy kości.

Paddy skinęła głową, wbijając wzrok w notes i usiłując się nie zarumienić.

- Po zerwaniu z Vhari popadł w przygnębienie. - Kobieta mówiła teraz szybko, jakby próbując zatrzeć gafę.

- Rozmawiał ze mną na ten temat i wydawało mi się nawet, że chce mi się zwierzyć, ale w gruncie rzeczy myślę, że usiłował przeciągnąć mnie na swoją stronę. Był urodzonym

politykiem. Wszystko mogło być dla niego pretekstem do działań lobbystycznych. Miał spokojny charakter.

- Ale rzucił Vhari. To nie było zbyt miłe.

-Ach, bo jego żona Diana to bardzo uparta osoba. A Vhari przypominała raczej Marka. Była zrównoważona, a Diana miała w sobie więcej ognia. - Siwa kobieta unikała teraz wzroku Paddy.

- Chyba jej pani nie lubi.

Nieznamoma uśmiechnęła się szeroko.

- Owszem, nie lubię jej. Diana rzuciła pracę, kiedy wyszła za mąż. Nie cierpię kobiet, które nie pracują, cho cież mogą. Pod tym względem jestem podobna do Vhari, bo urodziłam się w zamożnym domu, ale nie chciałam korzystać z pieniędzy rodziców i znalazłam sobie pracę. Nigdy nie wyszłam za mąż. Zawsze sama na siebie za rbiałam.

- Szła pani sama przez życie.

-Tak.

Uśmiechnęły się do siebie: dwie pracujące kobiety, zajmujące miejsca pracy potrzebującym jej mężczyznom, sprzeciwiające się konwenansom i uciekające od kuchennego zlewu - kobiety występujące samotnie przeciwko całemu światu, aktywne, nie bierne, podmioty, nie przedmioty.

3

Paddy szła spokojnie, zadowolona i pewna siebie, kiedy pomyślała o JT, który, jak sądziła, wybrał tę samą drogę, co ona. Puściła się za nim biegiem w nadziei, że trafnie odgadła, którędy będzie wracał do redakcji, i wreszcie zauważyła go o sto jardów z przodu, gdy skręcał w Albion Street, kierując się do gmachu „Daily News”. Biegła nadal, zdyszana, aż w końcu złapała go za rękaw.

- Zaczekaj, zaczekaj, JT. Mam dla ciebie pewną propozycję.

Odwrócił się do niej ze sceptycznym wyrazem twarzy, bo nie sądził, że Paddy ma mu coś do zaoferowania.

- Zrobię za ciebie w bibliotece kwerendę o Mandeli w zamian za kilka karnetów na taksówki. W ten sposób napiszesz artykuł dwa razy szybciej. Może nawet Ramage pochyli nad tobą tę swoją wielką, czerwoną mordę i da ci buzi.

JT wykręcił szyję.

- A po co ci karnety na taryfę?

- Chcę się przejechać taksówką na koszt gazety - odpowiedziała, strugając idiotkę.

- Pewnie do narzeczonego. - Zaczął się uśmiechać, chcąc wciągnąć ją w nieobowiązującą rozmowę o lekkim zabarwieniu erotycznym, ale twarz Paddy pozostała bez wyrazu i JT dał jej spokój. - No dobrze, ale zrobisz mi Mandelę i jeszcze jedną kwerendę.

- Nie, tylko Mandelę - odparła sucho. Karnet na taryfę niewiele go kosztował. Takie podpisane *in blanco* papierki dziennikarze wręczali taksówkarzom z firmy przewozowej, stale współpracującej z gazetą na umowę, a jako szef działu reportażu JT dysponował niewyczerpanym zapasem karnetów, których rozchodu kierownictwo nigdy nie kwestionowało. Powinno się je wykorzystywać wyłącznie w celach służbowych, Paddy jednak niemal co wieczór widziała, jak JT wraca do domu taksówką.

Wbił w nią wzrok i zazgrzytał zębami, poszukując słabego punktu, w który mógłby uderzyć.

- Zrobię ci ośmiogodzinną kwerendę - powiedziała. - I zbiore też materiały o żonie Mandeli, Winnie.

JT wyciągnął z kieszeni niewielki notes, wyrwał z niego dwa żółte świstki i dał jej.

Paddy chwyciła je niecierpliwie, sprawdzając, czy są podpisane.

- No, ale powiedz, po co ci to? Pracujesz nad jakimś tekstem?

Uśmiechnęła się do niego, ucieszona cichym, pełnym zdziwienia pulsowaniem w jego głosie.

- Tak, piszę tekst o nielegalnym handlu służbowymi karnetami taksówkowymi. A teraz uprzejmie proszę o pozwolenie odejścia i odchodzę.

Zadowolona ze swojej riposty, zabrała się i poszła.

4

Kate jechała rozklekotanym mini cooperem dziurawymi, ale tak znajomymi ulicami, że popadła w sentymentalny nastrój. Wszystkie tutejsze skrzyżowania i żywoploty budziły w niej jakieś wspomnienia - o takim czy innym zdarzeniu, osobie, plotce albo zabawie. Mount Florida. Zbliżała się do domu swoich rodziców. Mogła wymienić nazwisko co drugiej rodziny mieszkającej z nimi kiedyś po sąsiedzku. Pamiętała letnie popołudnia, spędzane na ogół w przydomowych ogródkach. Oto przystanek szkolnego autobusu i murek, przy którym po raz pierwszy rozmawiała z Pauliem Neilsonem.

Właściwie nie chciała tu przyjeżdżać, ale przyciągnęły ją wspomnienia. Miała przy sobie tabakierkę, zażyła sporą dawkę narkotyku i wydawało się jej, że nie ma takiej rzeczy na świecie, której nie może zrobić.

Spojrzała na dom. Ojcowski trawnik był gładziutki niczym tafla szkła, a dalej stal domek wybudowany na początku lat trzydziestych, sterylnie schludny i w idealnym stanie. Mogli mieć większy dom. Mogli mieć wielki dom w Bearsden na wielkiej działce, jak jej dziadek, z osobną sypialnią dla każdego członka rodziny. Rodzice nie ukrywali, że w sensie finansowym stać ich na wiele, a jednak odmawiali dzieciom luksusów. Byli zamożni, ale uważali,

że Vhari, Kate i Bernie nie zasługują na ich pieniądze. Czesne było wysokie. Wszyscy dokładnie wiedzieli, ile kosztuje ich wyżywienie, jaki uszczerbek w domowym budżecie powstaje wskutek wydatków na mundurki szkolne i jak wysokie są koszty kolejnych wakacji. Nieustannie zmieniany testament rodziców wisiał nad nimi niczym miecz Damoklesa, rzucając na nich groźny cień i psując im nastrój na wszystkich imprezach. Każde z nich reago-
wało na to finansowe zagrożenie w inny sposób: Vhari przestała w końcu w ogóle dbać o pieniądze, a Bernie nie chciał wziąć od rodziców ani grosza. Kate jednak lubiła forszę. Kiedy tylko dostała parę groszy (na ogół, co musiała przyznać, od Paula), wydawała je lekką ręką na biżuterię, podróże i ciuchy - na różne śliczne, naprawdę prześliczne rzeczy.

Siedziała w samochodzie, przyglądając się domowi rodziców, żeby trafnie ocenić jego wartość, i po omacku grzebała w torebce, dopóki nie natrafiła na chłodną powierzchnię srebrnej tabakierki. W domu nie było widać śladu życia i nagle serce podeszło jej do gardła z przerażenia. Nie widziała rodziców od trzech lat. Nie była pewna, czy gdyby teraz zapukała do drzwi, nie trafiłyby ich na miejscu szlag na jej widok. Vhari nie żyje, więc chyba ją oplakują, chociaż zawsze byli dla niej bardzo niedobrzy.

Minęła ją jakaś grubaska w starym zielonym skórzanym płaszczu, idąca leniwym krokiem. Kate przyglądała się jej w lusterku wstecznym. Dziewczyna wyglądała jak obszarpaniec - ze szwu na skraju poły jej płaszczka zwi-
sała odpruta nitka. Grubaska niosła na grzbiecie niewielki plecaczek i miała krótko przystrzyżone, sterczące włosy, wyglądające tak, jakby je sama obcięła. Ciekawe... Przy-
stanęła po drugiej stronie ulicy, przed wejściem do domu Marka Thillingly'ego.

Kate jeszcze raz obrzuciła wzrokiem swój rodzinny dom i zaczęła żałować, że nie może zacząć wszystkiego

od nowa. Gdyby miała ku temu okazję, dziś rozegrałaby to wszystko inaczej. Ograniczyłaby wydatki i odkładałaby pieniądze na jakimś tajnym koncie. A teraz nie ma już nic oprócz tej paczki. 1 Knoksa. Został jej jeszcze KnOx. Wiedziała nawet, gdzie mieszka.

Rozdział osiemnasty

Sto odcieni szarości

1

Paddy zawahała się przy drewnianej furtce, spoglądając ku domowi, przed którym ciągnął się szeroki trawnik. Nigdy jeszcze nie rozmawiała służbowo z nikim, kto stracił kogoś bliskiego. Redaktorzy jakoś nie zlecali jej podobnych zadań, i dziewczyna była zupełnie pewna, że w tym przypadku oszczędzali ją z czystej życzliwości. Duba poproszono o odejście z redakcji, kiedy otrzymał właśnie takie zadanie. Kazali mu zapytać żonę jakiegoś faceta, któremu obcięto głowę, jak się poczuła na widok zwłok małżonka, ale Dub nawet do niej nie pojechał. Poszedł do kawiarni, gdzie pograżył się w lekturze tomiku poezji, i przyuważył go tam ktoś z redakcji.

Tego rodzaju wywiady, których nie cierpieli nawet starzy wyjadacze, stanowiły zazwyczaj przełomowe momenty w karierze wielu dziennikarzy. Ilekroć ktoś wyrażał zdumienie wobec całkowitego braku współczucia ze strony JT dla bliskich ofiar przestępstw i wypadków, ktoś inny natychmiast przypominał plotkę, głoszącą, że JT rozplakał się rzekomo w toalecie po swojej pierwszej tak zwanej „wizycie śmierci” - jak gdyby uczłowieczało go to, że kiedyś miał sumienie, które udało mu się nareszcie zagłuszyć. Najgorsze było jednak to, że niektórzy dzien-

nikarze lubili tę robotę: na przykład pewien facet, który przeniósł się potem do jakiegoś londyńskiego tabloidu, opanował sztukę robienia takich wywiadów „na wyłączność”, bo miał w zwyczaju, wychodząc już z domu ofiary, sprawiać przykrość rodzinie i obrażać zmarłego: mówił, dajmy na to, że facet dostał za swoje, bo nie powinien był jeździć takim gównianym samochodem. Bliscy poszkodowanego czuli się tak urażeni, że odmawiali potem rozmów z innymi dziennikarzami.

Dochodziła druga po południu, ale zasłony w pokoju od frontu ciągle były zaciągnięte. Drżąc z niepokoju, Paddy ruszyła ku domowi szarą żwirowaną ścieżką, biegnącą przez schludnie utrzymany trawnik, i przypomniała sobie rozdzierający krzyk, który słyszała za tym żywopłotem przed czterema dniami. Wiedziała, że znowu rozdrapie rany wdowy, a mimo to szła dalej krok za krokiem po chrzęszczącym żwirze, który roztrącała stopami. Żałowała, że nie jest tak szlachetna jak Dub.

Ścieżka skończyła się, gdy Paddy nie była jeszcze w pełni gotowa wewnętrznie na rozmowę.

Frontowe drzwi domu Thillinglych osłaniał przed deszczem i słońcem niewielki ganek, porośnięty bezlistnym teraz bluszczem, zwieszającym się wokół framugi niczym wyprute żyły. Dzwonek był mosiężny, dwutonowy.

Paddy cofnęła się, obciągnęła płaszcz i szalik i roztrzepała włosy po bokach w nadziei, że wygląda jak wiarygodna żurnalistka, a w każdym razie jak osoba dorosła.

Usłyszała szuranie nóg po dywanie i po chwili otworzyły się drzwi. W niewielkiej szparze stała ładna, ale rozczochrana kobieta z nieznacznie pochyloną głową, jak gdyby spodziewała się uderzenia z góry. Jej tłuste, jasne włosy były nastroszone pośrodku i przyklepane na skroni; widocznie spała na boku.

- Pani jest z firmy ubezpieczeniowej? - Miała wysoki i zdyszany głos dziecka.

- Nie. Przepraszam, że nachodzę panią w tak trudnym dla pani czasie... - Wpatrując się w tę drobną, zrozpaczoną kobietę, Paddy zastanawiała się, co tutaj, do cholery, robi, i pomyślała, jak bardzo boi się Ramage'a.

Kobieta oparła się o framugę, usiłując skupić wzrok na twarzy Paddy.

- Kim pani jest?

- Dziennikarką ze „Scottish Daily News”. Czy mogłabym z panią porozmawiać o Marku?

Pani Thillingly wysunęła język, żeby zlizać łzę, która powoli spłynęła po jej twarzy.

- Wiedziałam, że pani przyjdzie.

- Od kogo?

- Od policjantów. Powiedzieli mi, że będą mnie odwiedzać dziennikarze.

A zatem żaden dziennikarz jeszcze z nią nie rozmawiał.

- Rozumiem. - Paddy skinęła głową, szukając właściwych słów. - Chciałam zadać pani kilka pytań na temat związku Marka z Vhari Burnett.

Rozbudzona nagle pani Thillingly podniosła wyżej wzrok, zachwiała się na nogach i zatrzasnęła gościowi drzwi przed nosem.

Paddy stała bez ruchu, gapiąc się na ich pomalowane na czerwono skrzydła. Gdyby nie była tak zmęczona i miała trochę oleju w głowie, nie popełniłaby tego zupełnie fundamentalnego błędu. Sprawa była poważna, bo Thillingly'ego oskarżono o zamordowanie Vhari, więc mało tego, że ta kobieta za drzwiami została wdową - zniesławiono również pamięć jej męża.

Deszcz zabębnił o ramiona Paddy, która poczuła zimne krople we włosach. Kurwa mać, całe popołudnie zmarnowane, a w dodatku w poniedziałek będzie musiała siedzieć od rana w pracy, żeby odwdziżyć się JT za te karnety...

Wpatrywała się w zmoknięty ogród, zastanawiając się, gdzie znajdzie telefon, żeby zadzwonić po taksówkę i wrócić do domu. Mount Florida leżała daleko od George Square i jeszcze dalej od Eastfield. Mogła spędzić popołudnie w domu, w garażu, napalić w piecyku i trochę poczytać albo coś w tym rodzaju. Byłoby jej ciepło i byłaby sama. Wyobraziła sobie właśnie, że siedzi w ogromnym fotelu i popija herbatę, gdy usłyszała jakby głębokie westchnienie, a zaraz potem sapanie. Pani Thillingly wciąż stała za drzwiami i coraz głośniejsz płakała.

- Bardzo panią przepraszam - zwróciła się Paddy do drzwi. - Przykro mi z powodu śmierci Marka. Wszyscy ludzie, z którymi rozmawiałam, mówią, że on nie mógł skrzywdzić Vhari. Pani Thillingly, słyszy mnie pani?

Po chwili Paddy usłyszała cichy głos.

- Mam na imię Diana. Proszę mi mówić po imieniu. Z kim pani rozmawiała?

- Z ludźmi z Amnesty International, na George Square. Jesteś sama w domu?

Diana pociągnęła głośno nosem. -

Tak.

- A czy nie lepiej, żebyś miała jakieś towarzystwo?

Pani Thillingly znów pociągnęła nosem.

- Nie wiem.

- Proszę... Czy mogę wejść? Mogłybyśmy trochę porozmawiać?

Rozległ się zgrzyt odciąganej zasuwki i po chwili drzwi otworzyły się na czysty korytarz. Buchnęło z niego kontrastujące z zimnem na dworze duszne, ciepłe powietrze, pieszcząc łagodnie twarz Paddy.

Diana odwróciła się i boso ruszyła po wykładzinie w głąb korytarza. Zbudowana jak dziecko, miała szczupłe uda i nogi w kostkach, była w sięgających do pół łydki spodniach i szarym, wiszącym na niej luźno męskim swetrze w serek, z rękawami sięgającymi końców palców. Wyma-

chiwała rękami za plecami, jakby uciekała przed dziewczyną, którą przed chwilą wpuściła do swego domu.

Paddy delikatnie pchnęła drzwi, weszła do środka i zamknęła je. Dom był przegrzany. W powietrzu roilo się od drobnych włókienek i pyłków kurzu, unoszących się z nowych wykładzin i dywanów. Ściany długiego korytarza były wyklejone różową i szarą tapetą z dwoma dobranymi kolorystycznie szlaczkami na wysokości jej ud i głowy, przez co korytarz wydawał się jeszcze węższy. Zamykające go z drugiej strony drzwi prowadziły do kuchni, skąpanej w szarym świetle dnia.

Paddy ruszyła w tę stronę, nasłuchując szlochów i innych odgłosów, świadczących o tym, że Diana jest w kuchni. Usłyszała syk zapalanej zapalniczki i nabrała tak strasznej ochoty na ostrego, drapiącego w gardło papierosa, że aż poczuła ucisk w krtani.

Kuchnia została wybudowana później niż niewielki domek, wzniesiony jeszcze w latach trzydziestych. Była to duża izba, dobudowana na tyłach budynku, więc szafki kuchenne wisiały na ścianie, będącej niegdyś zewnętrzną ścianą domu. Dalej, na tyłach tej kuchennej przybudówki, mieściła się szklana oranżeria o spadzistym dachu, wychodząca na duży ogród i betonowe patio.

Diana siedziała przy stole na środku oranżerii i paliła papierosa, nie zaciągając się jednak. Nieporządek zdawał się świadczyć o tym, że siedzi tu tak już od kilku godzin. Błękitna szklana popielniczka została opróżniona, ale nieumyta, a teraz leżał w niej niestarannie zgaszony papieros, wypalony jedynie do połowy i ciągle jeszcze się tłący. Obok bardzo brudnego, białego kubka z kawą, na którego uchu Diana zaciskała palce, leżała złoto-niebieska paczka rothmansów. Brzegi naczynia szpeciły pozasychane, brunatne zacieki.

Paddy zdjęła płaszcz, położyła go na pustym bufecie i usiadła po drugiej stronie stołu. Diana wypuściła powie-

trze z płuc i nawet mimo papierosowego dymu Paddy poczuła ostry zapach brandy, którą była zaprawiona kawa: pani Thillingly była nawalona jak stodoła po żniwach.

- Właściwie siedzę tutaj przez cały dzień. - Wyciągnęła z paczki nowego papierosa i zapaliła go zapafką. - I patrzę na ogród. Ten dom należał kiedyś do rodziców Marka. Kilka lat temu dostał go w spadku po matce. Dlatego ogród jest tak dobrze utrzymany. Mark nie chciał nic w nim zmieniać.

Paddy wyjrzała na niewielki trawnik, okolony krzewami, ciężkimi od brązowych, okrągłych pąków. Nie знаła się ani w żąb na botanice i nie umiała odróżnić dębu od aspidistry.

- To pewnie ładne kwiaty. Te okrągłe, tam, na tych krzakach. Przypominają bombki choinkowe.

Diana spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Hortensje?

- Czy tak się nazywają? Chyba trzeba o nie bardzo dbać.

- Nie - głos Diany zabrzmiał wojowniczo. - W zasadzie rosną same.

Pani Thillingly dawała do zrozumienia, że Paddy będzie musiała się porządnie napracować, żeby coś z niej wyciągnąć. Nietrudno było zgadnąć, że nikt nie chciałby być zależny od kobiety o takim charakterze.

Paddy wolała nie mówić już byle czego, więc wyciągnęła paczkę dziesięciu papierosów embassy regal i otworzyła ją. Były to fajki dla ubogich: paliły je zwykle kobiety podczas gry w bingo albo na parafialnych potańcówkach. Embassy regal - papierosy dla kobiet nieznających się na kwiatkach. Paddy obrzuciła wzrokiem ładną, drobną kobietę siedzącą naprzeciwko, i ogarnęła ją gwałtowna jak płomień, niczym nieusprawiedliwiona zawiść. Przyglądała się delikatnym rysom Diany i jej zdrowym zębom, i pomyślała, że pierdoli panią Thillingly. Pierdoli ją, jej pierdolony, elegancki dom i jej męża prawnika.

Trzymając w ustach krótkiego, grubego papierosa, wyjęła notes i otworzyła go na czystej stronie, wyciągając ze skórzanej kieszonki małejki ołówek, po czym niemal nieczytelnym pismem stenograficznym napisała na górze „jebane gówno”, podkreślając dwukrotnie ten epitet, żeby Diana zechciała zwrócić uwagę na jej świat, świat samodzielnych kobiet, etatów i specjalnych kwalifikacji, którego język z nich dwóch znała tylko Paddy.

- No dobrze - powiedziała, trzymając ołówek w gębie. - Masz dzieci?

Był to strzał w dziesiątkę. Diana smutno potrząsnęła głową, a kiedy podnosiła papierosa do ust, zadrżała jej ręka.

- Mark pracował w Easterhouse Law Centre?

- Owszem. Jesteśmy zamożni. Mógł sobie na to pozwolić.

- Więc centrum porad prawnych to nie jest maszynka do robienia pieniędzy?

- A gdzie tam! - parsknęła Diana. - Za porady w centrum dostaje się grosze w porównaniu z prywatną praktyką. - Podniosła ręce, jakby dochodząc do wymęczonej konkluzji jakiegoś skomplikowanego rozumowania. - Ale tego chciał Mark: pomagać ludziom. Czy już rozumiesz, jakim był człowiekiem? Czasami wracał do domu wieczorem i płakał, wiesz? Płakał rzewnymi łzami, opowiadając mi o ludziach, których poznał w pracy. Opowiadając mi o ich ubóstwie. O ubóstwie ich życia. To było straszne.

Paddy wyobraziła sobie, jak siedzą wieczorem w swojej oranżerii, popijają francuskie wino, palą drogie fajki, wyglądają na ogromny ogród, który Mark odziedziczył po matce, i pławią się w żalu nad uboższymi od nich. W tym momencie, na myśl o swoich braciach, ojcu oraz tych taniach ochłapach, które jej matka garniowała cebulą i marchewką, Paddy omal nie przechyliła się przez stół, żeby spoliczkować Dianę Thillingly.

- Czy Mark spotykał się jeszcze z Vhari Burnett?
Twarz Diany poszarzała. Sięgnęła po leżącego w popielniczkę papierosa i zaciągnęła się.

Paddy przerwała ciszę.

- Przepraszam, jeżeli sprawiłam ci przykrość tym pytaniem.

- Między Vhari i Markiem nie było żadnej złej krwi. - Diana przyssała się mocno do papierosa. - Rozstali się i tyle. Spotykaliśmy się później we troje na różnych imprezach. Wydawało mi się, że się z tym pogodziła. O ile wiem, nie miała potem żadnego faceta, choć przeboleła już Marka. Właściwie zostali dobrymi przyjaciółmi. - Posłała dziewczynie niepewny uśmiech, kończąc ostatnie zdanie na pogodnej nucie i niestarannie gasząc wypalonego do połowy papierosa, który wciąż się dymił. - Nie zabiłby jej ot tak, ni z tego, ni z owego.

Paddy pomyślała o Seanie i o tym, że nadal uważa go za swojego chłopaka. Może Vhari traktowała Marka w ten sam sposób?

- Ale Mark zginął następnego dnia po Vhari, prawda? Na pewno usłyszał o jej zabójstwie przez radio. Jak za reagował na tę wiadomość?

Diana potrząsnęła głową i rozejrzała się, chyba w poszukiwaniu czegoś na stole.

- Nie wiem.

Odetchnęła głęboko, by nie wybuchnąć płaczem, ale bezskutecznie, bo w jej piersi wzbierał konwulsyjny szloch. Twarz pani Thillingiy wykrzywił grymas, a usta rozciągnęły się szeroko, kiedy przymknęła oczy pełne łez.

- Czy pracowali może kiedyś razem nad jakąś sprawą? Na przykład przygotowywali wspólnie akt oskarżenia?

Diana potrząsnęła głową.

- Nie mogę... - Urwała, ze świstem nabrała powietrza do płuc i zaczęła raz jeszcze. - Nie mogę... - Siedziała, pła-

cząc, przy stole, rozluźniona po alkoholu, ale **skrepowana** przeraźliwym bólem po stracie męża.

Paddy znowu sięgnęła po paczkę regalsów.

- Uspokój się. Zrobić ci jeszcze kawy?

Pani Thillingly skinęła głową, bo wciąż **nie mogła** mówić.

- Wolałabym... Nie, dziękuję.

Paddy zapaliła dwa papierosy i podała jej jednego. Były krótkie, więc trzymające je palce również wyglądały na krótkie i grube. Diana wzięła papierosa, pochylając głowę i ocierając oczy wnętrzem dłoni.

- Myślę, że powinnam nalać ci łyk brandy - oświadczyła Paddy, wstając. - Odrobina alkoholu dobrze by ci zrobiła.

Diana rozejrzała się po pokoju, udając zdezorientowanie, jakby nie mogła pojąć, że coś takiego jak brandy w ogóle istnieje.

- Ojej, może... Może znajdziesz coś w tej szafce pod zlewem. Tak mi się wydaje. Pamiętam, że Mark trzymał tam butelkę. Chyba tak.

Fłaszka była wilgotna, bo Diana opłukała ją wcześniej pod kranem, a na półeczce w szafce uformowała się mokra lepka aureola.

Paddy wzięła szklankę z suszarki do naczyń, hojnie nalała do niej co najmniej setkę brandy, po czym usiadła znów naprzeciwko Diany.

- Posłuchaj... Nie chcę, żebyś zaczęła się awanturować. Znam się trochę na tych sprawach i wiem, że kropla alkoholu trochę cię uspokoi.

Diana popijała brandy, jak gdyby próbowała tego napoju po raz pierwszy w życiu.

- A ty się nie napijesz?

- Ach, wiesz, ja mało piję. A poza tym dzisiaj wieczorem zabieram mamę do miasta. Byłaby wkurzona, gdybym przyjechała po nią na cyku.

- Dokąd się wybieracie?

- Na występ Świętego Objazdowego Teatru Księżowskiego. Przy ich przedstawieniach szkolne inscenizacje szopek bożonarodzeniowych to arcydzieła.

- Nigdy nie słyszałam o takim teatrze. To katolicki zespół?

- Tak. Pochodzę z katolickiej rodziny, ale sama jestem niewierząca. - Paddy konfidencjonalnie pochyliła się ku niej nad stołem. - Tylko nie mów o tym mojej mamie.

Widziała, że teraz bardziej przypadła Dianie do gustu, ze względu na ten katolicyzm i brandy. Pani Thillingly uśmiechnęła się słabo i podniosła szklanke.

- Na zdrowie.

W odpowiedzi Paddy również podniosła wyimaginowanego drinka.

- Na zdrowie.

Wskutek bezprawnych aresztowań i tortur, stosowanych wobec podejrzanych przez brytyjskie siły specjalne w Irlandii Północnej, wszyscy katolicy zaczęli uchodzić w Wielkiej Brytanii za uciemżoną mniejszość. Paddy nigdy dotąd nie spotkała się z żadnymi przejawami stronniczości wobec siebie, nie licząc przychylnych spojrzeń mających jak najlepsze intencje liberałów, ale mimo to cieszyła się, że uważano ją powszechnie za osobę należącą do prześladowanej grupy religijnej. Czasami wyjawiała, że jest katoliczką, by zyskać przychylność rozmówcy, jak teraz Diany.

Pałyły przez jakiś czas, patrząc, jak światło słoneczne i kolory w ogrodzie powoli blakną, przybierając sto różnych odcieni szarości.

Kiedy Diana wreszcie się odezwała, sprawiała wrażenie trzeźwej. Mówiła cicho, zwracając się do popielniczki i nieustannie trąc papierosem o szklanke.

- Vhari Burnett od pewnego czasu nie pokazywała się publicznie. O ile wiem, znalazła zatrudnienie w urzędzie

skarbowym. Ona i Mark nie współpracowali na niwie zawodowej. Tamtej nocy, kiedy została zamordowana, Mark wrócił do domu później niż zwykle, około ósmej wieczorem. Był bardzo zdenerwowany. Miał spuchnięty i zakrwawiony nos, jakby ktoś go uderzył.

- O ósmej wieczorem? Tego dnia, kiedy zginęła? Czyli jeszcze zanim została zamordowana?

- Tak. Słyszałam w telewizji, że Vhari rozmawiała z policją około wpół do drugiej w nocy. Ale Mark tego wieczora wrócił do domu o ósmej.

- I potem nigdzie już nie wychodził?

- Nie, ale to była dziwna noc.

Paddy podejrzewała, że istnieje jakiś związek między rozbitym nosem Marka a jego śmiercią, nie domyślała się jednak, że do tego wypadku doszło na tak długo przed jego samobójstwem.

- Powiedziałaś, że był zdenerwowany...

- Owszem. Bardzo. - Diana wpatrywała się w stół, łagodnie i rytmicznie kiwając głową, żeby się uspokoić. - Tamtej nocy padało. Kiedy Mark wrócił, miał opuchnięty i zakrwawiony nos. Najwidoczniej upadł, bo jego wełniany płaszcz był z boku cały mokry.

Paddy przypomniała sobie zimny deszcz, wilgoć przed drzwiami domu Vhari i niechęć, z jaką sama wysiadała wtedy z wozu reporterskiego. Diana dotknęła grzbietu swojego nosa, jakby w geście współczucia.

- Mark nie należał do osób zbyt sprawnych fizycznie i nie był twardzielem. Nie lubił przemocy.

- Powiedział ci, co się stało?

- Spóźnił się, ale to mu się czasami zdarzało, więc się nie martwiłam. W końcu była dopiero ósma. Wszedł do domu i powiedział, że został napadnięty i obrabowany na parkingu przed swoim biurem. Nie chciał zawiadomić policji ani pojechać na pogotowie. Twierdził, że zaatakował

go klient, ktoś, kogo **znał, i że nie chce, żeby ten ktoś miał kłopoty.**

- Uwierzyłaś mu?

- Nie uwierzyłam w ani jedno jego słowo. Odpuszczanie komukolwiek w takich sprawach nie było w stylu Marka. Uważał, że jeśli ktoś jest winny, powinien ponieść karę. Nie zajmował się jednak prawem karnym, tylko cywilnym, na przykład skargami pracowników na pracodawców, bezprawnymi zwolnieniami z pracy i temu podobnymi sprawami. Kiedy powiedział, że nie zamierza dzwonić na policję, od razu wiedziałam, że kłamie. Przejrzałam jego portfel, gdy brał prysznic, i okazało się, że są w nim pieniądze, więc nabrałam pewności, że nie powiedział mi prawdy. Błagałam go, żeby zadzwonił na policję, ale on nie chciał.

Paddy widziała tę scenę oczami wyobraźni: cuchnąca papierosami Diana była podchmielona po kilku kieliszkach wina i wściekła w duchu na Marka, że się spóźnił - wściekła tą nieprzejednaną wściekłością inteligentnych kobiet, które całymi dniami siedzą samotnie w domu, przekładają różne rzeczy z miejsca na miejsce, wycierają kurze i przygotowują posiłki dla swoich partnerów, choć oni jedzą kanapki w drodze powrotnej do domu.

- Obawiam się, że trochę się wkurzyłam. - Oczy Diany znów wezbrały łzami. - W końcu położyłam się spać, ale kiedy Mark myślał, że jestem w kiblu, usłyszałam charakterystyczny szmer naszego drugiego aparatu w sypialni i domyśliłam się, że gdzieś telefonuje. Sądził, że go nie słyszę. - Znowu przybrała minę winowajczyni. - Podśluchiwałam tylko dlatego, że miałam nadzieję, że może zmienił zdanie i dzwoni na policję.

- Dzięki Bogu, że podśluchiwałam.

- Nie wiem, z kim rozmawiał. Zapytał, z kim ma przyjemność, gdzie jest Vhari i czy mogłaby podejść do

telefonu. Zeszłam potem na dół i spytałam, z kim rozmawiał, ale Mark upierał się, że nigdzie nie dzwonił. Vhari niedawno się przeprowadziła, wiesz... Umarł jej dziadek i zostawił jej ten idiotyczny, olbrzymi dom. Mark wiedział, gdzie to jest, bywał tam z nią jeszcze jako dziecko. - Pani Thillingly zgarbiła się nad szklanką. - Nie chciał pójść ze mną do łóżka. Oglądał *Late Cali* w telewizji i pił.

Jej głos cichł, w miarę jak zagłębiała się we wspomnienia tej nocy.

- Następnego ranka wyszedł, zanim się obudziłam. Wy daje mi się, że spał na kanapie i pojechał prosto do pracy. Włączyłam radio dopiero w porze lunchu, a wtedy mówili już o tym we wszystkich wiadomościach: Vhari Burnett została zamordowana. Zadzwoiłam do centrum porad prawnych, ale Marka nie było. Nie wrócił już do domu.

- Sądysz, że naprawdę popełnił samobójstwo?

Diana dopiła brandy, opróżniając szklankę, i umilkła na chwilę, by z trudem złapać oddech. Paddy zastanawiała się, czy nie zaproponować jej więcej alkoholu, ale mogłoby to oznaczać, że uważa, że Diana może wypić więcej niż jednego drinka. Zmusiła się, żeby siedzieć nieruchomo, i w duchu błagała swoją rozmówczynię, by ciągnęła dalej.

- Tak. - Pani Thillingly co chwila strzepywała po pióło z papierosa. Wahala się. - Mark był niezadowolony z życia. Niezadowolony z siebie, wiesz... Miał skłonności do depresji. Zawsze powtarzał, że jeśli się kiedyś zabije, to rzuci się do rzeki z tego mostu. To było jego ulubione miejsce w całym mieście. W dzieciństwie chodził na spacer nad rzekę ze swoim ojcem, który miał w tych okolicach biuro. Przypuszczam, że wtedy na parkingu stało się coś, z czym nie mógł sobie poradzić, więc następnej nocy skoczył do wody. Staralam się, żeby był szczęśliwy. - Diana podniosła wzrok. - Nie piję... Znaczący wiesz, co dziennie.

- Podobno zostawił w samochodzie list?
- Tak - odparła cicho, obracając szklanę w dłoni. - Napisał, że jest mu przykro, ale że nie ma już sił... No wiesz, że już tak dłużej nie może. Że jest mu przykro, że zawiódł mnie i Vhari, i inne takie depresyjne głupstwa bez znaczenia. W każdym razie z listu na pewno nie wynikało, że ją zabił.

- Ale wspominał o Vhari?

Diana skinęła głową z żalną miną.

- Dlatego podejrzewają, że ją zamordował.

- A co dokładnie napisał na jej temat?

- Że jest mu przykro, że ją zawiódł. To wszystko. - Wzruszyła ramionami. - Zresztą wymienił najpierw ją, a dopiero potem mnie. Jak gdyby to ona bardziej się dla niego liczyła.

Paddy siedziała z panią Thillingly, walcując w pamięci w kółko te same fakty: rozbity nos Marka, napad na parkingu i telefon do tego kogoś, kto był wtedy z Vhari. Czekala na odpowiedni moment, aby już wyjść, chociaż wiedziała, że pozostawi Dianę na pastwę samotnego smutku pijackiej nocy.

Kiedy wstała, na zewnątrz było już ciemno, a jedynym źródłem światła w kuchni pozostał pulsujący, szkarłatny żar papierosa Diany. Paddy chciała powiedzieć coś miłego, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

- Masz może jakąś fotografię Marka, którą mogłabym wykorzystać w gazecie?

Diana ocknęła się z drzeniem.

- Oczywiście. Oczywiście, że tak. - Wyszła do przedpo koju, poruszając się pewnie mimo gęstego mroku, po czym wróciła z dużym orzechowym pudłem po cygarach. Kiedy je otworzyła, okazało się, że są w nim zdjęcia. - To jest ładne. - Podała Paddy maturalną fotografię Marka, szczupłego i uśmiechniętego w letnich promieniach słońca. Nie przypominał siebie na tym zdjęciu, którego w żadnym

wypadku nie można było wykorzystać w charakterze ilustracji do tekstu o zmarłym tragicznie prawniku, dobiegającym czterdziestki.

- Fajna fotka - powiedziała Paddy, zdecydowanym ruchem oddając ją Dianie, by dać jej do zrozumienia, że ta fotografia na pewno się nie nadaje.

Pani Thillingly wyciągnęła z pudła kolejne zdjęcie, przedstawiające Marka w szkockiej spódniczce na jakimś weselu. Stał z zakłopotaną miną z dala od trojga rozradowanych przyjaciół - wyglądał na zagubionego i wyalienowanego. Tak, ta fotografia byłaby idealnym uzupełnieniem informacji o jego samobójczej śmierci.

Paddy wstała, pod pretekstem schowania zdjęcia do kieszeni płaszcza. Diana patrzyła, jak dziewczyna wkłada płaszczyk, a potem przeniosła wzrok na ogród.

Paddy stanęła przy niej w nadziei, że pani Thillingly pozwoli jej już odejść.

- Bardzo mi przykro - powiedziała. - Przykro mi, że spotkały cię te wszystkie nieszczęścia.

Mówiła szczerze - było jej żal Diany - ale zorientowała się, skonsternowana, że jej słowa można było zinterpretować zupełnie inaczej.

2

Kate obudziła się spłoszona, uderzając grzbietem dłoni o kierownicę mini coopera. Jej lewa ręka płonęła żywym ogniem. Rozmasowała sobie ramię w nadziei, że ból minie, ale zastąpiło go mrowienie. Dopiero kiedy się uspokoiła i podniosła wzrok, zdała sobie sprawę, że cały czas siedziała w samochodzie, zaparkowanym przed domem rodziców, którzy w każdej chwili mogli wyjść i znaleźć ją tu, śpiącą za kierownicą. Wolałaby zobaczyć Lafferty'ego i tego umarlaka niż swoją matkę.

Uruchomiła silnik i odjechała, ostrożnie zwalniając przed skrzyżowaniem, żeby pozwolić grubej dziewczynie w zielonym płaszczu przejść przez ulicę. Dopiero potem ruszyła w stronę warsztatu Berniego, odpowiadając na cichy zew swojej paczki-pocieszycielki.

Rozdział dziewiętnasty

Święty Objazdowy Teatr Księżowski

1

Za szybą wagonu panowała czarna noc. Paddy codziennie jeździła tą trasą do pracy, ale miała wrażenie, że robi to po raz pierwszy, bo tego dnia podróżowała z Trishą.

Siedziała naprzeciw matki w cichym pociągu podmiejskim i zastanawiała się, kto odebrał telefon u Vhari Burnett, kiedy zadzwonił do niej Mark Thillingly. Może Lafferty albo ten przystojniak, który stał potem w drzwiach? Dlaczego Thillingly w ogóle zatelefonował do Vhari i czemu nie chciał się do tego przyznać Dianie? Nie wyglądało na to, żeby miał romans z panią Burnett - raczej na to, że dzwonił, żeby ostrzec swoją byłą narzeczoną, opowiedzieć jej, co przydarzyło mu się na parkingu, i skłonić ją do ucieczki. Rozmyślając nad związkiem pani Burnett i Thillingly'ego, Paddy przypomniała sobie swój gorący oddech, osadzający się wilgocią na szyi Burnsa, i szybko odwróciła wzrok od matki.

Trisha zauważyła, że Paddy marszczy brwi i wierci się niespokojnie, i posłała jej uśmiech, pochylając się, żeby poklepać córkę po kolanie. Paddy w odpowiedzi uśmiechnęła się w zadumie. Jej matka wszędzie wyglądała na zagubioną, poza domem, kościołem albo Main Street w Rutherglen. Ubranie Trishy sprawiało wrażenie

lekką wyświechtanego. Miała na sobie sztywny beżowy płaszcz przeciwdeszczowy - Paddy widziała na rękawie rozmazaną plamę, którą mama bezskutecznie próbowała usunąć. Widziała też jej opuchnięte kostki, osłonięte grubymi rajtuzami, i małe, czarne, nieciekawe buciki, w których wyglądała na kobietę starą i zmęczoną.

Trisha doskonale zdawała sobie sprawę, że przekracza granicę swojego terytorium. Kiedy obserwowała skąpany w promieniach księżyca pejzaż za oknem, w jej oczach zapalały się iskierki niepokojących myśli, które natychmiast maskowała przymknięciem powiek i przeniesieniem wzroku na torebkę. Paddy odgadła, o czym myśli matka: że ma w torebce pieniądze na powrotny bilet autobusowy. Bez względu na to, co się stanie, zawsze będzie mogła wrócić do domu. Córnka, choć taka młoda, już znała szeroki świat daleko lepiej od niej.

- Mają tu wagon restauracyjny - powiedziała Paddy.

- Nie gadaj głupstw. - Trisha zmarszczyła brwi i rzuciła pytające spojrzenie na korytarz. - Przecież ten pociąg jedzie tylko do miasta. Nie prowadzi wagonu restauracyjnego.

- Czyżby? - Paddy sięgnęła do kieszeni, z której wyciągnęła wymiętą białą papierową torebkę. - A jak myślisz, skąd to mam? - Rozchyliła papier i podała mamie jej ulubione cukierki.

Trisha uśmiechnęła się, zaglądając do środka.

- Cytrynowe landrynki.

Złocisty połysk cukierków oświetlił jej podbródek niczym jaskier.

- Cytrynowe landrynki... - Dziewczyna zrewanżowała się matce uśmiechem.

Trisha częstowała ją kilka razy, ale Paddy z uporem odpowiadała, że jest na diecie, a poza tym nie są to jej ulubione słodczyce - kupiła je dla Trishy. Nietrudno było

jej się oprzeć **pokusie, bo po porannej uczcie wciąż jeszcze** bolały ją zęby.

Kiedy wyszły z podziemnego peronu na Argyle Street, ciągle było ciemno. Mokra ulica połyskiwała kroplami niedawno spadłego deszczu, którego udało im się uniknąć podczas jazdy. Sprzedawca „Evening Timesa” rozstawił swój wózek pod markizą sklepu po drugiej stronie i Paddy mimochodem zerknęła na nagłówek - dotyczył piłki nożnej. Potem podszedł do nich z wyciągniętą ręką jakiś obdartus w zroszonym deszczem wełnianym płaszczu; w jego wzroku było widać desperację alkoholika. Na widok intruza Trisha chwyciła córkę za rękę i nerwowo odciągnęła ją na bok.

W czasie drogi przez miasto pochylała głowę coraz niżej, a Paddy czuła, jak przez mięśnie jej ramienia co chwila przebiegają fale strachu. Chciała, żeby Trisha zabawiła się tego wieczoru, a nie, żeby się bała, ale na widok każdego kolorowo ubranego przechodnia matka przysuwała się do Paddy, ciągnęła ją za rękaw albo szła chwiejnym krokiem bliżej krawężnika, żeby pozostać w kręgu światła latarni. Za każdym razem niewiele brakowało, żeby wyciągnęła rękę i zatrzymała autobus, by wrócić do domu.

Przed City Halls zbierały się już tłumy. Paddy i Trisha przecisnęły się przez wesołą, rozgadaną cizbę i wpadły przy drzwiach na Mary O'Donnagh. Była to najwyższa rangą baba kruchciana w St Columkille's, jedna z wielu kobiet pracujących nieodpłatnie na rzecz kościoła. Ich pozycja w hierarchii, którą zresztą same wyznaczały, zależała od zażyłości z księżmi. Rzadko widziało się panią O'Donnagh bez fartucha, dziś jednak była w niebieskich marynarskich spodniach i miała trwałą, przypominającą włochatą aureolę.

-Ach, Mary, jaka śliczna fryzura! - powiedziała uprzejmie Trisha.

Mary dotknęła swojej głowy i uśmiechnęła się nieśmiało.

- Czesłała mnie nasza Teresa. Też musisz do niej pójść. Jest fantastyczna.

- Pójdę, pójdę, oczywiście, że pójdę - odpowiedziała Trisha tak stanowczo, że nawet Mary odgadła, że nie pójdzie.

Paddy zauważyła, że matka się uspokaja, kiedy zaczęły torować sobie drogę w tłumie płci pięknej. Towarzyszących paniom mężczyznom było niewiele, poza tym nie brali raczej udziału w rozmowach, tylko trzymali płaszcze swoich żon, czekając na nie cierpliwie.

Znalazły swoje miejsca na balkonie. Gdy Paddy usiadła i spoglądała w stronę sceny, stwierdziła, że fotele na parterze zalewa morze kobiet, przypominających do złudzenia jej matkę. Pod płaszcami, które kładły na siedzeniach, miały nylonowe bluzki w pastelowych kolorach. Na scenie stała już perkusja, stół, na którym leżały rekwizyty, i dwie gitary na specjalnych stojakach. Wyżej umocowano obwisły baner z brązowym napisem na białym tle - „Święty Objazdowy Teatr Księżowski”.

Trisha pochyliła się do przodu i rozgorączkowana obserwowała tłum w dole. Co chwila zauważała taką czy inną znajomą i wskazywała ją Paddy, dodając kilka słów na temat tragedii rodzinnej każdej z nich. To Mary O’Leery - jej syn ma stwardnienie rozsiane. To Katherine Bonner - jej mąż zmarł na wylew krwi do mózgu, a brat wpadł pod pociąg. Tam siedzi Pauline Trainer - jej rodzice zmarli na gripę w odstępie dwóch dni, a ona w szkole kulała i miała brata chorego na gruźlicę. Innym dziewczynom nie wolno jej było dotykać, żeby się nie zaraziły.

Światła przygasły i zabrzmiało nagranie *The Planets* Holsta. Podekscytowana publiczność szemrała, rozsiewając się w fotelach i od czasu do czasu wybuchając śmiechem. Potem na scenę wkroczyły cienie czterech

wykonawców, rozbłysły światła i rozległy się rześiste brawa.

Na scenie stało czterech pospolicie wyglądających facetów w różnym wieku, przyciskających do piersi instrumenty. Wszyscy mieli koloratki, swetry i czarne spodnie nieokreślonego fasonu. Mężczyzna stojący na przedzie podniósł ręce i pomachał widzom na powitanie. Rozległy się okrzyki aprobaty, a potem zespół zagrał *When Irish Eyes Are Smiling*, przechodząc szybko w *A Mother's Loue Blessing*. Paddy musiała przyznać, że chłopcy wiedzieli, jak rozgrzać swoją publiczność.

Wieczór jednak dłużył się jej strasznie, bo potem księżowska kapela rozdzieliła się i na scenę wrócił już tylko jeden z jej członków, żeby kiepsko wykonać jakiś marny monolog i opowiedzieć cokolwiek niesmaczny kawał o dziecku, które urodziło się „drugą stroną”. Publiczność śmiała się jednak, bo skoro facet był księdzem, jego dowcip musiał być w porządku. Ilekroć artysta wymieniał nazwę Irlandii albo wspominał o kulturze irlandzkiej, wokoło rozbrzmiewał spontaniczny aplauz, a po całej sali przetaczały się brawa, jak gdyby ojczyzna widzów leżała o tysiąc mil dalej, po drugiej stronie pustyni, nie zaś o czterdzieści pięć minut podróży promem. Następnie na scenę wszedł jakiś chudy ksiądz, który nie grał z zespołem. Nieudolnie sparodiował Elvisa Presleya i wrócił za kulisy przy akompaniamencie frenetycznych braw.

Na sali było ciepło - bijące od publiczności z dołu gorąco sięgało balkonu i Paddy poczuła się śpiąca. Jej myśli błądziły leniwie wokół wyciąganego z wody trupa Thillingly'ego i wyciekającej z niego czarnej rzeki, spływającej w dół klifu, podczas gdy on leżał bez życia w zimnej trawie... Myślała także o żonatym Burnsie i o tym drugim policjancie, który też żartował z nieboszczyka zaledwie kilka godzin po tym, jak jego dusza opuściła ciało... A potem wyobraziła sobie najeżony kamieniami

i patykami brzeg rzeki, w której Mark rozharatał sobie twarz.

Przysnęła w tej ciepłej ciemności, rozkoszując się bliskością innych kobiet i chociaż raz zadowolonej z życia Trishy, siedzącej u jej boku. Obudziła się, kiedy rozbłyśły światła, sygnalizując antrakt, a Trisha zaczęła szeleścić w torebce w poszukiwaniu cukierków. Paddy nagle nabrała pewności, że Thillingly nie zabił Vhari Burnett i nawet nie był w jej domu tamtej nocy, kiedy została zamordowana. Popęlił samobójstwo ze względu na to, co stało się na parkingu, z powodu jakiegoś upokorzenia albo drobnej utarczki, związanej w taki czy inny sposób z Vhari. Dla wypoczętego umysłu był to wniosek oczywisty, a jeśli był on bezdyskusyjny dla Paddy, to zapewne doszli do niego również wszyscy pozostali zainteresowani. To dlatego Sullivan działał bez wiedzy swoich przełożonych. Dlatego poprosił, żeby się z nim spotkała w tej ciemnej uliczce przed kostnicą. Ktoś bardzo się starał skierować śledztwo w sprawie morderstwa Vhari Burnett na inne tory i osłaniał przystojniaka w szelkach, którego Paddy widziała na progu domu ofiary. Dzięki tej sprawie będzie mogła zrezygnować wreszcie z nocnych dyżurów - i dzięki tekstowi, który napisze w końcu dla Ramage'a.

W foyer też zapaliły się światła i stadko zdesperowanych pań o słabych pęcherzach popędziło natychmiast do toalety, większość widzów została jednak na miejscach, oszczędzając swoim zmęczonym nogom powrotnej wspinaczki po schodach. Sądząc po opiniach, dobiegających z foteli z przodu i z tyłu, było to dobre, wręcz bardzo dobre przedstawienie. Naprawdę bardzo dobre. Jeszcze lepsze niż ubiegłoroczne.

Trishassała ostatnią landrynkę, zaglądając ze smutkiem do pustej torebki.

- Nie masz jeszcze paru cukierków na przerwę, co?

Paddy odpowiedziała z udanym oburzeniem:

- Czy ty nigdy niczego nie masz dosyć, kobieto?

Chichotały obie, dopóki światła znowu nie przygasły, kiedy zaczęła się druga część przedstawienia - od występu księdza w ciemnych okularach, śpiewającego wiankę piosenek Roya Orbisona.

W drodze powrotnej na dworzec, gdy szły razem ciemnymi ulicami, trzymając się blisko pozostałych kobiet wracających do domu, do Rutherglen, Paddy znalazła w kieszeni kserokopię zdjęcia z pogrzebu Vhari Burnett i pogładziła je palcem, pragnąc odłączyć się od płochliwego tłumu. W Eastfield Star Caroline z zaszępioną miną ogląda pewnie telewizję, chłopcy wyszli do miasta, a Mary Ann chyba modli się na górze albo czyta jakąś umoralniającą książkę, bo z telewizji już dawno zrezygnowała. Nikt nie pozmywał naczyń po podwieczorku, więc Trisha włoży fartuch i zacznie sprzątać, gdy tylko wejdą do domu.

Paddy słyszała zew Glasgow i chciała już iść do pracy, zastanawiając się, co miasto ma jej dzisiaj do zaoferowania.

Rozdział dwudziesty

Krwawa niedziela

1

Zmarnowała pół godziny, szukając adresu Easterhouse Law Centre w przewodniku „Glasgow od A do Z”. Zamknęła go, rzuciła książkę na podłogę obok fotela i wsparła obie dłonie na stole, niczym usiłujące wywołać ducha medium.

Powinna była myśleć o Patricku Meehanie i o swojej książce, zapamiętać kolejne kartki paplaniną o prawdziwych zbrodniach, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

Meehan pochodził z ubogiej rodziny irlandzkich imigrantów i wychowywał się w Gorbals w czasach „królów brzytw”, gdy bandy młodych ludzi umawiały się na bitwy, toczone na wąskich ulicach w centrum miasta przy użyciu brzytw o zaostrzonych czubkach. Patrick został skazany na poprawczak (za złamanie gałęzi drzewa w parku), gdzie wyuczył się przestępczego rzemiosła. Tak zwani Petermeni, do których należał, byli wysoko wykwalifikowanymi profesjonalistami, kasiarzami-dżentelmenami, którzy umieli podgrzać nitroglicerynę na patelni, zachować całkowity spokój podczas włamania i usłyszeć pojedynczy, daleki trzask zapadki zamka w każdym sejfie. Cieszyli się powszechnym szacunkiem. Meehan uciekł z więzienia w Nottingham podczas odsiadki za jakiś włam i wyjechał do NRD, przekraczając granicę na skradzionym rowerze.

Jak twierdził, zamierzał sprzedać komunistom plany brytyjskich więzień za namową agenta, a zarazem prowokatora MI 5. Komuniści przesłuchiwali go przez półtora roku, po czym przekazali w ręce brytyjskiego wywiadu, żeby odsiedział wyrok do końca w ojczyźnie. Rozgoryczony i bez grosza przy duszy, Patrick udzielił wtedy wywiadu dużej gazecie codziennej. Utrzymywał między innymi, że przygotował plan uwolnienia szpiega George'a Blake'a. Podobno poinformował o tym MI5, ale służby specjalne nic nie zrobiły w tej sprawie, co jego zdaniem dowodziło, że działały na dwie strony. Zaledwie pół roku później, po opublikowaniu tej rozmowy, Meehan został oskarżony o brutalne zamordowanie pewnej staruszki w Ayr. Wszyscy mieszkańcy Glasgow wiedzieli, że jest niewinny, a prawdziwy morderca usiłował sprzedać swoje wyznania gazecie „Sunday Express” zaledwie kilka dni po wydaniu wyroku skazującego na Meehana. Patrick był rzemieślnikiem. Przestępcą, ale rzemieślnikiem, nie bandytą.

Jego historia prześladowała Paddy od dzieciństwa. Zrządzeniem losu nosiła to samo nazwisko co on, słuchała więc wszystkiego, co mówiono o nim w radiu, bardzo wczesnie zaczęła czytać gazety i przyjmowała na siebie jego winy za każdym razem, kiedy sąd odrzucał kolejną apelację skazańca. Potem pewien dziennikarz napisał książkę o błędach popełnionych w śledztwie, i proces został wznowiony. W końcu po w sumie siedmiu latach więzienia Meehan został ułaskawiony przez królową (choć nie popełnił zbrodni, o którą go oskarżono) i wyszedł na wolność. Dla Paddy stał się symbolem prześladowań katolików, ślepej hipokryzji brytyjskiego sądownictwa i potwierdzeniem wartości czwartej władzy.

Znała biografię Patricka na wrywki, a było w niej wszystko, co trzeba: egzotyczne pejzaże, machinacje służb specjalnych, strzelanina w Glasgow, wierna żona i zaszczyty bohatera, który jednak ostatecznie zwycięża.

Gryząc koniuszek długopisu i wpatrując się uporczywie w leżącą przed nią pustą kartkę, poczuła, że chęć pisania o Patricku Meehanie zaczyna ją opuszczać. Podjęła ten pomysł tylko dlatego, że wydawało się jej, że łatwo będzie go zrealizować.

Sięgnęła na podłogę z drugiej strony fotela i podniosła z niej notes oraz wycinki prasowe na temat Vhari Burnett.

Zielony piecyk roztaczał wokół ciepły blask, kiedy wróciła na fotel, bazgrząc coś na marginesie kartki i wsłuchując się w drapanie grafitu o papier. Vhari wycofała się spod drzwi do pokoju, kiedy wyrwano jej co najmniej jeden albo kilka zębów. Musiała już wtedy wiedzieć, że ci ludzie są na tyle bezwzględni, że mogą pozbawić ją życia, a jednak zeszała z oczu Paddy i wróciła do środka. Dziewczynie nie przychodził do głowy żaden powód, który mógłby skłonić panią prokurator do dobrowolnego męczeństwa. Na pewno nie chodziło o pieniądze, bo Vhari nie dbała o forszę. Prawdopodobnie jej zabójstwo nie miało też nic wspólnego z żadną prowadzoną przez nią sprawą karną. A jednak o cokolwiek szło, było to dla niej coś na tyle ważnego, że zrezygnowała z jedynej szansy ucieczki.

Paddy znowu spojrzała na pustą kartkę i spróbowała wyobrazić sobie Patricka Meehana, na przykład spotykającego się z Bertą, przesłuchiwanego i stającego przed sądem, ale widziała tylko ospowatego mężczyznę, który siedzi przy stole, spogląda na nią z nadzieją i czeka z niecierpliwością na otwierający partię gambit z jej strony. I tym razem nie wpadła jednak na żaden pomysł.

Musi coś zrobić, jeżeli naprawdę chce cokolwiek napisać. A jedynym człowiekiem, który może jej w tym pomóc, jest McVie.

2

Z powodów głębokich niczym krater wulkanu Szkocja w niedzielę zawsze pograża się w żalobie. W ten dzień otwarte są tylko kościoły, puby i kioski, i nawet program telewizyjny jest do niczego. Około piątej w większej części miasta wszystko jest już pozamykane na cztery spusty, a po ulicach hula jedynie wiatr. Samochody poruszają się wolno, jakby bojąc się rozpruć ciężkie powietrze.

Mieszkanie, którego adres podał jej McVie, znajdowało się w apartamentowcu w zaułku, gdzie rozlokowały się kiedyś stare hurtownie, które po zaadaptowaniu na lokale mieszkalne sprzedawano głównie japiszonom. Uliczka, przy której mieszkał McVie, była wąska, a stojące po jej obu stronach wysokie budynki zasłaniały i tak słabe tu światło. Na rogu mieścił się pub: niechlujny, robotniczy bar, pozostałość po czasach, kiedy w tej okolicy ludzie mieli pracę i cel w życiu.

Paddy minęła kałużę światła przed pubem i zakarbowała sobie w pamięci, że będzie mogła się tu schronić, gdyby ktoś nagle rzucił się na nią w ciemności.

Wejście do domu McViego stanowiły wspaniałe podwójne drzwi, osadzone w łukowatej framudze z białozielonej glazurowanej cegły, której przepych ginął jednak w tym ciasnym zaułku. Obok cichutko szumiał nieskazitelnie czysty panel domofonu. Paddy wcisnęła guzik z napisem „McVie” i czekała.

-Tak?

Był to głos mężczyzny, ale Anglika, i to chyba młodego.

- Ha... Halo? - zająknęła się. - Szukam George'a McVie.

Mężczyzna milczał przez chwilę.

- Kim pani jest?

- Nazywam się Paddy Meehan. Jestem jego koleżanką z pracy.

Nieznamy zapytał kogoś o **coś, po czym znowu podszedł** do domofonu.

- Proszę wejść. Drugie piętro.

Zaintrygowana Paddy nacisnęła czubkami palców skrzydło wielkich drzwi, które ustąpiło z cichym trzaskiem, otwierając się na wyłożony boazerią hol z nowoczesnymi schodami po prawej stronie. Wyżej, gdzieś nad ich cienką poręczą, usłyszała otwieranie drzwi i ciche dźwięki nadawanego przez radio koncertu fortepianowego.

Idąc po schodach ku muzyce, zastanawiała się, czy George nie ma przypadkiem syna w Anglii - albo może kuzyna. Nie знаła jego sytuacji rodzinnej. Przed niedawną zmianą w jego zachowaniu przypuszczała, że mieszka na jakimś osiedlu, gdzie żyją głównie przedstawiciele klasy średniej, i ma dorosłe już dzieci, trzymające raczej stronę matki. Podejrzewała, że państwo McVie mieszkają na przedmieściach w jakimś domku, wyglądającym ładniej z zewnątrz niż w środku, są nieszczęśliwi i mają za mało odwagi albo wyobraźni, żeby się rozejść.

Na górze przed drzwiami stał boso jakiś mężczyzna, który uśmiechnął się, gdy Paddy weszła na podest. Przystąpił z nogi na nogę, opierając się biodrem o poręcz i wycierając ręce w ściereczkę do naczyń. Kiedy podeszła bliżej, stanął na baczność i wyciągnął do niej rękę. Był krótko ostrzyżony. Miał na sobie miękką białą podkoszulkę, wyblakłą po setkach prań, i sprane, pomarszczone w pasie dżinsy.

Paddy uściśnęła mu dłoń.

- Mam na imię Ben - powiedział mężczyzna lekko drżącym z emocji głosem.

Dziewczyna była tak zdetonowana widokiem jego twarzy, że omal nie zapomniała się przedstawić: mogłaby przysiąc, że facet ma podmalowane oczy, a na ustach błyszczak. Chyba że pływał, niedawno wyszedł z basenu, zjadł kawałek tłustego kurczaka i nie obliżał ust.

Uścisnęła mu **rękę** jeszcze **raz**.

- Paddy.

- Dzień dobry.

Po powitaniu Ben, nie puszczając jej dłoni, wciągnął Paddy przez małe drzwi do niskiego korytarza i dalej, do dużego pokoju z aneksem kuchennym pod przeciwległą ścianą. Naprzeciwko kuchni przez całą długość salonu biegły wspaniałe okna. Niestety, wychodziły na oddalony zaledwie o dwadzieścia stóp ceglany mur, którego monotonię łamało jedynie kilka brudnych i ciemnych o tej porze okienek biurowych.

McVie zajmował miejsce pod oknem, tak daleko od drzwi, jak tylko było to możliwe w tym pokoju. Siedział w tandetnym fotelu, niepasującym do nowoczesnego wnętrza, trzymał w ręku książkę i ostentacyjnie udawał, że czyta. Mięśnie jego twarzy były napięte, więc na czole nad brwiami tworzyły się zmarszczki, przypominające wielkie cudzysłowy.

- Georgie... - Ben wymówił jego imię ostrzegawczym tonem.

McVie podniósł wzrok, udając zaskoczenie.

- Och, witaj, Paddy.

Dało się tu wyczuć coś dziwnego, coś o podtekście homoseksualnym, ale Paddy nie była jeszcze dość doświadczona życiowo, by wiedzieć, o co chodzi. Jej matka mówiła, że homosie są tak strasznie zepsuci, bo „próbowali wszystkiego”, co miało oznaczać, że nie może być nic bardziej świńskiego na świecie niż związek mężczyzny z mężczyzną. Paddy śmiała się z naiwności Trishy, ale niepokojąca atmosfera panująca u McViego kazała jej się teraz zastanowić nad słowami matki. Jedynym homoseksualistą, jakiego znała, był samotny facet z filmu *Sława*, chodził do psychiatry i miał rudą fryzurę w stylu afro. Czy któryś z nich rozbierze się do rosołu? Czy spodziewają

się, że Paddy dla nich zatańczy? Nago? Zrobiła przerażoną minę i spojrzała na McViego.

- O co chodzi? - Wstał z fotela, zaniepokojony i prze straszony.

Paddy uniosła otwarte dłonie w pokojowym geście.

- Co jest z tą dziewczyną? - zapytał opryskliwie Ben.

Chciała wyjść, ale Ben zagradzał jej drogę do drzwi, zaczęła się więc rozglądać w poszukiwaniu innej możliwości ucieczki. Wszystko w tym mieszkaniu było nowiuieńkie - wszystko poza meblami. Ściany odmalowane, w kuchni sterylna czystość. Wyglądało na to, że na tej płycie nikt jeszcze nic nie gotował.

- Ładne mieszkanie - powiedziała, żeby przerwać ciszę.

Ben podciągnął koszulkę i podrapał się w brzuch.

- Dopiero co się tu wprowadziliśmy.

- A gdzie mieszkaliście wcześniej?

- On w Mount Vernon, a ja w kawalerce w Govanhill.

- Ben popatrzył oskarżycielsko na McViego. - To była straszna nora. Mieszkałem tam kilka miesięcy.

McVie zmierzył Bena powłóczystym spojrzeniem, które przesunęło się ku górze, poczynając od jego obnażonego brzucha, i złagodniało dopiero, kiedy dosięgło jego oczu. Paddy nagle zrozumiała, że McVie go kocha. Nikt nie zatańczy tu nago i nikt nie będzie nikogo obmacywał. To z miłości do Bena McVie kupował kwiaty, odmłodził i zaczął dbać o swój wygląd.

- Czy jestem pierwszą osobą od nas z pracy, która cię odwiedziła?

Ben odpowiedział za niego:

- Tak. Georgie zna wszystkich moich kumpi z akademii, ale ja nie znam nikogo z jego przyjaciół.

- Bo ja nie mam przyjaciół - wyjaśnił McVie, upuszczając książkę na podłogę.

- Gdzie studiujesz? - Paddy nie chciała, żeby **się przy niej** kłócili.

- W Royal Academy of Music - odparł Ben.

- Wspaniale. A na czym grasz?

Uśmiechnął się arogancko.

- Właściwie na wszystkim.

McVie zmarszczył brwi i wyjrzał przez okno na ceglana ścianę. Zaprosił ją tu na próbę. Paddy zrozumiała, że dał jej swój adres i wpuścił ją na górę tylko dlatego, że uważa ją za kompletne zero. Gdyby spotkanie z nią nie przebiegło gładko, bez trudu pogodziłby się z tym niepowodzeniem, bo w pracy i tak nikt przecież jej nigdy nie słuchał. W news roomie niełatwo było być kobietą prowadzącą aktywne życie seksualne, ale zakochany pedał miałby po prostu piekło.

- Jadę właśnie do roboty, McVie, i wpadłam do ciebie po drodze, żeby cię o coś poprosić. Muszę się zobaczyć z Patrikiem Meehanem. Możesz zaaranżować takie spotkanie?

McVie wyprostował się na fotelu.

- Wydawało mi się, że nie masz ochoty go poznać.

- Usiłuję napisać o nim książkę. - Przyznanie się do osobistych ambicji było niemal równie niebezpieczne, jak przyznanie się do skłonności homoseksualnych. - Ale na razie nic mi nie wychodzi.

- Zdejmij płaszcz - powiedział Ben, ciągnąc ją za rękaw. - To nie dworzec.

- Nie. - Paddy wyszarpnęła rękaw z jego palców najłagodniej, jak umiała. - Muszę jechać do pracy.

- Twoja przyjaciółka zachowuje się po chamsku - oświadczył Ben, odwrócił się na pięcie i wyszedł do sypialni.

Paddy uśmiechnęła się do McViego.

- Georgie?

McVie wyszczerzył zęby w odpowiedzi i **popchnął ją** w kierunku drzwi wejściowych.

Na schodach było zimno, a George wyszedł z mieszkania w kapciach, bez skarpetek. Chciał coś powiedzieć, ale Paddy pociągnęła go za rękaw swetra na dół, dwa chłodne piętra niżej. Stanęli blisko siebie za nieszczelnymi drzwiami na klatkę schodową.

Zauważyła, że stoją bardzo blisko siebie, bliżej niż kiedykolwiek. McVie spojrzął na nią z góry, drżąc z zimna, ale oszołomiony uczuciem ulgi.

- Ben nie bardzo ci się spodobał, prawda?

- Prawda.

Przez chwilę chichotali, nie bardzo wiedząc, dlaczego, i przyglądali się szeregom mosiężnych skrzynek na listy, wiszących na ścianie za drzwiami. Ben nie podobał się Paddy, ale podobał się McViemu. Podobał mu się tak bardzo, że George ubierał się dla niego elegancko, kupował mu kwiaty i uśmiechał się bez powodu. Kiedy Paddy go poznała, wydawał się jej najbardziej nieszczerliwym i zgorzkniałym człowiekiem, koło którego kiedykolwiek usiadła. Był homoseksualistą, ale ona kochała się jak wariatka z zonatymi facetami w samochodach i właściwie poczuła się szczęśliwa.

- Znam cię od czterech lat. Kiedyś byłeś tylko smutnym i zionąłś nienawiścią do całego świata. A teraz...

- Spojrzała na niego: komplement wprawilby w zakłopotanie ich oboje. - A teraz nie zioniesz.

McVie wyciągnął szyję ku mosiężnym skrzynkom na listy. Jego wzrok przesunął się po zaadresowanych odręcznie kawałkach papieru, widocznych przez maleńkie otworki.

- Tak. To miło z twojej strony, że tak mówisz.

- Owszem. Bo ja jestem miła. - Znowu zachichotali. -

Nikommu nic nie powiem. To nie moja sprawa.

McVie przymknął jedno oko i znowu na nią spojrzął.

- Ben naprawdę ci się nie podoba?

- A co to za różnica? Ja go nie posuwam.

Zbladł, zaszokowany jej bezpośredniością.

- Jak ty się wyrażasz? Podobno jesteś porządną, kato licką dziewczyną.

Nie chciała rozmawiać na temat swoich upodobań seksualnych.

- Powiedziałam to, co powiedziałam. To chyba dobrze wyjść z depresji, nie? Instykt seksualny jest człowiekowi potrzebny.

- Pewnie tak... - George zdrapał paznokciem kleistą pozostałość po jakiejś naklejce z klapki jednej ze skrzynek.

- Nie miałem innego wyjścia. Gdybym nie poszedł za głosem swoich uczuć, popełniłbym samobójstwo.

Oboje zamilkli na to niespodziewanie szczerze wyznanie, odwracając wzrok.

- Może powinieneś był jednak wybrać raczej tę drugą ewentualność - powiedziała cicho Paddy, wywołując uśmiech na ustach George'a. - No dobrze, muszę już jechać. Umówisz mnie z Meehanem?

- Jasne.

Wyciągnęła rękę w stronę drzwi.

- Nawiasem mówiąc, pytałaś mnie niedawno o Bobby'ego Lafferty'ego. Facet jest właśnie na komen dzie w Govan. Od samego rana. Podobno przesłuchują go w sprawie tej laski z Bearsden. - George zerknął na zegarek. - Powinnaś tam pojechać. Mogą go trzymać na dołku jeszcze tylko przez cztery godziny.

3

Na ulicy przed warsztatem Berniego panował spokój. Kate sięgnęła ręką na tylne siedzenie po szczypecie do cięcia drutu. Miały niebieskie rączki i wydały się jej niewiarygodnie ciężkie - tak bardzo, że ledwo zdołała je unieść, a gdy położyła je sobie na kolanach, ich ciężar unieru-

chomił jej patykowate nogi. Schudła tak bardzo, że mogła sobie wcisnąć pięść na sztorc między uda. Odetchnęła głęboko, otworzyła drzwi, wysiadła i ze szczypcami w ramionach ruszyła wzdłuż łuków wiaduktu.

Bernie założył na drzwi nową kłódkę. Przecięła wieńczący ją stalowy łuk, choć przyszło jej to z większym trudem niż poprzednio. Traciła siły. Nie jadła nic od kilku dni i nie pamiętała już, jak to jest mieć apetyt. Szynka konserwowa w galarecie, którą przywiozła z domku nad jeziorem, rosła jej w ustach niczym garść suchych liści.

Zdjęła kłódkę i wsunęła się do środka, szukając po omacku przełącznika światła na ścianie i uśmiechając się do siebie na myśl o czekającej ją pod stołem nagrodzie. Ku swemu zdumieniu zdała sobie sprawę, że się ślini, wyobrażając sobie, że znowu trzyma w dłoniach paczkę, czuje pod palcami opakowanie, przypominające w dotyku ciepłą skórę, i słodki zapach czystego plastiku. Gdy zapaliła światło, warsztat zalał ostry, brutalny blask, który raził ją w oczy, zaczęła więc mrugać powiekami, żeby się przyzwyczaić do jasności. Za każdym razem, kiedy je podnosiła, myślała, że się myli, ale w końcu obraz na jej siatkówce wyostrzył się, więc Kate udało się wreszcie zmrużyć oczy, ale już nie zamykać powiek. Stół był odsunięty od ściany, podobnie jak czerwona skrzynka. Podbiegła bliżej, żeby za nią zajrzeć.

Paczka zniknęła.

Z płaczem osunęła się na kolana. Mogła znieść zamordowanie Vhari, mogła znieść utratę własnej urody, a teraz zrozumiała nawet, że mogłaby znieść zakaz wstępu na teren posiadłości Killearn, gdzie mieszkała przez ostatnie cztery lata, ale utrata paczki okazała się dla niej nie do zniesienia.

Musi gdzieś tu być. Oślepią łzami, wstała i zaczęła rzucać ze stołu różne przedmioty, między innymi stos rachunków, które sfrunęły na podłogę. Dopiero wtedy

opadła z sił. Gdyby był tu Lafferty, zrobiłby taki sam burdel, jak w domku nad Loch Lomond. Roztrzaskałby wszystko w drobny mak. To Bernie. To on ukradł jej paczkę.

Kate wyszła z warsztatu, zostawiając otwarte drzwi i włączone światło, po czym wsiadła do mini coopera. Po namyśle uznała jednak, że nie powinna wkurzać Berniego, jeśli chce odzyskać od niego paczkę. Wysiadła więc, zgasiła światło w warsztacie i przytknęła drzwi.

Uruchomiła silnik, zachęcająco poklepując kierownicę, kiedy zaskoczył, a potem pojechała do Berniego do domu.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Pies Lafferty

1

Sullivan wprowadził Paddy do czarnego korytarza i delikatnie zamknął za sobą drzwi. W małym, wąskim pokoiku czuć było kurz i pot, a otaczające dziewczynę grube czarne ściany miały wyciszyć hałas. Z trudem rozpoznawała twarz Sullivana w srebrzystym półmroku, wpadającym do środka przez weneckie lustro. Odwrócił się od niej, wyciągając szyję, żeby zajrzeć przez upstrzoną maleńkimi plamkami taflę szkła do pokoju o kremowych ścianach. Wciągnął brzuch, kiedy wchodzili po schodach i szli do drzwi, ale teraz, urzeczony rozgrywającą się na jego oczach sceną, rozluźnił się i przygarbił, a na widok jego obwisłego brzuszka Paddy pomyślała o swoim tacie i uśmiechnęła się.

Sullivan ostrzegł ją, żeby nic nie mówiła, bo pokój nie jest dźwiękoszczelny, Paddy mimo woli westchnęła jednak głęboko i donośnie. Lafferty był ogolony na łyso i miał szerokie bary - zapewne ćwiczył na siłowni. Węzły ścięgien znaczyły jego gruby, pofałdowany kark, o cienkiej skórze poznaczonej krzyżującymi się bruzdami, przypominającymi blizny po uderzeniach nożem, w miejscach, gdzie od trzydziestu lat napinał mięśnie. Przypominał psa o byczym karku. Gdyby na kogoś się rzucił, próbowałby go ugryźć.

Gdy jeden z dwóch siedzących przed nim policjantów zadawał mu pytania, wzrok Lafferty'ego błędził po pokoju. Gdzie był nad ranem we wtorek, piętnastego? Czy bawił tej nocy w Bearsden? Złe, zwierzęce spojrzenie osiłka przesuwano się tam i z powrotem po ścianie, weneckim lustrze, niewidocznej twarzy Paddy i piersi Sullivana. Miał nieruchome, niedobre, zimne, okrutne oczy.

Kiedy otwierał usta, żeby coś powiedzieć, odsłaniał garnitur wyszczerbionych i martwych zębów. Patrząc prosto w lustro, chrapliwym głosem twarziela zażądał, żeby mu powiedziano, kto „chce to wszystko, kurna, wiedzieć”. Policjant puścił jego słowa mimo uszu i powtórzył pytanie znudzonym tonem, jakby zadawał je w kółko już od dłuższego czasu.

- No tak. - Lafferty powoli wstał, opierając się plecami o stół, i wyciągnął szyję w stronę lustra. - To ten chuj Sullivan.

Funkcjonariusze zerwali się na nogi i wyciągnęli ramiona, żeby go powstrzymać, gdyby chciał rozbić lustro, ale Lafferty leniwie osunął się z powrotem na miejsce.

Paddy spojrzała na stojącego obok policjanta. Na jego czole w mdłym świetle, wpadającym do środka przez tafłę szkła, lśniły krople potu. Spojrzał na nią, przechylając głowę do tyłu, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że bardzo się boi, i jednocześnie przeprosić ją za swój strach. Splótł dłonie poniżej brzucha, jakby chciał osłonić genitalia, z zakłopotaniem przestąpił z nogi na nogę i odwrócił się, by znowu spojrzeć w lustro.

Paddy przyglądała się Lafferty'emu i wyobraziła go sobie w salonie Vhari Burnett. Wydawała się jej wtedy szczupłą, drobną kobietą, która w porównaniu z Laffertym była jedynie eteryczną smużką białego światła.

- Do siódmej rano siedziałem w klubie Lucky Black Snooker w Calton. Potwierdzi to Jamesie Tobar. I wszyscy, co tam byli. Przyjechałem do domu o ósmej i poszedłem do

łóżka. Spytajcie mojej starej. - Lafferty znowu obrzucił wzrokiem lustro. - O co się jeszcze rozchodzi, kurwa wasza mać?

Policjanci przy stole nastroszyli się na tę odpowiedź, przysunęli ku sobie notatniki i zaczęli pisać, każąc Lafferty'emu powtarzać wszystko w najdrobniejszych szczegółach i opowiadać minuta po minucie, co robił piętnastego lutego, choć takie detale mógłby zapamiętać tylko jakiś wariat, który niedawno kupił nowy zegarek.

- Znaleźliśmy twoje odciski na pewnym dowodzie rzeczowym, pochodzącym z domu ofiary. - Policjant zmierzył go uważnym spojrzeniem. - Zostawiłeś je tam tej nocy, kiedy zamordowano panią Burnett.

Paddy zauważyła, że zastanawiając się nad jego słowami, Lafferty zaczyna tracić zimną krew. Zadrżały mu usta.

- Dowód? Jaki dowód?

- Taki, który wskazuje, że byłeś tej nocy w Bearsden, Lafferty.

- Ale co to ma być? Zresztą nieważne, bo to niemożliwe - dodał po chwili z pewnością siebie. - Byłem w Lucky Black.

Sullivan delikatnie położył jej rękę na karku, a Paddy aż podskoczyła ze strachu. Wskazał głową drzwi i dziewczyna wyszła za nim do ciemnego przedpokoju, po czym ruszyli dalej razem długim korytarzem. Nie odzywali się, dopóki nie weszli na schody.

Sullivan odchrząknął z zakłopotaniem.

- Jeżeli jego alibi okaże się nie do podważenia, za dwie godziny będziemy musieli go zwolnić.

- Może się domyślić, że zostawił odciski na tych moich pięćdziesięciu funtach, a jeśli się tego domyśli, zacznie mnie szukać. Boże drogi, ten facet wie, gdzie pracuję, gdzie mieszkam i w ogóle.

Sullivan unikał jej wzroku.

-Czasami podejrzanego trzeba czymś trochę postraszyć. Ale Lafferty pomyśli raczej, że zostawił odciski palców gdzieś w willi.

- Przecież pousuwali ślady w całym domu i niewątpliwie zrobili to bardzo starannie. To nie była jakaś tam bójka w pubie i na pewno pamiętają, skąd wytarli odciski, a skąd nie.

Sullivan powoli skinął głową.

- Będziemy musieli przedstawić mu ten dowód. Prędkiej czy później i tak się dowie, że chodzi o banknot, więc chyba lepiej zaskoczyć go nim teraz i na tej podstawie spróbować coś z niego wyciągnąć.

Schodzili po schodach i Paddy zatrzymała go na ziemi niczyjej - na półpiętrze.

- Sullivan, a co jest z tymi gliniarzami, którzy interweniowali w domu pani Burnett? Dlaczego śledztwo w tej sprawie zmierza w zupełnie niewłaściwym kierunku?

- Ja też mam swoich szefów. To nie ja tu podejmuję decyzje. - Sullivan spojrział w dół klatki schodowej, smutny i chyba trochę podłamany. Zachwiał się na nogach i przytrzymał poręczę. - Musiało trafić akurat na dziennikarkę, co? Nie mogłaś dowozić posiłków na wynos albo pracować jako akwizytorka Avona?

- Wiesz, że Lafferty nie jest tym wygadany gościem, z którym rozmawiałam pod drzwiami domu Vhari?

-Wiem. Na banknocie znaleźliśmy też inne odciski. Nie martw się. Będziemy śledzić Lafferty'ego, dowiemy się, z kim pracuje, i w ten sposób ustalimy nazwisko jego mocodawcy.

- Tylko że dopóki gliniarze, którzy interweniowali u pani Burnett, nie powiedzą nam, z kim rozmawiali, Lafferty'ego z morderstwem Vhari łączy jedynie ten banknot i moja osoba. Będzie mnie szukał.

- Nic ci nie grozi. Nie powiedziałem nikomu o tych pieńdżach. McDaid też nie.

W przeciwieństwie do Sullivana, Paddy nie wydawała się zbyt przekonana co do swojego bezpieczeństwa, ale jego pewność dodała jej otuchy.

- Zatrzymaliście Lafferty'ego czy sam się do was zgłosił?

Sullivan zrobił podejrzliwą minę.

- Dlaczego o to pytasz?

Paddy wzruszyła ramionami.

- Po prostu pytam. Nie wiem, jak się postępuje w takich przypadkach.

- Zadzwoniliśmy do jego adwokata i Lafferty przyjechał z własnej woli. Ale gdyby nie stawił się na wezwanie, aresztowalibyśmy go. Wiedział o tym.

Słuchając policjanta, przypomniała sobie, jak pocił się w ciemności - brzuch wylewał mu się nad sprzączkę od paska, a w jego oczach było widać strach przed tym zwierzęciem, którego obserwował przez weneckie lustro.

- Rzadko używam wulgarnych słów, detektywie Sullivan, ale powiem ci tyle: ten Lafferty to pierdolony skurwysyn i trzeba się go bać.

Sullivan żartobliwie pogłaskał ją po głowie, a Paddy uśmiechnęła się nieznacznie na ten gest sympatii.

- Nie powinnaś wyrażać się tak brzydtko, młoda damo.

Postawił nogę na stopniu i pierwszy ruszył pustymi schodami na dół, do poczekalni.

Paddy schodziła za nim, czując wilgotne ślady, jakie zostawiała na poręczy jego dłoń, i pomyślała, że pewnie ma córkę w jej wieku i dlatego jest dla niej taki sympatyczny.

- Po prostu zostaw to nam - powiedział. - Jesteś zbyt ładna, żeby zadawać tyle pytań.

Uśmiechnęła się do niego w odpowiedzi, patrząc, jak otwiera drzwi do poczekalni, przytrzymuje je i przepuszcza ją pierwszą. Tak, na pewno ma córkę w jej wieku. I ona też chyba na poły go nienawidzi.

2

Kiedy Sullivan odprowadził ją do drzwi, Paddy nie od razu wróciła do wozu reporterskiego. Przeszła na drugą stronę ulicy, kierując się ku Billy'emu, aż wreszcie żółty klin światła na chodniku przed nią zagarnęła ciemność, co wskazywało, że drzwi za jej plecami już się zamknęły. Wtedy skręciła i weszła na parking na tyłach komisariatu. Stały tu fordzy, mini coopery, rovery, dwa mini metra, a nawet honda combi i stary brązowy mini minor, ale nie było ani jednego bmw. A więc Lafferty nie przyjechał żadnym z samochodów stojących za domem pani Burnett owej nocy, kiedy została zamordowana.

Paddy wsiadła do auta i przyglądała się światłom za szybą, rozmyślając o człowieku, do którego należała tamta beemka. Jeżeli nie uda się podważyć alibi Lafferty'ego, policja będzie musiała go zwolnić, a wtedy ten, kto był owej nocy w domu pani Burnett, najprawdopodobniej zginie. Znowu pomyślała o karku tego bandyty, o brutalnej sile, krzywdzie i desperacji, widocznych w jego oczach, i o mało się nie rozplakała. Śmierć Vhari Burnett i Marka Thillingly'ego nie była przypadkowa. Te zbrodnie popełniono z pełną premedytacją. To ludzie ludziom zgotowali ten los.

Tymczasem noc w mieście przebiegała spokojnie. Rozróby w niedzielne wieczory zawsze miały nieprzyjemny i rodzinny charakter. Awantury, do jakich dochodziło w prywatnych domach, wynikały z tego, że puby w ostatni dzień weekendu zamykano wcześniej, wbrew woli właścicieli, i goście nie mieli gdzie się potem podziać, wracali więc do domów, w których nie było się z kim kłócić poza własną rodziną.

Billy był wściekły z powodu zwolnień w „Daily News”, a jeszcze bardziej denerwowało go to, że nikt niczego w tej sprawie nie robi. Dawniej nic takiego by się nie zdarzyło,

na pewno nie, bo nigdy wcześniej zespół nie był tak posłuszny dyktatowi kierownictwa. Pierwszy błąd dziennikarze popełnili, pozwalając zwolnić Farquarsona. Powinni byli się za nim wszyscy wstawić i wziąć go w obronę.

Paddy uważała, że Billy nie ma racji. Nakład „Daily News” spadał szybciej niż worek pełen cegieł i gdyby kierownictwo nie zdecydowało się dokonać zmian, trzeba by zamknąć gazetę. Poza tym miała na głowie zupełnie inne rzeczy i tylko nieznacznie skinęła głową, gdy Billy spojrział na nią w oczekiwaniu na odpowiedź.

Noc była tak spokojna, że zatrzymali się na posiłek w budzie ze śmierzburgerami wcześniej niż zwykle. Późna godzina i skandaliczne warunki higieniczne sprawiały, że jedzenie w tej smażalni smakowało im wprost nadzwyczajnie. Nick, jej czarujący, gruby właściciel, przechowywał posmarowane masłem bułki w plastikowej torbie na śmieci, w maleńkiej umywalce.

Pomimo potężnej tuszy poruszał się w maleńkim pomieszczeniu z wdziękiem baletnicy. Zaczynał swój taniec właśnie koło umywalki: najpierw wyciągał z torby posmarowaną zawczasu masłem bułkę, polewał ją sosem, a potem z gracją wykonywał półobrót ku rączce frytkownicy, wyciągał metalowy koszyk i opróżniał go na tacę, po czym nadziewał bułkę burgerem, frytkami albo parówką. Nie smażył w głębokim oleju jedynie kawy i herbaty, bo poza tym w jego budzie wszystko, począwszy od paluszków rybnych po mrożoną pizzę, trafiało do bulgoczącego, zanieczyszczonego oleju, a wokół unosiła się jego przenikliwa woń, sięgająca pięćdziesiąt jardów dalej, aż do głównej drogi.

Smażalnia stała przy stromej, pustej bocznej uliczce, odchodzącej od ruchliwej trasy prowadzącej do parku, gdzie mogły zatrzymywać się taksówki. Kiedy około drugiej czy trzeciej w nocy Billy i Paddy przyszedli tu coś zjeść, wokół kręcili się jedynie zmotoryzowani pracownicy nocni

różnych profesji, pozdrawiający się nawzajem i rozkoszujący się najspokojniejszą porą nocy w mieście.

Zwykle to Paddy kupowała hamburgery dla siebie i dla Billy'ego, zapominając o diecie odchudzającej, i zanosila je do samochodu. Czasami ścisza radio i siedzieli razem w przytulnym milczeniu, a czasem wymieniali różne domysły i plotki na temat kolegów z pracy, których zbyt dobrze nie znali. Dzisiaj Billy wysiadł z auta, zanim Paddy wróciła, i wdał się w pogawędkę z jakimś znajomym taksjarzem, niewątpliwie informując go o zwolnieniach w gazecie, zadowolony, że ma nowego słuchacza, przed którym może wyładować złość. Zadowolona, że nie jest skazana na jego towarzystwo, Paddy zniosła mu hamburgera i wróciła do samochodu sama, ciesząc się na myśl, że ma przed sobą ciche pół godziny.

Oblizywała właśnie z palców tłuszcz z hamburgera i żałowała, że nie może zjeść kolejnej kanapki, kiedy pod smażalnię podjechał jakiś samochód. Strach ścisnął ją za gardło, ale kiedy otworzyły się drzwi i w kabinie zapaliło się światło, okazało się, że nie zna dwóch siedzących w środku umundurowanych funkcjonariuszy i że żaden z nich z całą pewnością nie jest Georgem Burnsem.

Patrzyła, jak obaj policjanci rozkołysanym krokiem podchodzą do budy ze śmierćburgerami, omiatając spojrzeniem zaparkowane w pobliżu samochody i obejmując ten teren we władanie niczym wchodzący do saloonu kowboje. Przyjęli darmowe bułki od Nicka i przywitani się z nim, a potem podeszli do Billy'ego i jego znajomego taksówkarza. Po chwili dołączyło do nich jeszcze kilku kierowców, pragnących się dowiedzieć, co słyhać dzisiaj w mieście, gdzie zdarzył się jakiś wypadek i których ulic powinni unikać tej nocy. Zauważyła, że popatrują na nią, siedzącą samotnie w wozie reporterskim.

Sullivan zdawał się przekonany, że Lafferty nie skojarzy jej z odciskami swoich palców, ale ona nie była tego

tak pewna. Na myśl o byczym karku osiłka i jego okrutnym spojrzeniu żołądek podchodził jej do gardła.

Mężczyźni stojący wokół smażalni rozeszli się, poklepując się na pożegnanie po ramionach i dowcipkując, i Billy powoli wrócił do samochodu. Taryfiarz zatrąbił, wykonał pełne koło swoim samochodem i odjechał, a Billy podniósł rękę i pomachał mu leniwie na pożegnanie.

Nigdy jeszcze nie słyszała, żeby ktoś tak głośno trząsał drzwiami; od nagłej zmiany ciśnienia zabołały ją bębenki. Billy na moment znieruchomiał i westchnął, położywszy ręce na kolanach, po czym przekręcił kluczyk, uruchomił silnik, ruszył i od razu wszedł w ostry, ciasny zakręt. Zarzuciło nią na drzwi i uderzyła się boleśnie o zimną szybę.

Starła się przekrzyczeć grające głośno radio, ale Billy przyspieszył i przejechał skrzyżowanie, nie oglądając się w prawo ani w lewo. Paddy wreszcie udało się oderwać od oparcia tylnego fotela, pochylić się naprzód i poklepać go w ramię.

- Wyluzuj, kurwa mać!

Billy znów nacisnął pedał gazu i przejechał kolejne skrzyżowanie na czerwonym świetle, pędząc na autostradę. W dzień panował tu zazwyczaj duży ruch i Paddy oczami wyobraźni widziała już uderzające w nich z boku pojazdy. Wsunęła rękę pomiędzy przednie fotele i chwyciła hamulec ręczny, kładąc kciuk na przycisku.

- Zatrzymaj ten samochód albo ja to zrobię.

Billy gwałtownie wdepnął hamulec. Był dobrym kierowcą, ale musiał wcisnąć pedał aż trzy razy. Paddy tym razem zarzuciło do przodu, jej ramię zaklinowało się pomiędzy fotelami, a motor zakaszłał i zgasł. Z tyłu, na pustej ulicy, taksówkarz, którego spotkali pod smażalnią ze śmierćburgerami, zatrąbił z irytacją, omijając ich auto szerokim łukiem.

Paddy dotknęła szyi Billy'ego.

- Co się stało?

Potrząsnął głową i spojrzął **na nią w lusterku**. W jego oczach było widać głęboki ból.

- Billy?

- Ty głupia krowo. - Zacisnął usta i Paddy przez moment myślała, że zaraz się rozplacze. - Pieprzyłaś się z gli-niarzem. W jego prywatnym samochodzie. - Wyciągnął rękę i znów zapalił silnik. - Ty głupia krowo.

Po chwili ruszył przez ponure, martwe miasto z pręd-kością dziesięciu mil na godzinę.

3

Minęło już dobrych kilkadziesiąt minut, ale Paddy wciąż czuła się jak odurzona i milczała. Siedziała wciśnięta w fotel, jak gdyby Billy ciągnął dziewięćdziesiątkę. Bez słowa skinęła głową, kiedy zapytał, czy chce pojechać na miejsce jedyne-go zgłoszenia, jakie dostali, czyli do Goyanhill, gdzie doszło do drobnej awantury domowej. Zaparkowali za dwoma radiowozami, które wjechały przednimi kołami na chodnik, *co* mogło sugerować, że chodzi o strasznie po-ważną interwencję.

Wysiadła, zamknęła drzwi i stanęła przy samochodzie, żeby owinąć szyję szalikiem, ale Billy nie sięgnął od razu po paczkę swoich leżących na desce rozdzielczej fajek, jak to miał w zwyczaju, tylko siedział, gapiąc się prosto na nią, urażony, zły i oburzony. Paddy ugięła kolana i zajrzała do wozu, pokazując mu gestem, żeby otworzył okno. Nie ruszył się nawet, tylko ciągle patrzył, jak ostry wiatr roz-wiewa jej włosy i szczypie ją w policzki.

Cofnęła się o krok, otworzyła tylne drzwi i krzyknęła:

- Pilnuj własnego nosa, głupi kutasie!

Billy przekręcił kluczyk w stacyjce, zanim zdążyła od-skoczyć, i przejechał chyba z pięćdziesiąt jardów z sza-leńczo rozkołysanymi, otwartymi tylnymi drzwiami. Potem

zatrzymał się, wystawił jedną nogę na ulicę, zamknął drzwi i cofnął na wstecznym biegu, zwalniając obok Paddy, żeby jej pokazać, że panuje nad sytuacją. Dziewczyna podniosła nogę i piętą kopnęła przejeżdżające auto najmocniej, jak mogła, tracąc przy tym równowagę i zataczając się na bok. Pozostawiła na drzwiach wozu reporterskiego wgniecenie w kształcie obcasa, a Billy znów odjechał na pełnym gazie.

Gdyby ją tu zostawił, straciłby pracę. Nie objechali jeszcze nawet szpitali w śródmieściu. Nie chciała na niego donosić, musiałyby jednak wrócić do redakcji taksówką, a gdyby zażądała zwrotu kosztów, Ramage dowiedziałby się, co się stało.

Rozwścieczona Paddy weszła na mokrą trawę. W domu było ciemno - na niższych piętrach nie paliły się lampy i cienie rozpraszało jedynie światło dobiegające z wysoka po pełnych ech schodach. Idąc w kierunku głosów, weszła na drugie piętro, gdzie lamentowała jakaś pijana kobieta, zawodząc „Nie, nie, nie”, kiedy ktoś próbował z nią rozmawiać. Obok dwóch policjantów usiłowało uspokoić faceta, który opowiadał, że ta kobieta powiedziała to, a on na to odpowiedział tamto, a potem ona zrobiła to, a on owo. A co ty byś zrobił na moim miejscu, kolego? Co? Z taką kobietą? Co byś zrobił?

Gość miał zakrwawioną dolną wargę i Paddy na jego widok pomyślała o Vhari Burnett. Nieco dalej, trzymając się framugi i zagradzając wszystkim wstęp do mieszkania, stała chuda kobieta w spranych dżinsach i cytrynowym swetrze, rozciągniętym wokół szyi i zwisającym luźno z jej kościstego ramienia.

Policjanci spojrzeli na wchodzącą po schodach Paddy. Byli to George Burns i jego partner. Oczy Burnsa uśmiechnęły się do niej spontanicznie ciepłym, pełnym miłości uśmiechem, ale szybko odwrócił wzrok. Miał na palcu obrączkę.

Paddy usiłowała sobie przypomnieć, jak w takiej sytuacji zachowałoby się naiwne niewiniątko. Wyciągnęła notes, wstydząc się swoich rąk, szyi i niezręcznych ruchów. Drugi policjant nadal próbował przesłuchiwać kobietę, a Paddy demonstracyjnie rozglądała się wokół i przyglądała się drzwiom, żeby poprawnie zapisać numer mieszkania oraz nazwiska widniejące na tabliczce. Zano-towała wszystko szybko i sprawnie, jak gdyby przygotowy-wała poważny artykuł.

Kolega George'a zdołał przekonać kobietę, żeby po-zwoliła sąsiadom spać, weszli więc do środka, gdzie mogli spokojnie pogadać. Wchodząc za skłóconą parką do mieszkania, odwrócił się i posłał Paddy obraźliwy uśmie-szek. Burns odczekał, aż policjant, mężczyzna i kobieta znajdą się poza zasięgiem jego głosu, ale Paddy nie dała mu okazji, by mógł odezwać się pierwszy.

- Ty pizdo. - Paddy nigdy dotąd nie użyła tego słowa i poczuła, że na jego dźwięk włoski na karku stają jej dęba.

George zaśmiał się charkotliwie i zrobił zdumioną minę.

- O co ci chodzi?

- Całe Glasgow wie już o wszystkim. Billy dowiedział się o nas razem z bandą taryfiarzy przed tą smaźalnią ze śmierćburgerami.

Burns sprawiał wrażenie skonsternowanego. Wszystkie mięśnie jej ciała były napięte z oburzenia jak struny, a jej zduszony głos ledwo było słycać.

- Masz pojęcie, co to dla mnie znaczy? Kurwa mać, teraz do końca życia zostanę głupią dziwką, która pie przyła się z gliniarzem w jego samochodzie.

George odpowiedział stanowczo i spokojnie:

- Nikomu o tym nie powiedziałem, Paddy.

Płacząc z wściekłości, odwróciła się i po omacku za-częła zbiegać po schodach, trzymając się lepkiej od brudu poręczy i zwalnając dopiero, kiedy zniknęła Burnsowi z oczu za zakrętem. Zatrzymała się na ciemnym podwórku,

ocierając twarz, dysząc ciężko i z trudem łapiąc oddech. Może wrócić do redakcji pieszo. Zajmie jej to co najwyżej godzinę, a przecież dzisiejsza noc przebiega dotąd spokojnie. Zapewne nie przegapi żadnej ważnej informacji, więc nikt się o niczym nie dowie. Pójdzie okrężną drogą, żeby nie natknąć się na Burnsa w radiowozie, bo gdyby się zatrzymał i próbował ją podwieźć, pewnie by go uderzyła. Jeśli jednak Lafferty został zwolniony i już zaczął jej szukać, nie może czuć się bezpieczna. A nie byłoby mu trudno ją znaleźć, bo dzisiejszej nocy dostała przecież tylko jedno wezwanie.

Wychodząc na ulicę, zauważyła zaparkowany tuż przy wejściu wóz reporterski, z którego Billy z nadzieją w oczach obserwował furtkę. Zauważywszy Paddy, uśmiechnął się nerwowo i podniósł rękę. Otworzyła wgniezione drzwi i opadła na tylne siedzenie.

- Wszystko w porządku?

- Nic się nie stało. I nic się nie dzieje. Objedźmy szpitale i wracajmy do redakcji - odpowiedziała, używając sztamowych sformułowań, którymi posługiwali się co noc.

- Dobrze - odpowiedział ostrożnie Billy, widząc, jak bardzo jest zdenerwowana. - Tak zrobimy.

Nie martwił się wyłącznie o swoją posadę. Widziała, że jest mu przykro, że stracił panowanie nad sobą, i że zrobiło mu się jej żal, widząc, jak samotnie płacze na ulicy. Próbował nawiązać z nią kontakt wzrokowy w lusterku wstecznym, ale Paddy nie patrzyła na niego.

Burns wszystko wypaplał. Przespała się z nim zaledwie dwa dni temu, a dzisiaj wie już o tym całe miasto. Okłamał ją w żywe oczy. Nigdy, przenigdy mu tego nie wybaczy. I odegra się na nim. Nawet jeśli będzie musiała czekać na odpowiednią okazję całymi latami, odplaci w końcu George'owi Burnsowi pięknym za nadobne.

Rozdział dwudziesty drugi

Ogień

1

Stali w ciemnościach pod szpitalem Royal. Nie licząc dwóch tchnących dyskretną elegancją samochodów, należących do lekarzy dyżurnych, parking był pusty. W większości okien ogromnego, czarnego od sadzy wiktoriańskiego szpitala paliło się jaskrawe, żółte światło. W powietrzu wisiał jakby kruchy, srebrzysty szron, a w ciepłym samochodzie panował mrok, zachęcający do zwinięcia się w kłębek w łóżku. Serce Paddy biło teraz tak wolno, że nie bardzo mogła sobie przypomnieć, dlaczego nie powinna jeszcze spać.

Billy nieznacznie opuścił szybę i zapalił papierosa, Paddy jednak nie ruszyła się z miejsca. W niedziele na mieście na ogół panował spokój, ale w Royalu na ostrym dyżurze zawsze można było zdobyć jakieś informacje, które uszły uwagi policji. Tutejsi chirurdzy uchodzili za najlepszych w mieście, więc gangsterzy z ranami kłutymi i ciętymi często przyjeżdżali do nich z drugiego końca Glasgow, pokonując czasem nawet dziesięć mil taksówką i ręcznikami tamując po drodze krew z otwartych ran.

Paddy po raz pierwszy w życiu zapragnęła, żeby w mieście nic się nie wydarzyło. Chciała jak najszybciej wrócić

do pograżonej w półmroku redakcji, pożegnać się z Billym i do końca dyżuru już tylko lizać rany. Billy przyglądał się jej w lusterku.

- Nie wejdiesz do środka?

- Wejde, wejde.

Odwróciła wzrok i spojrzała w stronę wejścia do szpitala. Przed drzwiami stał jakiś szczupły facet w cienkiej brązowej koszuli, palił papierosa i zabijał rękami dla rozgrzewki. Na uchu miał duży, biały opatrunek. Paddy nawet nie mrugnęła powieką.

- Poczęstujesz mnie papierosem, Billy?

- Przecież ty nie palisz.

- Potrzebuję maleńkiego kopa.

Posłał jej pełne dezaprobaty spojrzenie, ale sięgnął za siebie, podał jej papierosa i zapalił go. Paddy zaciągnęła się głęboko, wypełniając płuca dymem, aż zaświerzbiły ją palce. Poczuli się lepiej, lekko pobudzona, więc delikatnie zaciągnęła się jeszcze raz, na szczęście, i dopiero potem oddała mu papierosa.

- Zostaw mi go na później, dobra? Zaraz wracam.

- Ocucił cię trochę?

Otworzyła drzwi i wysiadła na parking.

- Tak, troszeczkę.

Szła ostrożnie po śliskim, zmarzniętym asfalcie, mijając przy głównym wejściu faceta z opatrunkiem na uchu. W pełnym przeciągów, pomalowanym na beżowo korytarzu przeszła przez automatyczne podwójne drzwi i znalazła się w jaskrawo oświetlonej poczekalni na oddziale chirurgii urazowej.

Na krzeselkach siedziało kilku pacjentów. Niektórzy wyglądali na nieszczęśliwych i zmęczonych, inni zaś sprawiali wrażenie podekscytowanych i radosnych. Na pierwszy rzut oka Paddy nie była w stanie ocenić, kto z tych ludzi jest chory, a kto jest tylko osobą towarzyszącą.

Atrakcyjna brunetka, siedząca za szybą z pleksiglasu, miała szetlandzki akcent i uwielbiała horrory.

- Siemasz, Marcelli. Zdarzyło się może dziś u was coś ważnego?

Brunetka przecząco potrząsnęła głową.

- Obawiam się, że nie.

- Żadnych bandyckich numerów? Nikt nie pchnął nikogo nożem, nie rozplątał szablą ani nic?

- Nie. Bardzo mi przykro. Tylko ten Niemiec wyjechał. Paddy uśmiechnęła się.

- Ten, który robił u was doktorat?

- Owszem. Dlatego jestem w żałobie.

Paddy pomyślała, że jeżeli Niemiec nie zauważył, że podoba się Marcelli, był ślepcem albo gejem, albo jednym i drugim. Pisał doktorat o ranach ciętych, które opatrywał na stażu w szpitalu Royal, dowodząc, że ciężka, tępa biała broń powoduje obrażenia podobne do tych, jakie odnosili średniowieczni rycerze na swoich polach bitew.

- A jak tam w redakcji? Masz co robić?

- Owszem, nie narzekam.

Marcelli spojrzała na wiszącą nad jej głową tablicę. Sprzątaczkę przemywały ją rano wodą z mydłem, więc po pozostałych na niej niebieskich smugach można było poznać, ile roboty miała urazówka. Dziś jednak tablica była niemal czyściutka.

- Obawiam się, że tej nocy mamy tylko przeziębienia i upadki.

Uśmiechały się do siebie uprzejmie, wypytując nawzajem o swoje rodziny. Mąż Marcelli pracował na naftowej platformie wiertniczej i co dwa tygodnie wracał na ląd, także na dwa tygodnie, a dzisiaj dziewczyna miała zadowoloną, wypoczętą minę, jak zawsze, kiedy mąż był w pracy. Paddy podejrzewała, że często kłóć się w domu.

Plasnęła ręką o blat i pożegnała się z Marcelli do jutra.

-Postaram się znaleźć **dla ciebie jakąś bandycką** bójkę.

- Trzymaj się, Marcelli.

Paddy wyszła z oddziału, przeszła przez hol i ruszyła ku wysuniętemu przyczółkowi ciemnej jak smoła nocy.

Ranny w ucho facet palił przy wejściu nowego papierosa. Przygarbiony dla osłony przed chłodem, pochwycił wzrok Paddy i uśmiechnął się z nadzieją, bo uznał jej śmiałe spojrzenie za zaproszenie do flirtu, a nie za manifestację agresji, spowodowanej zmęczeniem. Paddy odwróciła się w stronę wozu reporterskiego i zobaczyła za szybą od strony kierowcy wznoszące się, pomrugujące czerwone oko papierosa Billy'ego. Wtem z drugiej strony auta odezwał się jakiś cień, który przebiegł pędem przez ulicę.

Zanim zdążyła zamknąć powieki, delikatną błonkę jej oczu oparzyła gorejąca kula pomarańczowego światła. Paddy potknęła się na stopniu i upadła na wznak, zakrywając ręką oczy i słysząc, jak jej głowa uderza o kamienny schodek. Lafferty pewnie już pędził ku niej z młotkiem w rękę, tym samym, którym zatłukł na śmierć Vhari, a mimo to Paddy nie była w stanie otworzyć oczu ani wstać, by rzucić się do ucieczki. Ślepa jak nowo narodzone szczenię zwinęła się w kłębek, czekając na Lafferty'ego. Słyszała szum ognia w wozie reporterskim, syk i trzask płomieni, a na policzku czuła szczypanie wilgoci roztopionego szronu, pokrywającego schodek.

Ktoś biegł w jej stronę. Usłyszała szybkie kroki na linoleum i nagły, nieartykułowany krzyk. Odgłosy dobiegały ze szpitala, do pierwszych kroków dołączyły następne i po chwili na parking wylała się ludzka fala. Obok Paddy przebiegały pielęgniarki i załogi karetok pogotowia. Billy był w samochodzie.

Usiadła, a potem, opierając się o ścianę, dźwignęła się i wstała, choć drżały pod nią nogi. Kiedy zmusiła się, żeby otworzyć oczy, wciąż czuła na twarzy bijące od ognia

gorąco. Wszystkie szyby w samochodzie były popękane albo wybite, a dach lizały gniewne, pomarańczowe płomienie. Drzwi od strony kierowcy były otwarte - Billy leżał na ziemi, ale zza kręgu lekarzy i ratowników nie było go widać. Jednak między jedną i drugą parą obcych nóg Paddy dostrzegła zwęgloną rękę i zaciśnięte jak szpony, obdarte do żywego mięsa palce.

Ktoś trącił ją ramieniem i zaskoczona Paddy obróciła się w koło. Był to mężczyzna ze skaleczonym uchem, który stał teraz w środku, tuląc się do jednej z zimnych, marmurowych kolumn budynku szpitala. Opatrunek zwisał mu z ucha pod dziwnym kątem, trzymając się tylko na pasku białego plastra.

Chwyciła go za rękę i szarpnęła.

- Widziałeś go? Widziałeś, kto to był?

Mężczyzna potrząsnął głową i wskazał na jej usta, jakby chciał poprosić, żeby mówiła wolniej, bo nic nie słyszy. Paddy wyciągnęła rękę w kierunku nocy, zamieszania i płonącego samochodu, który walczący z ogniem portierzy posypywali piaskiem.

- Nagle, nie wiadomo skąd, wybiegł jakiś facet - po wiedział nieznamy. - Nie widziałem jego twarzy, bo krył się w mroku. Miał ciemne ubranie. Podkradł się do wozu. Nie wszcząłem alarmu, bo myślałem, że chce zrobić kawał kumplowi w samochodzie. Popatrzyłem na ciebie, a potem na niego. Podszedł cichaczem do okna, podniósł rękę i wrzucił coś do środka. A potem... - Tu facet wydał odgłos, naśladujący wybuch, i cofnął się o kilka kroków na chwiejnych nogach.

- Był napakowany? Miał ogolony łeb?

Nieznamy wzruszył ramionami.

- Tak mi się zdaje. To był chyba wielki, ogolony na tyso skurwysyn.

2

Paddy siedziała w stolówce na najwyższym piętrze gmachu „Daily News” i z obojętną miną pochłaniała kolejną tabliczkę czekolady, patrząc, jak nad brudnym miastem wstaje dzień. Na szok najlepszy jest cukier - tak zawsze mówiła jej mama. Dlatego oglądając filmy wojenne, zawsze przygotowywały sobie słodką herbatę. Na szok najlepszy jest cukier.

Huczalo jej w głowie, a oczy miała tak suche, że co pewien czas musiała je na dłuższy czas zamykać. Przypuszczała, że dostało się do nich sporo sadzy.

Odgryzła następny kawałek. Obchodził ją tylko Billy i tylko o nim myślała. Napastnik pomylił ją z nim, co oznaczało, że nie wiedział, jak Paddy wygląda. Żona Billy'ego pewnie jest już w szpitalu. Żona, z którą wciąż się kłócił, i syn, którego przestał kochać, pochylają się teraz nad nim, żeby dokonać identyfikacji zwłok.

Siedzieli sami w ogromnej stolówce. Straszna Mary i jej pomagierzy mieli się tu pojawić dopiero za godzinę, więc sala była tymczasem zimna i milcząca.

- Powtarzam wam: to był Bobby Lafferty.

Trzej policjanci siedzieli wokół stołu, kiwając z niedowierzaniem głowami. Słuchali jej cierpliwie od ponad godziny - nie była pewna, ile minęło czasu. W każdym razie ich herbata wystygła. Wszyscy wydawali się jej identyczni: mieli kwadratowe twarze i sceptyczne miny. Wiedziała doskonale, dlaczego dotrzymują jej towarzystwa, udając, że interesują ich jej odpowiedzi, których przecież udzieliła im już wcześniej kilka razy.

- No dobrze - odezwał się jeden z nich. - Zaczniemy znów od początku. Dlaczego taki bandzior jak Bobby Lafferty miałby chcieć panią zabić?

-Już wam mówiłam.

Policjant chrząknął i odwrócił się do okna.

- Lafferty nie zamordował tej laski z Bearsden. Facet, który to zrobił, popełnił samobójstwo. Wyciągnęliśmy go z rzeki w zeszłym tygodniu. Więc po co Lafferty miałby pani szukać?

- Powiedziałałam wam: spytajcie Sullivana.

- A my odpowiedzieliśmy, że dzwoniiliśmy do niego i że on też nie wie, o czym pani mówi.

Niepocieszona Paddy odgryzła znów kawałek czekolady. Nie zadawała sobie trudu, żeby ją żuć. Gruba kostka sama rozpuszczała się jej w ustach, oblepiając język, dopóki nie zaczęła nim poruszać, rozcieńczając czekoladę śliną.

Sullivan wcale nie był po jej stronie. Zaczęła w niego wątpić, kiedy stali razem w tamtym ciemnym pokoiku, obserwując przesłuchanie Lafferty'ego, który nie musiał mieć IQ geniusza, żeby się domyślić, że Paddy jest jedynym świadkiem zdarzeń w willi w Bearsden, a on i ten przy stojniak nie wytarli przed wyjściem odcisków wyłącznie z wręzonego jej banknotu. Wkrótce po jej odjeździe z Partick Marinę Lafferty został zwolniony. Sullivan nawet nie skontaktował się z nią, żeby jej o tym powiedzieć, a teraz nie chciał jej wesprzeć i przyznać, że Lafferty stanowi dla niej zagrożenie. Paddy nie może wrócić do domu. Jeśli Lafferty znalazł ją w szpitalu, zdobędzie także adres domowy i złoży jej wizytę.

- A co z tym facetem z opatrunkiem na uchu, którego spotkałam w szpitalu? Przecież on widział zamachowca, do którego pasuje rysopis Lafferty'ego.

Policjant westchnął cierpliwie.

- Mówiliśmy już pani, że nie możemy go znaleźć.

Wyprostowała się, mierząc ich wszystkich uważnym spojrzeniem.

- Opatrywano mu ucho na chirurgii. Marcelli zawsze zapisuje nazwiska i adresy pacjentów. Gość czekał na policjantów, żeby z nimi porozmawiać. Widział faceta,

który to zrobił, a wy mi mówicie, że nie możecie go znaleźć?

Trzej funkcjonariusze kolejno odwrócili od niej wzrok.

Paddy poczuła się tak, jakby nie spała co najmniej od średniowiecza.

- Co byście zrobili na moim miejscu?

Nikt jej nie odpowiedział.

- Ile zostało wam czasu do końca dyżuru? Dwadzieścia minut?

Policjanci popatrzyli po sobie z minami winowajców, a jeden z nich się uśmiechnął.

- Więc jeśli posiedzicie tu sobie jeszcze przez dzie sięć minut, udając, że słuchacie tego, co mówię, to kiedy wróćcie do komendy, będziecie mogli już zbierać się do domu, co?

Policjant siedzący najbliżej dziewczyny zjeżył się na te słowa.

- Niech się pani za bardzo nie wymądrza, panno Meehan.

- Posłuchajcie: Lafferty oblał Billy'ego całą pintą benzyny, a ja nie mogę wrócić do domu, dopóki go nie zgarniecicie. Podałam wam nazwisko, a jeśli chcecie, mogę zdobyć także jego adres, o ile to coś pomoże. Czy nie mam prawa do ochrony policyjnej? A co będzie, jeżeli ten facet skrzywdzi moją rodzinę?

Oburzony policjant powoli zamrugnął powiekami.

- Jest pani dziennikarką działu kryminalnego, panno Meehan, więc siłą rzeczy zachodzi pani za skórę wielu ludziom. Złym ludziom.

- Czyli co? Ratuj się, kto może, tak? Czy dlatego, że jestem dziennikarką, można na mnie polować? A Billy? Co on jest winien?

Policjanci też byli już zmęczeni. Kończyli dyżur i nie mieli ochoty wdawać się w pyskówkę z tą wojowniczą

dziewuchą. Jeden z nich usiadł prosto, odsunął się od stołu i zaczął się kołysać na krześle.

- Podobno zna pani jednego mojego kumpla. Słyszałem nawet, że jesteście bliskimi przyjaciółmi. - Uśmiechnął się szyderczo, wbijając wzrok w podłogę.

Miał na myśli Burnsa - i robił aluzję do krążącej wśród policjantów plotki. Paddy poczuła, że kark zalewa jej fala gorąca, ale patrzyła na niego wyzywająco. Policjanci tworzyli stosunkowo zamknięte środowisko. Pili w tych samych pubach i kibicowali tej samej drużynie piłkarskiej. Plotkowali o sobie nieustannie, wiedzieli, kto kogo posuwa, kto za dużo pije, kto jest idealistą i kto może brać albo bierze łapówki.

Jeden z nich zerknął ukradkiem na zegarek.

- Nie licząc Gourlaya i McGregora, jestem jedyną osobą, która tamtej nocy widziała tego przystojniaka pod domem laski z Bearsden - zauważyła Paddy. - Gourlay i McGregor mówią, że zabił ją ten samobójca wyłowiony z rzeki, Mark Thillingly, a ja twierdzę, że to na pewno nie był on. Nie wydaje się to wam zastanawiające?

Popatrzyli po sobie z wahaniem, bo wiedzieli dobrze (była tego pewna), że Gourlay i McGregor są policjantami o wątpliwej uczciwości. Ich przemądrzałe miny zniknęły pod apatycznymi maskami. Jeszcze dziesięć minut i będą mogli iść do domu. Gównu ich to wszystko obchodziło.

Paddy poczuła, że do oczu napływają jej wielkie, głupie łzy.

- Jeśli Lafferty mnie zabije, to będziecie mnie mieli na sumieniu.

Drzwi stołówki otworzyły się i do środka zajął chudy goniec.

- Meehan? Jak skończysz z nimi, Ramage chce cię zobaczyć. - Rozejrzał się po przygnębionych twarzach siędzących wokół stołu uczestników rozmowy i wrócił na ko rytarz, bezszelestnie zamykając za sobą drzwi.

Paddy znów spojrzała na znudzonych policjantów i wybuchnęła gniewem.

- Po to wstąpiliście do policji? Żeby kryć jeden drugiego? A jeśli Gourlay i McGregor są skorumpowani?

Tym razem przegięła pałę. Jeden z policjantów syknął ostrzegawczo.

Paddy nagle dźwignęła się chwiejnie na nogi.

- Jeżeli to zwierzę skrzywdzi moją matkę, wrócę i znajdę was.

Nie powinna była werbalizować swoich obaw, bo zaczęła płakać. Kiedy wstawała zza stołu, twarz wykrzywił jej bolesny grymas.

Otwierając drzwi, usłyszała, jak jeden z funkcjonariuszy mruczy pod nosem:

- Pora do domu, chłopcy.

3

-Wejść! - zabrzmiał gburowaty głos Ramage'a. Paddy otarła usta i podbródek z okruchów czekolady, wyprostowała się na tyle, na ile pozwalał jej na to obolały kręgosłup, i otworzyła drzwi.

Ogromne biurko pomniejszało Ramage'a optycznie. Po porannym goleniu wyglądał młodzieńczo i bezbrinnie - przypominał chłopca w wykrochmalonej koszuli i krawacie. Siedział rozparty na krześle, a przed nim leżały na biurku trzy równiutko ułożone stosy papierów. Farquarson wyglądałby już na zmęczonego, papierzyska byłyby porozrzucane, a on pracowałby nad nimi, nisko pochylony.

- Meehan - zagaił Ramage bez wstępów - chcę tekst na trzysta słów o tej bombie zapalającej. Tylko tym razem napisz rzecz w pierwszej osobie i z jajem. Niech Frankie Mills zrobi ci zdjęcie, na którym będziesz wyglądała jak

męczennica, a potem spierdalaj do domu, odpoczywaj i czekaj, aż cię wezwę.

Paddy przecząco potrząsnęła głową.

- Nie. Nie będzie żadnego zdjęcia. Facet, który to zrobił, próbuje mnie dopaść, ale jak dotąd zna tylko moje nazwisko. Nie chcę, żeby dysponował także fotografią.

- Uważasz, że podrzucił tę bombę Billy'emu, bo pomylił go z tobą?

- Z tyłu Billy'ego można wziąć za kobietę - wyjaśniła.

- Ma kręcone włosy, jak po ondulacji. A Lafferty podkrał się z tyłu i wrzucił bombę do samochodu przez okno. Może nawet sądzi, że mnie załatwił. Ale kiedy dowie się na policji, że zabił kogoś innego, przyjedzie do mnie do domu.

Ramage uśmiechnął się i szerzej otworzył oczy na wspomnienie policji.

- Uważasz, że ma informatorów w psiarni?

- Tylko policja wie, że zeznają inaczej niż ci gliniarze, którzy interweniowali tamtej nocy w Bearsden.

Ramage skinął głową, wbijając wzrok w biurko.

- Tak... Młoda kobieta staje przed wielką szansą - powiedział do siebie. Poślinił kciuk i przełożył kartkę z jednego stosu na drugi, który natychmiast wyrównał. Paddy oczami wyobraźni widziała uwagi na tych świstkach: „zwolnić”, „zastanowić się”, „zatrzymać”. Miała nadzieję, że przesunął ją na stos z napisem „zatrzymać”.

- W takim razie w porządku. Trzysta słów i wypierdasz do domu.

- Nie mogę wrócić do domu. Policja nie złapała jeszcze tego faceta, a o ile wiem, on zna mój adres. Już kilka razy widziałam samochód, z którego ktoś obserwuje mój dom. Potrzebuję pokoju w hotelu.

Ramage skwitował jej bezczelność wymuszonym uśmiechem, odłożył długopis, wyprostował się i spojrzał jej prosto w oczy.

- Brawo, Patricia.
- Mam na imię Paddy - poprawiła go szorstko.

Naczelnny uniósł brew.

- Dobra, dobra, nie zgrywaj przede mną aroganckiej cipy. - Wciąż na nią patrząc, znowu poślinił kciuk i przełożył kartkę z powrotem na stertę, na której poprzednio leżała.

- Szefie - powiedziała, chociaż te słowa z trudem przeszły jej przez gardło. - Napiszę świetny tekst. Tekst, dzięki któremu nakład podskoczy po prostu zajebiście. Zajebiście.

Naczelnny odpowiedział jej gadzim uśmiechem.

- Zobaczymy. Wyłożę dla ciebie kasę na prywatną kwatere, ale tylko na trzy dni...

- Nie, to musi być hotel. W kwaterach prywatnych nie można siedzieć w dzień, a ja się muszę wyspać.

Ramage nie lubił, kiedy mu przerywano. Podniósł dłoń i znowu zaczął ślinić kciuk, ale przerwał tę czynność, uśmiechnął się i opuścił rękę, nie przekładając jednak kartki z powrotem.

- Trzysta słów. Tylko żeby to był naprawdę dobry tekst. Będziesz potrzebowała nowego kierowcy. Znasz kogoś od powiedniego?

Pomyślała o Seanie. Wprawdzie dopiero co zrobił prawo jazdy, ale widok jego twarzy działał na nią uspokajająco.

- Owszem. Ale ten facet nie ma samochodu.

Ramage wzruszył ramionami.

- Weźmiecie wóz służbowy. Każ im zainstalować nowe radio. - Zmierzył ją spojrzeniem od stóp do głów. - Jesteś młoda, Meehan. Czy Farquarson był twoim pierwszym na czelnym?

Skinęła głową w milczeniu.

- Pewnie za nim tęsknisz i uważasz mnie za chuja.

Chciała znów skinąć głową, ale uznała, że Ramage'owi to się nie spodoba.

- Nie wiem.

Jego uśmiech tym razem był niemal szczerzy. Wziął złote wieczne pióro i postukał nim o suszkę, oprawną w miękką zieloną skórkę. Rozległ się powolny, rytmiczny odgłos. Powinni byli siedzieć na piętrze redaktorskim, w gwarnej sali, pośród uwijających się jak w ukropie dziennikarzy, gdzie tępego, ostentacyjnego stukania złotego pióra w ogóle nie byłoby słychać.

Ramage przesunął się na fotelu.

- Jak popracujesz dłużej w tym zawodzie, zrozumiesz, że lojalność wobec umarłych to strata czasu. Posmuć się trochę, pogódź się z tym, co się stało, a potem idź dalej lizać dupę kolejnemu szefowi. Tak wygląda nasz zawód. - Uśmiechnął się nieznacznie, jak gdyby jego brutalne *credo* stanowiło powód do dumy. - Możesz trzymać ze mną albo udawać arogancką krowę, ale wtedy skończysz w dziale ogłoszeń. Jasne?

Paddy skinęła głową, a Ramage odprawił ją skinieniem dłoni.

Wyszła z pokoju i cicho zamknęła drzwi. Przez okna na korytarz wpadało słabe światło. Zwolniła i w końcu stanęła, opierając się na parapecie i wyglądając na miasto ponad dachami zaparkowanych na zewnątrz półciężarówek, należących do „Scottish Daily News”. W przyszłości drukarnia nie będzie się już mieściła pod redakcją. Zostanie przeniesiona do nowej siedziby, a wtedy ten budynek stanie się tylko biurowcem, gdzie będzie można sprzedawać na przykład ubezpieczenia.

Obserwowała szary dzień na ulicy, myśląc, że rodzina Billy'ego pewnie jest ciągle w szpitalu i czeka, aż Paddy przyjdzie, żeby w imieniu gazety połączyć się z nimi w bólu. Powinna już iść, zadzwonić do Seana i powiedzieć mu, że jeśli tylko chce, to załatwi mu dobrze płatną robotę. Miała do napisania tekst o objętości trzystu słów, a jutro powinna się stawić na przesłuchanie w związku ze śledz-

twem, prowadzonym w sprawie policyjnej interwencji w domu Vhari Burnett, ale wciąż stała w pachnącym cytryną korytarzu, wyglądała przez okno na ulicę, po której hulał wiatr, i czuła, że oto skończyła się pewna epoka -i przyszły nowe czasy.

4

Bernie wiedział, że to Kate. Cichutkie jak szept pukanie do drzwi o dziesiątej rano i pełna wahania przerwa między jedną serią stuknięć a drugą... Nie znał nikogo oprócz niej, kto pukałby w ten sposób. Stał pod drzwiami, wyczuwając jej obecność po drugiej stronie. Chciał otworzyć, ale wolałby już nigdy więcej nie widzieć Kate na oczy.

- Bernie? - Znał jej głos równie dobrze, jak swój własny, a jego ton właściwie powiedział mu wszystko. Jest prze straszona i boi się, że będzie się na nią gniewał. Poza tym jest chora i osłabiona. Zawsze miała łagodny głos, ale teraz nie usłyszał w nim choćby cienia animuszu. - Bernie? Wpuść mnie.

Wyobraził sobie, co mu powie, jeżeli w końcu otworzy: na podłodze w małym przedpokoju leżały różne części zamienne do silników i stare gazety. Bernie był w bladoniebieskiej pasiastej piżamie i kamizelce, czyli w stroju niezbyt odpowiednim na przyjęcie tak wspaniałego gościa. Ale ponieważ Kate po raz pierwszy ośmieliła się odwiedzić go w tym komunalnym mieszkaniu, może nie będzie taka wścibska, jak zawsze.

- Kochanie? Zimno mi...

Bernie właściwie nie zdecydował się otworzyć drzwi - otworzył je instynktownie, bo odruch, żeby osłonić Kate przed niebezpieczeństwem i przykrością, był w nim tak głęboko zakorzeniony, że pochylił się, odciągnął ciężką

skrzynkę narzędziową spod drzwi, odsunął zasuwkę i nacisnął klamkę.

Na jej widok zaparło mu dech w piersi, a kiedy wypuścił wreszcie powietrze z płuc, już wiedział, że załamała się chyba na widok jego miny.

- Strasznie schudłaś - powiedział wymijająco, żeby jej nie dobijać.

Wiedziała, dlaczego westchnął. Domyślił się tego, widząc, jak zwiesza głowę i wbija wzrok w jego stopy. Podniosła rękę do twarzy, żeby zasłonić przegniły, zapadnięty nos, zwieszający się nad górną wargą niczym nochal czarownicy z ilustracji w jakiejś bajce dla dzieci.

Kiedy widzieli się ostatnio na pogrzebie dziadka, wyglądała olśniewająco, jak zwykle. Jej uroda przyciągała oko i trudno było oderwać od niej wzrok, a mężczyźni na widok Kate myśleli, że ich ręce zostały stworzone po to, by obejmować jej idealnie proporcjonalną głowę albo wąską talię. Zdawała sobie sprawę, jaka była dawniej, gdy cechowała ją niezachwiana pewność siebie, jak każdą naprawdę piękną dziewczynę. Jednakże zdawała sobie również sprawę, jak wygląda w tej chwili.

- Kiedy ostatnio jadłaś?

Podniosła na niego wzrok z tak bezbronnym wyrazem twarzy, jak gdyby znowu miała dwanaście lat.

- Zimno mi, Bernie.

Od wielu lat prawie w ogóle z nim nie rozmawiała. To przez nią zginęła Vhari, a teraz Kate na dodatek ukradła mu samochód i ukryła w jego warsztacie paczkę, która mogła go kosztować życie. Mimo to Bernie wyciągnął do niej rękę i wprowadził ją do swojego skromnego mieszkania, a potem zamknął za nią drzwi, żeby jej bronić przed światem.

5

Podłoga **była** nieprawdopodobnie brudna. Paddy przez trzy godziny spała w zaciemnionym gabinecie Farquarsona, leżąc na zapiaszczonej podłodze i budząc się mniej więcej co dwadzieścia minut na hałasy dobiegające z news roomu.

Wreszcie obudziła się na dobre, wiedząc, że powinna wstać i znów zadzwonić do mamy, po prostu żeby sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku. Rozgorączkowany wzrok Paddy przesunął się po obrzydliwym dywanie, wgnieceniach od nóg stołu konferencyjnego i drzwiach. Przez na wpół przymknięte żaluzje widziała poruszające się cienie i nieruchome, przysadziste postacie gońców, siedzących na swojej ławce i czekających na polecenia dziennikarzy. Powinna wstać, zatelefonować do matki i zapytać, czy nie widziała na ulicy czerwonego forda. Powinna przeprosić JT, bo przecież nie dostarczyła mu tych materiałów o Mandeli. Przez cały ranek czekała, aż wpadnie do redakcji, żeby ją opieprzyć, że jeszcze tego nie zrobiła.

Rozległo się nonszalanckie pukanie do drzwi, które uchyliły się po chwili. Oślepiła ją drzazga jasnego światła.

- Ramage zarezerwował ci pokój w hotelu.

Paddy usiadła, mrugając powiekami. Powstrzymując chęć otarcia oczu, starła z policzka paprochy i piach. Był to jeden z gońców.

- Jest tu gdzieś JT? -

Nie.

- Ma jakąś obsługę? -

Nie.

Chłopak wrócił na **ławkę, zostawiając szeroko otwarte** drzwi.

Zadowolona z wiadomości o wynajęciu pokoju hotelowego, Paddy otrzepała ubranie i weszła do ruchliwego news roomu. Poranne kolegium najwyraźniej odbyło się

w gabinecie Ramage'a na dole, bo fala redaktorów i co wybitniejszych dziennikarzy wlewała się właśnie do środka przez podwójne drzwi. Jedni byli pochmurni, inni nabuzowani, w zależności od tego, kogo naczelny pochwalił, a kogo wyszydził za poranne wydanie gazety. Przyglądała im się tak długo, aż wreszcie wszyscy weszli i usiedli przy swoich biurkach, ale JT nie było między nimi. Podeszła do Rega z działu sportowego.

- Gdzie jest JT?

Reg potrzęsnał głową.

- Wylali go.

Dopiero teraz Paddy obudziła się naprawdę.

- Przecież dopiero co dostał tytuł reportera roku...

- Owszem. - Przygnębiony Reg skinął głową, wpatrując się w swoją maszynę do pisania. - Ale pobierał za wysoką pensję. Słyszałem, że wynajęli ci pokój w hotelu.

-Tak.

Paddy wbiła wzrok w podłogę, zastanawiając się, czy dobrze postąpiła, prosząc o coś więcej niż tylko o szansę, żeby mogła pokazać, co potrafi.

Rozdział dwudziesty trzeci

Brzydkie rzeczy

1

Meble miał być jakie i sfatygowane, bo wszystkie pochodziły z tandetnych sklepów ze starzyzną. Brzydka szara kanapa, brzydkie drewniane krzesło i brzydka ława z blatem z przydymionego szkła. W salonie wszędzie wały się części silnikowe, upačkane w smarach szmaty i narzędzia. Pokój Berniego strasznie się jej nie spodobał. Ucieszyła się, że nigdy tu wcześniej nie była, a jednak towarzystwo brata dodawało jej otuchy niejako samo z siebie. Widok jego kwadratowej twarzy i krótko przystrzyżonych przez taniego fryzjera włosów sprawiał, że czuła się bezpiecznie, jak gdyby przeniosła się w czasie, jak gdyby wciąż byli dziećmi i żyli w przeszłości, zanim to się zaczęło - na długo zanim wszystko poszło nie tak...

Kate odstawiła kubek na ławę. Na co dzień nie pijała herbaty, ale dziś piła już drugą. Słyszała, jak działa na zęby, i wmówiła sobie, że jej nie lubi, podobnie jak lodów i czekolady, ale teraz wypiła, żeby się rozgrzać, a nawet poprosiła o kolejną dolewkę ze zmatowiałego metalowego czajnika. Bernie przyniósł też paczkę pełnoziarnistych herbatników i podał jej dwa.

- Spróbuj coś zjeść. Straszliwie schudłaś, naprawdę. Twoje nogi wyglądają jak sznureczki z supelkami. - Wskazał

jej kolana, okryte dziurawymi niebieskimi pończochami, modląc się w duchu, by zeschnięta brązowa substancja, oblepiająca łydki jego siostry, okazała się jedynie błotem. Kate uśmiechnęła się łagodnie, wpatrując się w dal. Ssała herbatnik, udając, że go je, by sprawić mu przyjemność. Kiedyś patrzyła na świat takim wzrokiem, gdy chciała wyprowadzić się z domu, ale nie mogła tego tak po prostu oznajmić rodzicom.

- Masz mój becik?

Nie wiedziałyby, o czym mówi, gdyby nie czekał na to pytanie.

- Becik?

Uśmiechnęła się.

- Mój cudowny becik.

Bernie odpowiedział **uśmiechem, ale spowaźniał**, kiedy na nią spojrział.

- To cię zabija.

Przyglądała mu się zmęczonym wzrokiem. Nie czuła się na tyle dobrze, żeby się z nim kłócić. Pękała jej głowa, a brzuch przeszywał ból.

- Ty, Bernie, wszystko bierzesz nazbyt serio. Zawsze taki byłeś, od małego.

Powiedziała to, żeby go zdenerwować i żeby przestał dawać jej do zrozumienia, że mu na niej zależy. Uczuciowość w rodzinie Burnettów była traktowana niczym zbrodnia. Bernie nie był jednak Burnettem - wyparł się swojej natury, a Kate go naprawdę obchodziła.

- Spójrz tylko na siebie! - wykrzyknął nagle. - Spójrz, w jakim jesteś stanie. Spójrz, co on z ciebie zrobił.

Podniosła kubek i upiła łyk herbaty.

- Był u ciebie?

- A jak, kurwa, myślisz, Katie? Czy nie rozwaliliby mi łba na kawałki, gdyby u mnie był? Załukł Vhari na śmierć, kurwa jego mać.

Spuściła wzrok, splatając dłonie, żeby nie było widać, jak drżą.

- Chcę moją paczkę - powiedziała, wyczerpawszy skromne zasoby skruchy.

- Katie, umrzesz, jeżeli nie przestaniesz ćpać.

Miał rację i Kate dobrze o tym wiedziała. Czuła, że jej serce bije coraz słabiej i nierówniej, jak przeciążony silnik mini coopera.

- Nie jestem idiotką, Bernie. Pójdę na odwyk, ale teraz nie jest ku temu odpowiednia chwila.

Bernie mocno przetarł ręką twarz.

- Katie? Popatrz na mnie. - Nie miała odwagi, więc podniósł głos. - Popatrz na mnie, Katie. Popatrz na mnie, kurwa. Nie dożyjesz odwyku. Zabiją cię za to, że ukradłaś im tę paczkę koki.

Kate słyszała w lewym uchu śpiew - niski, mrukliwy głos zabitego mężczyzny. Był słaby i ledwo słyszalny. Wydawało się jej, że śpiewa hymn, jakąś starą protestancką pieśń o grzechach i grzesznikach.

- Słyszysz mnie?

Nie była pewna, czy Bernie mówi do niej, czy do jednookiego, więc czekała.

- Katie? - Bernie, tak, to na pewno Bernie. Poruszał ustami. - Słyszysz mnie?

- Słyszę, kochanie.

- Zabiją cię tak jak Vhari.

- Nie, nie zabiją. Mam pewien plan. - Zaczęły nią wstrząsać dreszcze.

Bernie pochylił się i chwycił ją mocno pod brodę.

- Posłuchaj mnie. - Siłą przytrzymał jej głowę i zmusił dziewczynę, żeby spojrzała w jego oszalałe ze strachu oczy. - Posłuchaj. - Zrozumiawszy, że mu się nie wyrwie, Kate siedziała nieruchomo i patrzyła na niego. - Katie, jesteś beznadziejną cipą, a twoje plany są głupie. Nie

wiedziałybyś, jak się wydostać z kiosku z gazetami. Musisz iść na policję.

Roześmiała mu się w twarz, autentycznym, serdecznym, spontanicznym śmiechem i wtedy Bernie rozluźnił chwyt i uśmiechnął się do niej w odpowiedzi. Znowu była sobą i odczuł wreszcie ulgę, jak gdyby w tłumie wrogów natknął się na starą przyjaciółkę.

- Ale ja właśnie zamierzam iść na policję - odparła.

Bernie spojrział na nią, starając się odczytać intencje siostry, i uwierzył jej.

- Ja pierdołę, Kate! To dobrze, strasznie się cieszę. Jeżeli będziesz siedzieć cicho, pójdziesz na policję i nie wspomnisz nic o tej kokainie, wszystko będzie dobrze. Po wiedz, że uciekłaś, i opowiedz im o Vhari, ale nawet jeżeli będą cię naciskać, nie mów nic o żadnych narkotykach. Obiecujesz?

Wyduła wargi i spojrzała na niego.

- Bernie, kochanie, nic im nie powiem, jeżeli odzyskam mój becik.

Bernie zmarszczył brwi, zirytowany, że Katie wraca znowu do sprawy paczki.

- Ty chyba nie zdajesz sobie sprawy, że to nie są żarty. Mark Thillingly popełnił przedwczoraj samobójstwo.

- Gruby Mark?

- Mark nie jest już gruby, Kate. Jest martwy.

- Na litość boską, nie jestem winna każdej śmierci w Szkocji.

Chciała swojej paczki. Potrzebowała jej. Pytanie, czy zdoła przeżyć kolejne dziesięć minut, nie wiedząc, czy będzie mogła ją odzyskać, nie dawało jej spokoju.

- Mógłbyś mi oddać paczkę?

Bernie spojrział na nią ze smutkiem, zauważywszy, że nie spytała o Marka. Nie chciała nawet wiedzieć, dlaczego się zabił.

- Katie...

- Oddawaj natychmiast paczkę albo się pochlastam.

- Opowiedz mi, jak wygląda ten twój plan.

Zamordowany mężczyzna zachichotał jej do ucha i Kate zawahała się.

- Knox, Knox. - Wbiła wzrok w dal, powtarzając to nazwisko niczym modlitwę, mającą jej zapewnić bezpieczeństwo. - Knox to moje ubezpieczenie. Paul zrobiłby wszystko, żeby go osłonić. Jeżeli uda mi się namówić Knoksa, żeby z nim pogadał, to Paul na pewno zostawi mnie w spokoju.

Bernie pochylił się i cichym głosem spytał:

- Kto to jest Knox?

- Jak mi oddasz paczkę, to ci powiem. - Uśmiechnęła się do niego kokieteryjnie, jak dawniej, ale splaszczony nos nadawał jej groteskowy wygląd.

- Jesteś pierdolnięta. I wyglądasz jak lumpiara.

- Odpieprz się ode mnie.

Bernie wstał i zabrał się do sprzątanía. Wziął talerzyk z herbatnikami i zgarnął na niego okruchy. Kate nagle poczuła, że go nienawidzi. Zrozumiała w jednej chwili, że zrobi dosłownie wszystko, że jest zdolna do najgorszych rzeczy, żeby go skrzywdzić i zmusić do zwrotu paczki.

- Zadzwoń do rodziców.

Spojrzał na nią z góry i krew odpłynęła mu z twarzy, która poszarzała nagle jak papier.

- Zadzwoń do nich, podam im twój adres i powiem, gdzie pracujesz. A wtedy przyjadą, żeby cię odwiedzić.

Twarz mu stężała. Sprawiał wrażenie chorego, jak w dzieciństwie, kiedy czuł się w domu jak w pułapce -czyli prawie zawsze. Popatrzył na zegarek.

- Jak chcesz, to dzwoń. Nie mam tu telefonu i kiedy wrócisz z budki, nie będzie mnie w domu. A jeżeli rodzice zobaczą, do jakiego stanu się doprowadziłaś, jeszcze dziś po południu znajdziesz się w klinice odwykowej.

-Więc zadzwonię do nich jutro - odpowiedziała, wiercąc nożem w jego otwartej ranie. - Wiesz, że w końcu przyjadą.

Bernie pozwolił, żeby okruchy spadły z talerza na dywan, i zwiesił bezwładnie rękę.

- Gównu mnie to obchodzi, Katie.

Ale nie było mu to obojętne. Widziała, jak drży.

- Wystarczy, że oddasz mi paczkę.

- Wyrzuciłem ją.

- Ty mały, wstrętny chujku.

Wstała i z całej siły uderzyła go w twarz. Wypuścił talerz z ręki i oddał jej policzek. Poczuł, jak jej obwisły nos ociera się o grzbiet jego dłoni. Kate zachwiała się i wylądowała na kanapie, trzymając się za nos, bo Bernie uderzył ją tak mocno, że zaczęła krwawić.

Wyprostowała się, skrywając twarz w dłoniach, a między palcami bulgotała jej krew. Spojrzała na niego i ostrożnie przechyliła głowę na bok, zalewając całą kanapę krwią. Potem oderwała ręce od twarzy i uśmiechnęła się na widok swoich zakrwawionych palców.

- Jeżeli Paul znajdzie mnie bez paczki, zabije mnie. Na twojej kanapie jest pełno mojej krwi. Przyjedzie policja, od kryje te ślady i dojdzie do wniosku, że to ty mnie zabiłeś. Więc teraz już nie masz wyjścia: musisz mi oddać paczkę.

Wahał się; widziała to dobrze.

- Bernie... - Kate wyprostowała się, trzymając rękę pod nosem. - Bernie, muszę odzyskać mój becik, żeby dojść do siebie i załatwić całą tę sprawę. Proszę cię... Nie chcę, by jeszcze komuś stała się krzywda. Jeżeli sama nie rozwiążę swoich problemów, zginiemy oboje. Dobrze o tym wiesz, prawda?

Bernie obrzucił ją wzrokiem.

- Wyciągnij wszystko i umrzesz.

- Popatrz na mnie, Bernie. Mam plan. Jestem **twarda** jak skała. Gdyby jutro nastąpił koniec świata, tylko ja wy-

szałabym cało z katastrofy, a potem okradałabym sklepy z galanterią i jubilerów. Jestem twarda jak skała. - Roześmiała się z tego porównania, wycierając nos z ostatniej strużki krwi.

Bernie przyglądał się jej ze smutnym uśmiechem. Kochał ją i pragnął, żeby wszystko było inaczej - wolałby, żeby zostali przyjaciółmi i opiekowali się sobą nawzajem, zamiast uciec z domu w dwóch przeciwnych kierunkach przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Śmiejąc się z niego, Kate usłyszała jakby gniewne westchnienie: zabity mężczyzna też śmiał się gdzieś w głębi jej ucha.

2

Przed gmachem szpitala Paddy znowu ogarnęło przerażenie. Na parkingu stało mnóstwo samochodów osobowych i kilka półciężarówek. Wszystkie miejsca były zajęte, z wyjątkiem tego kąta, gdzie wczorajszej nocy zaparkował Billy. Poczerniałe od ognia miejsce parkingowe ziało pustką. Starała się tam nie patrzeć, ale kątem oka widziała spaleniznę, jak również ślady sadzy na pobliskich domach. Chociaż usunięto już wrak auta, na popękkanym asfalcie pozostał po nim ślad. Na ścianie szpitala i na ziemi widniała wielka mokra plama - pamiątka po interwencji straży pożarnej.

Paddy przeszył dreszcz. Ogarnęło ją niesamowite poczucie, że większość sadzy na budynku szpitala pochodzi z ciała Billy'ego - z jego zwęglonej skóry. Żal ścisnął jej krtań. Miała ochotę usiąść na szpitalnych schodach, skryć twarz w dłoniach i płakać. Wczoraj widziała tylko jego szarpane skurczami nogi - pięty, tłukące o nawierzchnię parkingu, i otaczających go ludzi w białych kitlach.

Podniosła wzrok na szpital. Każdego dnia na pewno rozgrywa się tu ze sto podobnych rozzdzierających tra-

gedii, a w weekend dwa razy tyle, i ta myśl - myśl, że jest jedynie częścią ogromnej fali strachu i rozpacz - w pewien sposób dodała jej otuchy. Wszyscy byli dzielni, więc gdyby i ona nie zachowała odwagi, zawiodłaby swoją drużynę.

Przy wejściu panował duży ruch, bo personel medyczny i odwiedzający chorych goście ciągle wchodzili i wychodzili z gmachu. Do stojących w holu automatów dostarczono właśnie zaopatrzenie - puszki z sokami i pudełka chrupiek. Paddy przystanąła w rozgorączkowanym tłumie i spojrzała na tabliczki informacyjne na ścianie, by znaleźć właściwy oddział. Okazało się, że mieści się w najdalszym zakątku gigantycznego gmaszyska.

Wędrując korytarzami w kierunku wskazanym przez strzałki, minęła oddział onkologii i przypomniała sobie swojego przyjaciela, doktora Pete'a, który kiedyś tu leżał. Zmierzył ją spokojnym, nieustraszonym spojrzeniem i oświadczył, że umiera. Brakowało jej go. Brakowało jej też Terry'ego Pattersona. Teraz, kiedy o tym pomyślała, nagle zabrakło jej wszystkich znajomych, kurwa mać, i zapragnęła przenieść się gdzieś w czasie. Chciała pracować w dzień. Chciała, żeby jej ojciec dostał jakąś pracę, żeby skończyła się już menopauza jej matki i żeby mogła cofnąć zdarzenia wczorajszej nocy. Poza tym żałowała, że pieprzyła się z tym Georgem Burnsem, kurwa. Chciała, żeby Mary Ann nie stała się fanatyczką religijną i żeby Sean był nadal jej chłopakiem. Chciała być szczupłą.

Szła niemal tanecznym krokiem ze zwieszoną głową, tak zamyślona, że omal nie przegapiła wejścia na oddział 7H. Łatwo było go nie zauważyć, bo drzwi znaczyła jedynie mała wywieszka na ścianie. Odwróciła się, odetchnęła głęboko, przygotowując się w duchu na straszny widok, i dopiero potem przekroczyła próg.

Znalazła się w niewielkiej poczekalni, pomalowanej na uspokajający, bladoliliowy kolor, którego widok wprowił

ją w lekką panikę. Jakaś sympatyczna, dystygowana kobieta uśmiechnęła się do niej zza biurka, pytając, czy może w czymś pomóc. Paddy podała nazwisko Billy'ego i przyglądała się twarzy pielęgniarki w poszukiwaniu jakiejś reakcji, niechęci albo czegoś w tym rodzaju - nie była pewna, czego. Kobieta uśmiechnęła się i spojrzała na leżący przed nią grafik.

- Jest pani członkiem rodziny, skarbie?

- Nie, pracuję... Pracowałam z nim. - Paddy wskazała kciukiem ścianę, za którą, jak jej się wydawało, znajdował się parking.

Pielęgniarka zmierzyła ją badawczym spojrzeniem.

- Nie chcemy odwiedzających, którzy mogą stracić panowanie nad sobą - powiedziała ostrożnie. - Nie wolno denerwować pacjentów. Da pani sobie radę? Zachowaj pani spokój?

Paddy skinęła głową, chociaż wcale nie była tego pewna.

- Czy jest teraz u niego ktoś z rodziny?

Pielęgniarka skinęła głową.

- Na pewno się ucieszą z pani odwiedzin. - Wstała i otworzyła drzwi, wskazując nędzny korytarzyk pomiędzy boksami o pomalowanych białą emulsją ściankach. Paddy bywała na innych oddziałach tego szpitala i wiedziała, że takie przepierzenia i drzwi znajdują się tylko na oparzeniówce. Zapewne były tu potrzebne po to, żeby odwiedzający nie przyglądali się ugotowanemu żywcem, pokrytym bąblami pacjentom, leżącym w łózkach.

Podeszła cicho do drzwi, które wskazała jej pielęgniarka. Wokół słychać było popiskiwanie aparatury medycznej i szelest wykrochmalonej pościeli, ocierającej się o nawilżoną skórę. Ze ścian bił przenikliwy szpitalny zapach, w którym mięta przeważała nad lizolem.

Paddy delikatnie zapukała do drzwi, mając na poły nadzieję, że nikt jej nie odpowie, ale ochryply od papierosów

głos Billy'ego zaprosił ją do środka. Przekreśliła klamkę i otworzyła drzwi.

Na środku sali stało pojedyncze, wysokie, metalowe łóżko. Przy ścianie z tyłu widać było umywalnię, a obok szafkę, na której stał plastikowy dzbanek z sokiem pomarańczowym i szklanka.

Billy siedział wyprostowany na łóżku. Obok z jednej strony stała jego żona, a z drugiej na plastikowym krześle siedział młody człowiek, pogrążony w lekturze jakiegoś brukowca. Billy wyglądał na zdumionego, a zarazem przerażonego: miał opalone rzęsy i brwi, a jego spaloną twarz pokrywał jakby permanentny, głęboki rumieniec. Był w niebieskiej papierowej koszuli nocnej. Jego grubo owinięte białymi bandażami ręce przypominały nienaturalnie wielkie pałeczki kosmetyczne. Wydał się jej niższy niż zwykle i dopiero po chwili zrozumiała, dlaczego: bo brakowało mu włosów.

Odkąd go znała, *Bitty* nosił długie, *fajujące*, *siegające* ramion ondulowane włosy. Wiedziała, że ma trwałą, bo co noc uważnie przyglądała mu się z tylnego siedzenia. Najpierw tu i ówdzie dostrzegała pojedyncze proste włoski, a potem, po dwóch tygodniach, nagle wyraźnie prostowały się wszystkie, i wtedy Billy znów szedł do fryzjera i znowu robił trwałą. Fryzura, z którą poznała go przed czterema laty, już wówczas była niemodna od co najmniej pięciu lat, ale Paddy nabrała do niego niechętnego szacunku za tę konsekwencję. Tylko odważny mężczyzna gotów był zaryzykować przedwczesną łysinę z miłości do mody epoki muzyki dyskotekowej. Sean i jej bracia zawsze panicznie się bali, że stracą włosy.

Teraz jednak Billy będzie musiał pomyśleć o nowej fryzurze, bo jego trwałą zniknęła. Nad lewym uchem - którego, jak sądziła, nie dosięgnął ogień - pozostał mu wiecheć ondulowanych loków, ale poza tym czaszkę miał całkiem łysą, porośniętą jedynie maleńkimi kęp-

kami krótkich włosków i pokrytą różowymi, mięsistymi oparzelinami.

Zaskoczona i rozluźniona Paddy wybuchnęła nie-
miłym, przenikliwym śmiechem, po czym wskazała go
palcem. Żona Billy'ego i jego syn popatrzyli na nią z wi-
domym zakłopotaniem.

- Do jasnej cholery, Billy. - Paddy wsunęła się bocz-
kiem do pokoju. - A ja myślałam, że jesteś ciężko ranny.

Niemal rozbawiony Billy wyciągnął do niej swoje
olbrzymie, obandażowane dłonie.

- To dość poważna sprawa.

- Wiem - odparła Paddy. - Przepraszam cię, ale my-
ślałam, że będzie o wiele gorzej.

Żona Billy'ego przyglądała się jej agresywnie. Była przy-
sadzista i przypominała czołg. Ręce trzymała splecione
na wydatnych piersiach i brzuchu. Jej syn był podobnej
budowy ciała - choć młody i sprawny fizycznie niczym
piłkarz, prawie na pewno błyskawicznie przybrałby na
wadze, gdyby tylko miał ku temu okazję. Zerknął na matkę,
zrozumiawszy sygnał, jaki mu dała, słysząc, że jakaś obca
kobieta chichocze na widok jego poparzonego ojca.

- Nie wiadomo, czy zachowam sprawność w rękach -
powiedział Billy. - Może już nigdy więcej nie będę mógł
prowadzić samochodu. Poza tym wciąż boli mnie jak
diabli.

Paddy nie powinna była tego robić, ale poczuła taką
ulgę, widząc, że jej kierowca nie ma zdeformowanej twarzy,
że znowu się roześmiała.

Żona Billy'ego szeroko otworzyła oczy, ściągnęła usta
w ciup i podeszła bliżej.

- Kim pani jest, do jasnej anielki? - Miała chrapliwy,
chrzęszczący jak żwir głos palaczki i Paddy z daleka po-
czuła bijący od niej zapach dymu.

Billy osadził ją jednym, ostrym słowem:

- Agnes.

Syn chrząknął, osłaniając ręką usta, a Billy poprosił jego i matkę, żeby poszli do stołówki na herbatę i na dziesięć minut zostawili go samego z Paddy.

Zabrali swoje rzeczy. Żona Billy'ego rzuciła dziewczynie nienawistne spojrzenie i otarła się o nią ramieniem, wychodząc.

- Najadła się strachu - wyjaśnił Billy, kiedy zamknęły się za nimi drzwi. - Zawsze tak reaguje, gdy oblatuje ją strach.

- Od dawna jesteś żonaty?

- Pobraliśmy się, kiedy mieliśmy po siedemnaście lat.

A zatem od tamtej pory minęło już sporo czasu. Paddy usiadła na krześle, wygrzany przez jego syna, i zdała sobie sprawę, że Billy nie jest mężczyzną pierwszej młodości. W najlepszym razie dobiega pięćdziesiątki. Właściwie zawsze widywali się wyłącznie w ciemności, a ona zwykle oglądała tylko tył jego głowy i pewnie dlatego sądziła, że jest młodszy.

Patrzyli na siebie, uśmiechali się, i Paddy poklepała materac w symbolicznym geście.

- A więc tak teraz wyglądasz *en face*, Billy?

Podniósł obandażowane dłonie do twarzy.

- Naprawdę jest aż tak źle?

- Nie, masz tylko jak gdyby zakłopotaną minę.

- Nie pozwalają mi się przejrzeć. Boję się.

Rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś lustra, ale ponieważ nie było go w pokoju, otworzyła torebkę, wyciągnęła puderniczkę, otworzyła ją i podała mu. Billy przez chwilę przeglądał się w lusterku, ustawiając je pod różnymi kątami.

- Jestem czerwony, co?

Paddy skinęła głową i wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Boli?

- Ręce strasznie.

Nie mogła się przestać uśmiechać.

- Myślałam, że będziesz leżał w takim wielkim namiocie, cały wysmarowany kremem, i że nie będziesz miał powiek albo coś w tym rodzaju.

- Tego rodzaju przypadki leżą w sali obok.

Przez chwilę oboje kiwali głowami. Paddy zdawało się, że słyszy krzepiący szum policyjnego radia.

- Czy kiedy byliśmy wtedy u tej Burnett, widziałeś może, jak ktoś wchodził albo wychodził z domu?

Zastanowił się. -

Nie.

- A mogłeś widzieć coś, czego ja nie widziałam?

- Na przykład?

- Na przykład kogoś, kto okrążał dom? Jakiś samochód na ulicy albo coś dziwnego, co robili gliniarze?

Billy wrócił pamięcią na miejsce tamtego zdarzenia.

- Nie, wypaliłem tylko papierosa i obserwowałem, **jak** stoisz przy tych drzwiach. Nic więcej się nie działo.

- Opowiadałeś komuś o tej historii?

-Nie.

- No właśnie. A ja nie jestem taka małowówna. Kłapałam dziobem o interwencji w Bearsden po całym mieście. Sądzę, że chodziło im o mnie, ale przez pomyłkę załatwili ciebie. Bardzo cię przepraszam.

- Nie jestem do ciebie podobny.

- Oni nie wiedzą, jak wyglądam. A z tyłu, przez tę twoją fryzurę... - Nie chciała się nad tym rozwodzić, więc tylko przecesała ręką włosy z tyłu głowy. - Pomylili się, bo miałeś długie włosy.

- Myśleli, że jestem kobietą?

- Możliwe, że tak. Widziałeś coś przed wybuchem? Kogoś zbliżającego się do samochodu?

Billy zamyślił się. Spojrzał na swoje groteskowe ręce, spoczywające teraz na kolanach, i wtedy Paddy zauważyła, że jej kierowca ma nietknięte powieki. Potem Billy

popatrzył przed siebie, w miejsce, gdzie w samochodzie wisi lusterko wsteczne.

- Palę papierosa i czekam na ciebie. Nie mija wiele czasu. Słucham radia i czekam na jakieś wezwanie, ale nic dla nas nie ma. Jestem zły. Myślę o tobie i o tym, co robiłaś w aucie tego gliniarza. - Popatrzył z wyrzutem najpierw na nią, a potem na swoje dłonie. Podniósł prawy łokieć na wysokość wyimaginowanego okna w wozie reporterskim i skierował przypominający pałeczkę kosmetyczną palec w stronę swoich ust, głęboko wciągając powietrze do płuc i zerkając w lusterko. - Palę. Nagle z tyłu widzę jakiś cień. Szybko przemyka w lusterku. Nie wiem, kto to, ale jest ubrany na czarno. A po chwili, szszsz! Wszędzie ogień.

Zapytała, czy cień, który widział, mógł być cieniem potężnego, łysego faceta, ale Billy odpowiedział, że widział go tylko od szyi w dół i że właściwie nie, nie wydawał mu się zbyt potężny, raczej szczupły. Czy widział jakiś samochód, stojący za ich autem? Na to pytanie Billy roześmiał się tylko, otwierając usta i wydając odgłos przypominający kaszel, by nie napinać mięśni policzków.

- Myślisz, że gość mógłby zaparkować za mną, a potem podbiec i wrzucić mi do wozu bombę zapalającą? Poza tym na parkingu oprócz nas stał tylko jeden samochód. Przyjechał, kiedy weszłaś już do środka, a kierowca zaparkował w takim miejscu, jakby miał coś do załatwienia w szpitalu.

- Czy to przypadkiem nie był czerwony ford?

- Nie. Nie zauważyłaś tego auta? To było bmw.

Easterhouse

1

Była straszliwie zmęczona. Kręciło się jej w głowie, a górny pokład autobusu zalatywał dymem niczym migdałki palacza. Miała w torebce paczkę chrupek, ale ogarnęły ją takie mdłości, że nie miała najmniejszej ochoty jeść. Bolał ją także brzuch, siedziała jednak bez ruchu, patrząc, jak za szybą przesuwa się miasto.

Lafferty niewątpliwie gdzieś tam krąży i szuka jej. Na pewno już się dowiedział, że nie było jej w aucie, więc krąży wściekły po mieście niczym głodny pies. Przygnębiona i pełna obaw o swoją rodzinę, Paddy wsparła głowę o szybę. Kazała matce siedzieć murem w domu, poprosiła ją, żeby nie pozwoliła Mary Ann za często wychodzić i powiedziała, żeby wszyscy trzymali się z dala od okien. Nie wspomniała nic o bombie zapalającej ani o Billym, bo nie chciała napędzić Trishy strachu, wyjaśniła tylko, że ktoś jej szuka i może odwiedzić ją w domu. Dodała też, żeby matka od razu zadzwoniła na policję, jeżeli zobaczy na ulicy bmw albo czerwonego ford. Gdyby Trisha była w normalnym stanie, zaczęłaby płakać w słuchawkę i błagać córkę, żeby wróciła do domu, ale popadła w jeden z tych swoich dziwacznych nastrojów i wydawała się raczej rozgniewana i burkliwa, jak gdyby

Paddy wywyższała się i robiła wokół siebie niepotrzebne zamieszanie.

Domy stojące wzdłuż szerokiej Edinburgh Road stanowiły jakby linearną mapę stu lat budownictwa komunalnego, począwszy od krzaczastych splączki ubłoconej trawy, porastającej marzenia o ogrodzie w mieście, a skończywszy na wysokich apartamentowcach. Od czasu do czasu autobus przejeżdżał wzdłuż szeregu niewyburzonych jeszcze czynszówek, pozostałości po dawnej architekturze, która sprawdzała się w mieście od kilku wieków.

Dzielnica Easterhouse liczyła sobie zaledwie dwadzieścia lat, ale w tym krótkim czasie zyskała opinię jednego z najniebezpieczniejszych gett Europy. Powstała jako część większego projektu z dziedziny inżynierii społecznej, który podzielił socjalistyczne miasto na niedostępne wysepki, otoczone autostradami. Najbardziej niezadowoleni mieszkańcy centrum zostali przesiedleni do dzielnic podmiejskich, które od spontanicznych wybuchów niepokojów społecznych dzieliła długa podróż autobusem. Pozbawieni wspólnego wroga, rozgoryczeni ludzie zaczęli wtedy walczyć między sobą, a gangi uliczne powstawały tu jak grzyby po deszczu. Gdyby Easterhouse miała własny herb, powinny się na niego składać symbole opilstwa, medycyny i rozpachy. Co najmniej jedna trzecia tutejszych mieszkańców pobierała rentę inwalidzką i okupowała mroczną strefę pomiędzy długotrwałym, skrajnym ubóstwem i chorobą.

Nie należało się tu włóczyć po ulicach. Gangi miały charakter terytorialny i napadały na każdego, kto ośmielił się wkroczyć na ich teren. Najgorzej było w nocy: Paddy, która jeździła czasem tędy na skrót z Billym, wiedziała, że chłopcy z kijami i nożami w rękach, czujni niby hieny, wałęsają się po okolicy grupkami, obserwując przejeżdżające samochody. Liczyła na to, że w dzień nie będzie tak źle.

Jednak poczuła się zagrożona, kiedy tylko wysiadła z autobusu. Przystanek znajdował się na granicy ugoru, a wszystkie domy stały w znacznej odległości od ulicy. Kilka budynków w zasięgu jej wzroku wyłożono włóknem szklanym, więc bijące na ich tyłach światło sprawiało, że połyskiwały niczym skóra na bębnie. Na ulicy i w trawie wały się rozbite i porzucone butelki. Na ich widok Paddy zrozumiała, że znajduje się daleko od małomiasteczkowej przytulności Rutherglen.

Błotnistą drogą przemykała w jej kierunku jakaś kobieta pchająca dziecięcy wózek. Na głowie miała kaptur, chociaż nie padało, i szła ze spuszczoną głową. Na odległym horyzoncie, przed linią domów, bawiły się pozostawione bez opieki dzieci. Biegały po placu zabaw, gdzie ktoś złośliwie owinął sznury huśtawek wokół poprzeczki i spalił karuzelę, której zwęglona drewniana podstawa przypominała teraz pokryty sadzą kikut. Doszedłszy do rogu, Paddy ruszyła dalej w kierunku centrum handlowego, zgodnie z informacją na drogowskazie.

W końcu dotarła do szeregu nędznych sklepów. Trzy z nich były zamknięte. Ich okna i drzwi przed atakiem miejscowych rabusiów chroniły żaluzje przeciwwłamaniowe. Otwarty był jeszcze tylko sklep spożywczy i centrum porad prawnych, a także zakład bukmacherski o oknach zabitych deskami i z wesołym szyldem z napisem „Ciagle jesteśmy otwarci!”, jakby mającym zachęcać chuliganów do kolejnego aktu wandalizmu.

Easterhouse Law Centre mieściło się w mało atrakcyjnym szeregowcu wśród sklepów i nie wyróżniało się niczym poza plakatem w oknie. Szyba w drzwiach pokryta była różnymi wywieszkami i ogłoszeniami, na przykład żółtymi karteczkami z terminami zebrań grupy wsparcia dla byłych więźniów, zawiadomieniami o zmianie miejsca spotkania ruchu praw lokatorów albo informacjami na

temat zwrotu kosztów za odwiedzin u osób osadzonych w zakładach karnych.

Kiedy Paddy otworzyła drzwi, karteczki sfrunęły z trzepotem na podłogę do wtóru wesołego pobrzękiwania dzwonka. Dziewczyna schyliła się i zaczęła zbierać ogłoszenia, a potem odwróciła się do drzwi, żeby powiesić je z powrotem na miejscu.

- Niech pani to zostawi - odezwał się chrapliwy głos. - Proszę mi je dać.

Wyciągała do niej rękę jakaś kobieta. Krótko ostrzyżone, żółto-czarne, ciemne włosy z jasnymi pasemkami nadawały jej wygląd osy. Była młoda, mniej więcej w wieku Paddy, ale miała mocno zaciśnięte usta i zmarszczki wokół oczu, które często instynktownie mrużyła. Zmierzyła Paddy wzrokiem od stóp do głów, przechylając głowę na bok, jak gdyby nie mogła do końca uwierzyć, że życie zmusza ją do oglądania takich widoków.

Paddy podała jej kartki, spodziewając się choćby zdawkowych podziękowań, a ponieważ ich nie usłyszała, zdezorientowana sama podziękowała kobiecie, nie wiadomo za co. Nieznajoma zmarszczyła brwi, jakby Paddy narobiła jej w kieszeń, więc dziewczyna machinalnie powiedziała „przepraszam”, na co kobieta znów spojrzała na nią z obrzydzeniem.

Wróciła na swoje stanowisko, wyrzucając ogłoszenia do kosza, jak gdyby nie mogła ich dłużej trzymać w ręku, i usiadła za usłanym papierami biurkiem, na którym stała maszyna do pisania. Piętrzącą się obok stertę zużytej kalki maszynowej wieńczyła purpurowa puszka z jakimś napojem chłodzącym, a dalej stała pełna niedopałków popielniczka.

Paddy rozejrzała się po pokoju, by się zorientować, czy nie ma tu kogoś innego, z kim mogłaby porozmawiać. Zauważyła drugie puste biurko, ale arogancka fertyczna kobieta była sama. Wyciągnęła papierosa z paczki mar-

Iboro, zapaliła go jednorazową zapalniczką, wyprostowała ramiona i znów przyjrzała się Paddy, domyślając się, że ta nie przyszła tu szukać porady prawnej. Impertynencko dmuchnęła jej dymem w twarz.

- Jest pani akwizytorką?

- Nie. - Paddy podeszła bliżej. - Chciałam zadać pani parę pytań na temat Marka Thillingly'ego.

Fertyczna kobieta przymrużyła oczy.

- No cóż, Mark nie żyje. Podobno popełnił samo bójstwo. - Na chwilę zamknęła oczy i zaciągnęła się dymem.

Paddy domyśliła się, że w tym przybytku obcesowość może uchodzić za uczciwość i szczerłość.

- Wiem. Widziałam, jak wyciągali go z rzeki.

Kobieta skrzywiła się, ale spojrzała na Paddy z na nowo rozbudzonym zainteresowaniem.

- Kim pani jest?

- Nazywam się Paddy Meehan. Pracuję w „Scottish Daily News”. - Wyciągnęła rękę, której kobieta jednak nie uścisnęła, więc Paddy przysunęła sobie krzesło, stojące przy drugim biurku, i usiadła. - A zatem, Mark Thillingly... - Wyjęła notes. - Pracował tu, prawda?

- Owszem. Pracował. - Kobieta zawahała się. - Pracował tu...

- Czy kiedykolwiek mówił coś o swojej znajomej, niejakej Vhari Burnett?

- Tak, ona też tu kiedyś pracowała. Mark zatrudnił ją u nas w czasie wakacji, jeszcze jak studiowała.

- Była już pani wtedy pracownikiem Easterhouse Law Centre?

- Owszem. W tamtych latach Vhari i Mark chodzili ze sobą. Dopóki nie pojawiła się Diana i go jej nie odbiła. - Kobieta mocno ssła papierosa i zaciągała się, a Paddy poczuła ucisk w gardle na wspomnienie swojej nikotynowej biesiady w oranżerii u Diany przed dwoma dniami.

- Wołałam Vhari niż Dianę. W naszym centrum pani Burnett miała do czynienia z hołotą, której pomagała na przykład wypełniać formularze dla opieki społecznej, chociaż nie dostawała za to żadnego wynagrodzenia i wcale nie musiała tego robić. Ale ona była gotowa na wszystko.

- Czy Mark też był tak bardzo zaangażowany w tę pracę?

- Tylko w jej obecności. Przy sobie robili się mili. - Kobieta uśmiechnęła się na to idiotyczne, gejowskie słowo. - Wie pani, co mam na myśli?

- Doskonale - odpowiedziała Paddy.

Istniało niebezpieczeństwo, że i one zaczną zaraz być dla siebie miłe. Kobieta znowu zaciągnęła się dymem i spojrzała na Paddy spod przymrużonych powiek, zła na siebie, że pierwsza porzuciła arogancki ton.

Paddy wsadziła nos w notes, by przestać się uśmiechać.

- Zna pani jakieś sprawy, nad którymi Mark i Vhari pracowali wspólnie?

- Nie pracowali razem. Każde z nich prowadziło swoje własne sprawy.

- A czy przychodzi pani do głowy ktoś, kto zaglądał do was po porady prawne, a mógł znać ich oboje?

Wzruszyła ramionami.

- Myślę, że prawie wszyscy nasi klienci. Wszyscy wiedzieli, że Mark i Vhari są parą.

- A kto odwiedzał wtedy wasze biuro?

- Nie wiem. - Nawet nie zastanowiła się nad tym pytaniem. - Różni ludzie.

- Więc nie prowadziliście w tamtym okresie żadnych wyjątkowych spraw? Na przykład dla jakichś gangsterów?

- Nie. Nie zajmujemy się sprawami kryminalnymi. Pomagamy tylko ludziom w kwestiach socjalnych i załatwiamy refundację kosztów odwiedzin w zakładach karnych. Wszystko to są drobne sprawy cywilne.

- Proszę pani... - Paddy pochyliła się, kładąc ręce na stole. - Jak się pani nazywa?

Kobieta wyduła wargi.

- Evelyn McGarrochy.

- Rozumiem, że nie czytasz gazet, Evelyn?

- Prasa kłamie.

- Przykro mi, że właśnie ja muszę ci to powiedzieć: policja uważa, że panią Burnett zamordował Mark.

Evelyn McGarrochy straciła nagle cały animusz: przygarbiła się i otworzyła usta ze zdziwienia, a rysy jej twarzy nieoczekiwanie złagodniały.

Paddy zrozumiała nagle, dlaczego policjanci, którzy we wtorek zapukali w środku nocy do drzwi domu Marka Thillingly'ego, podchodzili do nich ze spuszczoneymi głowami. Pani McGarrochy wyglądała teraz równie okropnie, jak wtedy Diana.

Wreszcie Evelyn odezwała się.

- Dlaczego?

- Bo następnego dnia popełnił samobójstwo.

Evelyn spuściła wzrok i zobaczyła, że z jej papierosa pozostał już jedynie smołowały niedopalek. Wyrzuciła go do popielniczki i powoli wyciągnęła z paczki następną fajkę, wkładając ją sobie do ust letargicznym ruchem niczym cukrzyk, zjadający kandyzowane owoce. Paddy zapaliła zapałkę i podała jej ogień. McGarrochy zaciągnęła się. Zmarszczyła czoło i Paddy zrozumiała, że jej nowa znajoma nie wierzy w tę hipotezę.

- Pracujesz tu codziennie?

Evelyn zamrugała powiekami i powróciła myślami do biura.

- No tak. Właściwie tak. Chyba że jestem chora.

- Byłaś w pracy w ubiegły poniedziałek?

- Owszem.

- Mark też?

Skinęła głową i wskazała stojące z tyłu biurko.

- Siedział tam.
- O której skończyliście?
- Około szóstej. - Wzruszyła ramionami. - Mieliliśmy sporo roboty.

- A następnego dnia? Czy Mark we wtorek przyszedł do pracy wcześniej?

Evelyn w odpowiedzi pokiwała palcem, rozsypując popiół na stos kalki.

- W ogóle nie przyszedł.

- Co się z nim działo? Telefonował do pracy?

- Powiedział, że jedzie zobaczyć się z Bernie i że bym nie mówiła o tym Dianie. Gdyby zadzwoniła, miałam jej powiedzieć, że po prostu gdzieś wyszedł.

- Kto to jest Bernie?

- Brat Vhari.

- A gdzie Mark pojechał się z nim spotkać?

- Do jego warsztatu samochodowego w Yorkhill.

Paddy oblizwała usta, zapisując to wszystko w notatniku.

A zatem następnego dnia po morderstwie Thillingly nie przyszedł do pracy, tylko pojechał zobaczyć się z bratem Vhari. Gdyby ją zamordował, zapewne by tego nie zrobił.

- Czy pani wie, co oni jej zrobili? - Evelyn ściszyła głos.
- Jak zginęła?

Paddy nie mogła jej powiedzieć o zębach, wynajętych zbirach ani dwóch krokach na wolność, których Vhari postanowiła nie robić.

- Zdaje się, że czymś ją uderzyli. Policjanci mówili, że umarła szybko. Bandydzi chcieli ją chyba tylko nastraszyć, ale przesadzili.

Evelyn potrząsnęła głową i śmiało spojrzała jej w oczy.

- Mark nie zamordował Vhari. Zerwali ze sobą, ale zostali kumplami. Mark był łagodnym człowiekiem, wie pani? Na nikogo nie podniósłby ręki.

- Rozmawiałam z Dianą. Powiedziała mi, że w poniedziałek Mark został tu napadnięty.

Evelyn kaszlnęła ze zdumienia i wydmuchnęła z płuc strumień kwaśnego dymu.

- Co takiego?

- Przed waszym biurem. Na parkingu. Wrócił do domu cały mokry, bo upadł w kałużę i miał rozbity nos.

Evelyn usiłowała sobie przypomnieć tamten poniedziałek.

- Machałam mu na pożegnanie, jak wsiadał do samochodu. Kiedy wyszliśmy z biura, nie było jeszcze nawet całkiem ciemno.

- O szóstej?

- Tak. Dopiero zapadał zmrok.

- Widziałaś, jak Mark odjeżdżał?

Znów wyteżyła pamięć.

- Nie, teraz sobie przypominam, że nie. Zwykle jak czekam na autobus, Mark mija mnie w aucie, jadąc w drugą stronę, i na ogół do mnie macha, ale tamtego wieczoru go nie widziałam. Strasznie wtedy lało i przemoczyłam nogi. Ale nie, nie widziałam, żeby przejeżdżał tamtego dnia koło przystanku.

- Mielicie jakichś interesantów w ciągu dnia? Czy ktoś się tu kręcił?

- Nie, chyba nie.

- A później, po poniedziałku? Widziałaś jakieś samochody, które parkowały przed biurem na ulicy albo na parkingu?

Evelyn zaczęła przecząco kręcić głową, która po chwili jednak znieruchomiała.

-Owszem, widziałam jeden samochód. Chyba dość szczególny. Tu w ogóle nie widuje się zbyt wielu aut. A to było czarne. Lśniące. Nowiutkie.

- Nie pamiętasz przypadkiem numeru rejestracyjnego?

-Nie.

- A może wiesz, jakiej marki był ten wóz?

Oczy Evelyn przez chwilę przesuwały się po stole.

- Nie - odparła w końcu. - Nie mam prawa jazdy. I nie znam nikogo, kto ma. Nie interesuję się samochodami.

Rozdział dwudziesty piąty

Czerwony ford

1

Paddy stała na szczycie schodów, a nocny wiatr wzbijał rzadkie tumany pyłu nad pustą drogą. Poczula piach na policzku i we włosach i zlekła się, że coś jej wpadnie do oka. Po chwili wsunęła notes do kieszeni i zbiegła na ulicę.

Sean widocznie obserwował drzwi i zobaczył ją, bo uruchomił już silnik. Kiedy podjechał do krawężnika u stóp schodów, Paddy nachyliła się do okna.

- Było jakieś wezwanie? -

Co?

- Czy dostaliśmy jakieś ważne wezwanie? Zakłopotany Sean obrzucił wzrokiem radio, **a potem**

znów spojrzał na nią.

- Nie. Nie wiem. A coś się stało?

Zjechał do krawężnika po prostu z nadgorliwości, nie z powodu wezwania.

- Mniejsza z tym. - Paddy otworzyła tylne drzwi i wsiadła. - Ale słuchałeś chyba radia, co?

- Słuchałem, żeby się dowiedzieć, czy policyjny dyspozytor wyśle gdzieś radiowóz - odpowiedział, powtarzając jej instrukcje słowo w słowo. - Ale nic się nie działo.

- W porządku. Dobra robota. A teraz pojedziemy na komendę w Partick Marine.

Patrzył na nią zmieszany, gdy Paddy usiłowała sobie przypomnieć, jak tam dojechać. Nigdy wcześniej nie musiała zawracać sobie tym głowy.

- Jedź na Partick Cross, a stamtąd cię poprowadzę.

- Okej - uśmiechnął się do niej. - Ty tu rządysz. Sean

był usłużny i pomocny, co wydawało się jej nieco przerażające. Z radością przyjął propozycję pracy, choć tylko tymczasowej, Paddy miała jednak przeczucie, graniczące z pewnością, że kiedy redakcja dostanie kserokopię jego prawa jazdy i dowie się, że zdał egzamin zaledwie przed dwoma dniami, zwolnią go i zatrudnią kogoś starszego, na kogo nie będą musieli wydać równowartości jego drugiej pensji, żeby wykupić mu ubezpieczenie. Mimo to Sean miał zapewnioną doskonale płatną robotę na najbliższą przyszłość. Zarabiał prawie tyle, ile Paddy, która dobrze wiedziała, że wraz ze stażem pracy rosną też zarobki.

Siedzieli w nowszym samochodzie niż ten, którym jeździła z Billym - był srebrny i Paddy czuła się w nim jak w puszcze po konserwach. Wprawdzie blacha w środku pokryta była plastikiem, ale połyskiwał spod niego metal. Podczas jazdy wóz trząsał się na drodze, a wszystkie zegary w desce rozdzielczej wydawały się jej umieszczone za daleko od siebie. Pomyślała, że pewnie podają bez wyjątku ważne informacje. Po chwili uświadomiła sobie, że po omacku szuka złamanej klamki w drzwiach i niewielkiego rozdarcia w tapicerce, które pamiętała z samochodu Billy'ego, i że brakuje jej rytmu jego równej, płynnej jazdy.

Sean hamował gwałtownie na czerwonych światłach, sztywno brał zakręty i kłął pod nosem, kiedy napotykał na drodze coś nieprzyzwoitego, jak przechodzień albo autobus. Cieszyła się, że to ona jest jego pierwszym pasażerem, bo styl jego jazdy nie maskował braku doświadczenia.

Przemykał przez miasto, przyhamowując co chwila i kołując w drodze do Partick Cross, gdzie Paddy kazała mu zjechać z głównej ulicy pod budynek komendy i poprosiła, żeby się przed nim zatrzymał.

- Po prostu czekaj tutaj i nasłuchuj, czy nie ma wezwań przez radio.

- Tak jest, szefie.

Zacisnęła już dłoń na klamce.

- Przestań mnie tak nazywać. Dostaję od tego pierdolca.

- Wedle rozkazu, szefie.

Wysiadła i podchodziła już do ogromnych drzwi, kiedy obejrzała się za siebie i zobaczyła go: czerwony ford stał w pobliżu komendy, nie usiłując nawet skryć się w jakiejś bocznej uliczce albo w mrocznym cieniu.

Zatoczyła się i przystanęła, a wtedy nagle przysła jej do głowy straszliwa myśl: Sean jest bezbronny w samochodzie. Z mocno bijącym sercem pobiegła z powrotem i otworzyła drzwi tak silnym szarpnięciem, że omal się nie przewróciła. Sean nie miał nawet czasu zrobić zdumionej miny, bo Paddy natychmiast wyciągnęła go za ramię z auta. Zwolniła uścisk dopiero, gdy klęczał już na jezdni.

- Kurwa, o co ci chodzi?...

- O ten samochód - odpowiedziała, ciężko dysząc.

- Jego kierowca mnie śledzi.

Sean wstał, otrzepując z kolan piach i błoto.

- Weź głęboki oddech i powiedz mi, co się stało.

-Ten samochód... - Paddy zakreśliła Seanem i wskazała auto. - Ten czerwony ford stał tutaj w zeszły piątek, a wcześniej... Wcześniej też go widziałam.

- Takich samochodów jest wszędzie pełno. - Sean zgiął nogi w kolanach i przyjrzał się fordowi. - Poza tym nikogo tam teraz nie ma.

- Bo pewnie policja przesłuchuje właśnie kierowcę.

- Paddy pociągnęła go za ramię. - Chodź ze mną.

W poczekalni panowała cisza, gdyż na komendę spłynął już zrezygnowany spokój nocnego dyżuru. Paddy wskazała Seanowi krzesło pod ścianą. Usiadł, ale podchodząc do niego, posłał jej niechętnie spojrzenie, poczuwszy się jak pies, pozostawiony przed wejściem do supermarketu. Zauważywszy Paddy, Murdo McCloud podniósł rękę w powitalnym geście.

- Jesteś, kochanie - zawołał. - Słyszałem o twoim kierowcy i o tej bombie. Nic ci się nie stało?

- Murdo, powiedz mi, kto jest teraz u was na przesłuchaniu?

- W tej chwili? - Potrząsnął głową w odpowiedzi. Paddy wiedziała, że nie może jej odpowiedzieć na takie pytanie. Przesłuchanie to delikatna sprawa, którą policjanci muszą utrzymać w tajemnicy, jeśli chcą zdobyć pożyteczne informacje. Dopiero kiedy nie mają innego wyjścia, straszą czasem danego bandziora ujawnieniem faktu, że był przesłuchiwany, bo gdyby na mieście rozniosła się pogłoska, że rozmawiał z glinami i miał im coś ciekawego do powiedzenia, prawdopodobnie nie wróciłby już do domu.

- Nie bój się, to nie jest żadna podpucha - powiedziała. - Samochód stoi przez komendą, więc jego właściciel najwyraźniej nie kryje się z wizytą na policji.

Murdo pokręcił znów głową, ale było widać, że mięknie.

- No, nie wiem.

- To duży, czerwony ford. Chyba sportowy. Na dobrą sprawę stoi przed samym wejściem.

Murdo zastanawiał się przez chwilę, odwracając wzrok i nasłuchując odgłosów, dobiegających z wnętrza komisariatu, a potem skinął głową w stronę drzwi.

- No dobrze, chodź ze mną. - Wstał, zbiegł hałaśliwie po trzech drewnianych stopniach i ruszył przez poczekalnię starczym truchtem, unosząc wysoko łokcie i robiąc

tylko nieznacznie większe kroki niż podczas marszu. - Ale musimy się pośpieszyć.

Podbiegli oboje do drzwi i otworzyli je. Paddy wyszła na ulicę i wskazała auto, a Murdo stanął przed wejściem i przyjrzał mu się uważnie. Potem kiwnął z zadowoleniem głową i wbiegł z powrotem do środka, przyciskając pięści do piersi i śpiesząc się, jakby goniły go upiory.

Gdy Paddy weszła z powrotem do poczekalni, McCloud stał już za biurkiem, dysząc ciężko i uśmiechając się. Był nieco podekscytowany, bo złamał obowiązujące w policji zasady.

- To nie jest bandziorska bryka - zadyszał.

- Skąd możesz być tego pewny?

- Należy do jednego z młodszych funkcjonariuszy. Niedawno został do nas przeniesiony.

- Znam go?

- Nie wiem. To młody chłopak, jest u nas od niedawna. Dostał przeniesienie, jak już powiedziałem. Nazywa się Tam Gourlay.

Gourlay. Zapewne przypuszczał, że już rozpoznała jego wóz, bo wcześniej widziała go przed swoim domem, Paddy jednak ani trochę nie znała się na samochodach. Zastanawiała się, czy nie powiedzieć o tym wszystkim Seanowi, ale nie zrozumiałby, co jest takiego niepokojącego w tym, że Gourlay stał przed jej domem. Tam początkowo próbował ją zastraszyć, jeszcze przed złożeniem zeznań - kazał jej uważać na to, co powie. A teraz ktoś przeniósł go do Partick Marine, czyli na komendę, gdzie Sullivan prowadzi śledztwo w sprawie laski z Bearsden.

- Boże, no oczywiście, przecież to Tam - odpowiedziała, próbując uśmiechnąć się radośnie.

- Ach, więc go znasz?

- Bardzo dobrze. Jego żonę i dziecko też. Jesteśmy mniej więcej w tym samym wieku.

Murdo był już stary i nie zauważył nic podejrzanego, chociaż obrzucił ją badawczym spojrzeniem.

- Ach, no tak. Rozumiem.

- A gdzie on teraz jest? Murdo zrobił asekurancką minę.

- Ma nocny dyżur.

- To wiem. Przez ostatnie dwa miesiące ciągle na siebie gdzieś wpadaliśmy. - Paddy pochyliła się ku niemu konfidencjonalnie. - Spotkaliśmy się pod domem Vhari Burnett tamtej nocy, kiedy została zamordowana.

Murdo z zakłopotaniem przestąpił z nogi na nogę. Nie chciał rozmawiać na ten temat z dziennikarką. Żaden policjant nie miałby na to ochoty, w każdym razie dopóty, dopóki śledztwo nie dobiegnie końca, a podejrzani nie zostaną oczyszczeni z zarzutów.

- Nie, nie - odezwała się znów Paddy. - Mnie to nie interesuje. To za duża sprawa dla kogoś takiego jak ja. Po prostu chciałam później się z nim spotkać, ale jeżeli nie chcesz mi powiedzieć, gdzie on teraz jest, to nic nie szkodzi, bo w końcu na pewno i tak się na siebie natkniemy.

Uderzyła otwartą dłoń w blat biurka i czekała, ale Murdo był starym policyjnym wyjadaczem i znał wszystkie sztuczki. Nawet nie mrugnął okiem.

- Czy to nie zastanawiające, że go tu przenieśli?

- Paddy znów pochyliła się ku niemu konfidencjonalnie.

- Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że zbliża się śledztwo w sprawie interwencji w Bearsden i że będzie ono prowadzone tutaj? Czy to nie trochę dziwne?

Murdo patrzył jej prosto w oczy, aż wreszcie Paddy miała już dość czekania. Odwróciła się i wyszła, czując się głupio i nieswojo. Sean ruszył jej śladem.

- Chcę się spotkać z jednym z funkcjonariuszy z tej komendy, pracującym dziś na noc - powiedziała Seanowi na ulicy. - Słuchaj uważnie wszystkich wezwań na zachodnim brzegu, dobrze?

- Nie wiem, co kombinujesz, ale dobrze.

Paddy podeszła do forda i przyjrzała mu się uważnie, obchodząc go z przodu, żeby zobaczyć wóz pod tym samym kątem, pod jakim widziała go w Eastfield. Niewątpliwie był to ten sam samochód. Właściwie wcześniej nawet nie zdawała sobie sprawy, że zapamiętała taki szczegół, ale z lusterka wstecznego w środku zwieszał się odświeżacz powietrza, i teraz także go zauważyła - niewielki prostokątik dyndający na łańcuszku.

Kiedy wróciła do wozu reporterskiego i opadła na tylne siedzenie, Sean zapytał, czy Whiteinch należy uważać za zachodni brzeg.

- Jak najbardziej. A dlaczego pytasz?

- Bo właśnie usłyszałem wezwanie do Whiteinch. Ktoś wybił tam szybę wystawową w sklepie.

- Dobra, to jedziemy.

Sean zawrócił niezdarnie po szerokim łuku i skierował się na zachód.

Przez całą noc jeździli na miejsca różnych interwencji, oglądając wszystkie rozbite latarnie i zadrapania na witrynach sklepowych, ale Gourlay zawsze się im wymykał. Nie chciała o niego pytać: gdyby to zrobiła, Tam dowiedziałby się, że go szuka, i straciłaby nad nim przewagę. W pewnym sensie była jednak zadowolona. Dzięki Seanowi spojrzała na siebie niejako z dystansu i zaczęła myśleć o sobie jak o kimś, kto jest śledzony i obserwowany, a nie ignorowany i przezroczysty, jak zwykle. Była zadowolona, że tej nocy trzymają się wyłącznie zachodniego brzegu i nie spotkają Burnsa. Bała się, że Sean odgadłby prawdę, gdyby zobaczył, jak rozmawia z Georgem.

Ciągle nie mogli trafić na Gourlaya. Kilka godzin później pojechali do akademika, gdzie odbywała się jakaś gościnna studencka impreza, na której doszło do awantury, gdy chłopcy z miasta zaczęli demolować kuchnię. Chuligani pozrzucali obrazki i zdjęcia ze ścian i zerwali tapetę

w całym korytarzu, aż po drzwi wejściowe. Kiedy Paddy wyszła z akademika, Sean stał na chodniku, przyglądając się, jak interweniujący policjanci aresztują chłopców niewiele młodszych od niego. Palił papierosa i słuchał radia przez otwarte okno. Miał przekrwione oczy i ciężkie powieki, ale uśmiechał się, oglądając uliczne przedstawienie.

- Jest coś nowego? - zapytała Paddy, wskazując głową radio.

- Nie. - Sean w odpowiedzi uśmiechnął się szeroko. - Nie ma.

Widziała, że jest zachwycony tą robotą. Niewiele brakowało, żeby mu powiedziała, że nie zawsze będzie tak przyjemnie i że zacznie mieć tego wszystkiego dosyć, jak ona, kiedy zmęczenie i monotonia dadzą mu się we znaki, ale ugryzła się w język. Podejmując pracę w gazecie, też początkowo czuła w sobie tę iskrę podniecenia, bo czasem fajnie jest podglądać cudze życie.

- Chodź, musimy już jechać.

Wsiadła z powrotem do wozu, obserwując policjantów, wśród których szukała Gourlaya, i przyszło jej do głowy, że Tam stał przed jej domem w piątek wieczorem. Jeżeli pojawił się w Eastfield wcześniej, mogła go nie zauważyć, natomiast on mógł widzieć, że Burns odwozi ją do domu. Poczwała, jak krew uderza jej do głowy, bo pomyślała nagle, że wcale nie jest wykluczone, że Gourlay pojechał za nimi na pole i widział, jak się pieprzą w samochodzie - a potem opowiedział o tym wszystkim w rewirze Strathclyde. Nie spodziewanie wszystko stało się jasne. Gourlay próbował ją zdyskredytować przed rozpoczęciem śledztwa.

- Sean - zawołała, przekrzykując radio, tak zaniepokojonym głosem, że chłopak gwałtownie je ściszył. - Poczęstuj mnie papierosem, co?

Był bardziej namiętym palaczem od niej. Zjechał do krawężnika i podał jej paczkę fajek, przyglądając się w lusterku, jak Paddy wyciąga papierosa i zapala go.

Zaciągnęła się mocno. Nie знаła tej marki. Dym drapał ją w gardło, serce zabiło jej mocno i zadrżały ręce. Więc Burns był jednak niewinny. No, poniekąd.

- Po co jeździmy tak w kółko?

-Co?

Sean też zapalił papierosa.

- Po co jeździmy w kółko? Przecież nie wybieramy się w żadne konkretne miejsce. Nie lepiej, żebyśmy się zatrzymał? Możemy słuchać radia, stojąc przy krawężniku.

- Tak... Dobrze. Jak uważasz.

Sean zaparkował na jakiejś ulicy, radio ryczało na cały regulator, a oni siedzieli w milczeniu i palili. Chłopak nie spojrzał na nią ani razu i nie zauważył, jak bardzo jest wzburzona kłębiącymi się w głowie myślami. Zdumiewało ją to, że siedzi się jej lepiej z Seanem niż z Billym, i ciągle zerknęła w lusterko, w którym spodziewała się zobaczyć oczy tego drugiego.

Podjechali potem pod wieżowiec, z którego rzucił się jakiś samobójca, i stanęli przy budzie z hamburgerami, gdzie Paddy kupiła Seanowi specjalność zakładu, czyli burgera smażonego w głębokim tłuszczu, podawanego z bułką, paluszkim rybnym i dodatkową porcją cebuli. Zjedli posiłek w aucie, słuchając wezwań radiowych na zachodnim brzegu, ale w gruncie rzeczy żadne z nich nie wierzyło, że znajdą w końcu Gourlaya.

Wyglądając przez okno, Paddy myślała z przyjemnością o swoim pokoju hotelowym, który jakby ciągle się od niej oddalał. Wspominała wszystkie swoje kłopoty i użalała się nad sobą, ale w pewnym momencie uświadomiła sobie, że Lafferty wciąż gdzieś grasuje po mieście i że jeżeli ją znajdzie, a ona wyjdzie cało z tego spotkania, to pewnie dojdzie potem do wniosku, że była to najpiękniejsza chwila w jej życiu.

Rozdział dwudziesty szósty

Burns

1

Jej pokój mieścił się na hotelowym poddaszu. Stało w nim tylko jedno łóżko, tak wąskie, że podejrzewała, że nie będzie mogła przewracać się na bok we śnie. Okno znajdowało się pośrodku dachu, więc widziała przez nie tylko niebo. Pościel była nylonowa, a koce szorstkie, ale panowała tu cisza i Paddy mogła cieszyć się samotnością. Od kiedy się urodziła, Mary Ann dzieliła z nią pokój i nigdy nie była w nim sama. Teraz mogła spać nago, jeżeli tylko chciała, rozebrała się więc do rosołu i weszła do łóżka, przyglądając się bąblom tapety na skośnym, pochyłym suficie i rozkoszując się ciszą.

Zapadając w sen, w ostatniej chwili świadomości nasłuchiwała jeszcze cichego oddechu siostry.

Po południu miała stanąć przed komisją śledczą i powiedzieć jej członkom o pięćdziesięciofuntowej łapówce, co w połączeniu ze świadomością, że Lafferty ciągle krąży po mieście i poluje na nią, sprawiło, że spała niespokojnie i w napięciu. Dręczyły ją gęste niczym syrop sny, w których Billy płonął w ostrym, jaskrawym świetle reflektorów, a Ramage patrzył na nią spode łba i oskarżał o to, co się stało.

Obudziła się w strachu, słysząc pukanie do drzwi. Usiadła zaskoczona, z rozpaloną twarzą, i przez chwilę

nie pamiętała, gdzie jest. Natarczywe pukanie rozległo się znowu - trzy stuknięcia, przerwa i czwarte stuknięcie. Potem odezwał się jakiś mężczyzna, który przedstawił się jako kelner, i Paddy nagle zdała sobie sprawę, że siedzi sama, naga, w najcichszym pokoju w hotelu.

- Niczego nie zamawiałam - powiedziała zdezorientowana i drżąca. Wyprostowała się, wciągnęła sweter przez głowę i niepewnie dźwignęła się na nogi, żeby włożyć długą, wąską spódnice.

Za drzwiami było słychać czyjś oddech.

Judasza ani łańcucha nie było. Paddy stała bez ruchu, wyciągając słuch. Znowu usłyszała pukanie, którego powolny rytm zabrzmiał tym razem złowieszczo. Wzrok dziewczyny prześlizgnął się po pokoju, padając na deskę do prasowania, krzesło i telefon. Kabel był na tyle długi, że mogła przenieść aparat pod drzwi. Podniosła słuchawkę i wcisnęła zero, aby uzyskać połączenie z recepcją, a potem odsunęła zasuwkę i uchyliła drzwi na szerokość cała, blokując je nogą na wypadek, gdyby mężczyzna stojący na korytarzu usiłował wtargnąć do pokoju.

Burns był po cywilnemu, w koszuli i spodniach tak czystych, że wyglądały, jakby dopiero co rozpakował je z fabrycznej folii. Uśmiechnął się przepaszająco, a Paddy zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

- Halo, czy to pokój 745? - Głos recepcjonistki zabrzmiał dość natarczywie. - W czym mogę pomóc?

- Dziękuję, wszystko jest w porządku. To pomyłka. - Paddy odłożyła słuchawkę i znowu odwróciła się do drzwi.

- Paddy - szepnął Burns. - Ja nikomu nic nie powiedziałem, słowo daję.

Paddy dyszała ciężko po drugiej stronie drzwi.

- Skąd wiedziałeś, w którym pokoju mieszkam? Mam się tu ukrywać.

- Jestem policjantem.

Tam Gourlay też był policjantem. Kto wie, może Lafferty jedzie już windą na górę, a ona tymczasem go wyręcza, strasząc samą siebie. Przetarła twarz rękami, żałując, że nie ma pod ręką lustro. Na pewno wygląda na przerażoną, jest cała czerwona, spocona i spuchnięta. Nie chciała, żeby Burns zobaczył ją w takim stanie, zupełnie bezbronną.

- Słyszałem o Billym - powiedział. - Chciałem się tylko upewnić, że nic ci się nie stało. Mogę wejść?

- Nic mi nie jest. - Przeczesała włosy na skroniach i przybrała spokojniejszy wyraz twarzy.

- Proszę cię.

Zawahała się nieco sztucznie, zanim uchyliła drzwi na szerokość kilku cali i wycofała się w głąb pokoju. Nie było tu gdzie usiąść, nie licząc łóżka i jedyne krzesła. Pomyślała, że gdyby wybrała łóżko, mógłby to potraktować jako propozycję, usiadła więc na krześle, zwieszając sztywno ramię za oparciem w pozornie swobodnym geście, gdy Burns wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. W tak małym pomieszczeniu wydawał się jej bardzo wysoki i szeroki w barach. Przez chwilę stał speszony, klepiąc się po udach i rozglądając po nędznym pokoiku z dziwnie zdenerwowaną miną.

- Nie powiedziałem nikomu o tym, co zaszło między nami.

- Wiem, że nie. Zrobił to Tam Gourlay.

Burns zmarszczył brwi.

- Skąd on mógł o tym wiedzieć?

- Śledził mnie. Chciał mnie zniechęcić do złożenia ze znań. A tamtej nocy stał przed moim domem i wydaje mi się, że nas widział.

Burns zacisnął wargi i szeroko otworzył oczy.

- Naprawdę? Jesteś tego pewna?

- Widziałam jego samochód przed moim domem tamtej nocy.

- No tak, tak. - Burns opanował się i spojrzął na nią. - Ty zresztą i tak uważasz, że Gourlay jest skorumpowany, prawda? Tak mi powiedzieli ci gliniarze, którzy wczoraj z tobą rozmawiali.

- No... - odparła, niepewna, czy może mu zaufać. - Nie wiem. Zobaczymy. Miałam wrażenie, że poza tym nie słuchali niczego, co miałam do powiedzenia. Powiedziałam im, że to Lafferty wrzucił bombę zapalającą do samochodu, ale oni uparcie puszczali moje słowa mimo uszu.

- Policjanci czasem udają, że nie są zainteresowani tym, co naprawdę ważne. Ale tylko udają.

- Ci faceci niczego nie udawali.

Burns znowu zaczął klepać się po udach z niepewną miną. Rzucił okiem na łóżko i po twarzy przemknął mu wąty uśmiezek, który stłamsił natychmiast, kiedy tylko zdał sobie z sprawę z tego, że się uśmiecha.

- Czy mogę?...

Paddy pokazała mu gestem, żeby usiadł, jeśli chce, więc Burns odgarnął koce i przycupnął na skraju wąskiego łóżeczka, podskakując na nim raz czy dwa i znów się uśmiechając. Właściwie było to jej pierwsze własne łóżko i nie spodobało się jej, że George od razu je kolonizuje.

- Po co tu przyszedłeś, Burns?

- Bałem się o ciebie. Tamtej nocy wydawałaś mi się rozdrażniona... A potem ta bomba... Zacząłem rozpytywać dla ciebie o tego Lafferty'ego.

- Dlaczego policja nie przyjmuje dó wiadomości tego, co mówię?

Westchnął ciężko, gładząc prześcieradło.

- Posłuchaj, musisz zrozumieć, że policja chce po prostu zamieść tę sprawę pod dywan. A Gourlay... Tacy jak on to płotki. Tam nigdy nie awansuje na żadne ważne stanowisko.

- Chodzi nie tylko o Gourlaya, ale i o McGregora.

- W porządku, jest ich dwóch. Wiemy o nich i pracujemy nad tą sprawą.

-Ale nie podoba się wam, kiedy ktoś z zewnątrz pyszczy, że zbrodnia uchodzi mordercy na sucho?

Wyszczerył zęby i potrząsnął głową, spoglądając na niebo przez małe okienko. Poranne światło nadal nisko wiszącego słońca dodawało urody jego twarzy, podkreślając wydatny nos i rzucając na policzki cienie czarnych rzęs.

- Paddy, mordercom zbrodnie ciągle uchodzą na sucho. Z braku dowodów, świadków... Takie rzeczy zdarzają się codziennie. Ale dostaniemy Lafferty'ego. Może nie za to, co teraz zrobił, jednak prędzej czy później za coś go przyskrzynimy.

- Jak Patricka Meehana?

- Ach, Patrick Meehan. No tak, ale to nie była akcja policji, tylko MI 5. Głupia sprawa. Spierdolona od początku do końca.

Wyprostowała się i zmierzyła go gniewnym spojrzeniem.

- Więc tak działa ten system? Umiecie tylko wrabiać niewinnych ludzi?

- Naszym zadaniem jest zapewnić bezpieczeństwo na ulicach takim ludziom jak ty, Paddy. A prawda jest taka, że to wymiar sprawiedliwości źle funkcjonuje. Sędziowie wciąż zwalniają z aresztów podejrzanych, złych, okrutnych ludzi, takich jak Lafferty. Jeśli jednak dopadniemy go za to lub za tamto, facet zniknie z naszych ulic, a ty nareszcie bezpiecznie wrócisz do domu, to czy dalej będziesz krytykować nasze metody działania?

- Chodzi o zasady. Trzeba zawsze postępować uczciwie, nawet jeśli jest to wbrew naszym osobistym interesom.

Burns z niejakim roztargnieniem przyglądał się jej szyi spod w półprzymkniętych powiek.

- Przesłano cię tutaj, żebyś kazał mi się wycofać z tej sprawy?

- Wiesz, po co tu przyszedłem.

- Nie, nie wiem.

Burns nagle podniósł się z łóżka i jednym płynnym krokiem znalazł się po drugiej stronie pokoju. Ujął głowę Paddy w obie dłonie i dźwignął dziewczynę na nogi, aż w końcu jej twarz znalazła się na wysokości jego twarzy. Stanęli ze sobą nos w nos i oko w oko, dotykając się otwartymi ustami. Poczula, że jego zarost drapie ją w wargi. Nie był po pracy w domu, nie ogolił się po nocnym dyżurze i nie wykąpał się. Pachniał cudownie.

George Burns stał przed nią w połyskliwej koszuli i spodniach, w nieprzyzwoitych, protestanckich półbutach, i obmacywał ją brudnymi, zręcznymi paluchami, zdzierając z niej ubranie i rozrzucając je wokół po podłodze.

Upadli na łóżko. Paddy wylądowała pod Burnsem i oboje wybuchnęli śmiechem, bo łóżko było za wąskie. Przesunęli się na bok, a kiedy dziewczyna ukłękła między kolanami policjanta, z jego spodni wyłonił się twardy, purpurowy kutas. George westchnął niczym rozcięta opona, kiedy Paddy zaczęła całować i lizać jego członek. Zagubieni we mgłę zmysłowych doznań i zapachów, osunęli się na dywan, bezszelestnie ślizgając się jedno na drugim i pieprząc się, pieprząc, pieprząc, aż wreszcie oboje osiągnęli orgazm we wspaniałym, gęstym technicolorze.

Leżeli potem na podłodze, dysząc ciężko i tylko od czasu do czasu wyciągając ręce, by okryć najgrzeszniejsze fragmenty swojej nagości.

Burns odzyskał oddech.

- Ciekawe, co będzie, jak opowiem chłopakom o tym numerku.

Paddy uśmiechnęła się szeroko i apatycznie wymierzyła mu policzek grzbietem dłoni. Mogłaby zapaść w sen na siedząco, na krześle. Czowała się tak odprężona, że zasnęłaby nawet na worku pełnym kłujących, ciernistych gałązek.

Burns westchnął jej we włosy.

- Dlatego do ciebie przyszedłem.

- Żeby zakisic ogóra?

Potrząsnął głową i przyciągnął ją bliżej, wciąż dysząc ciężko z wysiłku.

- Nie mów do mnie w ten sposób. Bądźmy dla siebie mili, chociaż przez chwilę.

- Nie masz dzisiaj obrączki - odpowiedziała zaczepnie.

- Nie, ale naprawdę daj spokój. - Burns ścisnął ją za ramię. - Pomilczmy chociaż z pięć minut.

Oparła się ciężko na jego piersi, żeby mocno się od niej odepchnąć i usiąść, a następnie wstała i odwróciła się, chcąc włożyć sweter.

- Nie odpuszczę sprawy Lafferty'ego, bez względu na to, jak często będziesz mi robić takie rzeczy.

- Ja tobie? - odparł z rozbawieniem. - To ty mi wszystko robiłaś. *Ja* tylko leżałem jak kłoda.

Paddy znów się wyciągnęła na podłodze, opierając podbródek na piersi Burnsa i głęboko wdychając jego zapach. Słyszeli basowe buczenie odkurzacza w pokoju, położonym piętro niżej i klakson samochodowy, rozbrzmiewający gdzieś o milę dalej na ulicy.

- No dobrze. - Burns obrzucił dziewczynę spojrzeniem, wplatając palce w jej włosy. - Lafferty pracuje dla pewnego faceta, który nazywa się Paul Neilson i kiedyś prowadził się z siostrą Vhari Burnett. Jest czysty jak lza. Nigdy nie był za nic notowany.

- Vhari miała siostrę?

- Kate Burnett. Zniknęła gdzieś bez śladu.

- Nie żyje?

- Nie wiadomo. Podobno ktoś ją spotkał tu czy tam, ale to nic pewnego. Ostatni raz widziano ją rzekomo przed paroma dniami w jakiejś restauracji.

- A co z bratem Vhari?

Burns zmarszczył brwi.

- Vhari nie miała brata. Jej rodzice nigdy nie wspominali o synu, tylko o dwóch córkach.

Paddy była pewna, że Evelyn z Easterhouse Law Centre powiedziała, że Thillingly spędził ostatni dzień swojego życia z bratem Vhari. Wróciła teraz pamięcią do tamtej rozmowy... Bernie... Evelyn wspomniała, że facet nazywa się Bernie i że prowadzi warsztat samochodowy. Jeśli rodzice Vhari nie chcą się do niego przyznać, to najwidoczniej muszą mieć jakiś powód.

- No, a Thillingly? Czy policja nadal go podejrzewa?

Burns wyplątał palce z włosów Paddy i usiadł, otaczając kolana ramionami i przyglądając się ich ciuchom, porozrzucanym wszędzie na podłodze.

- No więc?

Znalazł swoje slipy i wstał, żeby je włożyć, wcale się nie kępując.

- Musisz zrozumieć, Paddy, że policjanci gotowi są zrobić wszystko, żeby bronić dobrego imienia kolegów. Ale wypełniamy swoje obowiązki. Naprawdę.

- To mi nie wystarczy.

Popatrzyli po sobie, a Burns gniewnie uniósł brew.

- Nie przestraszysz mnie, stojąc tak w samych gaciach.

Zignorował tę uwagę i wciągnął spodnie, zapinając suwak, jak gdyby stawiał kropkę nad „i”. Miał szeroką pierś, porośniętą krechami czarnych włosów w kształcie litery „T”, sięgającymi mu poniżej pasa. Blizna na jego brzuchu była różowa i nabrzmiąta. Naprawdę wyglądała jak pamiątka po ranie zadanej korkociągiem i Paddy przyszło do głowy, że może Burns jednak nie kłamał, opowiadając jej o swojej żonie.

- Zeznajesz dzisiaj przed komisją śledczą, tak?

- Tak. - Paddy wstała, pośpiesznie wbiła się w figi i spódnice, żeby nie być jedyną nagą osobą w pokoju,

a potem przycupnęła na brzegu łóżka i wciągnęła rajstopy.

- Czy policja w ogóle szuka tej Kate Burnett?

- Daj spokój, Paddy.

- A co będzie, jeśli znajdą ją martwą? Co będzie, jeśli mnie znajdą martwą?

Burns wsunął stopy w półbuty i włożył koszulę przez głowę, nie rozpinając guzików.

- Pytałem o tę komisję, bo zamierzałem osobiście odwiedzić cię na przesłuchanie. Chciałem mieć pewność, że będziesz bezpieczna.

- Doskonały pomysł. Na pewno zdobyłabym sobie powszechny szacunek, podjeżdżając pod komisariat szpanerskim sportowym wozem w towarzystwie zdobywcy zaszczytnego tytułu dupka roku.

Żartowała, ale Burns nie dostrzegł w tym nic śmiesznego i obrzucił ją surowym spojrzeniem.

- Wiesz co? Wydaje mi się, że w gruncie rzeczy jesteś fałszywym krówskiem.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, a Burns sięgnął po swoją kurtkę i wyszedł, pozostawiając Paddy siedzącą samotnie na brzegu nędznego, maleńkiego łóżeczka.

Rozdział dwudziesty siódmy

W warsztacie Berniego

1

Nie spodziewała się, że warsztat Berniego będzie tak wyglądał. Sądząc po tym, czego dowiedziała się o rodzinie Vhari Burnett, podejrzewała, że brat zamordowanej prowadzi sprzedaż i serwis eleganckich nowych samochodów, ale okazało się, że Bernie pracuje w ubogiej dzielnicy u stóp stromego wzgórza, z dala od głównej drogi.

Paddy schodziła na dół w kierunku poczerniałego wiktoriańskiego wiaduktu kolejowego, za którym ciągnęła się autostrada, a jeszcze dalej - rzeka. Po wyburzonych, stojących tu niegdyś po obu stronach drogi kamienicach czynszowych zostały w ziemi już tylko fundamenty, przypominające jakby odciski stóp. Wokół czegoś, co było kiedyś podwórkiem, w drewnianych przybudówkach działało jeszcze kilka warsztatów rzemieślniczych - dziewczyna słyszała ryczące na cały regulator radia i widziała pałace się w środku światła, a od czasu do czasu dostrzegała także błyski wiertła i ruchomych części jakichś maszyn. Na skraju tego morza zapyłonych gruzów stał kwadratowy, jednopiętrowy pub.

Wysokie podcienia pod wiaduktem kolejowym przeznaczono na zakłady usługowe, nie były to jednak otwierane bezplanowo i byle jakie placówki, które powstają

w procesie organicznego rozwoju gospodarczego, ale zuniormizowane i subsydiowane z budżetu miasta warsztaty - twory gospodarki znajdującej się w śmiertelnym kryzysie. Wspaniałe łuki z poczerniałych wiktoriańskich cegieł wypełniały dziś żółte, nowoczesne cegły, otaczające szerokie, podwójne, czerwone drzwi, na których widniały wymalowane za pomocą szablonu numery porządkowe.

Paddy zbliżała się do wiaduktu i czuła już zapach oblepiającego mury wilgotnego nadrzecznego powietrza. W prawie wszystkich tutejszych warsztatach panowały ciemności i prawie wszystkie były pozamykane - niektóre z nich na glucho. Tylko przed dwoma czy trzema wisiały szyldy, świadczące o tym, że na co dzień świadczy się tu usługi. Światło paliło się między innymi w warsztacie numer 7, którego czerwone drzwi były otwarte na oścież. Warsztat mieścił się na końcu alejki, naprzeciwko punktu skupu złomu. Wywieszka na jego ogrodzeniu głosiła, że złomowiska pilnuje „zły pies”, a pod napisem widniał wizerunek warczącego wilczura.

Nie wiedziała, na co szły pieniądze rodziny Burnettów, ale z pewnością nie inwestowano ich w interes Berniego, który nie dojeżdżał tu codziennie z eleganckiej willi w Bearsden. Zza drzwi lało się ciepłe, pomarańczowe światło i słychać było nieco trzeszczące radio - dobiegała z niego jakaś popowa muzyka. Dużej, ręcznie malowanej tabliczki z napisem Bernie's Motors prawie nie było widać zza sterty leżących pod ścianą części zamiennych. Przed warsztatem stały dwa samochody, z których pierwszy nie miał obu tylnych kół, a drugi wydawał się w dobrym stanie. Paddy nie znała się prawie wcale na motoryzacji, zauważyła jednak, że jest to elegancki zielony jaguar, wprawdzie starego rocznika, ale z chromowanymi listwami w idealnym stanie i ze spadzistym dachem. Fotele kierowcy i pasażerów zostały wymontowane, więc w środku sterzczały tylko zębate szpice najeżonych śrubami prętów.

Przyglądała się temu pięknemu samochodowi z takim zainteresowaniem, że nie zauważyła Berniego, dopóki omal nie nadepnęła mu na nogę.

- Niezła sztuka, co? - Bernie przyglądał się czule jaguarowi. Widziała już tego człowieka na fotografii z pogrzebu dziadka Burnetta, na której Bernie trzymał Vhari pod rękę. Ostrzyżony na Jamesa Deana, miał na sobie dziurawy, granatowy kombinezon, powalany czarnym smarem i powypychany na kolanach. Czerwona apaszka, którą nosił na szyi, służyła wyłącznie jednemu celowi - miała podkreślać, że jej właściciel zna się na modzie, chociaż na co dzień chodzi w brudnym kombinezonie. Bernie miał tak kwadratową twarz, jakby narysowano ją przy linijce.

- Szukałem do niego skórzanych foteli w kolorze byczej krwi, ale niełatwo je dostać.

- Czyli nie wierzysz w znane powiedzenie projektantów mody, że „czerwony z zielonym gryzie się jak szalony”?

Wybuchnął śmiechem i dopiero teraz przyjrzał się uważniej nieznamomej, z uznaniem wskazując jej płaszcz.

- Fajny.

- Kosztował mnie funta.

Bernie skinął głową z uznaniem.

- Świetna rzecz. - Znów wskazał swojego jaguara. - Ja za niego dałem dwieście funciaków. Był w tak fatalnym stanie, kiedy go kupowałem, że nikt poza mną nie wziął nawet udziału w licytacji. Jeżeli znasz się choć trochę na tych wozach, to wiesz, że korodują w nich głównie listwy i podwozie, więc nawet jeśli miałbym go sprzedać na części, kupiłbym go za bezcen.

Nie widziała w jego twarzy żadnego podobieństwa do Vhari Burnett, ale akcent Berniego wydał się jej znajomy. Był elegancki, niemal angielski - słyszała go już gdzieś wcześniej, chociaż nie mogła sobie przypomnieć, gdzie. Może w pracy. Może przeprowadzając z kimś wywiad do gazety. Mogła sobie tylko wyobrażać, jak bardzo

zimnokrwistą osobą musi być Bernie, skoro obnosi się ze swoim angielskim akcentem w tej robotniczej dzielnicy. W Eastfield Star zapewne powybijano by mu za to wszystkie szyby w aucie. Wyciągnęła do niego rękę.

- Bernie, prawda?

Nagle nastawiony sceptycznie do gościa, Bernie spojrział na jej wyciągniętą dłoń i uściśnął ją niechętnie, co prędzej rozluźniając chwyt.

- A kim ty jesteś?

- Nazywam się Paddy Meehan. Pracuję w „Daily News”.

Bernie wsadził ręce do kieszeni.

- Nie chcę o niej rozmawiać.

- Ja też nie.

Nie była to całkiem prawda, ale ta odpowiedź obudziła jego zainteresowanie.

- Więc po co tu przyszłaś?

- Pogadać o Thillinglym.

Zaskoczyła go.

- A o co chodzi?

- Policja uważa, że to Mark zabił Vhari. - Nazwała Thillingly'ego po imieniu w nadziei, że Bernie pomyśli, że się z nim przyjaźniła. - Moim zdaniem to bzdura.

Łzy napłynęły mu do oczu. Zauważyła je, chociaż na nią nie patrzył.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Mark był prezesem Amnesty i chyba nie znęcałby się nad kobietą, wrywając jej zęby. Poza tym uważam, że był fajnym facetem.

Bernie wyciągnął szyję, udając, że przygląda się szkieletowi wypatroszonego jaguara, i skinął głową.

- Owszem, był.

- Słyszałam, że został pobity na parkingu przed swoim biurem tego dnia, kiedy zamordowano Vhari. Myślę, że coś wiedział i że mordercy chcieli wyciągnąć od niego

jakieś informacje, podobnie jak od Vhari, tylko że w jej przypadku przeholowali i w końcu ją zabili. Bernie, gdzie jest Kate?

Zmarszczył brwi i przygryzł wargę.

- Mogę pogadać z tobą chwilę w warsztacie?

Bernie rozejrzał się wokoło ze smutkiem, który ogarnął go zapewne na wspomnienie zmarłej siostry, po czym obrzucił wzrokiem Paddy - jej nastroszone włosy, botki i dobry płaszcz za funta.

- Na dworze jest cholernie zimno.

- Być może - odpowiedział obojętnie. - Ale ja noszę termoaktywną bieliznę.

Paddy wskazała warsztat skinieniem głowy. Bernie odwrócił się i ruszył do środka, a kiedy weszła za nim, zamknął ze zgrzytem wielkie metalowe drzwi, zabezpieczając je od wewnątrz ciężką zasuwą.

Paddy znalazła się już kiedyś w zamkniętym pomieszczeniu z agresywnym szaleńcem i teraz nagle poczuła, jak włoski na karku stają jej dęba. Trzymając ręce w kieszeniach, wsunęła palec wskazujący w kółko, na którym wisały jej klucze od domu, zdecydowana rozplatać mu nimi twarz, gdyby podszedł bliżej niż na odległość dwóch stóp.

Dopiero kiedy rozejrzała się dookoła, zrozumiała, że broń, którą dysponuje, jest w najlepszym wypadku żałosna, bo wszędzie na podłodze wały się wiertła, metalowe skrzynki narzędziowe i klucze do nakrętek. Gdyby Bernie chciał zatłuc ją na śmierć, nie miałyby żadnych szans. O kurwa!

- Widziałeś swoją siostrę tamtej nocy?

- Nie widziałem się z Kate od kilku lat.

- Miałam na myśli Vhari.

Skrzywił się, zrozumiałszy swoją pomyłkę.

- Jej także nie widziałem już od dłuższego czasu.

Gdyby wcześniej przesłuchała go policja, Bernie dobrze by wiedział, kiedy ostatni raz widział Vhari, bo musiałby

sobie przypomnieć ten fakt i mógłby teraz odpowiedzieć na pytanie Paddy właściwie bez namysłu.

- Nawet cię nie przesłuchali, co?

Obrzucił ją pytającym spojrzeniem.

- Czy nic ci to nie mówi o tym, w jaki sposób prowadzone jest śledztwo w jej sprawie, Bernie? Nie martwi cię, że policja nawet nie wie, że Vhari miała brata?

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Policja nic o mnie nie wie?

- Podobno twoi rodzice nie powiedzieli gliniarzom, że mieli również syna.

Odrzucił głowę i wybuchnął krótkim, gorzkim śmiechem, którego echo obiegło cały warsztat, a potem przycisnął dłoń do piersi.

- Bo ja się dla nich nie liczę. Jestem adoptowany. Między Vhari i Kate jest sześć lat różnicy. Rodzice myśleli, że po Vhari nie będą mogli mieć już więcej dzieci, więc mnie adoptowali, ale kiedy urodziła się Katie, uznali mnie za niepotrzebny dodatek do rodziny. I właściwie nigdy mnie nie zaakceptowali.

- Bardzo mi przykro.

- Nie byłem ich rodzonym dzieckiem, rozumiesz. „To nasz adoptowany syn Bernie”. Jak byłem mały, myślałem, że tak brzmi moje pełne imię i nazwisko: „Adoptowany syn Bernie”. Proponowali mi pieniądze, żebym poszedł na studia, ale prawdę mówiąc, nie mam głowy do nauki. Chciałem zostać mechanikiem samochodowym. Rodzice nie kontaktowali się ze mną od wielu lat.

- Mam dla ciebie zdjęcie. - Paddy wyjęła kserokopię fotografii z pogrzebu. Najpierw ją rozłożyła, a potem podała Berniemu, bo chciała się przekonać, jak zareaguje na jej widok.

Bernie spojrzął na fotografię i uśmiechnął się smutno. - Tego zdjęcia jeszcze nie widziałem. Burnettowie w ogóle nie interesowali się mną na pogrzebie. Stałem

wtedy razem ze mną przed kościołem, bo nie mogli sobie pozwolić na skandal. Dopiero potem, pod koniec ceremonii, podeszli, żeby ze mną porozmawiać, ale dałem nogę. - Dotknął zdjęcia palcem. - A to jest Katie.

Paddy stanęła obok niego i zauważyła, że Bernie wskazuje blondynkę o kręconych włosach.

- To ma być Kate? Myślałam, że to Vhari. Są do siebie bardzo podobne, prawda?

Bernie szybko odwrócił wzrok od zdjęcia.

- Napijesz się herbaty?

- Poproszę.

Podszedł do dużego stołu warsztatowego i z kraciatej butelki nalał herbaty do dwóch mocno poplamionych kubków. Paddy miała nieodparte wrażenie, że Bernie próbuje odwrócić jej uwagę od Kate. W kącie stał włączony duży przemysłowy grzejnik gazowy, przypominający niski koksownik z różowym płomykiem w środku, zabarwiającym światło w warsztacie na różowo i dającym złudzenie ciepła, które natychmiast pryskało pod naporem przenikliwego, wilgotnego chłodu, bijącego od ceglanych ścian.

Pomieszczenie było niskie, ale przestronne. Pod ścianą z lewej strony stał równiutko zaparkowany samochód - beżowy sportowy MG. Naprzeciwko, po prawej, pod ścianą z czerwonej cegły, nad poobijaną, czerwoną skrzynką narzędziową górował stary stół kuchenny, na którym leżały długopisy i bloczki rachunkowe.

- Niestety, nie mam cukru. Mówiłaś, że chciałaś porozmawiać o Thillinglym?

- Słyszałam, że Mark był u ciebie tego dnia, kiedy popełnił samobójstwo.

-Tak. - Podał jej kubek. - Wiem, że Mark nie zabił Vhari, bez względu na to, co mówi o tym policja.

Herbata nie była zbyt gorąca, ale Paddy zacisnęła palce na kubku, żeby je rozgrzać. Bolał ją brzuch, więc chłód dokuczał jej dzisiaj bardziej niż zwykle.

- Byłam pod jej domem tamtej nocy. **Widziałam Vhari** z jakimś mężczyzną.

Bernie zeszytywniał.

- Rozumiem. Tak. - Popijał ostrożnie herbatę, nie patrząc na Paddy. Powinien był zapytać, kim był ten facet albo przynajmniej jak wyglądał, ale nie zapytał. Bo nie musiał. Wiedział, o kogo chodzi.

- To był Paul Neilson, prawda? - zapytała dziewczyna, ciekawa jego reakcji. Bernie pił teraz szybko, pomrugując powiekami, i Paddy domyśliła się, że miała rację. - Dlaczego Mark popełnił samobójstwo?

- Był w depresji. Cierpiał na depresję. - Bernie popijał herbatę, błędząc niespokojnym spojrzeniem po brudnej podłodze. Kłamał, i to nieudolnie. Nie umiał kłamać, co dało jej do myślenia.

Rozejrzeli się, żeby gdzieś przysiąść, ale nie mieli na czym. Nawet podłoga była wszędzie upačkana smarem.

- Zwykle przyjmuję gości w samochodzie. Nie będziesz miała nic przeciwko temu? - Wskazał ręką MG. - Wolisz fotel kierowcy czy pasażera? Oba są wygodne.

- Wolę udawać kierowcę. - Otworzyła drzwi i wsunęła się na skórzane siedzenie. Było wygodne, owszem, jeśli nie liczyć jakiejś niesfornej sprężyny, dźgającej ją w plecy za każdym poruszeniem.

Bernie usiadł na fotelu obok i zatrzasnął drzwi.

- Dlaczego tak bardzo interesuje cię Mark?

- Widziałam, jak go wyciągali z rzeki. Policja wydała na niego wyrok skazujący, jeszcze zanim trafił do kostnicy, ale ja uważam, że to wszystko jest zbyt proste. Czy Mark miał rozbity nos, kiedy odwiedził cię tamtego dnia?

Bernie wahał się przez chwilę, udając, że usiłuje sobie przypomnieć twarz Marka z dnia morderstwa, ale Paddy widziała, że w rzeczywistości próbuje poskładać w myślach do kupy różne kłamstwa.

- Ach, nie. Nie wiem. Nie zauważyłem.

- Miał nos jak rozgnieciony kartofel, a ty tego nie zauważyłeś?

- Nie pamiętam. - Rozejrzał się ze zmieszana miną po warsztacie. - Nie przyglądałem mu się.

- Jasne. Podobno poprzedniej nocy próbował dozwonić się do twojej siostry. Zatelefonował do niej do domu, ale odebrał ktoś inny, nie ona.

Teraz Bernie słuchał już z najwyższą uwagą. -

Kto?

- Mark najpierw poprosił ją do telefonu, a potem zapytał, z kim rozmawia i gdzie, do cholery, podziewa się Vhari. Był bardzo zdenerwowany po tej rozmowie.

- Skąd ty to wszystko wiesz?

- Od Diany. Mark mówił też coś o Kate...

- Wiedział, gdzie ona jest?

- Być może. Ciągłe nie wiadomo, co się z nią stało, prawda?

- Nie wiem. - Bernie potrząsnął głową nieco zbyt energicznie. - Nie widziałem Kate od kilku lat. Nie spotykamy się. Nigdy mnie nie odwiedza.

Paddy musiała się powstrzymać, żeby nie poklepać go po ramieniu. Bernie nie umiał kłamać.

- Ale widywałeś się z Vhari?

- Vhari utrzymywała kontakt ze wszystkimi. Nigdy nie zdecydowała się na najłatwiejsze wyjście i nie dała po prostu dyla, jak ja. - Przygryzł palec i odwrócił wzrok, żeby wyjrzeć przez okno. - Vhari była cudowna. Dobra. Tylko że o tym jakoś gazety nie piszą. Była naprawdę dobrym człowiekiem.

Paddy pomyślała o Mary Ann, klepiącej pacierze w ciemności. Wspaniale było nie widzieć ich wszystkich przez cały dzień, ale nie wyobrażała sobie, by mogła nie rozmawiać z matką przez lata. Pozwalając sobie na luksus spojrzenia z dystansu, stwierdziła, że rodzina Meehanów jest jednak ciepła. Irytująca, ale ciepła.

- Czy Vhari utrzymywała kontakt z Kate?
- O tak. Dzwoniła do niej co tydzień. Do mnie zresztą też.

Urwali na chwilę, wyglądając przez brudną przednią szybę auta na warsztat, jakby dopiero co do niego wjechali.

- Więc to wszystko jest twoje?

- Wszyściuteńko. Wydzierzawiłem ten warsztat i nawet szyld wymalowałem własnoręcznie. Burnettów trafił szlag.

- A jaką osobą jest Kate?

Bernie uśmiechnął się mimo woli.

- Kate gówno to wszystko obchodziło. Wyprowadziła się z domu w wieku piętnastu lat i nigdy nie wróciła. Dziadek zapisał jej w spadku domek letniskowy nad Loch Lomond, ale wnuczka nawet nie przyjechała do domu po klucze.

- A ty dostałeś coś po jego śmierci?

- Nie. - Bernie zrobił rozgoryczoną minę. - Nie należę do rodziny, więc nic mi nie zapisał. Vhari dostała ten dom w Bearsden. Jest wart fortunę.

Paddy pomyślała o staroświeckich zasłonach, które widziała w wielkim wykuszowym oknie willi w dniu morderstwa.

- Przeprowadziła się tam dopiero niedawno?

- Tak, trzy tygodnie temu. To zaledwie pół mili od domu rodziców, niech Bóg ma ją w swojej opiece.

Pili herbatę, przyglądając się pustemu pomieszczeniu oraz różowym falkom ognia, tańczącego na powierzchni grzejnika i nadającego barwom we wnętrzu nowe od-cienie. Paddy zerknęła na Berniego kątem oka, żeby nie zorientował się, że na niego patrzy, i zauważyła, że marszczy czoło ze zmartwienia. Zamykał się w sobie, ilekroć w rozmowie padało imię Kate.

- Więc Mark spędził tu ostatni dzień życia?

Wpatrzony w swój kubek Bernie gwałtownie zamknął oczy i wzruszył ramionami.

- Kiedy przyjechałem o wpół do dziewiątej do roboty, czekał na mnie przed warszatem w tym swoim eleganckim garniturze i w takim głupim płaszczu, w jakim chodzi Midge Ure. Musiało mu być cholerycznie zimno.

- Uśmiechnął się szyderczo na to wspomnienie, ale zaraz posmutniał na myśl o Marku. Na chwilę zabrakło mu tchu. Był tak poruszony i wstrząśnięty, że aż się poślinił, więc podniósł rękę i otarł podbródek. - Bardzo przepraszam - odezwał się znów z akcentem chrupkim niczym świeża sałata. - Po prostu... Sporo się ostatnio wydarzyło.

Paddy chciała mu powiedzieć coś miłego.

- Bardzo ci współczuję.

- Mark przyjechał mnie poinformować, że Vhari nie żyje. Postanowił zawiadomić mnie o tym osobiście. Nie mam telefonu w domu, a on nie chciał, żebym dowiedział się o jej śmierci z radia.

- Czy Kate i Paul Neilson są jeszcze razem?

- Nie wiem - odpowiedział nieco za szybko Bernie.

- Nic nie wiem o życiu Kate.

- Ale znasz tego Neilsona?

Bernie skinął głową.

- Chodziliśmy razem do szkoły. Wszyscy, to znaczy Mark, Paul i my. Rodzice Marka mieszkali naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy. Paul trochę dalej, ale on dość rzadko bywał w domu. Nie znałem go za dobrze.

- Nie przystał do żadnego gangu?

- Nie, tylko w pewnym sensie odebrał nam Kate. Z nami nie chciał mieć nic wspólnego. Vhari i Mark zaręczyli się po maturze. To było ważne wydarzenie w rodzinie. W każdym razie wszyscy pozostawaliśmy w świetnej komitywie, dopóki nie pojawiła się Diana.

Słyszała już gdzieś akcent Berniego i teraz wiedziała gdzie, był to bowiem akcent ucznia prywatnej szkoły, a ona

słyszała go ostatnio z ust Paula Neilsona, **gdy rozmawiała** z nim pod drzwiami domu Vhari Burnett.

- Gdzie mieszka ten Neilson?

- W Killearn. W Huntly House albo Huntly Cottage...

Coś w tym rodzaju... Może w Huntly Lodge.

- Czy Paul Neilson znał adres domu twojego dziadka?

Bernie zamrugał powieką i z zakłopotaniem przesunął się na fotelu.

- Nie wiem. Może i tak.

- Ale Mark pewnie wiedział, gdzie mieszkał dziadek Burnett? Był narzeczonym Vhari, więc chyba go znał. I wiedział, dokąd Vhari się przeprowadziła.

- No. - Bernie zupełnie niepotrzebnie odchrząknął.

- Chyba tak.

Paddy kiwnęła głową, robiąc notatki w pamięci.

- Dlaczego Mark nie poszedł na policję?

Bernie znowu wzruszył ramionami, co wydawało się zapowiadać kłamstwo.

- Był prawnikiem. Nie miał zbyt dobrego mniemania o policji.

- Chronił cię przed organami ścigania?

Był to cios zadany na oślep i jak się okazało, niezbyt celny.

Bernie uśmiechnął się drwiąco.

- On miałby mnie osłaniać przed psami? A co ja takiego zrobiłem? Jestem za elegancki jak na robotniczą dzielnicę?

- Temperatura rozmowy zaczęła spadać, więc Paddy po stanowiła naciskać dalej.

- Bernie, posłuchaj. Vhari miała tamtej nocy szansę, żeby wyjść z tego domu, ale z niej nie skorzystała. - Ob serwowała uważnie jego twarz. - Nie wiem, jakiej tajemnicy strzeżesz przed światem, ale ona oddała za nią życie. Osobiście uważam, że chciała chronić Kate. Dlaczego próbowała kryć siostrę zarówno przed tymi bandytami, jak i przed policją?

Bernie spojrział na nią z żalem i zaczął kręcić wspartą o szybę głową, zasmucony, że nie może jej powiedzieć prawdy.

- Przepraszam - szepnął.

- Nie ma za co. O cokolwiek chodziło, nie masz za co mnie przepraszać, Bernie. Nawet jeżeli Vhari osłaniała ciebie.

Starając się opanować łzy, Bernie potarł nos otwartą dłonią.

- Vhari przed nikim mnie nie kryła - odpowiedział. - Naprawdę.

- Czy Mark podał nowy adres Vhari temu facetowi, który go pobił?

Bernie rzucił jej błagalne spojrzenie, ale milczał.

- Dlatego Mark popełnił samobójstwo? Bo uważał, że jest winien jej śmierci?

Bernie potrząsnął głową, a Paddy pomyślała, że gdyby tylko mógł, odpowiedziałby jej na to pytanie.

- I tak się tego dowiem. Dowiem się, a potem opowiem wszystko na policji. Nie możesz mi w niczym pomóc?

Jego wzrok przesuwiał się powoli po twarzy dziewczyny, gdy Bernie zastanawiał się nad jej słowami.

- Nie zrobię nic, co mogłoby jej zaszkodzić.

- Mówisz o Kate?

Skinął głową, wpatrując się w deskę rozdzielczą.

- Nie możemy mieszać w to policji.

- Dlaczego? Czyżby Kate popełniła jakieś przestępstwo?

Bernie nie odpowiedział.

- Będę ją osłaniać, jak tylko to możliwe, ale musisz mi dać jakiś punkt zaczepienia, Bernie, jakieś nazwisko albo adres, albo coś w tym rodzaju. Proszę cię. Zrób to dla Vhari.

Bernie potrząsnął przecząco głową.

- No to dla Marka.

Odetchnął głęboko i rozejrzał się po warsztacie.

- Nie wiem, kto to jest, ale to jakaś gruba ryba. - Bernie wbił paznokiec w skórzane obicie fotela. - Nazywa się Knox. Szukaj faceta nazwiskiem Knox.

Rozdział dwudziesty ósmy

Przesłuchanie

1

Biblioteka stanowiła oazę spokoju w morzu redakcyjnego chaosu. Helen, kierowniczka, ubierała się jak prawdziwa bibliotekarka - w wąskie tweedowe spódnice i sweterki, a na szyi nosiła okulary, wiszące na czerwonym łańcuszku z paciorków. Paddy nie lubiła Helen w czasach, kiedy była jeszcze tylko gońcem, ale odkąd awansowała, kierowniczka wyraźnie zaczęła traktować ją łagodniej. Gdy Paddy czuła się osaczona w otoczeniu bandy chamskich facetów, czasami wpadała do niej na pogawędkę, spragniona kobiecego towarzystwa. O Burnsie i o niej wiedział już na pewno cały news room, miała więc ochotę posiedzieć dzisiaj trochę w bibliotecznym zaciszu.

Helen rzuciła kopertę ze skserowanymi wycinkami prasowymi na blat i uśmiechnęła się.

- Oto pierwszy zestaw tekstów o Robercie Laffertym. Jest jakiś Neilson, muzyk, ale o Paulu Neilsonie nic nie znaleźliśmy.

- Ani jednego tekstu?

- Nawet zawiadomienia o jego narodzinach. Natomiast jeśli chodzi o tego Knoksa, to mamy na jego temat tyle wycinków, że wołałabym cię tu wpuścić, żebyś je sama

przejrzała. Mam ci od razu dać dwadzieścia pierwszych zestawów?

- Och, nie, Helen, w tej chwili nie mam czasu.

- Wiem. Słyszałam, że dziś po południu zeznajesz w śledztwie w sprawie morderstwa w Bearsden.

Twarz Paddy wykrzywił grymas.

- Skąd wiesz?

- Był u mnie Shug Grant. Pisze o tym śledztwie.

Była to zła wiadomość. Shug Grant już jej nie cierpiał za tamte złośliwości o Margaret Mary i na dodatek był gadatliwym skurwysynem. Kiedyś po jakimś przyjęciu przespał się z żoną zastępcy redaktora działu, a następnego dnia opowiedział o tym wszystkim kolegom w pracy. Jeżeli on miał obsługiwać śledztwo, to o tych pięćdziesięciu funtach dowie się pół Szkocji, jeszcze zanim pierwsze wydanie „News” pójdzie do drukarni.

Za plecami Paddy otworzyły się drzwi. Wszedł goniec, który stanął obok niej, oparł się o barierkę i zaczął znacząco rozglądać się wokoło, ale Helen nie zwracała na niego najmniejszej uwagi.

- Słyszałam, że radiowóz jechał na miejsce zdarzenia aż dwadzieścia pięć minut. Sprawdzono księgę wyjazdów.

- Myślałam, że posiedzenia komisji są zamknięte.

- Tak, ale Grant zna kogoś z jej członków. Paddy uśmiechnęła się nerwowo i wzięła kopertę.

- Shug wszędzie kogoś zna, prawda?

- Wygląda na to, że tak.

Na schodach zawahała się, ale powoli ruszyła na górę, kierując się do news roomu. Nie może ciągle unikać kolegów, bo domyśla się wreszcie, że się boi.

Ostrożnie prześlizgnęła się przez kolejne drzwi, usiadła na pierwszym wolnym krześle na końcu działu sportowego i wyjęła z koperty kserokopie wycinków o Laffertym.

Nasłuchiwała jednym uchem, co się dzieje dookoła, i wyłowiła jakiś dziwny pomruk, który nadawał panującej

w news roomie atmosferze posmak lekkiej hysterii. Dziennikarze mieli przyklejone do twarzy uśmiechy, sprawiali wrażenie bardzo zajętych, poruszali się i pisali szybko, i w ogóle bezwstydnie ciężko pracowali. W epicentrum tej redakcyjnej anomalii siedział człowiek, którego Paddy nigdy wcześniej nie widziała - ciemnowłosa, drobnej postury, kosmaty i przypominający nieco przygarbioną małpę bez szyi. Pisał coś zawzięcie na maszynie i sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie, a na jego skrytym w błękitnym cieniu obliczu igrał krzywy, ironiczny uśmiezek.

Paddy szturchnęła grubego gońca siedzącego dwa krzesła dalej.

- Kto to jest?

Chłopak spojrział we wskazanym kierunku, ale natychmiast spuścił oczy, unikając wzroku nieznanego.

- Następca JT. Z Londynu. Podobno sławny dziennikarz śledczy. Zagoni nas wszystkich do roboty. - Chłopak zniżył głos. - Wtyka.

- Czy JT był dziś w redakcji?

Goniec potrząsnął głową.

- Nie pójdziemy z nim nawet na pożegnalnego drinka. Powiedzieli mu przez telefon, żeby się u nas więcej nie pokazywał. A wczoraj wylano jeszcze dwóch zastępców redaktorów i Kevina Hatchera. Dobrze im tak. Wszyscy obstawiają zakłady, kiedy Kevin zapije się na śmierć.

Odkąd zaczęła pracować w gazecie, Paddy nigdy nie widziała Hatchera trzeźwego. Był fotoedytorem i jakimś cudem udawało mu się sprawnie wykonywać swoją pracę, choć bywał tak pijany, że z trudem wymawiał co trudniejsze spółgłoski. Starzy pijacy odwoływali się do jego przykładu, żeby usprawiedliwić własny nałóg: twierdzili mianowicie, że przestaną pić, kiedy upadną równie nisko jak on - ale żaden z nich nigdy tak nisko nie upadł.

Paddy przyglądała się sztucznym uśmiechom pięćdziesięciorga ludzi w news roomie, udających, że są pochło-

nieni wyłącznie własnymi sprawami. Gdy dotrze do nich plotka o jej pięćdziesięciofuntowej łapówce, też będą ją sobie powtarzać tylko szeptem.

Spocona ze zdenerwowania, usiłowała uspokoić myśli, zagłębiając się w lekturze wycinków prasowych. Lafferty był absolwentem słynącej z brutalności szkoły poprawczej Christian Brothers, będącej wylęgarnią najokrutniejszych bandytów w Glasgow. Trafiali do niej niegrzeczni dwunastoletni chłopcy z całej okolicy, których wychowanie i kształcenie moralne powierzano mnichom, w gruncie rzeczy będącym również mściwymi, zgorzkniałymi chłopcami. Przypominało jej to wersję *Władcy much*, w której bohaterowie nie przestrzegają dobrych manier przy stole.

Lafferty'ego oskarżano najczęściej o wszczynanie bójek w pubach albo o próby wymuszania haraczu. Raz przedstawiono mu także zarzut zabójstwa, gdy ktoś zepchnął jakąś prostytutkę z dachu wielopoziomowego parkingu - jeden ze świadków w tej sprawie twierdził, że dziewczyna zginęła, ponieważ nie oddawała bandycie odpowiednio dużej części swoich zarobków. Na zdjęciu Lafferty stał przed budynkiem sądu. Był nieco młodszy, ale już równie umięśniony jak wtedy, kiedy Paddy widziała go podczas przesłuchania, i sprawiał wrażenie wyraźnie zadowolonego z orzeczenia sędziego. Miał maleńkie, przyrmużone oczka i przypominał rozwścieszoną świnię, która za chwilę rzuci się do ataku.

Paddy myślała o banknocie, który dał jej Neilson. Ramage byłby całkowicie usprawiedliwiony, gdyby ją zwolnił - mógłby to nawet zrobić dyscyplinarnie, bez wypowiedzenia i odprawy.

Rozejrzała się po news roomie - dziennikarze krążyli tam i z powrotem, oddawali teksty zastępcom redaktorów swoich działów i pisali zawzięcie na ciężkich maszynach. Shug Grant siedział przy biurku, obserwując ją spod przeciwległej ściany i żując gumę z otwartymi ustami. Na jego

tłustym czole połyskiwało światło jarzeniówek. Podniósł rękę i kilkakrotnie wskazał Paddy swoim długim paluchem niby sztyletem, po czym wstał i nie spuszczać z niej wzroku, ruszył w jej kierunku.

- Właśnie wróciłem z posiedzenia komisji. Przepisuję notatki.

- No... - Paddy udała, że nie jest zainteresowana. - To świetnie.

- Jesteś jakby trochę podminowana, nie? Denerwujesz się?

- Dlaczego miałabym się denerwować?

- Bo przed komisją stawał dzisiaj Tam Gourlay, a to, co powiedział, wypadło dla ciebie fatalnie. W sprawie tych samochodów zeznawał zupełnie inaczej. Jego zdaniem to wcale nie były beemki.

Paddy nie mówiła o autach nikomu poza policjantami, więc Shug, zdradzając się przed nią z tym na pozór nieistotnym szczegółem, przyznawał niejako, że ma coś wspólnego z całą sprawą. A przecież zdyskredytowanie Paddy byłoby na rękę skorumpowanemu gliniarzom.

- Znasz kogoś z tej komisji?

Zacisnął wargi w udawanym uśmiechu. Gdyby wiedział coś o tych pięćdziesięciu funtach, zrobiłby do nich aluzję. Ale Sullivan dotrzymał słowa. Myśl, że można by ją bezceremonialnie zwolnić z pracy, była straszna, ale jeszcze bardziej bolało ją to, że w ten sposób dałaby Shugowi temat do napisania ciekawego tekstu.

- Kto to jest, Shug? Bo na pewno nie Sullivan. Więc może sekretarka? Czy raczej stenotypistka?

Szukanie informatora wśród personelu sekretariatu komisji byłoby oczywistym posunięciem ze strony Shuga. Dziennikarze dowiadywali się, gdzie takie osoby piją, robią zakupy albo chodzą na tańce, a potem wykorzystywali ich słabości i wyciągali z nich różne informacje. Grant uśmiechnął się zagadkowo.

Paddy pogroziła mu palcem.

- Nie, to nie może być sekretareczka, bo twoje informacje mają... szczególny charakter. - Zaczęła dłubać w zębach, starając się, żeby ten gest wyglądał naturalnie.

Zaniepokojony Shug zmarszczył czoło.

- Jak to, szczególny charakter? Co masz na myśli?

- No tak... - Paddy kiwnęła głową. - Komu mogłoby zależeć na kontrolowanym przecieku z posiedzenia komisji? Jeśli to nie sekretarka i nie stenotypistka, musi to być ktoś spośród policjantów. A ilu członków liczy zazwyczaj taka komisja śledcza? Trzech? To trochę ogranicza krąg podejrzanych.

Grant był na tyle doświadczonym dziennikarzem, by ukryć urazę i zadać jej celne pytanie.

- Ukrywasz coś przed policją... Tylko co?

Paddy spróbowała przywołać na twarz uśmiech, mający oznaczać pewność siebie.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że jesteś wyłącznie pionkiem w tej grze?

- Do zobaczenia o trzeciej.

Patrzył, jak dziewczyna zbiera swoje wycinki, chowa je z powrotem do koperty i wstaje. Kiedy Paddy odwróciła się, stojąc już pod drzwiami, znowu go zobaczyła - kącik ust Shuga wykrzywił zajadły grymas. Na pewno zawia-domi swojego informatora, że Paddy wie o wszystkim, i każe mu ją zmiażdżyć.

Na schodach, gdzie hulał przeciąg, pomyślała o Seanie. Paul Neilson mieszkał w Killearn, a ona chciała przyjrzeć się jego domowi, zobaczyć, jakie stoją przed nim samochody, i wyczuć, z jakiego pokroju człowiekiem ma do czynienia, ale Killearn leżało daleko poza granicami miasta i Paddy nie mogłaby wytłumaczyć Ramage'owi, dlaczego kazała się tam zawieźć swojemu kierowcy, skoro powinni krążyć wozem reporterskim po mieście. Od Seana zawę-drowała myślami do Burnsa, którego przypomniała sobie,

stojącego w jej pokoju hotelowym w samych slipach. Żalowała teraz ze wszystkich sił, że nie pospała dłużej. Nie wiadomo, kiedy będzie miała znowu okazję się wyspać.

Czuła zmęczenie w kościach i oblepiający całe ciało pot. Niewiele brakowało, żeby zwymiotowała.

2

W szarej poczekalni unosił się zapach kurzu. Nisko wiszące, oślepiające zimowe słońce świeciło przez wysokie okna, wypełniając pół sali nieznośnym blaskiem. Paddy siedziała skulona w ocienionej części pomieszczenia, gdzie powietrze było gęste od wirujących pyłków i zapachu pasty do podłóg, w towarzystwie Shuga Granta i trzech dziennikarzy z innych gazet. Mężczyźni rozmawiali i częstowali się papierosami, plotkując o Ramchamie i przetasowaniach w redakcji „Daily News”. JT został przyjęty do pracy w innej miejskiej gazecie tego samego dnia, kiedy zwolnił go Ramage. Twierdził, że na nowej posadzie więcej zarabia, ale nikt nie miał pojęcia, czy to prawda. Kevin Hatcher, największy pijak w „News”, spędził ostatnią noc na ławce w Klubie Prasowym. Zamówiono by mu tak-sówkę, nikt jednak nie wiedział, gdzie mieszka, a dzisiaj rano ich były fotoedytor zostawił niedopite piwo na barze, powiedział, że idzie do toalety, i zniknął. Shug założył się z kimś o piątką, że umrze w ciągu miesiąca. Pewien dziennikarz z „Mirror” pamiętał Kevina z czasów, kiedy był jeszcze trzeźwym wolnym strzelcem i dostawał nagrody za swoje fotoeseje. Z tego, co mówił, wynikało, że w dawnych latach był dowcipnym, inteligentnym i wykształconym dziennikarzem erudytą.

Przy drzwiach wartował umundurowany policjant, który miał pilnować, żeby świadkowie i dziurniści nie rozmawiali ze sobą o sprawie przed przesłuchaniem. Paddy

pomyślała, że wpuszczanie do poczekalni dziennikarzy, którzy częstują czekających na swoją kolej świadków papierosami, a potem zabierają ich na przyjacielskiego drinka, żeby ukoić skołatane nerwy, to skrajna głupota ze strony tajnej komisji. Odgadła jednak, że informator Granta nie jest jednym ze świadków, bo przecież Shug wiedział, co tu się będzie działo i jakie pytania zada jej komisja, co oznaczało, że przecieki miały charakter strategiczny, a nie przypaddingowy, i pochodziły od kogoś, kto chciał mieć wpływ na ostateczny kształt doniesień prasowych.

Paddy wsparła skołataną głowę o ścianę i przymknęła powieki, ale tylko na chwilę - nie zamierzała spać, chciała jedynie dać odpocząć oczom i nie rozmawiać z Grantem. Kiedy dotknęła czołem otynkowanej gładzi, poczuła, jak po jej karku pełźnie świerzbująca senność. Zobaczyła Billy'ego na szpitalnym łóżku i uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie jego włosów. Minie pewnie sporo czasu, zanim wróci do pracy, ale przynajmniej żyje i jest w stosunkowo dobrym stanie. Widziała też odbicie Lafferty'ego w lusterku wstecznym, ostrożnie skradającego się do samochodu, i siedzącego za kierownicą Billy'ego, który palił papierosa, nieświadomy tego, co się święci.

W poczekalni było ciepło - temperatura na sali równała się mniej więcej temperaturze ludzkiego ciała. Welon snu zsunął się z czoła na twarz Paddy niczym czarny kaszmirowy koc, aż wreszcie ktoś szturchnął ją palcem w ramię i dziewczyna otworzyła piekące z bólu oczy. Grant przypatrywał się jej badawczo.

- No i co, tłuszczoszku, co im powiesz? - Uśmiechnął się.

Umundurowany policjant postąpił krok naprzód.

- Och, panie Grant, uprzedzaliśmy przecież, że nie wolno panu zadawać takich pytań.

Równie dobrze komar mógłby chcieć powstrzymać lawinę błotną. Grant uniósł palec, co miało oznaczać, że

dorwie Paddy później, i wyprostował się. Wzruszyła bezradnie ramionami, gdy pomyślała, ilu innych dziennikarzy Ramage mógł przysłać na tę obsługę zamiast niego. Ale nowy naczelny trzymał się pracowników głodnych sukcesu, takich jak Shug i ona, pozbawiając redakcję „Daily News” atmosfery życzliwości i koleżeństwa. Trzej pozostali żurnaliści nastawili uszu, ciekawi, co odpowie.

- Kogo przesłuchiowano dzisiaj rano? - zapytała.

Jeden z nich, wymuskany facecik w tandetnym garniturze, pochylił się naprzód, a Grant rozparł się na swoim krześle.

- Dyżurnego, który odebrał wezwanie na adres pani Burnett. 1 Tama Gourlaya. Dan McGregor zeznawał wczoraj.

- Pewnie było interesująco, nie?

Facet uśmiechnął się zimno.

- Nie, tak właściwie to nie.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi, wyszczerzając zęby, podobnie jak Shug. Dwaj pozostali dziennikarze dołączyli do niego, aż wreszcie wszyscy uśmiechali się nieszczerze, zastanawiając się, kiedy będą mogli przestać. Wtedy otworzyły się drzwi pokoju przesłuchań i do poczekalni zajrzał Sullivan. Zanotował godzinę przyjęcia kolejnego świadka i również uśmiechnął się szeroko.

- Zapraszam, Meehan.

Była tak zmęczona, że wydawało się jej, że ma nogi z gumy. Wstała chwiejnie i poczłapała do wejścia, gdzie zatrzymała się i odetchnęła głęboko, zanim w ślad za Sullivanem weszła przez wysokie, podwójne drzwi na oficjalne przesłuchanie.

Komisja była nieliczna, a pokój ogromny i pusty. Jego cztery wielkie, długie okna wychodziły na rzekę Clyde i czerwony marmurowy most, w tej chwili zakorkowany. Pod wysokim, lecz nieciekawym sufitem wiły się niczym niezamaskowane rury ciepłownicze i wodociągowe.

Z boku stał długi stół. Przy jego dalszym końcu siedziała jakaś starsza kobieta w okularach o grubych szklach, z głową pochyloną na notatnikiem. Poza nią miejsca za stołem zajmowało trzech policjantów w paradnych mundurach z galonami i złotymi lamówkami na kieszeniach. Siedzieli w krótkim szeregu naprzeciw pustego krzesła. Sprawiali wrażenie ludzi zbyt szacownych i leciwych, żeby chodzić w mundurach. Gdyby nie jakość tkaniny, z jakiej były uszyte, można by powiedzieć, że przebrali się na bal maskowy. Nie spojrzeli na wchodzącą Paddy - napełniali szklanki wodą mineralną i przeglądali leżące przed nimi notatki.

Sullivan poprosił dziewczynę, żeby usiadła naprzeciwko nich, ale on sam wciąż stał, kręcąc się w zasięgu jej wzroku przy drzwiach.

Ci trzej gliniarze byli ludźmi sukcesu, robotniczymi synami, którzy powoli piełi się w górę po szczeblach kariery zawodowej. Widziała na ich twarzach ślady łajdactw wieku średniego - stanowili jakby żywy obraz, ostrzeżenie, jak mogą skończyć ludzie, którzy o sobie nie dbają. Mężczyzna siedzący najbliżej sekretarki miał czerwoną twarz i podpuchnięte, przekrwione oczy. Obok siedział szczupły facet o ziemistej, niezdrowej cerze i mocno zaciśniętych ustach, jak gdyby nie mógł przeboleć jakiejś wpadki, która przydarzyła mu się podczas pracy w policji. Trzeci członek komisji wyglądał pogodnie, popatrywał jednak na boki na swoich towarzyszy, jakby szukając w nich oparcia czy oznak życzliwości. Sprawiał wrażenie człowieka osamotnionego i potrzebującego pomocy.

Paddy niezdarnie zdjęła płaszcz i nieelegancko rzuciła go na podłogę. Potem, zamiast się schylić i podnieść okrycie, wsunęła je nogą pod krzesło i usiadła, opierając się rękami o stół i usiłując otrząsnąć się z przypominającej mgiełkę senności.

Mężczyzna o ziemistej cerze stuknął w stół, by zwrócić na siebie uwagę.

- Dzień dobry, panno Meehan.

Sekretarka wzięła długopis do ręki i zaczęła notować.

- Siemacie. - Paddy pomachała do nich, ale poczuła się głupio i zaraz opuściła rękę z powrotem na stół, gładząc drewniany blat i uśmiechając się słabo. Musiała zachować większą przytomność umysłu - igrała z ogniem, a ci faceci nie byli sympatyczni.

Ziemistolicy mężczyzna ciągnął dalej.

- Jak pani wie, panno Meehan, niniejsza komisja zo stała zwołana dla wyjaśnienia sprawy, dotyczącej we zwania policji na 17 Drymen Road w Bearsden, o godzinie drugiej czterdzieści siedem rano, w ubiegłym tygodniu. Nasze posiedzenie ma charakter tajny. Czy rozumie pani, co to znaczy?

Wiedziała, że wygląda młodo, ale nie musieli traktować jej jak idiotki.

- Owszem, rozumiem.

- Wszystko, co pani nam powie, zostanie utajnione.

Mężczyzna o czerwonej twarzy zerknął podejrzliwie na Sullivana, co zauważył niepewny siebie policjant i poszedł za jego przykładem. Gdy Paddy podniosła wzrok, zobaczyła, że Sullivan z pokerową miną przygląda się swoim butom. Spojrzenia członków komisji były obraźliwe, ale Sullivan musiał udawać, że ich nie widzi, bo wszyscy funkcjonariusze byli od niego starsi stopniem. Gdyby pracowali z nim w news roomie, miałby święte prawo nakłaść im po mordach.

-Taaak... - odparła Paddy, czując ukłucie strachu. - Zostanie utajnione, ale nie na długo, co? Shug Grant jest w stałym kontakcie z kimś z tego pokoju i wie, o co będziecie mnie pytać, a ja wiem, że informacje nie pochodzą ani od Sullivana, ani od tej pani.

Sekretarka pozwoliła sobie oderwać wzrok od pierścieni kołonoatnika i przestała pisać, a zmieszani policjanci zaczęli się wiercić na krzesłach. Ten niepewny

spojrzał na kolegów, nie wiedząc, jak się powinien zachować.

- A zatem martwi się pani o poufność swoich zeznań...
- rzucił lekceważąco ziemistolicy. - A co pani ma nam do powiedzenia?

Zaskoczona ich niefrasobliwością, Paddy wyprostowała się na krześle.

- Więc nie obchodzi was, że na tej sali siedzi informator?

Ziemistolicy zdumiał się, że ktoś w ogóle śmie z nim polemizować. Tymczasem rumiany policjant pochylił się naprzód i przejął od niego pałeczkę.

- Panno Meehan...

- W zasadzie pani Meehan - odparła, wiedząc, że jest to wkurzające.

Członkowie komisji uśmiechnęli się szyderczo do siebie i po chwili rumiany spróbował znowu.

- Zostaliśmy wyposażeni w odpowiednie kompetencje i mamy prawo wymagać od pani współpracy. Mogę zagwarantować, że nic, co pani nam powie, nie wycieknie z tej sali. - Policjant raz jeszcze obrzucił Sullivana oskarżycielskim spojrzeniem.

- Myli się pan. - Paddy znów pogładziła stół otwartą dłonią. - Bo widzicie panowie, mam pewność, że to nie pan Sullivan jest informatorem. A to dlatego, że to, co mam wam do powiedzenia, jemu powiedziałam już znacznie wcześniej. Wiem również, że źródłem informacji nie jest pani sekretarka, ponieważ te przecieki są nieco zbyt konkretne. Więc jeśli to, co powiem, dostanie się po naszej dzisiejszej rozmowie do gazet, wszyscy będziemy mieli już całkowitą pewność, że wtyczką jest jeden z was trzech.

Zmierzyła wzrokiem dystyngowanych dżentelmenów siedzących za stołem, którzy solidarnie unikali jej spojrzenia. Sprawiali wrażenie nieco zbitych z tropu. Już sama

myśl, że ta pulchna młodziutka dziewczyna może im się sprzeciwiać, wydawała się członkom komisji absurdalna.

- Będę z panami szczerą. - Patrzyła na stół, ale jej głos brzmiał donośnie i piskliwie, jak głos nauczycielki. - Znam jego personalia. Znam personalia osoby, która informuje Shuga Granta o tym, co tu się dzieje. Nie wymienię na zwiska tego człowieka w redakcji, ale wiem, kto to jest.

Siedzieli bez ruchu i wpatrywali się w nią uporczywie. Drwiący uśmiezek rumianego policjanta zastygł na jego rozchylnych ustach. Paddy usiłowała się nie uśmiechać. Czuli się cudownie, mogąc ich nastraszyć, chociaż spodziewali się po niej tak niewiele. Element zaskoczenia dawał jej przewagę.

Członkowie komisji znów zaczęli się kręcić z irytacją - pierwszy uniósł brew, drugi wysunął do przodu dolną szczękę, a trzeci wykrzywił twarz. Inicjatywę raz jeszcze przejął ziemistolicy.

- Czy możemy zacząć od początku? - Skinął głową, dając znak sekretarce, żeby zaczęła notować.

- Proszę bardzo. Więc może najpierw przedstawmy się, jak należy: ja nazywam się Patricia Meehan. - Patrzyła uporczywie na rumianego tak długo, aż wreszcie odezwał się z zakłopotaniem.

- Inspektor Ferguson.

Paddy wbiła wzrok w ziemistolicęgo.

- Moje nazwisko Knox. Nadinspektor Knox - powie dział z przymusem.

Trzeci członek komisji też się przedstawił, ale Paddy już go nie słuchała. Knox było w Szkocji dość popularnym nazwiskiem, dziewczynie nie dawało jednak spokoju. Facet wydawał się jej zamknięty w sobie i zgorzkniały. Wyglądał na kogoś, kto może wykorzystywać swoją wysoką rangę dla celów osobistych. Jeżeli nazwisko nadinspektora padło wtedy u drzwi domu pani Burnett, to tłumaczyłoby, dlaczego Gourlay i McGregor zostawili ją

w Bearsden bez pomocy. Tłumaczyłoby to także, dlaczego Gourlay i McGregor zostali przeniesieni do Partick, kiedy zaczęło się śledztwo w sprawie morderstwa Vhari. Nic dziwnego, że Tam Gourlay uważał, że może jej bezkarnie grozić.

Jeżeli Knox był skorumpowany, dałoby się zauważyć, że jest zamożny: miałby duży dom, szpanerski samochód albo posyłałby dzieci do drogiej prywatnej szkoły. Mogłaby się łatwo dowiedzieć, na co wydaje łapówki - chyba że Lafferty znalazłby ją pierwszy. A jeżeli Knox współpracuje z Neilsonem, to Lafferty wie, że Paddy składa zeznania przed komisją.

Opanowała się, uświadomiwszy sobie, że Knox nie może jej zrobić żadnej krzywdy, dopóki jest w tym pokoju, i spróbowała skupić się na rozmowie.

Zachęcona łagodnie przez Fergusona, Paddy opowiedziała im, że przyjechawszy do domu pani Burnett w Bearsden, natknęła się na Tama Gourlaya, stojącego koło radiowozu. Powtórzyła treść rozmowy na temat dwóch beemek. Wtedy członkowie komisji wyciągnęli katalog samochodowy i kazali jej wskazać modele, które najbardziej przypominają widziane przez nią auta. W końcu, nie mogąc dłużej unikać tego tematu, powiedziała komisji, że facet w szelkach wcisnął jej do ręki pięćdziesiąt funtów. Knox wydawał się autentycznie zdumiony.

- Wręczył pani łapówkę? - zapytał takim tonem, jak gdyby to była jej wina, że dotąd o tym nie wiedział.

- Wcisnął mi banknot w dłoń i poprosił, zeby nie piła o tym incydencie.

- Ale pani opublikowała jednak informację o interwencji w Bearsden?

- Oddałabym mu te pieniądze, tylko że gość zatrzasnął mi drzwi przed nosem.

- Więc była to łapówka - powtórzył Knox, mierząc ją gniewnym spojrzeniem.

Sullivan podszedł do stołu i oparł się na nim koniuszkami palców, nie patrząc na nikogo.

- Dowodem rzeczowym z domu pani Burnett, na którym znaleźliśmy odciski palców Roberta Lafferty'ego, był właśnie ten pięćdziesięciofuntowy banknot.

Rumiany policjant, którego nazwiska nie dosłyszała, pokiwał potakująco głową. Wszyscy słyszeli o odciskach palców, ale nie o banknocie. Sullivan dotrzymał słowa i nie wspomniał o nim nikomu. Paddy patrzyła, jak detektyw wraca pod drzwi. Wyglądało na to, że nie traktuje Knoksa inaczej niż pozostałych dwóch starszych funkcjonariuszy.

- Widziała pani, żeby ten mężczyzna wręczał jakieś pieniądze Tamowi Gourlayowi albo Danowi McGregorowi?

- Nie - odpowiedziała ku ich widocznej uldze. - Nic takiego nie widziałam. - Po chwili, jak gdyby po prostu kontynuowała swoją opowieść, dodała: - Wracalam już do wozu reporterskiego, a kiedy mijałam Gourlaya i McGregora, Gourlay powiedział: „Nie powinniśmy dopuścić, żeby ta historia trafiła do prasy, bo ona jest prawniczką”, czy coś w tym rodzaju, a wtedy McGregor uderzył go otwartą dłońią w tył głowy.

Komisja wyglądała na lekko oszołomioną.

- Jak pani sądzi, co chciał przez to powiedzieć?

- Nie wiem. Po prostu mówię panom, co słyszałam.

Ucieszyli się, że nie oskarżyła o łapówkarstwo Gourlaya i McGregora, w każdym razie nie wprost, a Ferguson rzucił okiem na sekretarkę. Paddy zrozumiała, że w istocie w pokoju przesłuchań toczą się dwie rozmowy: jedna z nich składała się ze słów, które padały z ich ust lub były implikowane, a druga ze słów, które zapisywała sekretarka. I tylko ta druga rozmowa mogła mieć w przyszłości jakieś konsekwencje.

Ferguson zaproponował, żeby się czegoś napiła, po czym wstał, pochylił się nad biurkiem i nalał jej wody do szklanki, rozpraszając Paddy i zakłócając tok przesłu-

chania. Zapewne chciał w ten sposób zminimalizować szkody, jakie wyrządziło im jej zeznanie. Nie zamierzali pytać jej o nic, czego nie wiedzieli, zanim tu weszła, ani zadawać pytań na chybił trafił.

Knox zmierzył ją ostrym spojrzeniem.

- Czytaliśmy notatki z pani pierwszego przesłuchania, które przeprowadził detektyw inspektor Sullivan. Nie wspomniała mu pani wtedy o tych pięćdziesięciu funtach, prawda?

-Nie.

-I mimo że wzięła pani pieniądze, następnego dnia opublikowała pani informację o tym incydencie w swojej gazecie?

- O co ma pan do mnie pretensje? O to, że wzięłam pieniądze, czy o to, że nie dotrzymałam umowy z tym gościem? Nie dotrzymałam umowy, bo właściwie nie była to łapówka. Facet wcisnął mi po prostu banknot w rękę, wszedł do domu i zamknął za sobą drzwi.

- Ale nie zwróciła mu pani pieniędzy? - zapytał z naciskiem Knox, wiedząc, że jego pytanie zostanie zanotowane.

- Nie mogłam. Facet zamknął drzwi.

- A nie wisiała na nich przypadkiem skrzynka na listy?

- Pełne pogardy oczy Knoksa były szare i na wpół przymknięte.

Każdy młody policjant uznałby jego zachowanie za przerażające, ale Paddy była dziennikarką i ciągle miała do czynienia z różnymi bezczelnymi chujkami. Westchnęła impertynencko i zaczęła bębnić palcami o biurko.

- Skończyliśmy? Czy mogę już iść?

Ferguson pochylił się ku niej.

- Czy powiedziała pani, że opuszczając miejsce zdarzenia, była pani pewna, że pani Burnett nic nie grozi?

Było to porażające pytanie, które z pewnością zadawali wszystkim. Ta właśnie kwestia miała zadecydować, czy Gourlay i McGregor popełnili jakieś nadużycie. A prawda wyglądała tak, że Paddy nie uważała, by Vhari Burnett była bezpieczna. Tylko że wcale jej to nie obchodziło. Gdy zakrwawiona młoda prawniczka zniknęła w pokoju, Paddy interesowało już wyłącznie to, żeby jak najszybciej wrócić do ciepłego samochodu. Myślała różne rzeczy na temat pani Burnett, które teraz wydawały jej się idiotyczne: że jest bogata, samolubna i szczupła, że została z Neilsonem z własnej woli i że ona i Paul są parą kochanków, którzy mogą rozwiązywać swoje prywatne problemy we własnym zakresie. Istniało ze sto egoistycznych, haniebnych powodów, dla których Paddy nie wtargnęła siłą do willi i nie zaczęła namawiać pani Burnett, żeby z nią wyszła. Nie musiałyby się teraz przyznawać do tego wszystkiego tylko pod jednym warunkiem: że zacznie osłaniać Gourlaya i McGregora.

- Nie. Wydawało mi się, że grozi jej niebezpieczeństwo. Mimo to odjechałam z miejsca zdarzenia.

- Dlaczego, panno Meehan?

Była zbyt zmęczona, żeby spróbować wymyślić jakieś kłamstwo.

- Z tego samego powodu, z którego miejsce zdarzenia opuścili Gourlay i McGregor. Bo jestem głupią cipą.

Członkowie komisji wyczuli ryzyko, jakim groziła im utrata kontroli nad przebiegiem rozmowy, i przestraszyli się. Sekretarka podniosła na nią wzrok, a Knox niemal natychmiast zakończył przesłuchanie, żeby uniemożliwić Paddy powiedzenie czegoś niestosownego.

Sullivan odprowadził ją do drzwi, jak gdyby sama nie mogła do nich trafić, i wyszedł z nią do poczekalni. Upewnił się, że Grant ich nie słyszy, i oświadczył:

- Dobrze, że powiedziałaś to, co powiedziałaś... Wiesz, odpowiadając na to ostatnie pytanie o bezpieczeństwo Vhari.

Spojrzała na niego, drżąc na myśl, że na ulicy może czekać na nią Lafferty.

- Myślałam, że powiesz mi, że zachowałam się głupio.

- No, to swoją drogą.

Uśmiechnął się do niej. Zaimponowała mu na tyle, że wciągnął brzuch - i wrócił na salę przesłuchań.

Na ulicy było spokojnie i cicho. Paddy szła szybkim krokiem, nie odrywając wzroku od postoju taksówek, znajdującego się dwie ulice dalej, i powtarzała sobie, że musi zachować spokój. Lafferty nie ośmieliłby się jej tu napaść - nie pod komendą policji. Za plecami usłyszała jadący samochód, serce podeszło jej do gardła i puściła się przed siebie niezgrabnym klusem, podciągając spódnicę powyżej kolan. Przyśpieszając coraz bardziej, przebiegła przez ruchliwą ulicę i wskoczyła do pierwszej taksówki w kolejce.

- Redakcja „Daily News” przy Albion Street - podała adres jedyne miejsce, gdzie naprawdę czuła się bezpieczna.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Killearn

1

Była trzecia rano - tak zwana martwa godzina - i Paddy wiedziała, że powinna była się przespać, kiedy miała okazję. Stała w całodobowym sklepie spożywczym, zrobiło jej się słabo i musiała na chwilę usiąść, bo świat wokół niej zaczął tracić kolory. Stara, obszarpana kobieta, którą przesłuchiowano obok, zauważyła, że dziewczyna chwieje się na nogach, i odwróciła się od rozmawiających z nią funkcjonariuszy. Potem pochyliła się i dotknęła kolana Paddy.

- Źle się czujesz? - zapytała i roześmiała się niczym kostucha. Nad jej oczami zwieszały się fałdy żółtej, cętkowanej skóry, bulwiasty nos był pobrużdżony, a na policzku widniał wągier wielkości kciuka. Kiedy Paddy weszła do sklepu, starucha siedziała na krześle przy drzwiach, popijając whisky z małej butelki, którą - jak twierdziła - przyniosła ze sobą, i odpowiadała na pytania dotyczące bójki oraz tego, że na flaszce widniała dokładnie taka sama różowa nalepka z ceną, jak na wszystkich innych towarach w sklepie.

Policja wyprowadziła właściciela na zaplecze, żeby trzymać go z dala od tej kobiety. Paddy słyszała, jak krzyczy na funkcjonariuszy, otaczających go barierą żółtej

taśmy, że to przecież nie on jest przestępcą. A ta baba to kurwizson, ohydna, stara złodziejka i kurwizson.

Kobieta ubrana w kilka płaszczy weszła do całodobowego sklepu, cuchnąc alkoholem i jakimś środkiem antyseptycznym. Jak twierdził właściciel, mieszkała niedaleko i prawie co noc kradła coś w jego sklepie. Szukała towarów, które mogła sprzedać, żeby kupić gorzałę, a najczęściej próbowała kraść kawę albo herbatę. Nigdy dotąd nie wyciągnęła jednak ręki po którąś z kilku horrendalnie drogich małych buteleczek whisky „na czarną godzinę”, które sklepikarz trzymał na półce razem z papierosami, za kontuarem, starannie przykryte ściereczką w tych godzinach, w których prawo zabraniało sprzedaży alkoholu.

Tego wieczoru sklepikarz jednak wyszedł z siebie. Domyślał się, kto go okrada, i miał już tego dość, zostawił więc na półce pusty słoik po kawie i pudełko herbaty ekspresowej. Starucha weszła do sklepu i jak zwykle od razu zwróciła uwagę na kawę. Stała z pustym słojem w ręce, nie mogąc pojąć, jak to możliwe, i rozchylając płaszczy, by ukryć pod nim zdobycz. Kiedy dotarło do niej wreszcie, że słoik naprawdę jest pusty, odwróciła się, upuściła pojemnik na podłogę i rzuciła się z wrzaskiem na właściciela, próbując dosięgnąć przykrytych ściereczką butelek.

Sklepikarz twierdził, że próbował ją po prostu obezwładnić, gdy grupka młodych gotów, czekających na autobus na przystanku przed sklepem, zauważyła, jak powala starszą panią na ziemię, a następnie przeszukuje jej kieszenie.

Nikt nie ma tak bezkompromisowego poczucia sprawiedliwości, jak podpici klubowicze. Goci wpadli do środka i przypuścili kontratak na właściciela, odciągając go od starej kobiety. Dwie dziewczyny usiadły na nim, a reszta częstowała się sokami, papierosami i czipsami, nie przeszkadzając staruszce w swobodnym buszowaniu

po sklepie przez całe dziesięć minut, bo tyle czasu minęło, nim przyjechała policja.

Funkcjonariuszy było zbyt niewiele, żeby mogli zgarnąć wszystkich napastników, ograniczyli się więc do przesłuchania dwojga głównych bohaterów zdarzenia. Tymczasem stojący na ulicy, mocno umalowani na czarno i czerwono młodzi ludzie, których płci na pierwszy rzut oka nie można było rozróżnić, obserwowali przez szybę, co się dzieje w środku. Na chodniku wokół nich leżały na wpół opróżnione paczki czipsów i herbatników, a z puszek oskarżycielsko wylewała się na ulicę coca-cola.

Paddy wyszła ze sklepiku, zapisawszy całe dwie strony notatek, wiedziała jednak, że nie ma sensu dzwonić z taką informacją do redakcji.

Czekający na nią w samochodzie Sean był zafascynowany gotycką młodzieżą i strasznie chciał się dowiedzieć, co się stało.

- O kurczę. - Uśmiechnął się, ze zdumieniem potrząsając głową. - Trudno uwierzyć, że takie rzeczy dzieją się naprawdę, dopóki nie zobaczy się ich na własne oczy. Mam szukać telefonu?

- Nie ma po co. Gazeta nie opublikuje tej informacji.

- Dlaczego?

- Bo nie chodzi o wypadek samochodowy ani o morderstwo. Nie drukujemy byle czego, tylko hardkorowe newsy.

- To cholerna szkoda. - Sean uruchomił silnik. - Bo było na co popatrzeć.

Domyślając się, że to praca w gazecie przyczyniła się do jego rozstania z Paddy, Sean zawsze trochę z niej drwił i ucinął rozmowę, kiedy próbowała mu opowiadać, co ogląda nocą w mieście. Ucieszyła się więc, widząc, że jest taki podekscytowany. Nagle na nowo pokochała swoje obowiązki, których usiłowała się pozbyć od miesięcy. Rano Shug Grant dowie się o jej kompromitacji z tymi

pięćdziesięcioma funtami - albo i nie, w zależności od tego, co postanowi jego informator. A jeśli Shug się dowie, dowie się cała redakcja. Ramage wezwie ją do siebie i nawet nie pozwoli jej zdjąć płaszcza. Albo zadzwoni do niej później do hotelu i kaze jej zwolnić pokój, bo właśnie rozwiązał z nią stosunek pracy.

- A więc podoba ci się ta robota, Sean?

Sean włączył się do ruchu.

- Nikomu o tym nie mów, ale byłbym chyba gotów wykonać ją za darmo.

Jechał przez opustoszałe miasto pod wysokim, żółtym niebem, na którym nisko wisiał pyzaty księżyc. Musiała przyznać, że już po pierwszej nocy w pracy Sean prowadził lepiej.

- Jeździsz dziś mniej nerwowo. Idzie ci coraz sprawniej.

-To dobra praktyka. - Uśmiechnął się do siebie. -I niezły zarobek.

Nie chciała, żeby pomyślał, że ma już tę pracę w kieszeni.

- Wiesz, mimo wszystko nie jest jeszcze pewne, czy dostaniesz etat. Kiedy dostarczysz im ksero prawa jazdy, mogą się przyczepić, że jesteś świeżo upieczonym kierowcą.

Sean kiwnął głową. Raz i jeszcze raz. Zbyt dobrze go znała, żeby nie wiedzieć, że to coś oznacza. -Co?

- Co „co”?

- Dlaczego tak kiwasz głową?

Wyraz bolesnej paniki w jego oczach powiedział jej, że coś nie gra. Odetchnęła głęboko z przerażeniem i pochyliła się ku niemu.

- Sean, powiedz, że zdałeś egzamin.

Znów zaczęła kiwać głową, ale Paddy wiedziała, że kłamie.

- Sean, to ja załatwiłam ci tę pracę. Jeżeli oszukałeś redakcję, będę miała kłopoty.

- No ale teraz zdam, nie? Na tej posadzie muszę dużo jeździć, nabieram tu doświadczenia.

- Na litość boską, co noc jeździmy w ślad za radiowozami. Możesz stracić prawo jazdy, zanim je dostaniesz.

Zerknął na nią w lusterku.

- Nawet gdybym zdał, na prawko musiałbym czekać jeszcze kilka miesięcy. Jeżeli mnie nakryją, powiem, że nic o tym nie wiedziałas, okej?

Paddy nie odpowiedziała. Sean był gotów wziąć z nią ślub w wieku siedemnastu lat, żeby zrobić przyjemność swojej matce. Przez całą szkołę był gospodarzem klasy i w każde święto chodził do kościoła. O ile Paddy wiedziała, wykroczenie, które popełnił, żeby dostać tę robotę za kółkiem, było największym życiowym zuchwalstwem z jego strony. Spojrzała na niego z na nowo rozbudzonym zainteresowaniem.

- Okej? - zapytał znowu.

Skinęła głową, obserwując go z tyłu. O tej porze poczekalnie na szpitalnych urazówkach świeciły już pustkami.

- Jedziemy do Killearn.

2

Sygnal radiowy zanikał, w miarę jak oddalali się od granic miasta, a piski i trzaski policyjnych meldunków zastąpił cichy, krzepiący szum. Nasycone, żółte światło księżycy igrało na połyskliwym szronie, pokrywającym błotniste bruzdy na polach, a na poboczach skrytej w ciemnościach szosy wznosiły się poszarpane szkielety bezlistnych krzewów.

Wieś była tu dostatnia. Łagodne zbocza wzgórz porastał rzadki starodrzew, a wzdłuż drogi, którą góralscy

poganiacze bydła od wieków pędzili swoje stada do miasta, rozciągały się malownicze wioski. Mieszkańców wciąż przybywało i maleńkie osady zagarniały coraz więcej ziem uprawnych, bo na obrzeżach budowali wielkie nowe wille udające wieśniaków miłośnicy golfa.

Po drodze do Killearn mijali stare i nowe domy, stojące z dala od szosy na obszernych trawiastych działkach albo w wymyślnych, ozdobnych ogrodach. Przed niektórymi z nich na podjazdach stały motorówki, najczęściej jednak duże samochody.

Była już czwarta rano i wszyscy spali, nie odczuwało się więc tej atmosfery czujności, która panuje zazwyczaj w zamkniętych dzielnicach. Nie czekały psy. Nie zwołał przy nich żaden luksusowy wóz, żeby kierowca mógł zajrzeć do ich tandetnego auta i przyjrzeć się uważnie twarzom dwojga obcych, którzy kręcili się po okolicy, stanowiąc potencjalne zagrożenie.

Podjazd prowadzący do Huntly Lodge był całkiem niepozorny - w niewielkiej szparze w żywopłocie widać było sfatygowaną, porośniętą mchem, zardzewiałą bramę, zamkniętą na łańcuchy, nowy łańcuch i kłódkę.

Paddy kazała Seanowi zjechać na pobocze, zgasić światła i zaczekać na nią.

- Dokąd idziesz? Pójdę z tobą.

- Nie - odparła. - Idę tylko coś sprawdzić. Zaczekaj tutaj.

Nie była odpowiednio ubrana. Od niedzieli chodziła w tej samej spódnicy, a jej sweterek cuchnął coraz bardziej. Spódnica była wąska, Paddy miała jednak na sobie także skórzany płaszcz, więc podciągnęła kieckę aż na uda i niezdarnie wspięła się na ogrodzenie. Gdy była już na górze i przełożyła nogę na drugą stronę, chybotliwa brama obsunęła się trochę w błocie i Paddy poczuła, że zaczyna spadać do tyłu, głową w dół, rzuciła się więc natychmiast w przeciwną stronę i zaczęła rajstopami o jakąś drzazgę,

rozrywając je na kolanie. Grube, wełniane rajstopy kosztowały piątaś, więc schodząc na ziemię już po drugiej stronie, przeklinała Paula Neilsona. Przez dziurę było widać, że kolano trochę krwawi.

Kuśtykała błotnistą drogą, obciążając spódnicę i podążając śladem głębokich bruzd, wrytych kołami ciężkich samochodów, które wjeżdżały i wyjeżdżały z posiadłości. Za jej plecami i nad głową zamykały się drzewa, szumiące groźnie na łagodnym wietrze. Paddy szła powoli, żeby oczy przywykły jej do ciemności, pocierała obolałe kolano i użała się nad sobą.

Kiedy skręciła w bok i zauważyła olbrzymi dom, nerwowo wycofała się z powrotem w krzaki. Ktoś tu jest bardzo bogaty...

Willa była nowa i ogromna - przypominała monstrualną stodołę o nieproporcjonalnie małych drzwiach wejściowych i oknach, które nadawały się raczej do szeregowego domku jednorodzinne. Wejściu próbowano nadać nieco bardziej wielkoświatowy charakter, umieszczając po bokach gipsowe lwy, były one jednak zbyt niepozorne i podkreślały tylko pretensjonalność domu. Po lewej stronie, w przybudówce, mieścił się garaż na trzy samochody.

Pod osłoną krzaków Paddy obeszła willę z boku, krocząc po błocie usłanym zeschniętymi liśćmi. Miękka, wilgotna ziemia głośno wsysała gumowe podeszwy jej butów. Modląc się w duchu, żeby w posiadłości nie było psa, uważnie patrzyła przed siebie, idąc na palcach i starając się zachowywać jak najciszej.

Okienko w ścianie garażu było zbyt wysoko, żeby mogła swobodnie zajrzeć do środka. Przez szybę widziała tylko spadzisty dach i trzy świetliki, po jednym w każdej z trzech części pomieszczenia, ale nie udało się jej spojrzeć niżej i zobaczyć, jakie samochody kryje.

Rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś podwyższenia, na które mogłaby wejść, ale wąziutka ścieżka była

starannie uprzątnięta. Wtedy zakradła się na tyły domu, gdzie na środku rozległego trawiastego zbocza ujrzała szklany prostokąt, stojący na dużej, szarej, betonowej podmurówce. Promienie księżyca, pomrujące pod szkłem, kazały jej przypuszczać, że niżej kryje się basen. Ogród nie był jednak zagospodarowany ani często wykorzystywany: pod tylną ścianą domu nie natknęła się na żadne stare kosiarki, zabawki, kartony, siewniki ani nawet na starą pralkę, jak w ogrodzie Meehanów. Nie znalazła niczego, na co mogłaby się wspiąć.

Zawróciła i pobiegła z powrotem pod okienko w garażu. Upewniwszy się, że nie ugrzęźnie w rozmokłej ziemi, podskoczyła kilka razy, odtwarzając w myślach rozkład boksów w przybudówce i ich zawartość na podstawie tego, co udawało się jej zobaczyć przez ułamek sekundy w trakcie kolejnych podskoków. Garaż mógł pomieścić trzy samochody, ale stały w nim teraz tylko dwa auta, duże i małe, wielkością i kształtem przypominające do złudzenia oba bmw, które widziała wcześniej pod domem Vhari Burnett.

Nagły szelest w krzakach przypomniał jej o Laffertym. Odwróciła się i biegiem ruszyła z powrotem, nie dbając o hałas i podciągając spódnicę powyżej pasa. Tym razem szybko pokonała bramę, odetchnęła głęboko, widząc, że Sean stoi tam, gdzie go zostawiła, i jeszcze szybciej podbiegła do samochodu. Odczuła taką ulgę, wsiadając z powrotem do ciepłego auta, że niewiele brakowało, żeby trzasnęła drzwiami, chcąc jak najszybciej odgrodzić się od przerażającej nocy, opamiętała się jednak i zamknęła drzwi cicho.

- Jedziemy.
- Dlaczego zdjęłaś spódnicę?
- Ruszaj, Sean, i na razie nie zapalaj świateł.

3

Larry Szare Usta, szef redakcji nocnej, zmierzył ją współczującym spojrzeniem.

- Na razie masz jeszcze nie wracać do pracy, Meehan.

Paddy stała przy szafce ze skrytkami dla dziennikarzy, z jedną ręką tkwiącą wciąż w rękawie płaszcza i z szalikiem na szyi.

- Dlaczego?

Larry zatrzepotał jej przed nosem żółtą kartką, wyrwaną z notesu.

- Dostałem to wczoraj w nocy, kiedy wyszłaś. Ramage chce się z tobą widzieć z samego rana.

Odwaga opuściła ją do reszty. Knox powiedział Shugowi o tych pięćdziesięciu funtach i Ramage chce ją zwolnić.

Larry i Paddy nigdy się nie lubili. Widząc, jak bardzo dziewczynę przybiła ta wiadomość, Szare Usta najpierw wyciągnął do niej rękę, a potem ją cofnął.

- Może nie o to chodzi.

Paddy pomyślała o swojej matce i zakryła twarz ręką, bo wzbierało w niej rozgoryczenie.

- W całej rodzinie tylko ja jedna mam pracę.

- No tak. - Zaniepokojony tą manifestacją emocji, Larry dość gwałtownie odsunął się od Paddy. - Przykro mi.

Trzymając ciągle rękę w rękawie płaszcza, osunęła się na krzesło przy drzwiach. Niech chuj strzeli tego cholernego Shuga Granta! Poświęciła tej pracy tyle lat, tyle lat czekała na awans, a teraz wszystko stracone. Nigdy nie chciała robić nic innego. Zbyt słabo zdała maturę, by dostać się na studia. Odtąd do końca życia będzie już tylko siedzieć w domu, w wilgotnym garażu, wpatrując się w żałośnie pustą kartkę. Była tak przygnębiona, że nie mogła zdobyć się nawet na to, żeby przejść do aneksu kuchennego i zaparzyć sobie kawę albo wziąć kilka herbatników z puszki.

W redakcji szybko przybywało dziennikarzy z porannej zmiany, bo swobodny stosunek kierownictwa do czasu pracy, powszechny za kadencji Farquarsona, należał już do odległej przeszłości. Reporterzy i zastępcy redaktorów walili przez drzwi dwójkami i trójkami. Paddy nie pracowała z porannym zespołem od pięciu miesięcy i już zdążyła zapomnieć, jak wygląda zatłoczona redakcja. Gońcy mieli pełne ręce roboty, bo ciągle ktoś wysyłał ich po kawę albo herbatę, dziennikarze porządkowali biurka, szykując się do całodzienniej harówki, ustawiając popielniczki pod ręką, w której zwykle trzymali papierosy, i wkręcając papier w maszyny do pisania, zastępcy redaktorów przeglądali poranne wydanie gazety w poszukiwaniu tekstów, które można by kontynuować, a kierownicy działów wydawali różne polecenia.

Shug Grant spóźnił się o trzy minuty. Przyszedł w towarzystwie grubego redaktora z działu wiadomości ze świata. Nie przywitał się z Paddy, ale przystanął koło niej, żeby zaśmiać się ostentacyjnie z dowcipu swojego kumpla. Dziewczyna nie podniosła na niego wzroku.

Siedziała u szczytu stołu, półprzytomna, choć dokucało jej głębokie skaleczenie na kolanie, i trzymała ręce mocno splecione na brzuchu, żeby złagodzić bóle, które nie ustępowały od kilku dni, aż wreszcie u jej boku pojawił się jeden z gońców.

- Ramage chce cię widzieć.

Rozejrzała się po redakcji w poszukiwaniu czegoś, co mogłaby wziąć ze sobą. Może więcej już jej tu nie wpuszczą. W szafce stał duży kubek, z którego zawsze piła kawę, ale nie chciała defilować z nim przez cały news room, bo musiałaby przejść obok Shuga Granta.

Wstała powoli i wsunęła drugie ramię w drugi rękaw płaszcza.

- Jest na dole?

Goniec smutno skinął głową.

- Na dole.

Przystanąła przy drzwiach i odwróciła się, żeby raz jeszcze spojrzeć na panujący w redakcji ruch i rozgardiasz. Był słoneczny dzień i promienie złocistego porannego słońca wpadały do środka przez ścianę okien, zatrzymując się na brudnym niebieskim dywanie. Nikt nie odpowiedział jej spojrzeniem. Jeszcze nawet nie została oficjalnie poinformowana o wypowiedzeniu, a już była dla nich tylko wzruszeniem ramion, zwykłą plotką. Nie ona pierwsza - i nie ostatnia.

Powlokła się na dół po schodach i dalej cichym korytarzem. Zapukała dwukrotnie, po czym bezwładnie oparła się o ścianę. Ramage zawołał, by weszła. Zastała go za wielkim biurkiem, rozpierającego się z zadowoloną miną na fotelu. Tym razem na obitym skórą blacie nie leżała przed nim ani jedna kartka papieru. Na biurku stał tylko niewielki, mosiężny ekspres do kawy, a obok ciemnozielona filiżanka na spodeczku o złożonych brzegach. Pokój wypełniał odurzający, czekoladowy aromat prawdziwej kawy.

- Przepraszam, że kazałem ci zostać po pracy.

Pozostała przy drzwiach i wzruszyła ramionami.

- Nie ma sprawy.

Ramage przyglądał się jej przez chwilę.

- To tylko dwadzieścia minut, Meehan, nie musisz od razu się dąsać.

Bała się, że wybuchnie płaczem na te słowa, więc mocno przygryzła policzek.

Ramage powoli naciskał otwartą dłońią mosiężny tłoczek, przyglądając się, jak tarcza wciska fusy kawowe na dno szklanego pojemnika.

- Podejdź bliżej.

Paddy poczłapała do biurka.

- Co ci się stało w kolano?

- Skaleczyłam się, przechodząc **przez plot**.

Ramage nalał sobie kawę, podniósł spodeczek i filiżankę i zaczął głośno siorbać, odchylając na bok mały palec.

- Co z tym twoim tekstem o korupcji w policji?

Paddy przyjrzała mu się uważnie. Znów popił łyk kawy i popatrzył na nią wyczekująco, spodziewając się, że coś mu odpowie. Chciał z nią pogadać, nie wręczyć jej wymówienie.

Ożywiła się.

- No więc znalazłam faceta, do którego należały te dwa samochody, które stały wtedy na tyłach domu w Bearsden. Gość chodził kiedyś z siostrą pani Burnett, Kate, która zniknęła. Wydaje mi się, że jej szuka. Jest zdesperowany, ale chyba wcale nie dlatego, że tak bardzo ją kocha.

- Myślał, że ukrywa się u siostry?

- Możliwe. Vhari Burnett niedawno się przeprowadziła, a ten umarłak z rzeki znał jej adres.

- Więc facet chciał, żeby Thillingly pomógł mu ją znaleźć?

- Tak sądzę.

- No, a policja?

- Ci dwaj funkcjonariusze, którzy interweniowali w sprawie wezwania w Bearsden, nie zeznają nic, co mogłoby do niego doprowadzić. Zachowują w tej kwestii wyjątkową wstrzemięźliwość, co może sugerować, że są skorumpowani. Ważniejsze jest jednak to, że obaj zostali właśnie przeniesieni do komisariatu, który prowadzi śledztwo w sprawie pani Burnett. Wszyscy wiedzą, że ci faceci biorą w łapę i że do przeniesienia doszło wbrew przepisom. A mnie się wydaje, że wiem, który z ich zwierzchników wydał na nie zgodę.

- On też bierze?

Wzruszyła ramionami.

- To tylko domysły. Nie wiem tego na pewno, ale jego nazwisko pojawiało się w sprawie kilka razy.

- Dobrze. - Ramage znowu rozparł się na fotelu. - Są jakieś dowody?

- Odciski palców zbira, który łączy ich wszystkich.

- Tego, który zaatakował wasz samochód?

- Tak, gościa od tej bomby zapalającej. To on stanowi ogniwo łączące te wszystkie osoby, a ja jestem jedynym świadkiem, który może go powiązać z morderstwem w domu „laski z Bearsden”. Mogę zaświadczyć, że tamtej nocy z tej willi wydostał się pewien... kawałek papieru, na którym policja znalazła jego odciski.

Wyraz twarzy Ramage'a nie uległ najmniejszej zmianie na wspomnienie o „kawałku papieru”, więc Paddy doszła do wniosku, że naczelny jednak o niczym nie wie. Knox nie powiedział Grantowi o banknocie.

- Facet nigdzie dotąd nie wypłynął? Śledzi cię? Był u ciebie w domu?

- Nie. - Urwała, bojąc się, że Ramage każe jej wracać do rodziców. - Na razie nie. W każdym razie nie widziałam go.

- Czy to on rozmawiał wtedy z tobą w drzwiach willi pani Burnett?

- Nie. Odciski tego człowieka też znaleziono na wspomnianym przeze mnie kawałku papieru, ale policja nie ma ich w kartotece.

- Czyli muszą go najpierw przymknąć, by pobrać jego odciski i porównać je ze śladami znalezionymi na dowodzie rzeczowym?

- Tak - odpowiedziała, zapominając ukryć zdumienie na myśl, że Ramage nie okazał się idiotą. Naczelny zauważył minę Paddy i przez jego prawy policzek przebiegł skurecz irytacji, więc szybko zaczęła mówić dalej. - W każdym razie policja zwleka z przymknięciem, kogo trzeba, i usiłuje oskarżyć o morderstwo pani Burnett kogoś innego. Tego faceta z willi bez wątpienia ktoś chroni.

- A funkcjonariusze prowadzący śledztwo? Są czyści?

Pomyślała o Sullivanie, który musiał znosić zniewagi od innych członków komisji i ze względu na nią wciągnął brzuch, bo jego zdaniem postąpiła uczciwie.

- Jak ła. Policjant kierujący śledztwem wie, że coś tu śmierdzi, spotyka się ze mną w cztery oczy i daje mi różne wskazówki.

Ramage wyciągnął palec w jej kierunku, jak gdyby Paddy poszła za jego radą.

- To dobry kontakt. I niech ten gliniarz będzie twoją tajemnicą, Meehan. Nie mów o nim żadnemu staremu lisowi na górze. Jest twój.

Uspokojona, że jej egzekucja została odroczone, uśmiechnęła się skwapliwie do Ramage'a.

- Super - odpowiedziała, chociaż nie trzeba było jej ostrzegać, że powinna zachować dyskrecję w news roomie. - Dziękuję.

Ramage znów popił łyk kawy, krzywiąc się tak, jak gdyby dopadły go mdłości, po czym zacisnął usta i zaczął mocno ssać język. Dziewczyna domyśliła się, że kawa chyba ładniej pachnie niż smakuje.

- A jak było na komisji?

- Odniosłam wrażenie, że jej członkowie starali się mnie nie pytać o nic naprawdę ważnego.

Ramage powoli pokiwał głową.

- Więc to ktoś z członków komisji?

I znowu zaimponował Paddy inteligencją.

- Możliwe.

- Tak bywa. Znam podobne historie. Facet załatwia sobie nominację na członka komisji i usiłuje sterować jej pracami.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Przydarzyło mi się coś podobnego, kiedy pisaliśmy o pewnej sprawie w Liverpoolu przed dziesięcioma laty. Jak uważasz, ile jeszcze potrzebujesz czasu, żeby skończyć tekst?

Nie miała pojęcia.

- Kilka dni - powiedziała, **choć wcale nie była tego** pewna. - Najwyżej.

- Dobrze. To dobrze.

Ramage odstawił filiżankę, zerkając na nią niechętnie.

- Będziemy płacić za twój hotel jeszcze tylko przez dwa dni, więc chcę mieć tekst w tym terminie. - Wskazała ręką drzwi. - A teraz wynocha.

Paddy posłała mu naprawdę szczery uśmiech. Naczelnym był inteligentny, obiecał płacić za jej pokój hotelowy jeszcze przez dwa dni, a co więcej, nie zamierzał jej zwolnić.

- Cześć, szefie.

Na dusznym korytarzu zmęczona głowa Paddy znów nieco opadła na piersi. A zatem zostały jej tylko dwa dni. Usiłując uporządkować myśli, zaczęła szukać w kieszeni pogniecionej kserokopii zdjęcia z pogrzebu. Wyciągnęła ją i rozłożyła, wychodząc na ulicę.

Nietrwały, czarny toner kruszył się już na zgięciach, ale twarz Kate Burnett pozostawała wyraźna - burza jasnych włosów i uśmiezek na ustach. To ona była osią tej całej historii. Paddy musiała ją znaleźć.

Morze jest takie ogromne

1

Łóżko wessało ją w trumienną otchłań i spała jak zabita. Śniła, że Kate na zdjęciu ożywa, uśmiecha się, odrzuca głowę do tyłu i śmieje się z ceremonii pogrzebowej, potrząsając opadającymi na ramiona lokami. Ramage wziął Kate za łokieć, żeby ją podtrzymać, i nagle dziewczyna stanęła w płomieniach, jej włosy zajęły się ogniem, a ona wciąż śmiała się i kiwała głową. Płonące włosy trzepotały się wokół jej ramion, plując małymi, wściekłymi iskierkami.

Paddy usiadła nagle na dźwięk brzęczącego obok telefonu. Przez okno biło ciepłe światło niskiego, zimowego słońca, grzejąc ją w twarz.

- Halo?

Recepcjonistka odebrała telefon do niej. Dzwoni jakiś mężczyzna, przedstawiający się jako George Burns. Czy ma go przełączyć do pokoju?

-Meehan?

Jego głos nie brzmiał przyjaźnie, ale Paddy dopiero co się obudziła i była jeszcze zbyt oszołomiona, żeby odpłacić mu podobnym chłodem.

- Ach, witaj, jak się masz?

Zerknęła na zegarek. Spała zaledwie trzy godziny. Była pora lunchu.

- Dobrze, dobrze. Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że Tam Gourlay i jego partner McGregor zostali zawieszeni ze względu na śledztwo wewnętrzne. Widziałem Gourlaya wychodzącego z komendy Partick Marine, kiedy się o tym dowiedział. Wyglądał dziś rano, jakby przejechał go walec.

Dopiero po chwili zrozumiała, dlaczego George sądzi, że zainteresuje ją wygląd Tama Gourlaya.

- Dałeś mu wycisk?

Burns zawahał się, ale kiedy w końcu się odezwał, usłyszała w jego głosie uśmiech.

- Owszem, ale sprytnie staram się mówić szyfrem.

- Zrobiłeś to w tajemnicy?

- Hmm... Nie, pobiliśmy go na parkingu pełnym policjantów.

- Więc czemu mówisz o sprycie?

- Właściwie nie wiem. Może pomyślałem, że ci zaimponuję.

Przez chwilę oboje chichotali do słuchawek. Paddy potarła rozpaloną twarz.

- Boże, jak tu gorąco.

- Tak czy owak Gourlay nie będzie więcej sprawiał ci kłopotów.

Przypomniała sobie Knoksa. Jej kłopoty były znacznie poważniejsze, niż Burns mógł przypuszczać.

- Dzięki.

- Nie ma za co. Jestem w pobliżu, właściwie tuż za rogiem.

Urwał i na moment zaległo między nimi ciężkie milczenie. Mogła zaprosić go do siebie na górę, ale zostały jej zaledwie dwa dni, a poza tym zbyt ją dziś wszystko bolało, żeby powtarzać wczorajsze wygibasy na podłodze.

- Burns, możesz coś dla mnie zrobić?

- Co tylko chcesz. - W jego głosie pobrzmiwała pewność siebie, bo sądził, że Paddy zaprosi go do pokoju.

- Mógłbyś zdobyć dla mnie adres domowy nadinspektora Knoksa?

Wyczuła jego irytację, biegnącą ku niej po kablu telefonicznym. Syknął.

- Jasne - odparł dziarsko. - Jasne. Zdobędę go dla ciebie.

- Powiedziałeś, że zrobisz wszystko, co zechcę.

- Tak. Tak powiedziałem. Dokładnie.

Odłożyła słuchawkę, ale czerwone światelko w aparacie wciąż do niej pomrugiwało. Najpierw pomyślała, że to pomyłka, podniosła jednak słuchawkę, by sprawdzić, czy Burns się rozłączył.

- Ma pani gościa na dole - oznajmiła z niechęcią recepcjonistka. - Prosiła pani, żeby nie wpuszczać nikogo do pokoju.

Paddy wyobraziła sobie Gourlaya z twarzą ociekającą krwią, która skapuje na marmurową posadzkę, i Lafferty'ego, stojącego z szerokim uśmiechem w recepcji z płonąca pochodnią w ręku.

- Kto to jest?

Recepcjonistka westchnęła i zasłoniła ręką słuchawkę, zadając komuś pytanie. Po chwili znowu zwróciła się do Paddy.

- To pani mama.

2

Drzwi windy rozsunęły się i Paddy ujrzała zagubioną, zdeorientowaną Trisę, stojącą na środku recepcji. Była w swoim nędznym, beżowym wyjściowym płaszczu przeciwdeszczowym i dźwigała dwie plastikowe torby na zakupy. Jej przygarbione ramiona jeszcze bardziej chyliły się ku ziemi pod ich ciężarem, rozciągającym elastyczne rączki reklamówek. Sprawiała wrażenie wystraszonej.

Gdy Paddy podeszła bliżej, Trisha na jej widok omal się nie ukloniła. W tym momencie rączka jednej z toreb pękła i na lśniące, marmurowe płyty posadzki wysypały się ubrania Paddy. Niewiele brakowało, a Trisha rozpląkałaby się na widok jej porozrzucanych lig i swetra.

- Nie przejmuj się - powiedziała Paddy, przyklękając, żeby włożyć wszystko z powrotem do torby. Wstała, niepewna, jak się przywitać z matką. Chciała pocałować ją w policzek, ale Trisha właśnie w tej chwili odwróciła głowę na przyjęcie pocałunku i Paddy chybiła celu, niezdarnie trącając ją tylko nosem w ucho.

- Cześć, maleńka - odezwała się cicho Trisha. - Cześć.

- Napijemy się herbaty?

- Ach. - Trisha rozejrzała się wokół takim wzrokiem, jakby miały pić herbatę w recepcji. - Nie rób sobie kłopotu.

- To żaden kłopot, po prostu pójdziemy tam. - Paddy wzięła ją pod ramię i poprowadziła na drugą stronę, ku schodom wiodącym do baru.

Trisha przybrała przerażony wyraz twarzy.

- Boże, żeby tylko nikt mnie nie zobaczył w pubie w porze lunchu!

Paddy uśmiechnęła się, ściskając ją za ramię.

- A czy ty w ogóle byłaś już kiedyś w pubie?

- Oczywiście, że tak. Kiedy twój ojciec starał się o moją rękę. W Chapman's. - Zmarszczyła nos. - Nie podobało mi się.

Rano podawano tu śniadania, w porze lunchu bar przeistaczał się w pub, a wieczorem służył gościom jako restauracja. Dlatego w kącie stał wielki stalowy serwer, służący do utrzymywania tłustych potraw śniadaniowych w wysokiej temperaturze, soków owocowych zaś w niskiej. Teraz otaczała go ciemność, a wyszorowana do czysta płyta podgrzewacza czekała na kolejny poranek. Za barem na środku sali krzatali się młodzi mężczyźni w białych

koszulach, przy stolikach obsługiwały kelnerki. Krzesła i ławki obite były purpurowo-żółtą tapicerką, pasującą kolorystycznie do dywanu i wytłaczanej tapety. W sali pachniało papierosami i olejem roślinnym.

Trisha i Paddy usiadły obok siebie na ławeczce przy oknie, przodem do wejścia, zadowolone, że nie muszą na siebie patrzeć. Pomędzy nimi i oknami wychodzącymi na George Square siedzieli przy stolikach biznesmeni w ciemnych garniturach, zajadający ogromne porcje smażonych ryb z frytkami albo placki pasterskie, które popijali jasnym piwem. Wszyscy mieli na talerzach bładozielony groszek, którego jednak nikt nie jadł.

- Tu pewnie jest bardzo drogo - mruknęła Trisha. - Po drugiej stronie ulicy mamy kafejkę.

- Każę zapisać to na mój rachunek. Gazeta za nas zapłaci. Chcesz coś zjeść?

Odkąd pamiętała, matka na lunch jadała zupę i dwa rozgniecione na pulpę w filiżance jajka na twardo. Trisha zerknęła na zawartość talerza najbliższego gościa.

- Nie zjem aż tyle na lunch.

- Nie musisz zjeść wszystkiego, tylko trochę. Resztę możesz zostawić.

- To marnotrawstwo. Napiję się raczej herbaty.

Trisha zsunęła z ramion płaszcz. Pod spodem miała elegancką, białą nylonową bluzkę, którą zazwyczaj oszczędzała na mszę.

Kelnerka przyjęła zamówienie: dwie herbaty, herbatniki i talerz frytek dla Paddy, która nie jadła przecież jeszcze śniadania. Potem Trisha sięgnęła po swoje torby i postawiła je między nimi na ławeczce.

- Przyniosłam ci czyste ubranie, szczoteczkę do zębów i trochę zupy.

Paddy uśmiechnęła się, zaglądając do pierwszej reklamówki i dostrzegając w niej pojemnik Tupperware. Trisha przytargała cały ten majdan aż z Eastfield. W pojemniku

pływał wywar z jarzyn z grochem, upstrzony różowymi okrawkami szynki. U Meehanów zupę jadało się podczas wszystkich posiłków z wyjątkiem śniadań, a matki przekazywały przepis córkom. Meehanowie mieli nabożny stosunek do zupy. Traktowali ją jako strawę ubogich, a przy tym źródło warzyw. Ich pokrojenie, podobnie jak moczenie grochu, wymagało sporo czasu, a że ponadto wywar okraszano mięsem, zupa symbolizowała miłość w rodzinie, w której nie rozmawiało się nigdy o uczuciach.

- Mamo, gdzie ja tu to podgrzeję?

- Nie masz kuchenki w pracy?

- Daj spokój. Chcesz, żebym wyszła na skończoną niedojdę, która stoi przy piecu i grzeje sobie zupę?

Chciała zażartować z ekscentryczności matki, ale sprawiła jej tylko przykrość.

- Ugotowałam ją specjalnie dla ciebie.

Oczy matki napełniły się łzami. Wyciągnęła z rękawa chusteczkę i zaczęła nią ocierać nos, gdy kelnerka wróciła z zamówieniem.

Paddy pogładziła Trishę po ramieniu, kiedy kelnerka znów poszła.

- Nie płacz, mamo.

Trisha zakryła usta ręką i dalej przez chwilę szlochała.

- Dlaczego mieszkasz w hotelu?

- Powiedziałam ci już. Bo pracujemy nad pewnym dużym tekstem i powinnam być jak najbliżej redakcji.

- To dlaczego kazałaś mi wypatrywać tego samochodu? Czy coś ci grozi?

- Nie - odpowiedziała Paddy lekceważącym tonem, ale jej matka nie była analfabetką i czytała gazety. - Billy dobrze się czuje. Ma dzisiaj wyjść ze szpitala. Dziennikarze zawsze trochę przesadzają, żeby ich teksty brzmiały atrakcyjniej. Nie ma się czym martwić.

Trisha wciąż jednak płakała, chociaż bardzo starała się opanować, a w pewnej chwili nawet przygryzła

chusteczkę. Paddy była ostatnimi czasy świadkiem zbyt wielu podobnych napadów płaczu matki, by nie wiedzieć, że w zasadzie wcale nie chodzi jej o nią. Nalała herbaty do dwóch filiżanek, wsypała matce cukier, zamieszała i na przynętę położyła na jej spodeczku ciasteczko z czekoladą. Zaczęła skubać frytki, choć w gruncie rzeczy nie miała na nie ochoty. Na sali unosił się dym papierosowy i zrobiło się jej trochę niedobrze.

Trisha westchnęła, po czym sięgnęła po herbatnik i przyjrzała mu się z bliska. Polewę czekoladową pokrywały cętki zeschniętych wiórków kokosowych.

- Przepraszam, że płakałam.
- Nie ma za co, mamó.
- Przynajmniej co drugi raz samo mi się płacze.
- Wiem, mamó, wiem.

Przez jakiś czas piły w milczeniu, przyglądając się jeżdżącym biznesmenom. Paddy co chwila poklepywała matkę po nodze, a Trisha mówiła wtedy: „Ach, tak”.

- Wolałabym, żebyś była w domu - odezwała się, podnosząc filiżankę do ust. - Wrócisz do nas pojutrze? Ojciec Marian załatwił Mary Ann miejsce w Taize. Mary Ann jedzie do Francji!

- Spróbuję. No to fajnie. Francja nie jest przecież tak daleko.

Paddy czytała o chrześcijańskiej społeczności w Taize i na tej podstawie mogła sądzić, że jak na tak odludną dziurę, żyje się tam chyba całkiem przyjemnie. Uczestnicy obozu najwyraźniej sporo śpiewali, bo w broszurkach reklamowych na wszystkich zdjęciach widać było gitary, a poza tym poznawali młodzież z innych krajów i jadaliby egzotyczne potrawy w kantine pod namiotem.

- Będzie przebywać w towarzystwie młodych ludzi. I może pozna jakiegoś miłego chłopca.

Trisha uśmiechnęła się, wbijając wzrok w filiżankę.

- Mary Ann nie interesuje się chłopcami. Twierdzi, że czuje powołanie do życia zakonnego. Zapoznała się już nawet z regułą klarysek.

Paddy wiedziała, że prędzej czy później tak właśnie się to skończy - że Mary Ann oznajmi lada chwila, że pragnie poświęcić się Bogu. Klaryski nocami rozdawały bezdomnym wodnistą zupę. Te, które знаła Paddy, zawsze chodziły ze spuszczonej oczami i uśmiechały się służalczo i unieźlenie.

- Mimo to może zaprzyjaźni się tam z jakimś chłopakiem.

Wiedziała w głębi duszy, że Mary Ann zakocha się w Taize i że polubi modlitewną dyscyplinę oraz ekumeniczną atmosferę miasteczka. Nie będzie już musiała mieszkać w jednym pokoju z dziewczyną, która obnaża przy niej piersi i klnie, gdy ona się modli, a Paddy będzie brakowało milczącej obecności siostry, jej chichotania i miarowego posapywania przez sen. Braci ani Caroline nigdy nie darzyła podobnym uczuciem. Mary Ann była jej wyłączną własnością. Przyszły jej do głowy Kate i Vhari, też siostry - starsza z nich była uległa, a młodsza miała charakter buntowniczej sekutnicy, która sprowadzała na ludzi nieszczęście.

- Co u Caroline?

Trisha prychnęła tylko i westchnęła.

- Nie wróciła do niego? Trisha prychnęła raz jeszcze.

- A może nie powinna do niego wracać, mamó?

- Nie powinna była za niego wychodzić.

Paddy skubnęła kokosowe ciasteczko.

- Pracujemy właśnie nad jednym tekstem o tym, jak policjanci przyjechali do pewnego domu i zobaczyli w drzwiach zalaną krwią dziewczynę, ale w końcu pojechali sobie, a ten facet ją potem zabił. Gliniarze myśleli, że był jej mężem. John chyba strasznie pobił Caroline...

- Nie powinna była za niego wychodzić - powtórzyła stanowczym tonem Trisha.

- Ale wyszła, mamó.

- Właśnie. Na dobre i na złe.

Paddy wzięła do ręki frytkę i odgryzła kawałek.

- A co będzie, jeśli John ją zabije? Co będzie, jeżeli odeślesz do niego Caroline, a on ją zabije, mamó?

Trisha wymierzyła Paddy klapsa w udo.

- Nie gadaj głupstw.

- Mówię poważnie: co będzie, jeżeli John zamorduje Caroline? Wybaczysz sobie, jeśli do tego dojdzie?

Trisha odwróciła się, żeby spojrzeć jej w oczy.

- Małżeństwo to sakrament, Patricio, przysięga, którą składa się w obliczu Boga. Nie można potem tak po prostu rozmyślić się i odejść. Ach, ty i to twoje wyzwolenie kobiet!

- O Boże, mamó, nie zaczynaj znowu...

- No wiesz... - Trisha z brękiem odstawiła filiżankę na spodek. - Ty straciłaś szansę na małżeństwo z Seanem, bo wybrałaś pracę. Pracę, na litość boską! A teraz Sean się żeni, też dostał dobrą robotę i mógłby zapewnić ci życie na przyzwoitym poziomie.

Paddy tak się zdumiała na te słowa, że upuściła na wpół zjedzoną frytkę na podłogę.

- Jak to? Sean się żeni?

- Oświadczył się Elaine. Nie powiedział ci? Oświadczył się jej, kiedy tylko najął się na kierowcę, a ona go przyjęła. Mimi Ogilvy waruje teraz przed kościołem i opowiada o tym wszystkim naokoło. Sean naprawdę nic ci nie powiedział?

- Nie. - Paddy usiłowała ukryć rozgoryczenie. - Nie wspomniał na ten temat ani słowem.

Elaine była gderliwą, niepozorną z urody jędrą, ale Paddy właściwie nie mogła mieć pretensji do Seana. Odkąd z nim zerwała, przespała się już z trzema mężczyznami, a ponieważ on planował zachować czystość aż do ślubu,

musiał być cholernie napalony. Wiedziała na swoim przykładzie, jak bardzo pożądanie potrafi zmącić człowiekowi zdrowy rozsądek. Mary Ann wyjeżdża, a teraz okazuje się, że Paddy utraciła również Seana. Po raz pierwszy w życiu poczuła się zupełnie opuszczona.

- I gdzie ty teraz znajdziesz sobie faceta?

- Mam dopiero dwadzieścia jeden lat, mam. Są inni mężczyźni na świecie.

- No dobrze, zobaczymy.

Skończyły herbatę, Paddy nie tknęła już jednak frytek.

Przed wejściem do hotelu wzięła obie reklamówki od Trishy i nagle poczuła się tak, jak gdyby rozstawały się na zawsze, więc puściła się za nią biegiem po ulicy.

- Mam!

Trisha odwróciła się, a ona rzuciła się jej w objęcia i uścisnęła ją mocno, chociaż matka stała sztywno jak słup. Dziewczynę ogarnęło nagle przemożne zmęczenie i mdłości. Wtuliła twarz w matczyne ramię, zalewając łzami jej delikatną szyję.

Trisha niechętnie objęła córkę i szepnęła jej we włosy, żeby się uspokoiła. Ulicą z łoskotem przetoczył się autobus i obie kobiety owiał hulający po placu zimny wiatr.

- Przepraszam cię, mam. Przykro mi, że nie jestem taka, jak byś chciała.

Trisha też zaczęła płakać, chociaż starała się powstrzymać łzy. Jej piersią wstrząsał szloch. Głaskała Paddy po głowie i poklepywała ją po plecach.

- No już, już. Daj spokój. Przecież nie jest chyba z tobą aż tak źle, co?

Paddy znów skryła twarz w miękkiej szyi matki.

- Nie jestem taka jak ty, mam. Nie potrafię być taka dobra jak ty.

Trisha wciąż głaskała i poklepywała córkę, obejmując ją mocno, jak gdyby łaknęła takiej bliskości od co najmniej dziesięciu lat.

W końcu cofnęła się.

- Zjedz zupeę, dobrze ci zrobi. - Uśmiechnęła się boha tersko i rozpięła suwak torebki w poszukiwaniu portmo netki oraz kluczy od domu, jakby chcąc się upewnić, że wkrótce do niego wróci.

Paddy otarła smarki grzbietem dłoni i pociągnęła nosem. Kiedy Trisha wyciągnęła klucze, dziewczyna zauważyła przezroczystą laminowaną plakietkę, wiszącą na kółku w charakterze breloczka, i przypomniała sobie zdo biący ją napis. Trisha kupiła ją w sklepie z dewocjonaliami. Widniało na niej pomarańczowe słońce, zachodzące w tle za małeńką łódeczką, a napis głosił:

„Panie, dopomóż mi.
Morze jest takie ogromne, A
moja łódź taka malutka.”

3

Podsycony na nowo w news roomie zapal do pracy osłabł, bo tymczasem wszyscy już zdążyli się zorientować, kiedy Ramcham odwiedza dziennikarzy. Okazało się, że naczelny na ogół przesiaduje na dole i prowadzi narady, dotyczące przede wszystkim spraw finansowych, więc można było całymi godzinami beztróska zbijać baki albo przeglądać oferty pracy w „Daily News” i innych gazetach codziennych.

McVie wślizgnął się boczkiem do kuchni i stanął tuż przy Paddy, czekając, aż w czajniku zagotuje się woda.

- Co tam u ciebie? - zapytał niezwykle przymilnie jak na niego. Stał bardzo blisko Paddy i patrzył na nią z góry.

- Wszystko w porządku - odparła, popatrując na niego spođe lba w nadziei, że odpowie jej podobnym spojrzeniem.

- No i co?... - Przechylił głowę na bok. - Co sobie pomyślałaś tamtej nocy?

Zauważyła, że McVie nie tyle stoi blisko niej, ile wręcz przyciska ją do ściany, osacza.

- Że Ben to sympatyczny facet.

McVie uniósł brwi i pochylił się ku niej, zeszkrobując paznokciem z lodówki odrobinę zeschniętego dżemu truskawkowego. Sprawiał wrażenie lekko urażonego.

- No, powiedzmy, dosyć sympatyczny. Osobiście nie chciałabym zadawać się z nim zbyt blisko, ale ty to całkiem inna sprawa. Sympatyczny gość. Miły.

- Hmm, miły... Tak jest.

McVie i Paddy znali się od czterech lat i nawiązali świetny, choć nieco zgryźliwy kontakt, ale ta rozmowa zupełnie się nie kleiła, jak gdyby prowadzili ją po arabsku, i to dopiero po pierwszym roku nauki tego języka. Oboje pograżyli się w lękkim milczeniu, obserwując czajnik, do którego Paddy nalała za dużo wody. Bulgoczący wrzątek wypływał spod pokrywki, ciekł po bokach naczynia i zalewał przewód elektryczny. Gdy parująca woda zaczęła ściekać po drzwiach lodówki, uśmiechnęli się.

- To chyba niebezpieczne, co?

- Eee tam. - Paddy wciąż się uśmiechała, ale cofnęła się o krok. Jej zamszowe botki były już zniszczone, nie chciała jednak zupełnie ich zrujnować. - Wcale mi nie przeszkadza, że jesteś ciotą.

McVie gwałtownie zamrugał powiekami na to słowo i potarł swoją pociągłą, gotycką twarz.

- Słyszałem, że pieprzyłaś się z Georgem Burnsem w jego samochodzie.

Paddy poczuła, jak jeżą się jej włoski na karku. Jeszcze tydzień temu byłaby przerażona, że McVie wie o jej wyskoku - właściwie nigdy mu nie ufała w kwestiach erotycznych - ale dzisiaj był dla niej jedynym godnym zaufania facetem w news roomie. Nagle wydało się jej zabawne, że

McVie wie, co zrobiła. Zaczęła chichotać, wbijając wzrok w ścianę. Zbity z tropu George przyglądał się jej przez chwilę, a potem sam parsknął przez nos. Drżały mu ramiona i chociaż wyglądał jeszcze żałośniej niż przedtem, Paddy była pewna, że on też się śmieje.

- Co powiedziała twoja żona, kiedy się dowiedziała, że preferujesz mężczyzn?

Na wspomnienie żony McVie odchylił głowę do tyłu i zapatrzył się w sufit.

- Zdziwiła się - rzucił.

- Jesteście kochankami? - Shug Grant stanął w drzwiach i zadał to pytanie na tyle głośno, żeby zwrócić uwagę obecnych w news roomie dziennikarzy.

- Wiesz co, Grant? - odpowiedział McVie bez cienia agresji w głosie. - Wcale nie jesteś taki fajny, jak ci się wydaje. Zamknij się i spierdalaj. - Potem zwrócił się z powrotem do Paddy. - Idziemy jutro wieczorem na drinka z Paddym Meehanem. Do Baru Prasowego, o siódmej. Pasuje ci?

Paddy skinęła głową.

Skarcony Grant wycofał się z kuchni, a McVie wyszedł za nim i ostrzegawczo wymierzył w Paddy palec.

- No to o siódmej?

- Jesteśmy umówieni.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Murzyn i drut kolczasty

1

Kate zrozumiała od razu, że zdobędzie się na to, żeby tu przyjechać, gdy tylko Bernie wyciągnął paczkę spod stosu cegieł w warsztacie. Siedziała teraz w mini cooperze, a na szybie od wewnątrz osiadała zimna para jej oddechu, zasłaniająca pub i dom Knoxa po drugiej stronie ulicy. Opuszka jej prawego palca wskazującego była pomarszczona od wcierania w dziąsła czystej kokainy.

Musi obserwować dom i upewnić się, że Knox jest u siebie, zanim przejdzie przez ulicę, zadzwoni do drzwi i powie, że pójdzie ze wszystkim do gazet, jeżeli nie każe Paulowi przestać jej szukać. Knox mógł to załatwić. Mógł mu kazać dać jej święty spokój. Wprawdzie nie był jego szefem ani nic takiego, Paul w ogóle nie miał nad sobą szefa, ale Kate wiedziała dość dużo, żeby zaszkodzić im wszystkim, a najostrożniejszy z nich był właśnie Knox. Do tego stopnia, że wyśmiewali się z niego. Spotykał się z nimi zawsze w składzie win, w piwnicy u Archiego. Nigdy nie zgodził się gościć Paula u siebie i nie chciał jeździć do nich.

Tak, Knox był ostrożny.

Zrozumiała, że powiedziała to głośno. Siedziała samotnie w tandetnym samochodziku, w wilgotnej ciem-

ności, przed paskudnym browarnym pubem, w którego oknie pomrukiwał czerwony neon „Nora głodomora”.

Powtórzyła to dla pewności raz jeszcze: „Knox był ostrożny”, i uśmiechnęła się z niedowierzaniem na dźwięk swojego głosu. Wcześniej nie zdawała sobie sprawy, że nie tylko myśli, ale mówi. Postanowiła przeprowadzić próbę.

- Witaj, Knox. Potrzebuję twojej pomocy.

To na nic. Brzmiało zbyt ulegle.

Kiedy otworzy drzwi, powie bez ogródek: „Knox...”, a wtedy on natychmiast wciągnie ją do przedpokoju i wyjrzy na ulicę, żeby sprawdzić, czy nikt jej nie widział. „Knox, musisz mi pomóc. Pokłóciłam się z Pauliem Neilsonem. Musisz mu powiedzieć, żeby zostawił mnie w spokoju”.

Lepiej. To zabrzmiało zaczepnie, jak gdyby miała nad nimi przewagę.

„Jeżeli nie chcesz, żebym poszła do gazet i opowiedziała im wszystko, co wiem, to każesz mi dać mi spokój”.

Dokładnie o to chodziło. Właśnie o taki ton. A potem powinna się przyknuć, nie paplać nic o Vhari i w ogóle. Doskonale. Polizała czubek palca, wyciągnęła rękę nad fotelem pasażera, wsunęła ścierpnięty palec w szparę w folii i podniosła go do ust. Jeden maleńki sztos, a zaraz otworzy drzwi i pójdzie do Knoksa. Ale odrobina narkotyku nie podziałała, więc Kate sięgnęła do paczki jeszcze raz, i znowu. Wcierała kokainę w dziąsła, wsuwała palec do paczki i podnosiła go z powrotem do ust, czekając, aż wreszcie dojdzie do pożądanej reakcji chemicznej, dzięki której zyska odwagę i jasność umysłu, by móc zrobić to, co zrobić musi.

Wciąż nie udawało się jej jednak dojść do siebie. Siedziała za kierownicą, oblewała się potem i słuchała, jak jej zmęczone, stare serce wali niczym galerowy bęben. Krew uderzała jej do głowy strumieniami różnych myśli i wniosków, które zlewały się w amorficzną całość ni-

czym czerwone smugi na poklatkowej fotografii. Wiedziała z grubsza, czego te myśli dotyczą, ale nie potrafiła skupić się na niczym, chociaż wspominała na przykład wydarzenia z dzieciństwa, wakacje, dni nudy, kiedy zamiast siedzieć w szkole, leżała chora w domu, i restauracje, w których zdarzało jej się jadać.

Znowu sięgnęła po szczyptę narkotyku. Miała tak wysuszony język, że nie wiedziała, czy będzie mogła mówić. Może powinna wejść do tego pubu i napić się czegoś. Na przykład wina z wodą. Ma pieniądze. W dłoni Kate pojawił się dziesięciofuntowy banknot.

Zdawało się jej, że minął cały tydzień, zanim zdołała pociągnąć lepką metalową klamkę drzwi auta i wysiadła na miękki, czarny asfalt. Potem niemal natychmiast znalazła się w pubie, przy barze, mrugając gwałtownie powiekami w nieprzyjaznym świetle. Wystrój wnętrza był czystym kryminałem: podkowy, mosiężne naczynia - okropna, udawana Anglia. Było tu prawie pusto, ale wszyscy goście zwrócili na nią wzrok. Nie weszłaby do tak jasno oświetlonego pubu nawet za swoich najlepszych czasów, a jak przypominała sobie mgliście, wyglądała teraz okropnie, naprawdę okropnie.

- Poproszę białe wino z wodą sodową i paczkę marlboro.

Słodkawy koktajl zmył słone odrętwienie z jej dziąseł, splukał język, a w końcu dosięgnął! płata wysuszonej słuzówki głęboko w gardle. Jednego z wielu. Zapaliła papierosa, starając się nie patrzeć na nikogo i nie rzucać się w oczy. Nagle poczuła ukłucie tęsknoty za paczką, odstawiła niedopitego drinka, odwróciła się na pięcie i ruszyła do wyjścia, a potem na parking i do samochodu.

Kiedy podniosła wzrok, stała przed domem Knoksa. Najwyraźniej znowu strzeliła sobie kolejną dawkę koki, bo wciąż wodziła językiem po swoich ziarnistych od narkotyku dziąsłach.

Trawnik przed stojącą bardzo blisko drogi willą został wybrukowany pod miejsca parkingowe. Kate stwierdziła, że to niewielki domek z przyklejonym z przodu, tandetnie wyglądającym oszklonym gankiem, zastawionym brzydkimi kwiatami doniczkowymi, kaloszami i tak dalej. Sprzęt ogrodowy. A czy Knox ma psa? Nie mogła sobie przypomnieć. Przed wejściem stał tylko jeden samochód. Dalej, obok oszklonego ganku, dostrzegła okno frontowego pokoju, ale zasłony były zaciągnięte.

Rozbolało ją serce - nie ze strachu, tylko z czysto fizycznego wysiłku. Nacisnęła dzwonek, po czym cofnęła się, widząc, jak ktoś zapala w przedpokoju światło, które wydało się jej różowe za kiczowatą pomarańczową szybką w drzwiach wejściowych. Otworzyły się drzwi i ganek zalala nagła jasność. Knox był w kapciach i blezerze. Powiedział coś do niej gniewnym, skrzekliwym głosem.

Odpowiedziała, rzucając mu w twarz jedyne dwa słowa, które zapamiętała ze swojej przemowy.

- Knox. Pomocy.

2

Na Salt Market autobus najechał na volvo combi, którego kierowca zginął na miejscu w całkowicie zmiądzonym samochodzie. Umazana krwią przednia szyba z hartowanego szkła wypadła w całości na jezdnię i leżała teraz przy krawężniku. Volvo zostało doszczętnie zniszczone - do tego stopnia, że załoga karetki z początku nie była pewna, czy ma przed sobą jeden duży czy dwa małe samochody. Nieponoszący winy za wypadek kierowca autobusu siedział na mokrym krawężniku z otwartymi ustami. Z oczu spływały mu łzy. Apatycznie przyglądał się *strażakom* rozcinającym auto palnikami i usiłującym ustalić, czy podróżował nim także jakiś pasażer.

Paddy zanotowała już relację naocznego świadka - nieco podchmielonego staruszka, który widział volvo pędzące tą ulicą i nadjeżdżający z tamtej strony autobus, a potem rozległo się lubudu i nie patrzył już, co było dalej, ale usłyszał zajebisty huk, niech Paddy wybaczy mu tę kuchenną łacinę. Zapisała jego nazwisko i adres, żeby podać je w tekście, i nikt już teraz nie zmusiłby jej do tego, żeby szukała kolejnego świadka.

- Czy można powiedzieć, że był pan przerażony? - za pytała, zachowując się nieprofesjonalnie, sugerowała bo wiem starcowi odpowiedź.

Spojrzał na nią jakby nieco sceptycznie.

- Chyba tak.

- Czy kiedykolwiek przedtem widział pan coś takiego? Staruszek popatrzył na nią z jeszcze większą rezerwą.

- Byłem żołnierzem, walczyłem pod Monte Cassino, ale czegoś tak straszego nawet tam nie widziałem.

Paddy westchnęła. Była bardzo zmęczona.

- Czy można jednak powiedzieć, że zwykle podobne sceny ogląda się tylko na wojnie? Zgodziłby się pan z tego rodzaju stwierdzeniem?

- No... - Nie widział w tym określeniu nic niestosownego. - Może. Może i tak.

Paddy zanotowała: „Alistair Sloane, mieszkaniec Dennistoun, stwierdził: «Ten widok przypominał bitwę pod Monte Cassino. Wiem, co mówię, bo brałem w niej udział»”.

- Może tak być?

Staruszek zerknął na notatki Paddy, ucieszony, że znajdzie się w gazecie.

- Może. A kiedy to pójdzie? Jutro?

- W zasadzie to nie ja o tym decyduję, ale dam ten tekst do jutrzejszego wydania, tak.

Zostawiła staruszka, który uśmiechał się upiornie, a zarazem wesoło, i ruszyła z powrotem do samochodu, ze

wszystkich sił starając się nie patrzeć pod autobus. Nawet w ciemności widziała na kołach strużki krwi, tworzące kałuże na jezdni. Zerkając na miejsce wypadku jedynie kątem oka, usiłowała wypatrzeć w bezkształtnej masie blachy ludzką postać, na przykład coś okrągłego, co okazałoby się ludzką głową. Wszędzie dookoła na jezdni było widać jakieś czarne plamy i Paddy była pewna, że to nie jest olej ani smar. Ucieszyła się na myśl, że w wozie reporterskim czeka na nią Sean. Zapewne uznał ją za bohaterkę, bo nie zwymiotowała, w przeciwieństwie do jednego z policjantów.

- Doszły mnie słuchy, że tu jesteś.

Na głos Burnsa jej i tak już osłabiony żołądek przeszył kwaśny dreszcz. George zostawił swojego partnera i podszedł rozkołysanym krokiem, stając pomiędzy nią a autobusem. Dlatego nie miała innego wyjścia - musiała patrzeć na Burnsa od pasa w górę, jeżeli nie chciała oglądać makabrycznego widoku, który nie dawałby jej potem spokoju.

- Burns.

- Meehan? - Odwzajemnił jej chłodne powitanie, ale sprawiał wrażenie rozczarowanego.

- Przepraszam cię. - Paddy skinęła głową w stronę jatki pod autobusem. - Staram się na to nie patrzeć.

Burns odwrócił się, ale nie mrugnął okiem.

- Tak, to istny koszmar. Przysłali nas, żebyśmy zorganizowali objazd. To niesłychanie interesujące zajęcie. Uwielbiam pracować na noc. Zwłaszcza kiedy jest tak zimno, że można sobie jaja odmrozić, a ja muszę sterczeć na ulicy i kazać różnym ciekawskim chujkom skręcać w lewo. Mam dla ciebie ten adres.

- Wspaniale.

Burns podał jej adres, który Paddy zapisała w notesie.

- Wiadomo coś o tym Knoksie? Może jeździ szpanerskim samochodem albo ma za dużo forsy jak na policjanta?

- Chyba nie tyle, żeby ludzie mieli o tym mówić, nie. - Burns podszedł bliżej, spoglądając z góry na jej usta takim wzrokiem, jak gdyby zamierzał ją pocałować. Zauważyła, że aż cieknie mu ślinka, a jego oddech owiewał jej twarz ciepłymi obłoczkami. - Wciąż mieszkasz w hotelu?

- Czy Lafferty został już aresztowany pod zarzutem dokonania zamachu bombowego?

Wzrok Burnsa prześlizgnął się w dół po jej szyi.

- Nie. Lafferty przebywa za granicą.

- Czyli gdzie?

- Jego żona twierdzi, że w Irlandii. Niestety, poza jej oświadczeniem nie ma na to żadnych dowodów.

Paddy zamknęła notes.

- W takim razie mieszkam jeszcze w hotelu.

- Tak będzie dla ciebie najbezpieczniej, owszem. - Burns rzucił okiem na wóz reporterski. - Zastępca Billy'ego? Strasznie szybko go znalazłaś. Czy to twój chłopak?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, żeby za chwilę nie musieć przedstawiać sobie obu panów.

- Nie... Jest moim... Ach, to dość skomplikowana sprawa.

- Doprawdy?

Znowu się zawahała. Gdyby nie była taka półprzytomna, mogłaby się uciec do jakiegoś zbawionego łgarstwa.

- Po prostu od dawna się znamy.

Burns lekko przechylił głowę i spuścił wzrok, z jadowitym sykiem wysysając powietrze przez szparę między przednimi zębami.

- Rozumiem. Czyli na pewno jeździ się wam fajnie i sympatycznie. Mam jutro występ w Blackfriar's. Przydziesz?

Dub zwykle organizował noc otwartego mikrofonu raz w miesiącu, więc nie chodziło o tego rodzaju otwartą dla wszystkich imprezę. Widocznie Burns dogadał się

z Dubem, a zatem musiał się z nim spotkać poza jej plecami. Facet wciskał się na chama w jej niezbyt bujne życie towarzyskie.

- Postaram się.

Na ulicy rozległ się przeraźliwy zgrzyt dartej blachy, kiedy strażacy wyciągnęli spod przednich kół autobusu kawał zakrwawionej maski volvo. Paddy zorientowała się nagle, że stoją zbyt blisko siebie, jakby nie chcieli dopuścić nikogo innego do rozmowy. Było najzupełniej oczywiste, że coś ich łączy.

- Lepiej już pójdę. Muszę oddać materiał do redakcji.

Zaczęła się wycofywać w stronę samochodu.

Burns przyglądał się jej ustom, a kiedy również na niego spojrzała, zauważyła jego różowy język, połyskujący za szeregiem białych zębów.

3

Był środek nocy. Albo dnia. Albo nocy. Kate leżała na czymś miękkim. Na kanapie. Na kanapie obciągniętej prześcieradłem. Przebiegła po nim palcami - jego dotyk był cudownie kojący, znajomy, przyjemny i ciepły. Jak ludzka skóra. Tak, prześcieradło było delikatne niczym ludzka skóra i pachniało kojąco, jak jej paczka. Paul coś do niej mówił. Przypominał jej, jak bardzo są sobie bliscy i jakie to ważne, żeby nadal byli dla siebie mili i pomagali sobie. Czowała się cudownie.

Nagle uderzyła ją jakaś myśl i gwałtownie otworzyła oczy. Prześcieradło było plastikowe. Leżała na plastikowym prześcieradle.

Paul siedział obok na krześle z nogą założoną na nogę i mówił do niej cicho. Był ładnie ubrany, w szytą na zamówienie niebieską koszulę i stalowszare spodnie z ostrymi kantami. Lubił się ubierać jak człowiek interesu. Widział,

że Kate ma stracha, ale oświadczył, że nie ma czego się bać. Wszystko będzie dobrze. Nie ma się czym martwić.

Leniwie przymknął oko i Kate domyśliła się, że kłamie. Wiedziała, kogo widzi teraz przed sobą Paul Neilson. Kobieta bez nosa, zabiedzona i wychudzona jak szczapa - kobietę, która przeżyła kilka ostatnich tygodni o puszcze szynki konserwowej i paru herbatnikach. Gardził kobietami, które traciły swe wdzięki. A Kate wiedziała, co Paul potrafi zrobić komuś, kim gardzi.

Znajdowali się w jakimś nieznanym jej, kiczowato urządzonym salonie. Przez całą jego szerokość biegł pas kaffli, wśród których błyskały płomienie gazowego kominka. Na podłodze stały postumenciki, podtrzymujące różne brzydkie ozdoby, jak porcelanowe pieski, kryształowe albo figurynki z Limoges, przedstawiające tancerki w wirujących spódnicach. Z sufitu zwieszała się osłonięta klosikiem żarówka. Świeciła jej prosto w oczy.

Z tyłu, za plecami Paula, ze wzrokiem wbitym w Kate, stał Knox.

- Kate... - Paul pochylił się i wyprostował palec, żeby odgarnąć lok jasnych włosów z jej czoła. - Katie, powiedz mi, gdzie to jest. Gdzie jest paczka?

Nie sądziła, by miało to jakieś znaczenie, ale była osobą uległą z natury.

- W mini cooperze. Po drugiej stronie ulicy. Jest... Jest prawie pusta.

Paul wyglądał pięknie. Ciemne włosy miał zaczesane do góry, był gładko ogolony, a na jego twarzy pomimo wieczornej godziny nie kładł się żaden cień. Zawsze sprawiał wrażenie mężczyzny zamożnego i eleganckiego. Jego koszulę na pewno wyprasowała zawodowa prasowaczka. Mankiety rękawów były wykrochmalone i ozdobione srebrnymi spinkami z „tygrysim okiem”. Był bez krawata, ale rozpięty miał tylko jeden guzik - pod szyją.

Skrzyżował ręce na piersi i wydał wargi.

- Po co tu przyszłaś, Kate?

Zaczęła płakać, a z jej piersiątek wyrywały się żalodne jęki. Paul zawsze czuł się nieswojo w takich sytuacjach, więc odwrócił wzrok, wbijając sobie w szyję paznokcie, które pozostawiały na jego skórze podbiegające krwią ślady. Zaczekał, aż ucichnie, i dopiero wtedy znów odezwał się cicho:

- Nie możesz szantażować naszych przyjaciół, Katie. To nieładnie. - Głos miał spokojny, ale w oczach wściekłość. - A gdzie jest beemka? Porzuciłaś ją gdzieś, prawda?

Z tyłu dobiegł dziewczynę jakiś szmer. Był to Lafferty, który obserwował Paula, czekając na jego sygnał i przestępując z nogi na nogę. Wyciągnęła szyję, by przyrzeć się potężnemu cielsku i umięśnionym łapskom osiłka, a wtedy delikatny plastik zmarszczył się prześlicznie pod jej głową. Z olbrzymiej dłoni Lafferty'ego zwiślał ciężki młotek. Przyjechał tu, żeby ją zabić. Inaczej nie byłoby go w tym pokoju.

Lafferty zauważył, że Kate na niego patrzy, i cofnął się tak, żeby go nie widziała. Spróbowała usiąść, ale wtedy Paul wyciągnął rękę i mocno ścisnął ją za gardło, blokując dopływ powietrza do krtani i popychając z powrotem na wyścieloną folią kanapę.

- Szukałam ciebie - powiedziała rozpaczliwie. - Nikogo nie szantażowałam. Chciałam się z tobą zobaczyć i przeprosić cię za wszystko.

Paul przechylił głowę i spojrzał jej prosto w oczy.

- Kate, powiedziałaś mi, że przyszłaś zaszantażować Knoksa. Przed chwilą.

- Nie. Nic takiego nie mówiłam.

- Tak powiedziałaś. Przed chwilą. Powiedziałaś, że jeśli Knox nie chce, żebyś poszła do gazet, ma mi kazać zostawić cię w spokoju. To twoje własne słowa.

Zupełnie się pogubiła. Wygłosiła swoją starannie prze myśląną kwestię do niewłaściwego mężczyzny, nic nie

wytargowała i nie zyskała na czasie. Zdobyła się na odwagę - i wszystko na nic. Po chwili ku zdumieniu Kate z głębi jej trzewi wydobył się dziecięcy, jakby obcy głosik.

- Dlaczego zabiłeś moją Vhari?

Paul wziął głęboki oddech i wypiął pierś w na pozór obronnym geście, wciągając przy tym policzki i przechylając głowę na bok. W jego głosie zabrzmiało niedowierzanie.

- Nie chciała mi powiedzieć, gdzie jesteś.

- Bo nie wiedziała. Nie pojechałam do niej.

Zamajaczyła nad nią jego czerwona, wykrzywiona gniewem twarz.

- A skąd ja, kurwa, miałem o tym wiedzieć? - wrzasnął. - Zwiłaś nam z wartą sześćdziesiąt kawalków bryką i towarem. Co miałem robić?

- Przepraszam.

Paul wstał i pochylił się nad nią, ale nie ściszył głosu i Kate zamknęła oczy.

- Co miałem robić, Kate? Siedzieć w domu i czekać, aż do mnie wrócisz?

Zamilkł na chwilę, żeby dać jej szansę, nie miała jednak siły, by się bronić.

- Uderzyłeś mnie - powiedziała, wciąż z zamkniętymi oczami.

Krzyknął tak głośno, że zdmuchnął jej włos z policzka.

- Bo dostałaś znowu małpiego rozumu! Pokaż mi faceta, który chciałby wracać do codziennie nieprzytomnej ćpunkki?

- Nie musiałeś zabijać Vhari.

Paul opadł z powrotem na krzesło, więc otworzyła oczy i spojrzała na niego. Miał taką minę, jakby mu było przykro.

- Okazała się wyjątkowo uparta. Musieliśmy podkręcić muzykę, żeby nie było słycać krzyków, ale nie chciała nam powiedzieć, gdzie się ukrywasz. Kiedy przyjechała

policja, Lafferty się wnerwił. A on nie lubi gliniarzy. Wkurzają go. Nie masz pojęcia, Kate, jak bardzo narozrabiałaś. Nie zniosę tego więcej. Ale to już koniec.

- Jak to?

- A tak. - Paul powoli przymknął oko. - To koniec. Dobrze o tym wiesz.

Nagle czarno na białym zobaczyła, jaka jest głupia, brzydka, nic niewarta i kompletnie zagubiona. Jęknęła, kuląc się w sobie i podciągając kolana na piersi, aż zaszeleściła cerata, na której leżała.

- Proszę cię, Paul, tylko nie rób mi tego, co temu Murzynowi.

Opowiedział jej tę historię, kiedy się poznali. Był to punkt zwrotny w ich związku. Zawarli wtedy między sobą układ, na mocy którego Kate zgodziła się zaakceptować Paula bez żadnych zastrzeżeń, z całym dobrodziejstwem inwentarza. Działo się to w posiadłości Neilsonów w Republice Południowej Afryki, pod Johannesburgiem. Pewnego dnia, wyprawiając syna do szkoły, ojciec Paula zauważył w ogrodzie jakiegoś obcego Murzyna, który, nie kryjąc się przed nim, szukał czegoś w trawie. Ojciec Paula z miejsca chwycił strzelbę i wybiegł przed dom. Na widok białego Murzyna rzucił się do ucieczki. Uciekał tak rączo, że ojciec Paula uznał za stosowne wrócić po furgonetkę.

Murzyn zniknął mu z oczu. Pobiegł przez łąkę i skrył się za krzakami. Uciekał wprost przed siebie, dlatego ojciec Paula od razu się domyślił, że pochodzi ze wsi. Murzyn uciekał na osłep i w końcu wpadł na otaczające posiadłość ogrodzenie z drutu kolczastego. Im bardziej się szarpał, tym ciaśniej drut go oplatał.

Ojciec Paula patrzył, jak ofiara sama rozdziera swoje ciało na strzępy. Upewniwszy się, że intruz nie zdoła już uciec, spokojnym krokiem wrócił do domu po Paula, żeby mu pokazać, jak głupi są Murzyni, którzy zawsze wszystko

tylko psują i niszczą, i nie mają o niczym pojęcia. Nie-
szczęśnik umierał trzy dni.

Paul i Katie po raz ostatni spojrzeli sobie w oczy. Znali się siedem lat i nigdy wcześniej nie rozstali się na dłużej niż jeden dzień. W drgnieniu jego warg i półprzymkniętych oczach dziewczyna dostrzegła wyraz obrzydzenia.

- Nie bój się. - Machnął ręką, dając znak Lafferty'emu.

- Zrobimy to inaczej.

Kate Burnett zamknęła szare oczy i westchnęła głęboko, kompletnie wyczerpana, dziwiąc się własnej głupocie. Usłyszała, że Lafferty robi krok do przodu, a potem poczuła, jak marszczy się cerata, kiedy zasłoniła się przed ciosem.

Przeszył ją rozpalony do białości ból, a później pogryzła się w aksamitnej ciemności.

Rozdział trzydziesty drugi

Knox

1

Paddy nie wiedziała, ile wynosi pensja nadinspektora, ale dom Knoksa wydał się jej ogromny, choć może nie było po nim widać zamożności właściciela, jak w domu w Killearn. Był to jednak duży, wolno stojący dom na całkiem sporej działce.

- Możemy już jechać? - Sean wypalił dwa papierosy i zjadł kanapki, które matka przygotowała mu na noc.

- Nie. Poczekajmy jeszcze trochę.

- Na co?

- Nie wiem. Po prostu poczekajmy.

Paddy spodziewała się, że Sean powie jej o Elaine, ale nie wspomniał o niej ani słowem. Sama bała się poruszać ten temat, żeby się nie zdradzić. Siedzieli w samochodzie, obserwując dom, a ona zastanawiała się, jak udać leciutkie zdumienie i obojętność. „To cudownie, Sean. Gratulacje. Na pewno cholernie się cieszysz ...” - nie, to brzmiałoby niegrzecznie. „Na pewno bardzo się cieszysz. A ja się cieszę, że ty się cieszysz”.

Przez cały czas spod w półprzymkniętych powiek obserwowała mieniące się różnymi kolorami cienie za zasłoną w oknie od frontu. Czasami poruszały się gwałtownie, jak w salonie Vhari Burnett, a czasami leniwie.

Była druga trzydzieści w nocy i wszyscy ludzie o czystych sumieniach już spali. Knox miał chyba jednak rodzinę, bo dom był za duży dla jednego człowieka. Na posiedzeniu komisji nie zwróciła jednak uwagi, czy nosi na palcu obrączkę, bo się jej nie podobał.

Naliczyła trzy ciemne okna na dole, z których żadne nie miało matowej szyby łazienkowej. Może Knox prowadzi niewinny spór z niegrzecznym dzieckiem? A może smarkacz ogląda w pokoju telewizję? I może zaprosił kolegów? Wszyscy biegają do kuchni po herbatę, więc ciągle się kręcą i przestawiają telewizor, żeby dobrze widzieć.

Nieco dalej na ulicy stało dyskretnie zaparkowane, znajome bmw, ale Paddy się tym nie przejmowała. Samochód może należeć do kogoś z sąsiadów, a Lafferty bawi zapewne gdzieś indziej, w Irlandii albo w Eastfield Star, gdzie obserwuje ciemne okno sypialni jej rodziców, podczas gdy ona i Sean sterczą pod domem Bogu ducha winnego człowieka tylko dlatego, że wydawał się jej podejrzany.

Rozejrzała się po parkingu. Ciemny pub za ich plecami był już zamknięty - puste haki na wiszące ozdobne kosze z kwiatami doniczkowymi przypominały szubienice dla karłów. Pomiędzy nimi i ogromnym domem stał tylko skodorodowany zielony mini cooper. Auto wyglądało na porzucone, bo zaparkowano je prawie na środku jezdni.

- Ktoś wychodzi - szepnął Sean.

Paddy wyciągnęła szyję i aż skrzywiła się ze strachu na widok mężczyzny, który wyłonił się z drzwi i wszedł na oszklony ganek. Był potężny, łysy i rozpoznała go od razu.

- Przycisz radio.

- Dlaczego?

Rzuciła się do odbiornika, mocno wciskając obolały brzuch w oparcie fotela pasażera. W aucie zapadła cisza. Słyszała na bruku kroki Lafferty'ego, który kołyszając się, podszedł do bmw, otworzył drzwiczki kluczykiem i wszedł.

Nie zapalił świateł, cofając samochód. Był coraz bliżej wozu reporterskiego.

- Niżej głowa!

Paddy szturchnęła Seana, który osunął się niżej na siedzeniu.

- Nie wychylaj się ponad deskę rozdzielczą!

- Co to za jeden?

Szmer silnika beemki znów się przybliżył.

- Facet od tej bomby zapalającej.

Skryci w ciemnym samochodzie, nie widzieli, co dzieje się na ulicy. Silnik zmienił odgłos, kiedy Lafferty wykonał jakiś manewr, a potem zgasł. Drzwi bmw otworzyły się i cicho zamknęły. Na pierwszy stukot obcasa Lafferty'ego na chodniku Paddy pomyślała, że idzie do ich wozu, ale drugi i trzeci krok rozbrzmiały dalej, a następne były już stłumione. Potem w chłodnym nocnym powietrzu rozległ się trzask otwieranych drzwi i kiedy Paddy wyjrzała w końcu przez okno, zobaczyła, jak Lafferty wchodzi na oszklony ganek.

Frontowe drzwi domu Knoksa otworzyły się. W przedpokoju było teraz ciemno, a rośliny doniczkowe, stojące za szklaną ścianą, utrudniały obserwację. Paddy nie widziała, co dzieje się w środku, jednak kilka chwil później Lafferty ponownie pojawił się w drzwiach, niosąc coś pod pachą - jakby zrolowany dywan. Dopiero kiedy wyszedł na ganek i dalej, na ulicę, Paddy zorientowała się, że rulon skrywa nieruchomą ludzką postać. Jej twarz zasłaniał niesforny kosmyk włosów, ale i tak od razu ją rozpoznała.

Kate była szczuplutka i Lafferty dźwigał ją z łatwością jedną ręką. Nogi dziewczyny bezwładnie szorowały po ziemi. Wyglądało na to, że nie żyje. Nagle na jej drobnej, nieruchomej ręce padło światło latarni i Kate odruchowo zacisnęła palce, jakby z bólu.

Paddy przypomniała sobie kark Lafferty'ego. W porównaniu z drobnutką Kate, niemającą siły nawet powłóczyć

nogami, przypominał potężną, brutalną bestię. Dziewczyna wyobraziła sobie, że to ją otacza jego muskularne łapsko, wyciskając z niej ostatnie tchnienie. A może po prostu odwozi Kate do domu? Może ma już dość ugania się za dziewczyną szefa?

Lafferty podszedł do bmw, otworzył tylne drzwi, rzucił Kate na fotel i wepchnął jej bezwładne nogi do środka. Potem odwrócił się i zatrzaskał drzwi, niemal w tej samej chwili, kiedy z wozu z powrotem wysunęła się szczupła łydka dziewczyny. Drzwi auta uderzyły z całą mocą o kość goleniową i Paddy aż syknęła. Goleń zapewne pękła, ale Lafferty nawet nie mrugnął okiem. Beznamiętnie sprawdził, co się stało, po czym wepchnął nieposłuszną nogę z powrotem do samochodu i znów zatrzaskał drzwi. Wcale nie odwoził Kate do domu. Zamierzał ją zabić.

- Sean, potrafiłbyś śledzić ten samochód tak, żeby kierowca nas nie zauważył?

- Jaki samochód? - Sean pochylił się najniżej, jak mógł, skrzyżowawszy swoje długie nogi na podłodze i wsunąwszy kolana pod kierownicę.

-Ten.

Podciągnął się wyżej i wyjrzał. Bmw właśnie odjeżdżało.

- Spróbuję.

- Tylko nie szalej. Przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Postaram się.

Na ulicach panował zbyt mały ruch, żeby Lafferty nie zauważył, że ktoś za nim jedzie, więc Sean trzymał się z daleka od beemki i Paddy na każdym zakręcie albo skrzyżowaniu bała się, że go zgubią. Wkrótce jednak wyjechali z płataniny podmiejskich ulic i pustą, szeroką drogą ruszyli w stronę północnej dzielnicy miasta.

Trzymała się fotela z przodu, obserwując odległe czerwone tylne światła bmw i w duchu obiecując Vhari Burnett, że tym razem nie umyje rąk. Vhari umarła, żeby chronić Kate, teraz Paddy była tego pewna, a Thillingly targnął się na swoje życie, bo nie był w stanie im pomóc. Tym razem Paddy musi spełnić swój moralny obowiązek. Nie przeciwstawi się jednak bandycie w pojedynkę, a że Sean nie jest z natury wojownikiem, Lafferty z łatwością może zabić ich oboje.

Po pewnym czasie zjechali z głównej drogi na krętą, jednopasmową szosę wśród drzew. Tu Seanowi nie było łatwo się ukryć, zwolnił więc na tyle, że Lafferty chwilami zniknął im z oczu. Pojawił się znowu dopiero za zakrętem. Sean wyłączył światła.

- To niebezpieczne, Sean. - Paddy musiała mocno wyteżać wzrok, by dostrzec drogę w ciemnościach.

- Wszystko będzie dobrze. - Sean wyciągnął szyję nad kierownicą, przymrużając oczy. - Znam tę drogę. Byliśmy tu wczoraj. Jadą do Killearn.

- Jesteś tego pewien?

- Tak. Dobrze pamiętam ten ostatni zakręt.

- Zatrzymaj się, jak zobaczysz gdzieś budkę telefoniczną.

- Po co?

- Zadzwoń na policję.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

- Paddy, kim jest ten facet?

Nie wiedziała, co ma mu odpowiedzieć. -To zły człowiek. Wiezie ze sobą kobietę, którą zamierza zabić.

Sean zahamował gwałtownie. Samochód stanął dęba.

Paddy trzepnęła go w ramię.

- Jedź! No jedź!

- Telefon - odpowiedział lakonicznie Sean, wskazując palcem przez szybę od strony pasażera.

Przy drodze stała czerwona budka telefoniczna. Otaczający ją żywopłot był równiutko przystrzyżony, a w środku spod sufitu lało się w ciemność blade żółte światło.

Paddy wygramoliła się z auta, szukając po kieszeniach pięciopensówki. Tarcza odbijała powoli po wykręceniu każdej kolejnej dziewiątki. Trzymała w ręku monetę, ale nie musiała z niej korzystać, bo telefonistka spytała ją spokojnie, czy ma ją połączyć ze strażą pożarną, policją czy pogotowiem.

- Z policją - odparła, obserwując rozciągające się przed nimi martwe pole i bojąc się, że zupełnie zgubią Lafferty'ego. Poinformowała dyżurną policjantkę, że w Huntly Lodge w Killearn jakiś mężczyzna morduje właśnie kobietę.

- Skąd pani wie?

-Widziałam, jak ją uderzył, a teraz słyszę jej krzyki - skłamała.

-Ach, tak... - Policjantka nie przejęła się zbytnio. - Słyszysz pani krzyki ofiary w tej chwili?

-Tak.

- Rozumiem. Pani nazwisko?...

Ktoś mógłby donieść Knoksowi, że telefonowała. Paddy nie była pewna, czy może zaufać dyżurnej.

- Mary Ann Knox - odparła. - Proszę, pośpieszcie się.

- Dobrze, panno Knox. Więc ciągle słyszysz pani krzyki ofiary?

-Tak.

- Aha, rozumiem... Tylko że budka, z której pani dzwoni, leży trzy mile od Killearn. Jak może pani coś słyszeć z takiej odległości?

Nie przyjadą. Paddy spojrzała na siedzącego za kierownicą Seana.

- Naprawdę słyszałam krzyki. Proszę, przyjedźcie.

- A skąd możemy wiedzieć, że to nie jest jakiś głupi dowcip?

- Chyba nie chcecie, żeby powtórzyła się sprawa „laski z Bearsden” - odpowiedziała, odwieszając słuchawkę. Wróciła do wozu i Sean od razu ruszył, jeszcze zanim zatrzasnęła drzwi.

- Przyjadą?

-Tak - odpowiedziała, chociaż wcale nie była tego pewna. - Oczywiście.

Przez trzy długie minuty jechali przed siebie w ciemności, nie wiedząc, czy Lafferty jest z przodu, czy za nimi, czy może staje już raczej na poboczu, dusi bezbronną Kate gdzieś na polu i zakopuje jej martwe ciało w płytkim grobie.

- Tam! - wykrzyknął Sean tak nagle, że Paddy aż się wzdrygnęła. Na odległym wzgórzu na zakręcie majaczyły tylne światła samochodu.

Kiedy wjeżdżali do pogrążonego w ciemności miasteczka, droga stała się prostsza i Sean znów zwolnił, pozwalając, żeby wolno toczące się bmw skrzyło w Killlearn Main Street. Dopiero potem zjechał w dół za Laffertym i ruszył do Huntly Lodge.

Paddy zorientowała się, gdzie są, kiedy minęli już bramę wjazdową do domu Neilsona.

- Czy to nie było tam?

Sean patrzył uważnie na drogę.

- Czy co nie było gdzie?

- Czy wczoraj nie parkowaliśmy pod tamtą bramą?

- Tak, faktycznie. Ale ten facet tutaj się nie zatrzymał. Mam stanąć?

- Nie. - Cofnęła się w głąb wozu, zaskoczona, że popełniła tak poważny błąd. Wezwała kawalerię na niewłaściwie miejsce. - Nie, nie, jedź za nim.

Prowadziły ich światła bmw, od którego Sean trzymał się wciąż na bezpieczną odległość. Paddy miała nadzieję, że jadą za jakimś innym samochodem, że Lafferty mimo wszystko pojechał do Huntly Lodge i wpadł w ręce gli-

niarzy, a auto przed nimi należy do jakiegoś Bogu ducha winnego, sympatycznego nocnego kierowcy, który wraca do domu po długim wieczorze w mieście. Jednak gdy wjechał na wzgórze, okazało się, że to Lafferty. W świetle księżyca wyraźnie ujrzała sylwetkę za kierownicą - łysy łeb i szerokie bary.

Wyłonili się spomiędzy łagodnych zielonych wzgórz, położonych z dala od stosunkowo płaskich pól uprawnych, i zaczęli zjeżdżać coraz niżej drogą biegnącą wzdłuż wybrzeża Loch Lomond. Z prawej strony wznosiły się tu strome zbocza, a sękate, chłostane wiatrem drzewa rozpaczliwie czepiały się nagich skał, ale po lewej płaska droga schodziła nad lśniące jezioro. Sean musiał pozwolić Lafferty'emu wysforować się do przodu, więc przez chwilę nie wiedzieli, czy gdzieś nie skręcił albo się nie zatrzymał.

Dotarli do zakrętu, mijając mały domek, częściowo ukryty za kępą drzew. Pewnie w ogóle by go nie zauważyli, gdyby bmw nie stało na włączonych światłach. Drzwi auta i ciemnego domku były szeroko otwarte, chociaż Lafferty najprawdopodobniej wszedł już do środka.

Paddy odczekała, aż pokonają zakręt.

- Stań.

Sean zjechał powoli na bok, zerkając na nią w lusterku.

- Więc policja jednak nie przyjedzie, co?

- Nie. - Dziewczyna wyjrzała na płaską, srebrzystą taflę jeziora. - Jesteśmy zdani wyłącznie na własne siły.

- Zimno, no nie?

- Wchodzę do środka - odparła wzburzona dziewczyna.

- A ty rób, jak uważasz. - Przebiegła na drugą stronę i samotnie zaczęła okrążyć domek z boku.

W przeciwieństwie do domu w Killearn, tutaj ścieżka była zarośnięta i Paddy musiała przedzierać się wśród konarów powalonego ze starości drzewa, które sięgały nawet jednego z okien. Z trawy pod jej nogami unosił się zapach mięty.

Z tyłu dróżka przechodziła w wąski ogród na stromym zboczu, kończącym się litą, mokrą, czarną skałą. Ogród został efektywnie zaprojektowany, ale nie dbano o niego. Wszystko było tu zarośnięte, tylko rozciągający się u stóp Paddy spory płat ziemi wyglądał na świeżo skopany.

Z tyłu, przy wejściu do kuchni, majaczyły dwa okienka. Dalsze tonęło w ciemności - może to łazienka; w bliższym Paddy zauważyła za szybą zlewozmywak.

Skradała się pod ścianą, zapadając się co krok w rozmięklej, nagiej ziemi. Przywarła do muru i zajrzała do środka: jej oczom ukazała się ładna, urządzona w edwardiańskim stylu kuchnia z pięknie rzeźbionymi drewnianymi półkami i ozdobnymi drzwiami do spiżarni, pomalowanymi na jasnożółty i chabrowy kolor. W obszernej wnęce przy kominie stał staroświecki, czarny piec kuchenny.

Kuchnia najwyraźniej została zdemolowana: ktoś potwierał szafki na ścianach, wyrwał drzwiczki z zawiasów i przewrócił stół. Na wyłożonej czarną glazurą podłodze poniewierały się szczątki serwisów do kawy i do herbaty. W zlewozmywaku pod oknem leżały pod niedokręconym kranem herbaciane fusy i puste słoiki, a przez całą szerokość zlewu wiła się jak wąż szeroka, czarna rysa. Pokój, gdzie rozsypano całą torebkę mąki, wyglądał jak pobielony na Boże Narodzenie.

Z początku Paddy nie zauważyła nóg Kate. Dopiero ślad ciągnący się od wejścia naprowadził ją pod oknem

na przeraźliwie brudne stopy w pończochach. Lewa łydka dziewczyny była okropnie spuchnięta i wygięta pod nienaturalnym kątem. Wyglądało na to, że całą tę krwawą miazgę utrzymuje w całości już tylko cienka siateczka niemal przezroczystej pończochy. Nogi Kate były niewiarygodnie uprane i oblepione zaschłym błotem. Paznokcie z dużego palca miała zdarte. Paddy widziała ziejącą w jego miejscu otwartą krwawą ranę w kształcie pięciopensówki.

Oderwała wzrok od leżącej na podłodze postaci i zaczęła się rozglądać za jakąś bronią. Nigdzie nie zauważyła noża, tylko przy drzwiach stało kilka miedzianych garnków i rondli, które nie wyglądały jednak na zbyt ciężkie. Cofnęła się, brnąc w błocie, i rozejrzała się po ogrodzie, ale nie znalazła żadnych narzędzi. Skalniak zbudowano z dużych odłamków kamieni, zbyt ciężkich, aby mogła któryś udźwignąć.

Ogarnęła ją panika. Wróciła pod okno i znów zajrzała do środka. W śladzie bezwładnych nóg Kate, ciągniętych po podłodze, dostrzegła coś dziwnego. Przyjrzała się uważnie odciskom butów Lafferty'ego, biegnącym obok dwóch smug pozostawionych przez stopy Kate. Jego ślady wskazywały na to, że się odwrócił. Nie, nie że się odwrócił. Raczej, że zawrócił. Tak, ślady butów Lafferty'ego prowadziły z powrotem, do wyjścia z kuchni.

A zatem wrócił do samochodu i wyszedł przed dom, gdzie czaił się Sean. Paddy zamarła ze strachu. Sean był z nim sam na sam. Nasłuchiwała uważnie, wyęzając wszystkie zmysły i czekając na jakiś krzyk, wołanie albo hałas.

Na wysokim wzgórzu za plecami dziewczyny w koronach drzew świstał wiatr, a wokół jej nóg wirowały z sykiem zeschłe liście. Tkwiła w bezruchu, tak sparaliżowana z niezdecydowania, że nie była w stanie nawet mrugnąć powieką, chociaż tam, w domku, umierała kobieta. Na oszronionej szybie utworzyło się maleńkie okienko,

wytopione ciepłym oddechem Paddy, nasłuchującej odgłosów śmierci Seana.

W kuchennych drzwiach pojawił się jakiś cień i dziewczyna odskoczyła w tył, w ciemność, znowu zapadając się obcasem w błoto.

Do kuchni rozkołysanym krokiem wparadował Lafferty, spokojnie przekroczył przewrócony stół i podszedł do Kate. W rękę trzymał duży nóż. Wylał ostrze brzegiem bluzy, a na jego ustach błąkał się słaby uśmiešek.

Paddy słyszała dudnienie własnego serca. Zauważyła, że kiedy Lafferty osunął się przed Kate na kolana i drugą ręką musnął jej złamaną nogę, przebiegł ją skurcz i w tej samej chwili zza szyby dobiegł rozpaczliwy jęk.

Nie była w stanie się ruszyć. Opuściła w potrzebie Vhari Burnett, stała w milczeniu w skalniaku, kiedy Lafferty mordował Seana, a teraz będzie się przyglądać, jak ten bandyta podrzyna gardło Kate. Nagle w drzwiach do kuchni zobaczyła jakiś cień.

Sean wszedł do środka z ciemności, więc bijące z góry światło oślepiło go i musiał zmrużyć oczy. Lafferty poderwał się na nogi, wyprostował i wykonał półobrót w jego stronę, zamierzając się nożem.

Paddy chwyciła wielki kamień, leżący u jej stóp, i podniosła go, zdumiona jego ciężarem, i rzuciła nim w przeszkłone drzwi. Po ogrodzie przetoczył się głośny chrzęst tłuczonego szkła i pękających starych desek, który odbijał się echem we wnętrzu domku. Drzwi uchyliły się wolno. Były otwarte.

Nie mając pojęcia, co zrobi, kiedy znajdzie się w środku, Paddy wbiegła do kuchni i poślizgnęła się na odłamkach szkła. Lafferty odwrócił się gwałtownie w jej kierunku, obnażając zęby - jego kark był jednym wielkim węzłem mięśni. Wtedy Sean zamachnął się i z całej siły wyrzwał go w tył głowy.

Paddy widziała reakcję Lafferty'ego w chwili, kiedy otrzymał uderzenie. Rozluźnił zaciśnięte szczęki, a złość na chwilę zniknęła z jego oczu. Tymczasem Sean cofnął rękę i mógł już tylko patrzeć, co będzie dalej.

Lafferty przymknął oczy, przygarbił ramiona i wznosząc nóż, rzucił się na Seana z półobrotu.

Spód miedzianego rondla okazał się jednak bardzo ciężki, a mąka, którą pokryta była jego rączka, działała jak kalafonia, więc Paddy chwyciła ją mocno, podniosła naczynie oburącz i uderzyła nim Lafferty'ego w głowę.

Lafferty znów zastygł nieruchomo. Nóż wypadł mu z ręki i wbił się w drewnianą podłogę z taką siłą, że aż zadrżała rękkojeść.

Wielki jak byk mężczyzna osunął się na kolana i przewrócił na bok, na nogę od stołu, która pękła pod jego ciężarem. Wyciągnął olbrzymie łapsko, bezskutecznie próbując się czegoś przytrzymać, i upadł twarzą na podłogę.

Sean spojrział najpierw na nieruchomy grzbiet Lafferty'ego, a potem na Kate, zwiniętą w kłębek pod zlewem.

- Ja pierdolę, Paddy. Za taką robotę powinienem chyba dostawać więcej niż dwa funty dwadzieścia za godzinę.

Złamaną nogę Kate przebiegł kolejny skurcz, a wtedy oboje aż podskoczyli ze strachu. Kate usiłowała coś powiedzieć.

Paddy podbiegła do niej.

- Wszystko w porządku. Już nic ci nie grozi.

Twarz Kate Burnett oblepiały jasne, kręcone włosy. Była podobna do Vhari, jeśli nie liczyć nosa, wyglądającego jak wyprasowany. Mamrotała niewyraźnie, ze wszystkich sił starając się coś powiedzieć. Paddy przyłożyła ucho do jej ust, ale mimo to nie mogła nic zrozumieć, bo Kate mówiła prawie niedosłyszalnie i bardzo nosowym głosem.

- Kochanie... - powiedziała w końcu. - Cudownie.

- Cudownie? - powtórzyła zaskoczona Paddy, sądząc, że się przesłyszała.

- Jak to cudownie znów cię widzieć, kochanie. Słyszę cię.

Kate uśmiechnęła się szeroko: brakowało jej przedniego zęba. Kąciki warg zlepiła zakrzepła krew - miała cuchnący oddech.

Kiedy półprzytomna dziewczyna rozchyliła wargi, Paddy usłyszała coś w rodzaju agonicznego rżenia albo dobiegającego z głębi jej krtani gulgotu. Ale Kate po prostu się śmiała.

2

Szaragi wyposażone były w maleńką ławeczkę dla edwardiańskich dam i dżentelmenów, by mieli na czym usiąść, zakładając i zdejmując kalosze lub buty do konnej jazdy. Mebel był dość szeroki, żeby pomieścić pojedynczy zadek, choćby należący do nie wiedzieć jak zamożnego człowieka, ale Paddy i Sean siedzieli tu we dwoje, ściśnięci ramię w ramię i udo w udo. Paddy się jednak cieszyła - przynajmniej było jej ciepło, bo policjanci uparli się zostawić drzwi frontowe otwarte i na dywanie zaczynał już osiadać szron.

Załoga karetki opatrywała Kate w kuchni. Paddy słyszała, jak dziewczyna gulgocze, śmieje się i jęczy, a ratownicy wyrażają najpierw współczucie i ubolewanie, potem zaś zdumienie. I oni nie mogli zrozumieć, z czego Kate tak się śmieje. Nie ma się z czego śmiać: noga jest w kiepskim, bardzo kiepskim stanie.

Sean wezwał policję przez telefon stojący w przedpokoju, jednak przybyli policjanci uznali Lafferty'ego za napadnętego właściciela domku, pokrzyczeli więc trochę na Seana i Paddy, a nawet zakuli ich w kajdanki, które zdjęli im dopiero, kiedy dostali potwierdzenie przez radio, że

rysopis dziewczyny istotnie odpowiada fizjonomii dziennikarki „Daily News”, poruszającej się samochodem znalezionym przez patrol za zakrętem.

Lafferty nie żył, chociaż nie było widać krwi, wyprutych flaków ani niczego takiego, co pomogłoby Paddy uwierzyć, że to prawda. Przyczyną śmierci był rozległy obrzęk mózgu, do którego doszło wskutek uderzenia, jakie zadała mu rondlem.

Kiedy wynosili przykryte prześcieradłem zwłoki, nie czuła nic poza ulgą, że nie zabił Seana. Przypomniała sobie, że biedny Mark Thillingly podał Lafferty’emu adres Vhari po zwykłej szarpaninie. Ona też pewnie poszłaby na most, gdyby Sean stracił przez nią życie. Nie skoczyłaby, ale przynajmniej postąpiłaby nad rzeką.

Przy radiowozach kręcili się policjanci. Jeden rozmawiał przez radio, a trzech pozostali utworzyli półkole wokół otwartych drzwi, rozcierali zziębnięte dłonie i z rozpalonymi oczami nasłuchiwali znajomych szumów i trzasków. Jeden z nich nie wyzbył się ciągle podejrzeń i wciąż popatrywał na Paddy i Seana spode łba.

- Zareczyłeś się - powiedziała bez żadnych wstępów Paddy.

Sean wydawał się zaskoczony, ale skinął głową. -

Tak.

- Gratuluję. - Wyciągnęła do niego rękę pod niewygodnym kątem. Sean uścisnął ją, ale tylko raz. - Na pewno będziesz szczęśliwy.

Miała zacne intencje, ale zabrzmiało to raczej ironicznie.

- Być może.

Do drzwi podeszli dwaj funkcjonariusze w mundurach i gestem nakazali im iść za sobą.

- Pojedziemy waszym samochodem - powiedział pierwszy, prowadząc ich wśród parkujących wokół radio wozów.

- A oni? Nie pojedą z nami? I dlaczego naszym samo chodem?

Policjant odczekał, aż znajdą się na ciemnej szosie, gdzie nikt ich nie słyszał.

- Znaleźliśmy jeszcze jednego trupa, tu, za domem. Mężczyznę. Został ugodzony ostrym narzędziem w oko. Podejrzewamy, że to ta laseczka go zabiła.

- Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

- To zdaje się jej dom, nie? Możliwe, że ten sztywniak znalazł ją tutaj, więc go załatwiła.

Zabrali Seanowi kluczyki i kazali im usiąść z tyłu, chociaż nie byli przecież przestępcami. Chłopak poprosił, żeby podkrećli ogrzewanie i włączyli dmuchawę, ruszyli więc w fali piekielnego upału, rozmasowując zgrabiałe z zimna palce i ocierając nosy.

Kiedy skręcili na drogę, którą tu przyjechali, wschodziło słońce, wspinające się ponad prastare, smagane wiatrem drzewa na zboczu. Po drodze napotkali kilka innych aut, ale policjant siedzący za kierownicą nikomu nie ustępował pierwszeństwa przejazdu i prowadził tak arogancko, jakby siedział w radiowozie i poruszał się pojazdem uprzywilejowanym.

Gdy wyjechali z lasu między pola, Paddy i Sean popatrzyli po sobie, bo wreszcie zrozumieli, dokąd jadą. Znajdowali się na drodze do Huntly Lodge.

Rozdział trzydziesty czwarty

Okazanie

1

Omszała brama była otwarta, a jej skrzydła wepchnięte aż pod żywoplot. Sądząc po głębokości śladów opon w błocie, od chwili, kiedy tędy przejeżdżali, wążutką dróżką musiał się przetoczyć niejeden samochód.

W wąłym świetle poranka posiadłość wyglądała nieco inaczej. Lasek wokół podjazdu nie był tak gęsty, jak wydawało im się przedtem w ciemności, bo Paddy dostrzegła między drzewami łagodne zbocza leżących dalej pól. Podjechali pod dom, gdzie zobaczyła Sullivana, kręcącego się przy jednym z trzech radiowozów. Był w grubym płaszczu i szarych wełnianych rękawiczkach, będących na wyposażeniu policji. Podniósł wzrok na dziewczynę, a na jego twarzy wykwitł powolny, szeroki uśmiech.

Policjant za kierownicą zwolnił, stanął, i Sullivan podszedł bliżej.

- Ja się nimi dalej zajmę, Kevin.

Obaj gliniarze wysiedli z radiowozu i poszli dołączyć do swoich kolegów w mundurach.

Sullivan otworzył tylne drzwi, żeby wypuścić Paddy, i przykucnął, choć jego kolana zaprotestowały przeciwko temu szaleńczemu wysiłkowi, trzeszcząc głośno w stawach. Detektyw inspektor udał, że nic nie słyszy.

- Mielicie niezłą noc.

Sullivan zerknął na Seana.

- To mój kierowca, Sean Ogilvy.

Obaj uznali za stosowne uroczyste i z wzajemnym szacunkiem uściskać sobie ręce tuż przed nosem Paddy.

- Dobra robota. Dobrze, że przy niej byłeś, młody czło-
wieku.

-To ja rąbnęłam Lafferty'ego - zauważyła z oburze-
niem Paddy.

Sullivan wskazał ją palcem, ale ponownie zwrócił się
do Seana.

- Żądza sławy - powiedział. Paddy wiedziała jednak,
że zaimponowała mu swoim wyczynem, choć nie miał od
wagi powiedzieć jej tego w oczy.

Odrząciła jego dłoń.

- Aresztowaliście Neilsona?

- Nie możemy go zamknąć. Nic na niego nie mamy. Nie
ma żadnego świadka, który powiązałby go z Laffertym, dom-
kiem nad Loch Lomond albo willą „laski z Bearsden”.

- No jak to? A ja? Wtedy pod drzwiami domu Vhari
Burnett widziałam właśnie Neilsona.

Sullivan skinął głową, szczerząc zęby w uśmiechu.

-1 to jego odciski z pewnością są na banknocie. Sam
świadek by nie wystarczył, nawet gdybyśmy go mieli. Po-
trzebujemy jakiegoś twardego dowodu, potwierdzającego
ewentualne zeznania; niestety, odcisków Neilsona nie ma
w kartotece. Możemy wezwać go na przesłuchanie i po-
brać jego odciski palców wyłącznie dzięki tobie. Bo powie-
działas nam o tym banknocie.

- A Gourlay i McGregor? Chyba nie potwierdzą moich
słów, kiedy zobaczą Paula Neilsona w komendzie?

Sullivan westchnął i wbił wzrok w ziemię.

- Na to pytanie oboje dobrze znamy odpowiedź,
prawda?

Zacząła się zastanawiać, czy mądrze byłoby wspomnieć mu o Knoksie. Jeżeli Sullivan tak się boi wskazać dwóch niskich rangą funkcjonariuszy jako współwinnych przestępstwa, to wołałby zapewne nie wiedzieć zupełnie nic o winie szefa szefa szefa swojego szefa. Mimo to doszła do wniosku, że powinna spróbować.

- Widzieliśmy, jak Lafferty wynosił Kate Burnett z domu w Milngavie. Właśnie tam go najpierw namierzyliśmy.

Sullivan zachęci! ją ruchem głowy, żeby mówiła dalej.

- Ornan Avenue 15... Znasz ten adres?

Kark Sullivana zeszywniał tak nagle, że drgnęła mu głowa. Wyglądał, jak ktoś, komu dokucza nerka, ale kto jest zbyt dobrze wychowany, żeby wspominać o tym w towarzystwie.

- Do domu, który stoi pod tym adresem, wchodzi się przez oszklony ganek, a naprzeciwko mieści się jakiś pub.

- Widziała, że Sullivan nie chce tego słuchać. - Angielski pub w stylu retro. Z własnym parkingiem.

- Jasne. - Policjant z irytacją skinął głową. - Zbadamy tę sprawę. Na pewno.

- A czy ty nie mógłbyś tego zrobić?

Posłał jej błagalne spojrzenie.

- I tak mamy mnóstwo materiału dowodowego. Skupmy się na tym, co możemy zrobić.

- Nie zajmiecie się tą sprawą, prawda?

Nim zdążył odpowiedzieć, gliniarz z któregoś z radiowozów zawołał, że „są gotowi”. Sullivan spróbował wstać, żeby mu odpowiedzieć, ale kolana odmówiły mu posłuszeństwa, opadł więc z powrotem na czworaki i zrobił zakłopotaną minę.

- Robimy, co możemy. - Powoli udało mu się jednak podźwignąć. - Ja poprowadzę.

- A dokąd jedziemy?

- Musisz rozpoznać Neilsona na okazaniu. Wystarczy ci odwagi?

- No pewnie - odparła Paddy. - Jak zawsze.

Wracali do Glasgow powoli i ostrożnie w ślad za radio-wozem, a Paddy co chwila wydawało się, że za jego tylną szybą majaczy nienaganna fryzura Paula Neilsona. To jest ten facet, z którym rozmawiała pod drzwiami domu Vhari Burnett. Była tego pewna.

2

Czekała w pokoju obok, nasłuchując dobiegających zza drzwi odgłosów. Ze zmęczenia rozboleła ją żołądek, ale mimo to wyobrażała sobie, co się tam dzieje. Słyszała kroki i luźną wymianę zdań między nieznanymi się wcześniej mężczyznami, rzucającymi od czasu do czasu jakieś uwagi. Dwóch śmiało się gardłowym, flegmistycznym śmiechem nałogowych palaczy.

Policjanci zaczęli wprowadzać na okazanie facetów choć trochę przypominających Paula Neilsona, a ona, świadek, siedziała niczym gwiazda filmowa w pomalowanym na monotony, industrialny bez bocznym pokoiku, w którym stał jedynie stolik i trzy krzesła pod ścianą. Nie było tu okna, tylko wisząca pod sufitem goła żarówka, nieustannie pompująca sześćdziesiąt watów mocy do pomieszczenia wielkości kuchennego kredensu.

Nie mogła się powstrzymać, by nie pomyśleć o Patricku Meehanie. Dla niego okazanie w sprawie morderstwa Rachel Ross okazało się pułapką, której nie podejrzewał. Meehan może i był urodzonym przestępcą, ale odznaczał się naiwną wiarą w wymiar sprawiedliwości i nie przewidywał, że policja będzie wywierać naciski na świadków. Nachylił się nawet do jednego z nich, młodej dziewczyny, mówiąc, żeby się nie denerwowała, że wszystko będzie w porządku, i żeby go wskazała, bo sądził, że w ten sposób zapewni sobie alibi. W sądzie okazało się jednak, że dziew-

czyną jest świadkiem oskarżenia. Paddy przypomniała sobie, co przeczytała gdzieś o mężu zamordowanej: stary Abraham Ross siedział w pokoju, gdzie wprowadzano osoby, które wskazały Meehana podczas okazania. Nikt nie miał na to dowodów, ale świadkowie na pewno ze sobą rozmawiali: „Kogo wskazałeś? Bo ja tego faceta na końcu, takiego niskiego, pulchnego, ze śladami po trądziku”. „Ja też. Stał ostatni, miał takie piaskowe włosy”.

Sullivan nadstawiał za nią karku, więc byłoby naprawdę fajnie, gdyby wskazała Neilsona na okazaniu. Siedem mil wspólnej podróży z powrotem do miasta i umieszczenie podejrzanego w jadącym z przodu radiowozie na pewno nie było zgodne z przepisami: widziała kilka razy, jak Sullivan zerkał na nią w lusterku, kiedy stali na czerwonym świetle albo gdy jadący przed nimi samochód gwałtownie skręcał - bo detektyw inspektor miał nadzieję, że w takich sytuacjach dziewczyna będzie mogła dobrze przyjrzeć się Neilsonowi. Ale Paddy nie musiała wpatrywać się w radiowóz. Rozpoznałaby Neilsona z zamkniętymi oczami.

W pokoiku było ciepło. Spalony kurz pokrywał żarówkę żółtobrazowym nalotem - widocznie wisi tutaj już od dawna. Nieczęsto korzystano z tego pomieszczenia. Naoczni świadkowie nie zawsze byli potrzebni, a jeżeli już, to najczęściej w sprawach dotyczących napadów rabunkowych. Paddy nasłuchiwała się już wielu policyjnych rozmów w wozie reporterskim i wiedziała, że w przypadku morderstw zagadkę rozwiązywano zwykle od ręki, aresztując zabójcę, stojącego nad ciałem ofiary z nożem ociekającym krwią. Najczęściej mężowie zabijali żony - albo żony mężów.

Ruch za drzwiami zamarł na chwilę, a wśród czekających na okazanie mężczyzn zapadła pełna szacunku cisza. Potem dały się słyszeć kroki, kiedy zebrani formowali szereg. Czyjś głos kazał sprawdzić raz jeszcze, czy stoją

w odpowiedniej kolejności, a później Paddy usłyszała, jak ktoś ociera się ramieniem o drzwi.

Drzwi otworzyły się i Paddy ze zdziwieniem stwierdziła, że gdy gwałtownie wstała, ze zdenerwowania ugięły się pod nią kolana, drzwi jednak zaraz zatrzęsły się z powrotem.

Po chwili jednak otwarto je ponownie i do pokoiku zajrzał jakiś służbista w mundurze. Zmarszczył brwi, przyjrzał się Paddy od stóp do głów i spytał, czy jest gotowa. Kiedy zdenerwowana i spocona skinęła potakująco głową, zostawił drzwi otwarte i gestem nakazał jej wejść do sali okazań.

Pod ścianą stało w rzędzie pięciu facetów. Policjant poprowadził ją wzdłuż szeregu. Obserwowało ich kilka osób, zbitych w grupkę w kącie - między innymi Sullivan i jakiś wyglądający na zmęczonego adwokat w brązowym garniturze.

Paddy i służbista uroczyście defilowali przed szeregiem mężczyzn, a dziewczyna udawała, że uważnie przygląda się każdemu, świadoma, że cisza wśród widzów wynika z tego, że wszyscy wstrzymują dech w piersi.

Mężczyźni byli jednakowo ubrani, ale Paddy mogłaby wskazać Paula Neilsona na pierwszy rzut oka, zauważyła bowiem, że jego lniana markowa koszula jest wygnieciona - zapewne rzucił ją gdzieś w kąt przed pójściem spać, a potem, kiedy do drzwi w środku nocy zadzwoniła policja, znów ją włożył. Pozostali byli w świeżo wyprasowanych, mocnych nylonowych koszulach z policyjnych magazynów, za dużych albo za małych i z porozpinanymi mankietami. Dwaj mieli ciemne włosy, a dwaj czarne, jak Neilson.

Przeszła do końca szeregu i zawróciła na środek. Mężczyźni unikali kontaktu wzrokowego z Paddy i wpatrywali się w tylną ścianę pokoju niczym w pisuar, tylko Neilson zrobił wyzywającą minę. Przerzucił ciężar ciała na jedną

nogę, a w kąciu jego ust igrał drwiący uśmieszek. Na pewno chodził do ekskluzywnego fryzjera.

Paddy stanęła przed nim, żeby mu pokazać, że się nie boi. Odwzajemnił jej spojrzenie, chociaż adwokat w kącie zakaszła ostrzegawczo. Dziewczyna postąpiła krok bliżej i przyjrzała się uważnie Paulowi - zwłaszcza dłoniom, które przytrzymały drzwi, żeby nie było widać Vhari Burnett, i jego szyi, zbryzganej wtedy krwią. Neilson spojrział z góry na Paddy, uśmiechając się ciepło.

- To on - powiedziała.

Teraz Paul Neilson uśmiechnął się szeroko. Jego ciemnobrązowe oczy zabłyśły, a na policzkach pojawiły się bruzdy. Zachował się tak, jak gdyby opowiedziała mu dobry dowcip, powiedziała, że dobrze się ubiera, albo poprosiła, żeby postawił jej drinka.

Służbista dla pewności przyjrzał się Neilsonowi.

- Numer dwa?

Paddy wskazała go palcem, który od piersi podejrzanego dzieliły najwyżej trzy cale.

- To on. Numer dwa.

Uśmiech Neilsona rozszerzał się tak długo, że wreszcie przystojniak musiał niemal zamknąć oczy. Sullivan wysunął się naprzód.

- W porządku. - Ujął Paddy za łokieć i odprowadził ją do drzwi w ścianie po drugiej stronie sali. - Na razie to wszystko.

3

Szukał jej Ramage. Zadzwoił na komendę, dlatego Sullivan pozwolił jej skorzystać z telefonu stojącego na jego biurku.

Opowiedziała naczelnemu wszystko szczegółowo, wyjąwszy pięćdziesięciofuntowy banknot, bo ta sprawa miała

wyść na jaw dopiero na procesie, a wtedy Paddy będzie już chodziła w glorii sławy. Sullivan robił unik na każdą wzmiankę o Knoksie, domyśliła się więc, że jest zbyt małą figurą, żeby go osiągnąć, nie wspomniała zatem także i o nim. O Neilsonie też jeszcze nie mogli napisać. Musieli poczekać do procesu, ale Ramage obiecał, że da jej pierwszą stronę na tekst o wydarzeniach w wiejskim domku, o kobiecie, której groziło śmiertelne niebezpieczeństwo, i o nieustraszonej reporterce „Daily News”. Artykuł miał również zawierać informacje o zabiciu przez Kate nieznanego mężczyzny i zwłokach w ogrodzie, a poza tym, ponieważ Lafferty już nie żył, mogli mu dołożyć, ile wlezie.

Naczelnicy kazał jej przyjechać do redakcji, napisać tekst do sobotniego numeru i wracać do domu. Sądząc po głosie, był z niej zadowolony, a nawet poniekąd przerażony dramatem w domku nad jeziorem, ona zaś starała się podkreślać rolę Seana, sądząc, że mu to pomoże, gdyby Ramage się dowiedział, że jej nowy kierowca nie ma prawa jazdy.

- Był genialny. To wszystko jego zasługa. Bez niego nie dałabym rady.

- Dobra. Zostań jeszcze dzisiaj na noc w hotelu, jeśli masz ochotę wybrać się gdzieś do miasta i dać trochę w palnik.

Paddy przypomniała sobie, że Mary Ann wyjeżdża rano do Francji.

- Nie, dzięki, szefie, ale po napisaniu tego tekstu chyba jednak pojedę od razu do domu.

- Doskonale - odparł twardo. Wydało się jej, że to, że jest oszczędna, podoba mu się prawie tak samo, jak tekst na pierwszą stronę.

Odwiesiwszy słuchawkę, po drugiej stronie pokoju zauważyła Sullivana. Obgryzał ze smutkiem paznokcie z taką miną, jak gdyby właśnie się dowiedział, że Święty Mikołaj

naprawdę nie istnieje. Dostrzegł jej spojrzenie i odwrócił wzrok.

Słyszał już o niej i o Burnsie. Znała takich podtatu-
siałych facetów. Lubili kobiety, ale jeżeli dochodziły ich
choćby najdalsze słuchy o jakimkolwiek skandalu, zawsze
napęłniali kieszenie kamieniami i pierwsi stawali na czele
morderczego tłumu.

Paddy wstała i podeszła do niego.

- Co się stało?

Wzruszył z zakłopotaniem ramionami, wciąż unikając
jej wzroku.

- O co ci chodzi, Sullivan?

Opuścił ręce i przygarbił się.

- Wypuściliśmy go.

- Neilsona? Ale przecież rozpoznałam go na okazaniu.

To przecież był numer dwa, prawda?

- Tak, ale te pięćdziesiąt funtów... - Sullivan znów za-
czął obgryzać paznokcie, wyraźnie zażenowany. - Te pięć-
dziesiąt funtów... Zaginął gdzieś dowód rzeczowy.

Rozdział trzydziesty piąty

Hańba Columa McDaida

1

Columowi McDaidowi groziła utrata stanowiska, na którym spędził całe swoje życie, ale nie przeszkodziło mu to odgrywać dżentelmena i podjąć Paddy herbatą i ciasteczkami.

- Przyślą zastępcę na moje miejsce, jakiegoś emerytowanego gliniarza z innego rewiru. W porze lunchu już mnie tu nie będzie.

Patrzyła, jak krząta się po pokoju, gotuje wodę, proponuje cukier i najpierw nalewa mleko, by napój nie parzył ust. Obserwowała go i zauważyła, że ani razu nie spuścił jej z oczu, nie pozwalając stanąć pomiędzy nim a szafką z dowodami rzeczowymi albo sejfem. W pokoju znajdowały się tylko dwa krzesła - na jednym siedział on, a drugie było przyśrubowane do podłogi tuż przy drzwiach.

Podał jej filiżankę z dwoma herbatnikami na spodeczku i zajął swoje miejsce za biurkiem.

- Więc banknot zaginął?

McDaid skinął głową, wpatrując się w swoją herbatę.

- Jestem tu cały czas i sprawdzam wszystkich, kiedy wychodzą. Nie rozumiem... Pewnie powiedzą, że to dlatego, że jestem już taki stary.

- Zniknął, tak po prostu?

- Nigdzie go nie ma. Szukałem wczoraj tych pieniędzy do trzeciej rano. Kamień w wodę. Nie ma ich ani w tym, ani w sąsiednim pokoju. Żadnych śladów włamania, a ja nie wyszedłem ani razu z tego pomieszczenia, nie zamykając go najpierw na klucz.

- Może ktoś po prostu zwędził klucze? W komendzie muszą gdzieś być zapasowe.

McDaid potrząsnął głową.

- Nie. Bo widzi pani, robię to samo, co mój poprzednik na tym stanowisku. - Nie sprawiał wrażenia całkowicie szczerego. - Wie pani, w naszej robocie występuje element pokusy, szczególnie groźny dla młodych. Oni mają rodziny i małe dzieci, a płaca podstawowa nie jest za wysoka. Dlatego my, starsi funkcjonariusze, staramy się ustrzec ich od złego. Ciągłe krążą tu pieniądze, ludzie, domagający się takich czy innych przysług, i tak dalej. Młodemu policjantowi trudniej powiedzieć „nie”, kiedy ktoś go kusi, więc klucz jest zawsze u mnie.

- Jaki klucz?

- To tajemnica, ale teraz mogę już pani powiedzieć: nie zostawiam klucza od sejfu w komendzie. Ludzie myślą, że zostaje tutaj, ale tak nie jest. A nikt nie może się dostać do sejfu bez niego, więc wychodzi na to, że banknot musiał zostać skradziony w ciągu dnia, w mojej obecności. Kiedy siedziałem na krześle, na którym siedzę w tej chwili.

Przyszedł jej na myśl Knox.

- Czy któryś z najwyższych rangą policjantów wie o tym kluczu?

- Nie. Tylko ja.

- I jest pan pewien, że banknot był tu jeszcze wczoraj rano?

- Z całą pewnością.

- A kto tu wczoraj przychodził?

McDaid wyjął z górnej szuflady niebieski notes i niechętnie podsunął go jej czubkami palców.

- Brakuje mi tylko roku - szepnął. - A teraz nie dostanę emerytury. Pani McDaid chyba... Nie wiem, co z nami będzie.

Paddy szybko przebiegła wzrokiem listę, złożoną z trzech nazwisk, i okazało się, że na pierwszym miejscu, dziesięć po dziewiątej, figuruje podpis Tama Gourlaya. Przyszedł tu na chwilę, zanim go zawieszono i zanim Burns odnalazł go na parkingu i nakładł mu po pysku. Podsunęła kartkę McDaidowi, po czym stuknęła palcem w nazwisko Tama.

- Ten facet. Zaglądał do sejfów?

- Oczywiście, schował tam dowód rzeczowy. Jak tylko wszedł. - Colum sprawdził widniejącą obok nazwiska Gourlaya siedmiocyfrową liczbę. - W sprawie kradzieży w sklepie. To prosta sprawa. Ale wiem na pewno, że to nie on. Był bez marynarki, w samej koszuli, a ja przez cały czas miałem go na oku.

- W jakiej stał pozycji?

McDaid podniósł się z krzesła i pochylił się nad sejfem, wypinając tyłek.

- Dowody w sprawach rozpatrywanych przez sądy w trybie doraźnym kładzie się na dolnej półce. - Zmienił nieco pozycję i oboje zdali sobie sprawę, że nie mógł widzieć dłoni Gourlaya ze swojego punktu obserwacyjnego za biurkiem.

Konstabl McDaid wstał. Sprawiał wrażenie zupełnie zalamanego.

- Ale był bez marynarki, a ja bym go usłyszał. Usłyszałbym szelest składanego papieru. Pięćdziesiątka to bardzo duży banknot. A ten był nowiutki. Usłyszałbym, jak go składa. - Zmarszczył brwi, wąpiąc w swoje własne słowa. - Wiem, że jestem już stary, ale słuch mam dobry. Usłyszałbym go.

2

Paddy wyszła na zimną poranną ulicę i zrobiło się jej niedobrze na myśl o szerokim, krokodylim uśmiechu Neilsona. Zaginięcie banknotu miało jednak dobre strony i dla niej, bo dzięki temu nigdy nie wyjdzie na jaw, że wzięła łapówkę. W ogóle nie będzie mowy o tym incydencie, a ona i tak może napisać tekst do gazety, obciążając odpowiedzialnością za wszystko Lafferty'ego. Bez owych pięćdziesięciu funtów tekst będzie nawet lepszy, bo nie wymaga żadnych uzupełnień ani informacji, które powinna zachować w tajemnicy do rozpoczęcia procesu. Jednak z drugiej strony Paul Neilson wyszedł na wolność, wrócił do swojej kiczowatej willi w Killearn i teraz relaksuje się w basenie. To nie jest w porządku.

Idąc na stację przez parking pod supermarketem, poczuła skurcze żołądka, zgięła się w pół i zwróciła herbatę, którą McDaid poczęstował ją w komendzie. Przyjrzała się brązowej kałuży, żeby sprawdzić, czy ma jeszcze czym wymiotować, i czekała, aż przestanie się jej kręcić w głowie - a także w brzuchu, jak zorientowała się po chwili.

Wstała powoli, mrużąc oczy przed światłem, i mimo woli odezwała się na głos.

- O kurwa.

3

Ponieważ musiała starać się nie myśleć o bardzo wielu sprawach, słowa przychodziły jej z łatwością i szybko spływały na papier, układając się w okrągłe, zgrabne akapity, zgodnie z nowym, agresywnym stylem „Daily News”.

Dobrze się jej pracowało, bo fabuła była bardzo ciekawa: pewna pani prokurator ginie, żeby uchronić siostrę przed jej byłym chłopakiem obłąkańcem, piękna

Kate znajduje się w straszliwym niebezpieczeństwie, a za oknem w domku nad Loch Lomond roztacza się piękny widok. Musiała jeszcze tu i ówdzie dorzucić kilka wypowiedzi z „anonimowych źródeł” i kilka faktów, zakamuflowanych jako najczystsze domysły, żeby radcy prawni gazety dopuścili tekst do publikacji, wiedziała jednak, że policja i tak nie będzie miała nic przeciwko temu, a ona sama wychodzi z całej tej historii z czystym kontem.

Skończyła, wystukawszy siedemset pięćdziesiąte słowo, i zaczęła się zastanawiać, dlaczego nigdy wcześniej pisanie nie przychodziło jej równie łatwo. Może to zmęczenie narzuciło jej odpowiedni styl - zwykle za dużo myślała, wyrzucając z siebie serie krótkich zdań, z których każde powinno zawierać nową informację. Poza tym na początku na ogół zapowiadała, o czym będzie tekst, a na końcu i tak go jeszcze streszczała. Tym razem jednak Sullivan podał jej kilka udokumentowanych i weryfikowalnych faktów, więc od początku miała się czego trzymać. Czytało się to świetnie, Paddy myślała jednak nadal o tym, z czego musiała zrezygnować - czyli o Neilsonie i przede wszystkim o Knoksie. Wiedziała, że tekst spełnia kryteria publikacji w „Daily News” i że Rarnage będzie zadowolony, ona jednak nie czuła się w pełni usatysfakcjonowana.

Podniosła wzrok znad biurka. Na brzeжку ławki siedziało trzech gońców, rozglądających się po news roomie, gotowych do skoku na najmniejszy znak. W redakcji było sporo ludzi i wszyscy zajmowali się swoimi sprawami, ale wydawali się jej jacyś obcy. Cała energia w pokoju zdawała się skupiać wokół niej i jej znakomitego tekstu, choć nikt nie zbliżał się nawet do biurka Paddy. Shug Grant, Tweedle Dee i Tweedle Dum kręcili się w dziale sportu, tyłem do niej. Fotoreporter, na którego spojrzała, odwrócił wzrok. Redaktor miejski zauważył jej spojrzenie i odpowiedział uśmiechem. Jeden z gońców zerwał się na nogi i podbiegł,

unosząc w dłoni wymaginionowany kubek, żeby zapytać na mięgi, czy Paddy ma ochotę na herbatę.

Koledzy z pracy okazywali jej w ten sposób szacunek. Przesunęła językiem po zębach i poczuła na nich metaliczny smak, jakby lekko skwaśniałego mleka.

Patrick Meehan

1

W nos buchnęła jej woń zmęczonych całym tygodniem pracy mężczyzn - mieszanina potu i goryczy. Bar Prasowy nie był już miejscem, w którym się dobrze piło. Większość ważniaków uciekała w piątkowe wieczory od spraw redakcyjnych i piła w Klubie Dziennikarza, o milę stąd, gdzie związki zawodowe dopłacały do drinków i gdzie wpadali też pracownicy z innych gazet.

Przy barze i stolikach siedziała niewielka grupka gości, którzy czytali albo gapili się przed siebie tępym wzrokiem. Mało kto rozmawiał. McGrade, wycierający za barem szklanki, skinął Paddy głową na powitanie.

McVie siedział samotnie przy stoliku i Paddy odczuła ulgę na myśl, że Patrick Meehan nie przyszedł. Wyprostowała się i podeszła bliżej.

- Dostałeś kosza?
- Co proszę?
- Dostałeś kosza. Meehan się nie pojawił?

McVie wskazał głową kogoś za jej plecami. Odwróciła się i zobaczyła, jak Patrick Meehan wraca z toalety, sprawdzając po krótkim zastanowieniu, czy dobrze zapiął rozpinok. Był niski, ubrany w ciężki, czarny płaszcz, miał blizny po pryszczach na twarzy i żółtawą cerę. Wyglądał

na wkurwionego. Podeszedł do stolika i spojrzał na Paddy z wyższością.

- Czołem - powiedziała.
- Jesteś jeszcze dzieckiem.

Właściwie nie mogła polemizować z tym stwierdzeniem.

- Owszem.

Tu wtrącił się McVie.

-To „dziecko” to jedna z najbardziej uzdolnionych młodych dziennikarek w całej Szkocji. Lepsza niż niejeden facet.

Patrick Meehan zrobił ironiczną minę. Znów zmierzył Paddy wzrokiem od stóp do głów i wyciągnął do niej rękę.

Zważywszy, że właśnie wrócił z toalety, właściwie nie chciała jej uścisnąć, ale przemogła się. Meehan ścisnął ją trochę za mocno, jakby chciał zademonstrować, jaki jest silny. Jego mikry wzrost, tupet, rudawe włosy i krótkie nogi zdawały się wskazywać, że nigdy nie podobał się kobietom. Paddy podejrzewała, że darzył ją niechęcią, z jaką stale odnosili się do niej faceci jego pokroju, jak gdyby to ona ponosiła odpowiedzialność za wszystkie odmowy i afronty, których doznawali ze strony kobiet.

- Ja też nazywam się Paddy Meehan - odpowiedziała.

Meehan wskazał głową McVieego.

- Mówił mi o tym. Nazywasz się tak jak ja - stwierdził, wyciągając z leżącej na stoliku paczki grubego papierosa i zapalając go.

- Dokładnie.

Przyjrzał się jej uważnie.

- Jesteś z Meehanów z Eastfield? Skąd pochodzi twoja rodzina?

- Zdaje się, że z Donegal, z okolic Letterkenny.
- My jesteśmy z Derry.
- Jak większość Meehanów, co?

-Tak.

Teraz, kiedy ustalili, z którego irlandzkiego hrabstwa wyemigrowali ich prapradziadowie, Meehan wydawał się bardziej jej ufać.

- Może usiądziemy?

- Dobrze. - Paddy otrząsnęła się z sennałości. - Chciałabym postawić panu drinka, panie Meehan.

Przyjmując tę propozycję z przyjemnością, Patrick przysunął sobie krzesło i usiadł.

- Poproszę o whisky i małe piwo.

Paddy przyjrzała się McVieemu, który zmarszczył brwi, co wskazywało, że chciałby, żeby spotkanie trwało jak najkrócej albo że ma ochotę się zmyć jeszcze przed jego zakończeniem.

Barman, łagodny McGrade, uśmiechnął się, gdy Paddy podeszła do baru.

- Co, robisz u nas wywiad z lokalną gwiazdą?

Paddy odpowiedziała mu uśmiechem i złożyła zamówienie.

- Wydaje mi się, że uprzedzili mnie już chyba wszyscy dziennikarze w Anglii.

McGrade postawił przed nią podwójną whisky i piwo.

- Ach, tacy ludzie zawsze mają coś nowego do powiedzenia, nie? - zauważył, dając do zrozumienia, że nawet on wie, że sprawa Meehana to zeszłoroczny śnieg.

Drinki kosztowały ją ponad cztery funty.

Siedzieli i palili papierosy, a Meehan opowiadał swoją historię. Zaczął od tego, jak został aresztowany za zamordowanie pani Ross. Nie chciała tego słuchać, ale on chciał o tym opowiadać.

- Mnie interesuje głównie to, co robiłeś za żelazną kurtyną - powiedziała w końcu Paddy.

Meehan powoli, ostrzegawczo zmrużył oczy.

- Więc jak wspominałem już wcześniej, okazanie zostało ustawione.

I ciągnął dalej od miejsca, w którym mu przerwała. Gdy doszedł do procesu, McVie wstał i wyszedł, więc Paddy musiała słuchać dalej sama.

W czasach swojego bolesnego i niełatwego dzieciństwa Paddy przeczytała co najmniej dwukrotnie wszystko, co kiedykolwiek napisano o Meehanie - każdy artykuł i książkę. Niektóre jego sformułowania przypominała sobie teraz właśnie z tych tekstów. Najwyraźniej Patrick wygłaszał tę przemowę już wiele razy. Oczy zaszyły mu mgłą i chwilami nawet on sam wydawał się niezbyt zainteresowany własnymi słowami.

Wreszcie urwał i oboje popatrzyli po sobie. Opróżnił szklankę już do połowy. Byłoby uprzejmie z jej strony, gdyby zaproponowała mu kolejne piwo, ale nie miała na to dość pieniędzy.

Wyjaśniła, że chce napisać książkę o jego sprawie, nie skupiałaby się jednak na morderstwie pani Ross, tylko na działalności szpiegowskiej, na osiemnastu miesiącach życia Meehana za żelazną kurtyną i na jego roli w uwolnieniu Blake'a.

- Powiedziałem im, jak mają to zrobić...

- Wiem.

Znowu z wolna zmrugał oczy i wydał wargi, co oznaczało, że przerwać mu raz jeszcze nie byłoby dobrym pomysłem.

- Tak. Powiedziałem im, jak mogą mu dostarczyć na dajnik. O tym też wiedziałaś?

Meehan przywykł już, że ludzie słuchają tego, co mówi, a Paddy przez całe swoje zawodowe życie musiała oblaškawiać takich facetów, jak on.

- Wydawało mi się, że tak, ale będę ci wdzięczna, jeśli opowiesz o tym jeszcze raz.

Sięgnął po whisky i wlał ją do na wpół opróżnionej szklanki z piwem. Było to starannie wykalkulowane posunięcie: piwo zaczęło się burzyć, wznosząc się pianą ku

brzegowi szklanki, wstępując na niego i grożąc powodzią, po chwili jednak opadło.

- Koktajl staruchów - odezwała się bezmyślnie Paddy.

Meehanowi, o dziwo, spodobało się to określenie i uśmiechnął się do niej.

- Siedziałem w enerdowskim zakładzie karnym. Chcieli, żebym im powiedział, jak dostarczyć więźniowi radionadajnik, więc myślałem o tym. Łamałem sobie głowę. Narysowałem im plany wszystkich angielskich więzień, które znałem. W więzieniu, wbrew pozorom, łatwo jest się poruszać. Wielu klawiszy bierze w łapę, więc człowiek może łązić, gdzie mu się podoba. Ale do wyjątkowo niebezpiecznych i najlepiej strzeżonych więźniów, a o takich właśnie mówiliśmy, trudno było dotrzeć. W końcu powie działałem tak: załatwicie niebezpiecznemu więźniowi radio. Zwyczajne radio, nic takiego, co rzucałoby się w oczy.

- Meehan pochylił się nad stołem. - A potem załatwicie identyczne radio więźniowi z celi o rozluźnionym ry gorze, tylko że jego radio powinno działać zarówno jako nadajnik, jak i odbiornik. Jasne? Nie sprawdziliby dobrze tego drugiego faceta, bo nie pilnowaliby go tak dokładnie. Rozumiesz? - Urwał, zmuszając ją w ten sposób, by po twierdziła, że tak. - Wiesz, kto to jest „pośrednik”? Ktoś, komu klawisze ufają. Więzień będący wtyczką w ich szeregach. - Przyszedł jej na myśl Tam Gourlay. - To znaczy, że trzeba dostarczyć do więzienia dwa odbiorniki radiowe, a potem je podmienić. Na tym polegał mój pomysł. A po winien je podmienić właśnie taki pośrednik, rozumiesz mnie?

Rozumiała wszystko. Doskonale.

- Jak myślisz, co znalezione w celi George'a Blake'a po jego ucieczce?

Paddy kiwnęła głową.

- Radionadajnik.

- Dokładnie - przytaknął Meehan. - Ukryty w zwykłym radiu tranzystorowym. Tylko że tydzień wcześniej ten tranzystor sprawdzano.

Paddy nagle zerwała się na nogi.

- Przepraszam, na mnie już czas. Miałam do kogoś za dzwonić.

Zaczęła się gramolić zza stolika.

Meehan spojrzął na nią, urażony.

- Panie Meehan, chcę napisać o panu książkę.

- Powstało już dość książek na mój temat.

- Nie chodzi mi o jakieś szmatławce powieści o zamordowaniu pani Ross, ale o książkę o panu. O partii komunistycznej, o agencie, który wysłał pana do NRD, i o pana karierze zawodowego przestępcy w latach pięćdziesiątych. Dobrą książkę. Jeżeli da się pan zaprosić na lunch w przyszłym tygodniu, to będziemy mogli o tym pogadać.

Meehan zgarbił się.

- Przecież masz mnie tu i teraz.

- Przepraszam, ale naprawdę muszę gdzieś zatelefonować.

Zajrzał do swojej prawie pustej szklanki.

- No nie wiem, jak to z tym będzie. Być może sam napiszę książkę o sobie.

- Zadzwoń do pana. - Paddy wciągała płaszcz, otwierając już drzwi i wychodząc na ulicę. - Na pewno.

2

Usiadła na swoim miejscu w dziale miejskim i podniosła słuchawkę, żeby połączyć się z McCloude'em w Marinę.

- Cloudy? Muszę się skontaktować z Columem McDaidem.

- Czy to ty, mała Meehan?

- W rzeczy samej. Mógłbyś mi podać jego domowy numer?

- McDaida? Słuchaj, ale to chyba nie z nim się spotykasz?

McCloud roześmiał się na tę myśl, a wtedy ktoś podszedł do jego stanowiska i o coś go zapytał. „Tak, tak. Ale nie teraz, nie”.

- Halo? Meehan?

- Czekam.

Trzymała już w ręku długopis, a McCloud podał jej numer konstabla w Partick.

Zadzwoiła do Columa. Odebrała pani McDaid.

- Tak, jest, kochanie.

Krzyknęła coś po gaelicku i McDaid podszedł do telefonu.

- Konstabl McDaid, mówi Paddy Meehan. Ten banknot jest ciągle w sejfie.

- Co takiego?

- Gourlay wcale go stamtąd nie zabrał. Banknot jest jeszcze w sejfie. Założę się, że leży schowany gdzieś z innym dowodem rzeczowym. - Usłyszała stęknęcie. - Co pan robi?

- Wkładam płaszcz. Mieszkam blisko komendy. Słyszysz mnie? Możesz poczekać przy telefonie w redakcji jeszcze przez jakąś godzinę?

- Mogę.

- Oddzwonię do ciebie.

3

W piątki w news roomie ruch był większy niż zwykle. Rezerwowa załoga wozu reporterskiego grała w karty pod pokojem fotoedytora, zajadając rybę z frytkami i pociągając niedyskretnie z małej butelki whisky. Kiedy zaczynała

tu pracować, wszyscy w redakcji pili, ale odkąd odszedł Farquarson, nie widziała jeszcze alkoholu w redakcji. Czytała książkę, czekając na telefon, i myślała, że lada chwila Dub zapowie występ przy „otwartym mikrofonie”, a Burns pewnie poci się pod ścianą ciemnej sali i nerwowo powtarza swój monolog.

McDaid oddzwonił na bezpośrednią linię po czterdziestu minutach. Nawet nie powiedział jej „dzień dobry”.

- Mam go. Skurwiel wsunął banknot do innej koperty. Te dupki chciały poczekać, aż zdam służbowe klucze, a potem już spokojnie wyczyściliby sejf.

- Zadzwońisz do Sullivana?

- Z przyjemnością.

- Życzę panu dobrej nocy, konstablu McDaid.

- Ja pani też, panno Meehan.

4

W klubie także panował dziś większy ruch. Lorraine nie pilnowała drzwi, które były jedynie przymknięte, nie zaryglowane. Paddy zbiegła po schodach i spojrzała na scenę. Stał na niej Dub, a atmosfera robiła się coraz gorętsza. Mówił wysokim głosem, szybko, wskazując publiczność i upajając się jej uwielbieniem.

Lorraine, która stała przy barze, podeszła się przywitać. Dziś zapomniiała udawać, że nie poznaje Paddy.

- Podbił publiczność.

- Dub?

- Burns. Normalnie ich, kurwa, podbił.

Dub zszedł ze sceny przy akompaniamencie rzęsistych braw. Zbiegł po kładce długości piętnastu stóp nieco zbyt szybko i zatrzymał się niezdarnie dopiero na ścianie. Był cały zlany potem, ale szczęśliwy.

Ujrawszy Paddy, rzucił się jej na szyję i pociągnął ją bezceremonialnie na drugi koniec baru. Uśmiechnęła się szeroko, chociaż poczuła na szyi wilgoć spod jego pachy, i chwiejnie dała się zaprowadzić w kąt wielkości czterech stóp kwadratowych, który uchodził w klubie za garderobę.

Dub puścił ją i Paddy stanęła wreszcie mocno na własnych nogach. Burns, zadowolony z siebie, a zarazem mocno nakręcony policjant z przedmieścia, popijał przy barze koktajl.

- Dobrze ci poszło? - zapytała Paddy.

Obrzucił ją wzrokiem.

- Szukałem cię na widowni. Nie przyszłaś.

Paddy czekała na puentę, która jednak nie padła. W końcu mruknęła:

- Przepraszam. Miałam dużo roboty.

Burns wbił palec pomiędzy piersi dziewczyny i przytrzymał go tam nieco za długo, a potem powoli zaczął gładzić Paddy po długiej szyi.

- Miałem nadzieję, że przyjdiesz. Byłoby mi różniej.

Wzięła go za rękę, ale po chwili ją odtrąciła.

- Nie miałbyś ze mnie większego pożytku, Burns. Poza tym ja przynoszę pecha komikom, więc lepiej, że mnie nie było.

- No tak. - Burns cofnął się o krok. - Chcesz zawsze grać pierwsze, nigdy drugie skrzypce, co?

Do Burnsa podszedł jakiś facet z widowni i ujął go pod ramię.

- Kapitalna robota, kolego. To był najzabawniejszy występ, jaki widziałem w tej knajpie, a przychodzę tutaj regularnie.

Burns wpatrywał się nadal w szyję Paddy, dopóki nie przepchnęła się ku nim Lorraine i nie stanęła obok. Zaczęła kołysać się w biodrach i trącać Burnsa biustem, a policjant objął ją w pól i czekał, co zrobi Paddy.

Uśmiechnęła się do niego szeroko.

- Och, teraz zaczynam żałować, że mimo wszystko nie przyszedłam. Robię się strasznie zazdrosna, jak na was patrzę.

Dub otoczył Paddy ramieniem, więc stali objęci we czworo.

- Wszyscy byli dzisiaj wspaniali. Poszło jak po maśle. Cudowny wieczór, jeden występ lepszy od drugiego. Nie było zmiany stylu ani nastroju, wiecie, jak to zwykle bywa. Dziś nic takiego po prostu się nie zdarzyło.

- Naprawdę?

Burns posłał jej sprośne spojrzenie i odciągnął Lorraine za rękę, prowadząc ją do stolika. Paddy obserwowała, jak się migdała, i potrząsnęła głową.

- Ten facet to straszny chuj.

- Tak sądzisz?

- Pierdolony dupek. - Burns patrzył prosto na nią, a ona miała nadzieję, że potrafi czytać z ruchu warg.

- Ale potrafi być zajebiście zabawny. Zrobiłby klubowi naprawdę dobrą reklamę, gdyby zaczął u nas występować cyklicznie. Zresztą mniejsza z tym. Gdzie się podziwałaś?

Opowiedziała mu o Loch Lomond i Meehanie, a nawet szepnęła słówko o McDaidzie i banknocie. Odeszli na bok, na opustoszałą już widownię, i przysiedli na scenie, bo barman zabrał ich krzesła i ułożył je wraz z innymi pod ścianą. Publiczność między nimi i stolikiem Burnsa wkładała płaszcze i dopijała drinki, rozmawiając za głośno, bo wyczuwała jeszcze atmosferę podniecenia na sali.

Dub chłonał jej słowa, siedział tuż przy niej, a ona rozmawiała z nim z rozkoszą. Przy Dubie nie bała się niczego. Nigdy nie czuła się w jego towarzystwie gruba, naiwna ani niedoskonała.

Pochylał się coraz głębiej, żeby ją lepiej słyszeć, a ona wpatrywała się w jego potężny nos, ślimacznicę ucha

i bladą, porowatą twarz. Nie wiedziała, dlaczego - obecność Burnsa nie miała z tym nic wspólnego - ale zapragnęła pocałować go w policzek. Nagle Dub podniósł głowę i obrzucił dziewczynę jasnym, pochlebnym spojrzeniem.

- Jesteś nieustraszona. Nie znam nikogo takiego jak ty.

Zdumiała się, że aż tak bardzo chce go pocałować. Byłoby to łatwe, wystarczyłoby, żeby wysunęła głowę o kilka cali do przodu, a jej usta połączyłyby się z jego ustami. Spojrzeli sobie w oczy. Dub był jej jedynym przyjacielem. Więc Paddy również się wyprostowała i żartobliwie poklepała go w nogę.

- Boże, czuję się tak, jak gdybym nie widziała cię od wieków, Dub - oświadczyła, wbijając wzrok w jego kolan.

- Ja też. A jeżeli nawet Burns jest chujem, to dzięki, że go tu przyprowadziłaś. - Dub uśmiechnął się szeroko, zerkając na nią z ukosa. Po raz pierwszy zauważyła jakby rozgoryczenie w jego oczach. Teraz dopiero zdała sobie sprawę, że patrzy na nią w ten sposób nie po raz pierwszy. Widziała ten jego wzrok od lat, odkąd się znali, ale nie rozumiała wcześniej, co oznacza.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi, nagle ucieszona, że go jednak nie pocałowała.

- Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

Skinął głową, wpatrując się w podłogę.

- Jestem.

- Odprowadzisz mnie na stację?

Dub zerknął na Burnsa. Lorraine siedziała mu prawie na kolanach, wpijając się w niego ustami, a Burns wsunął jej już rękę pod bluzkę.

- Dobra. Odprowadzę.

Rozdział trzydziesty siódmy

Mdłości

Nigdy nie spała lepiej. Dziesięć i pół godziny głębokiego snu, nieświadomości, przerywanej tylko raz, kiedy się ocknęła, by wsłuchać się w rytmiczny metronom oddechu Mary Ann.

Caroline nie chciała wrócić do Johna i dzisiaj miała zająć łóżko siostry. Była rozkapryszona, przygnębiona i - jako nałogowa palaczka - chrapała.

Mary Ann podała Paddy do łóżka filiżankę herbaty na dzień dobry i uprzedziła ją, że pociąg do Londynu odchodzi z dworca Central o jedenastej, więc musi zaraz wyjść. Paddy usiadła, popijając herbatę z mlekiem i przyglądając się, jak siostra przegląda zawartość jasnoblękitnej walizki, by sprawdzić, czy ma już wszystko, co będzie jej potrzebne podczas miesięcznego pobytu we Francji.

Zapakowała siedem par spodni i koszulek, dwa biustonosze, trzy bluzeczki, trzy spódnice i jedną sukienkę. Poza tym wzięła modlitewniki, różańce i rozmówki francuskie, które Con kupił jej w antykwariacie.

Walizka wydała się Paddy dziwnie mała, kiedy Mary Ann zamknęła zatrzaski i postawiła swój bagaż na podłodze.

Pomogła siostrze zanieść walizkę na stację. Na kolejkę do centrum czekały w milczeniu. Paddy bała się odezwać, żeby nie wybuchnąć płaczem, bo wiedziała, jak będzie

za nią tęsknić, a Mary Ann bała się, że się rozpłaczę ze strachu.

- Nigdy nie wyjeżdżałam dalej niż do Largs - powiedziała, a kiedy spojrzała na tory, jej podbródek drgnął lekko.

- Będiesz zachwycona - odparła Paddy takim tonem, jak gdyby dobrze znała świat poza Glasgow. - Już jestem chora z zazdrości.

Przyjechała kolejka i Paddy wrzuciła walizkę na półkę, a Mary Ann wsiadła i stanęła w drzwiach, przypatrując się swojej młodszej siostrzyczce. Paddy nie mogła dłużej się powstrzymać. Wybuchnęła płaczem.

- Do widzenia.

Mary Ann uśmiechnęła się szeroko bez słowa, podniosła rękę i również się rozpłakała.

- Pozdrów ode mnie Pana Boga - zawołała Paddy.

Drzwi zasunęły się, ale patrzyła siostrze w oczy, dopóki kolejka nie ruszyła wreszcie ku przyszłości.

Paddy stała na peronie, przyglądając się ostatniemu wagonowi, wlokącemu się po torach, i życzyła Mary Ann szczęścia. Miała nadzieję, że niepotrzebnie się martwi i że dziewczyna nie przysporzy więcej siwych włosów ich nieszczęsnej matce.

Kiedy szła do apteki w Rutherglen, padało. Na szczęście nie знаła mężczyzny stojącego za ladą. Zabrała pudełeczko i weszła do publicznej toalety na tyłach Tower Bar. Pachniało tam mydłem karbolowym, uryną i było przeraźliwie zimno, bo nikt tu nigdy nie zamykał drzwi.

Lada moment z kościoła wyjdą wierni uczestniczący we mszy, która rozpoczęła się o dziesiątej. A kiedy msza się skończy, przed toaletą stanie kolejka pań o miednicach zdeformowanych po zbyt licznych ciążach. Puszczą się tu biegiem, bo przecież msza trwa aż pięćdziesiąt minut. Ale na razie jest sama.

Paddy zamknęła się w ostatniej kabinie i wyciągnęła z pudełeczka papierowy pasek. Przeczytała instrukcję i postąpiła dokładnie według wskazówek. Nie miała odwagi patrzeć, co się dzieje z paskiem przez następne cztery minuty, tylko przyciskała czoło do zimnej ściany, błagając o łaskę Boga, którego nie prosiła o nic od siódmego roku życia.

Usłyszała zbliżające się głosy. Msza się skończyła i wszystkie jej znajome wychodzą właśnie przed kościół. Będzie musiała zamienić z nimi parę słów, kiedy stąd wyjdzie, i zachowywać się możliwie naturalnie, bez względu na wynik testu. Nie była jednak pewna, czy uda się jej zachować zimną krew.

Zebrała się na odwagę i odwróciła głowę, by spojrzeć na biały papierek, spoczywający na zbiorniku z wodą: w obu kratkach pojawiły się bladoniebieskie kreski.

Zero wątpliwości. Była w ciąży.

Spis treści

Nie tacy jak my	9
Żyjąc na kolanach	23
Dom	40
Napisy końcowe	51
Boże, kurwa jego w dupę pierdolona mać	63
Jak być odważnym	77
Smutny los umarłych i zaginionych	80
Ojczyzna włóczęgów i dziwek	92
Colum McDaid	107
Kostnica w Brigate	119
U Archiego	131
Jak zupa od dupy	149
Ramage	160
George Burns	172
Zły sezon dla grubych dziewczyn	184
Lepiej się męczyć	192
Podmioty, nie przedmioty	203
Sto odcieni szarości	218
Święty Objazdowy Teatr Księżowski	234
Krwawa niedziela	241
Pies Lafferty	253
Ogień	266
Brzydkie rzeczy	283
Easterhouse	297
Czerwony ford	307
Burns	316
W warsztacie Bemiego	325
Przesłuchanie	339
Killearn	357
Morze jest takie ogromne	372
Murzyn i drut kolczasty	385
Knox	398
Dwa dwadzieścia za godzinę	406

Okazanie	415
Hańba Columa McDaida	424
Patrick Meehan	430
Mdłości	441

